

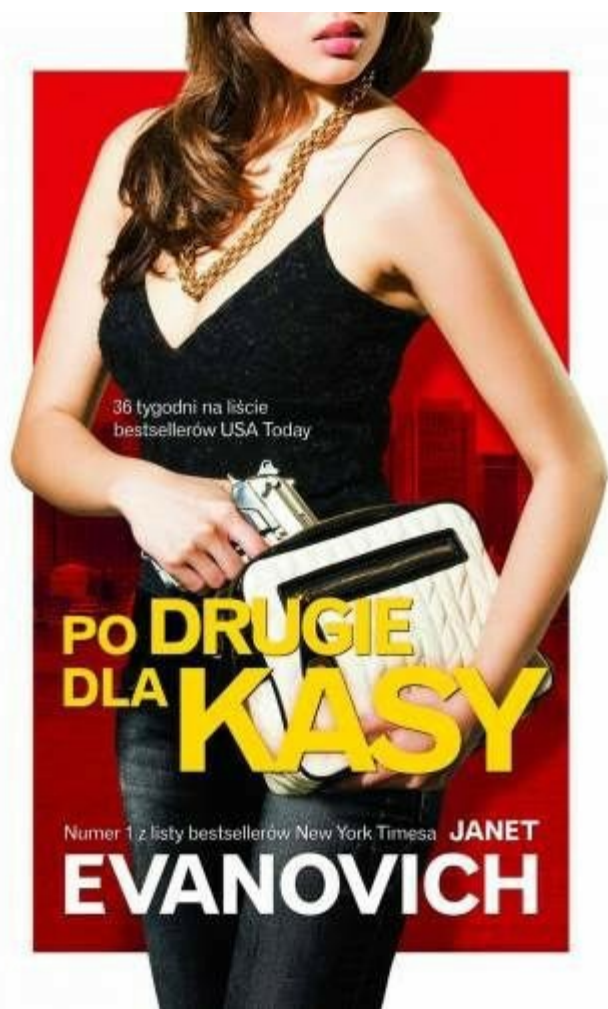


36 tygodni na liście
bestsellerów USA Today

PO DRUGIE
DLA **KASY**

Numer 1 z listy bestsellerów New York Timesa JANET

EVANOVICH



Janet Evanovich

Po drugie dla forsy

Two For The Dough

Cykl: Stephanie Plum tom 2

Przekład Arlena Sokalska & Dariusz Ćwiklak Alexowi i Peterowi,

którzy zawsze bardziej kierują się wiarą niż zdrowym rozsądkiem i dlatego nigdy nie podeptali niczyich marzeń.

Rozdział 1

Wiedziałam, że „Leśnik” jest tuż obok mnie, bo jego kolczyk połyskiwał w blasku księżyca. Pozostałe znaki rozpoznawcze mego partnera, czyli koszulka z krótkim rękawem, lekka kamizelka kuloodporna, gładko zaczesane do tyłu włosy i dziewięćmilimetrowy glock, ginęły w mroku nocy. Nawet odcień jego skóry wydawał się dopasowywać do ciemności, przez co Ricardo Carlos Manoso przypominał kubańsko-amerykańskiego kameleona.

Ja, ze swoimi błękitnymi oczyma i mleczną karnacją, będącymi, o dziwo, rezultatem włosko-węgierskiego pochodzenia, nie byłam tak przystosowana do wykonywania potajemnych nocnych

zadań jak mój towarzysz.

Październik miał się ku końcowi i w Trenton panowały ostatnie dni pięknej złotej jesieni. Siedzieliśmy z „Leśnikiem” przyczajeni za wielkim krzewem hortensji na rogu ulic Patersona i Wycliffa. Nie podziwialiśmy bynajmniej uroków babiego lata, nie napawaliśmy się też swoim towarzystwem ani niczym innym. Tkwiliśmy tam od trzech godzin, nic więc dziwnego, że zaczęło się to negatywnie odbijać na naszych nastrojach.

Obserwowaliśmy duży drewniany dom przy Patersona 5023, gdyż dostaliśmy cynk, że Kenny Mancuso zamierza odwiedzić swoją dziewczynę, Julię Cenette. Mancuso był oskarżony o postrzelenie w kolano pracownika stacji benzynowej (dziwnym zbiegiem okoliczności swego dawnego serdecznego przyjaciela). Firma poręczycielska Vincenta Pluma wpłaciła za niego kaucję, dzięki czemu mógł wyjść z aresztu i powrócić na łono praworządneho społeczeństwa. Ale zniknął zaraz po wyjściu na wolność i trzy dni później nie zjawił się na wstępnym przesłuchaniu. Co zrozumiałe, Plum nie był tym uszczęśliwiony.

Lecz skoro ryzykowne decyzje Vincenta Pluma pozwalały mi zarabiać na życie, miałam swoją prywatną opinię na temat zniknięcia Mancusa. Winnie to mój krewny i zleceniodawca. Pracuję u niego jako łowca nagród, czyli ktoś, kto tropi ukrywających się przestępców i oddaje ich w karzące, choć czasami przykrótkie, ręce sprawiedliwości. Nagroda za sprowadzenie Kenny’ego wynosiła dziesięć procent od sumy jego kaucji opiewającej na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Część tej nagrody zamierzałam oddać „Leśnikowi” za pomoc w ujęciu Mancusa. Resztę przeznaczyłam na spłatę kredytu za samochód.

Na upartego mogłabym zaryzykować twierdzenie, że współpracuję z

„Leśnikiem”. On był zawodowcem, prawdziwym *numero uno* w tej branży, ja zaś mogłam korzystać z jego pomocy tylko dlatego, że uważał

mnie za nowicjuszkę. Krótko mówiąc, bez „Leśnika” nie mogłabym nawet marzyć o schwytaniu Mancusa.

- Nic chyba z tego nie wyjdzie - mruknął mój mistrz.

Ponieważ to ja przeprowadziłam wcześniej rozpoznanie, poczułam się jak uczeń wywołany do tablicy.

- Rozmawiałam dziś rano z Julią. Poinformowałam ją, że za pomoc przestępcy grozi jej kara.

- I co, zgodziła się na współpracę?

- Niezupełnie. Zgodziła się dopiero wtedy, kiedy jej powiedziałam, że przed tą strzelaniną na stacji Kenny’ego widywano w towarzystwie Denise Barkolowski.

Odniosłam wrażenie, że „Leśnik” uśmiechnął się w ciemności.

- Z tą Denise to oczywiście lipa?

- Wiadomo.

- Jestem z ciebie dumny, sprytna jesteś.

Wcale nie miałam wyrzutów sumienia z powodu tego kłamstwa.

Kenny był ściganym przez prawo łajdakiem, a Julia powinna mierzyć znacznie wyżej.

- Coś mi się jednak zdaje, że nasza Julia dogłębnie przemyślała możliwość zemsty i nakłoniła swego Romea do przełożenia wizyty. Wiesz już, gdzie on się ukrywa?

- Przenosi się z miejsca na miejsce. Nie zostawił jej numeru telefonu. Julia twierdzi, że Kenny stał się teraz bardzo ostrożny.

- Po raz pierwszy złamał prawo?

- Owszem.

- Pewnie przestraszył się groźby oskarżenia o gwałt i postanowił nie wychylać nosa z kryjówki.

Zamilkliśmy, ujrawszy zbliżającą się furgonetkę. Była to toyota z napędem na cztery koła, nowiutka, jakby dopiero co wyjechała z salonu -

ciemna, na próbnym numerach, z dodatkową anteną telefonu komórkowego. Samochód zwolnił koło drewnianego budynku i po chwili skręcił na podjazd domu Julii Cenetty. Kierowca wysiadł i podszedł do drzwi. Stał do nas tyłem, lampa nad gankiem nie dawała zbyt wiele światła.

- Jak myślisz? - zagadnął „Leśnik”. - To Mancuso?

Z tej odległości nie byłam w stanie go rozpoznać. Wzrost i budowa ciała mniej więcej by się zgadzały. Mancuso miał dwadzieścia jeden lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy i ważył osiemdziesiąt pięć kilo.

Cztery miesiące temu wyszedł z wojska i był w doskonałej kondycji. Kiedy przyjmowałam zlecenie, dostałam kilka zdjęć Kenny'ego, ale w tych warunkach nie mogłam niczego autorytatywnie stwierdzić.

- Może to i on, ale dopóki nie zobaczę go z bliska, nie dałabym za to głowy - powiedziałam.

Drzwi się otworzyły i mężczyzna wszedł do środka.

- Moglibyśmy zapukać i grzecznie zapytać, czy to nie Mancuso wszedł tu przed chwilą - zaproponował „Leśnik”.

- To chyba niezły pomysł. - Skinęłam głową.

Wstaliśmy i poprawiliśmy pasy z bronią.

Miałam na sobie ciemne dżinsy, czarny golf z długim rękawem, lekką granatową kurtkę z kevlaru i czerwone sportowe buty. Jasne kręcone włosy sięgające do ramion związałam w kucyk, który upchnęłam pod granatową baseballówką. Byłam uzbrojona w rewolwer Smith & Wesson kalibru 9,65 mm, który wisiał w czarnej nylonowej kaburze przytroczonej do pasa, obok kajdanek i pojemnika z gazem obezwładniającym.

Przeszliśmy przez ulicę i „Leśnik” załomotał do drzwi monstrualną latarką prawie półmetrowej długości, z reflektorem o średnicy dwudziestu centymetrów. Dawała mnóstwo światła, a według właściciela doskonale nadawała się też do rozbijania głów. Na szczęście nigdy nie miałam okazji być świadkiem takiej sceny. Kiedy oglądałam *Wściekle psy* zrobiło mi się słabo. Nie miałam najmniejszych złudzeń co do moich umiejętności zachowania zimnej krwi. Gdyby „Leśnik” kiedykolwiek chciał przy mnie skorzystać ze swej latarki w tym dodatkowym celu, musiałabym chyba zamknąć oczy, a potem... A potem pewnie poszukać innej pracy.

Nikt nie otwierał, więc odsunęłam się na bok i wyjęłam rewolwer z kabury. W ten sposób zazwyczaj osłania się partnera, ale w moim przypadku był to raczej pusty gest. Wprawdzie na strzelnicę chodzę regularnie, tak jak inni do kościoła, ale w konkretnych sytuacjach robię się bezradna jak dziecko. Mam głęboko zakodowany lęk przed bronią i zazwyczaj trzymam rewolwer nie nabity, żeby przypadkiem nie postrzelić się w nogę. Dotychczas tylko raz musiałam użyć broni i byłam tak przerażona, że pociągnęłam za spust, zapomniawszy wyjąć broń z torebki.

Nie mogłam dopuścić, by się to kiedykolwiek powtórzyło.

„Leśnik” zastukał po raz drugi, jeszcze głośniej.

- Tu agent ścigający zbiegłego więźnia! - krzyknął. - Otwierać!

Poskutkowało. Tyle że w otwartych drzwiach stanęła nie Julia Cenetta ani Kenny Mancuso, lecz Joe Morelli, cywilny pracownik komendy policji w Trenton.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, całkowicie zaskoczeni.

- Czy to twoja toyota stoi na podjeździe? - zapytał w końcu „Leśnik”.

- Tak - potwierdził Morelli. - Właśnie ją odebrałem ze sklepu.

„Leśnik” pokiwał głową.

- Niezła gablota.

Morelli i ja pochodziliśmy z Miasteczka, urzędniczej dzielnicy Trenton, gdzie nieprzystosowanych alkoholików wciąż nazywano łachudrami, a o istnieniu nielicznych homoseksualistów starano się zapomnieć. Joe od dawna żerował na mojej naiwności. Ostatnio miałam okazję wyrównać z nim rachunki i stopniowo między nami zaczynało się jakoś układać, chociaż każde z nas starało się wywalczyć dla siebie jak najlepszą pozycję.

Zza pleców Morellego wyjrzała Julia.

- No i co? - odezwała się do niej. - Podobno Kenny miał wpaść do ciebie dziś wieczorem?

- Akurat - odburknęła. - Przecież on nigdy nie dotrzymuje słowa.

- Nie dzwonił?

- W ogóle się nie odezwał. Pewnie siedzi teraz z tą Denise Barkolowski. Czemu nie poszukacie go u tej lafiryndy?

„Leśnik” zachowywał stoicki spokój, ale widziałam, że ledwie się powstrzymuje od śmiechu.

- No, to ja znikam - rzekł. - Nie lubię się mieszać w prywatne sprawy.

Morelli przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę.

- Co się stało z twoimi włosami? - zapytał w końcu.

- Wcisnęłam je pod czapkę.

Wsunął ręce do kieszeni dzinsów.

- Wyglądasz bardzo seksownie.

Jemu wszystko kojarzyło się zawsze z seksem.

- Późno już - odezwała się Julia. - Rano muszę wstać do pracy.

Spojrzałam na zegarek. Było wpół do jedenastej.

- Dasz mi znać, jeśli Kenny się odezwie?

- Nie ma sprawy.

Morelli wyszedł ze mną. Stanęliśmy przed jego toyotą i patrzyliśmy na nią przez chwilę obydwójce pogrążeni w myślach. Wcześniej Joe jeździł

jeepem cherokee, ale po zamachu bombowym z samochodu została tylko kupa złomu. Na szczęście Morelli nie siedział wówczas za kółkiem.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytałam w końcu.

- To samo co ty. Szukam Kenny'ego.

- Myślałam, że już się nie zajmujesz tropieniem zbiegów..

- Matka Kenny'ego pochodzi z Morellich, poproszono mnie więc, żebym go odnalazł i przemówił mu do rozsądku, zanim wpadnie w jakieś kolejne kłopoty.

- O Boże! To znaczy, że jesteś spokrewniony z Mancusem?

- I nie tylko z nim.

- Ze mną w każdym razie nie.

- Masz jakiś inny trop Kenny'ego?

- Niespecjalnie

Zamyślił się na chwilę.

- Moglibyśmy razem rozpracować tę sprawę.

Uniosłam brwi. Moja współpraca z Morellim zakończyła się tym, że zostałam postrzelona w tyłek.

- A co możesz zaproponować?

- Wykorzystanie rodzinnych koneksji.

Niewykluczone, że Kenny był na tyle głupi, aby wrócić na łono rodziny.

- A jaką będę miała pewność, że mnie nie wyrolujesz? - Po nim można się było wszystkiego spodziewać. Należał bowiem do tych przystojniaczków, których twarz z wiekiem nabiera charakteru. Nad jego lewą brwią biegła cienka blizna, świadectwo życia na krawędzi bezpieczeństwa. Miał trzydzieści dwa lata - dwa lata starszy ode mnie.

Mieszkał samotnie. Był dobrym gliniarzem. Co zaś do jego oceny jako człowieka, to trudno byłoby mi powiedzieć coś wiążącego.

- Musisz mi chyba po prostu zaufać - odparł z uśmiechem, kołysząc się na piętach.

- O la, la.

Otworzył drzwi auta - ze środka doleciał zapach nowiutkiej tapicerki - wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik.

- Podejrzewam, że o tej porze Kenny już się nie pojawi - powiedział.

- Też tak myślę. Julia mieszka przecież z matką, która jest pielęgniarką i ma właśnie nocny dyżur w szpitalu świętego Franciszka.

Powinna już wrócić za pół godziny. Nie wyobrażam sobie, by Kenny wparował do ich domu pod obecność Cenetty seniorki.

Joe przytaknął skinieniem głowy i odjechał. Kiedy tylne światła toyoty zniknęły w ciemności, ruszyłam na drugi koniec przecznicy, gdzie zaparkowałam swojego jeepa wranglera. Sprzedał mi go

Skoogie Krienski, który rozwoził nim kiedyś pizzę z Pizzerii Pina. Ilekroć samochód się rozgrzewał, śmierdział przypalonym ciastem i sosem marinara. A ponieważ był to model sahara, polakierowano go fabrycznie na beżowo. Bardzo poręczny kolorek, ale chyba tylko dla tego, kto chciałby się ukryć w wojskowym konwoju na pustyni.

Byłam przekonana, że o tej porze Kenny już się nie pojawi, ale doszłam do wniosku, że nie zawadzi jeszcze trochę poczekać i upewnić się do końca. Rozłożyłam dach jeepa, żeby aż tak bardzo nie rzucać się w oczy i usiadłam za kierownicą. Był to zdecydowanie gorszy punkt obserwacyjny od stanowiska za krzewem hortensji, ale w zupełności mi wystarczał. Gdyby Kenny jednak przyjechał, zadzwoniłabym do „Leśnika” z telefonu komórkowego. Wcale mi się nie uśmiechało samodzielnie zatrzymywać faceta podejrzanego o spowodowanie ciężkich uszkodzeń ciała.

Po dziesięciu minutach w uliczkę skręcił mały samochód kombi.

Osunęłam się trochę w fotelu. Wóz pojechał dalej, lecz kilka minut później znów się pojawił i stanął przed domem Julii. Kierowca zatrąbił.

Julia Cenetta wybiegła na ulicę i wskoczyła do środka wozu.

Uruchomiłam silnik, kiedy znaleźli się w połowie drogi do następnej przecznicy, ale światła włączyłam dopiero wtedy, gdy zniknęli za rogiem. Znajdowaliśmy się na obrzeżach Miasteczka, w dzielnicy dość skromnych domków jednorodzinnych. Ulice świeciły pustkami i byłam widoczna jak na dłoni, musiałam więc trzymać się w sporej odległości od tajemniczego kombi. Tamten dotarł do alei Hamiltona i skręcił na wschód. Siedziałam mu cały czas na ogonie, zmniejszając dzielący nas dystans w miarę pojawiania się coraz to nowych samochodów. Przez pewien czas nic się nie działo, wreszcie znajomy Julii zjechał na parking przed domem towarowym i ustawił auto w najciemniejszym kącie.

O tej porze plac był pusty, wścibski łowca nagród nie miał gdzie się schować. Zgasiałam światła i zaparkowałam po przeciwnej stronie ulicy. Z

tylnego siedzenia wzięłam lornetkę i nakierowałam ją na kombi.

Omal nie dostałam ataku serca, kiedy ktoś zastukał w szybę mojego jeepa.

W mroku ujrzałam uśmiechniętą twarz Joego Morellego, którego bardzo ucieszyło to, że zdołał mnie zaskoczyć i wystraszyć jak diabli.

- Bardziej przydałby ci się noktowizor - oznajmił uprzejmie. - Z tej odległości po ciemku niczego nie zobaczysz.

- Nie mam noktowizora. A w ogóle co ty tu robisz?

- Śledziłem cię. Pomyślałem sobie, że zechcesz jeszcze chwilę poczekać na Kenny'ego. Doświadczenia w tej robocie nie masz za grosz, ale zawsze dopisuje ci cholerne szczęście, a kiedy się na coś zawieźmiesz, to już nie popuścisz, jak pies pilnujący gości

Musiałam przyznać, że porównanie choć niezbyt subtelne, było jednak trafne.

- Dobrze znasz Kenny'ego?

- Niespecjalnie.

Wzruszył ramionami.

- Więc pewnie nie masz ochoty podjechać w tamten kąt i przywitać się z nim?

- A jeśli to nie Kenny? Nie chciałbym zepsuć Julii tej randki.

Oboje popatrzyliśmy na samochód po drugiej stronie ulicy. Nawet bez noktowizora można było zauważyć, że zaczyna się kołysać. Rytmiczne jęki i pomruki niosły się echem po pustym placu.

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

- A niech to - mruknął Joe. - Jeśli się nie opanują, to jak nic rozwalą amortyzatory w tym samochodziku.

Kombi przestało się kołysać. Po chwili kierowca uruchomił silnik i włączył reflektory.

- Kurczę - odezwałam się. - Szybko im to poszło.

Morelli wskoczył na siedzenie obok mnie.

- Musieli zacząć już po drodze. Nie zapalaj świateł. Zaczekaj, aż wyjedzie na ulicę.

- Wspaniały pomysł. Tylko jak mam prowadzić po ciemku?

- Przecież jesteśmy na parkingu. Dookoła masz trzysta metrów kwadratowych bruku i nic poza tym.

Ruszyłam niczym zółw.

- Ucieknie ci - ostrzegł Morelli. - Dodaj gazu.

Przyspieszyłam do trzydziestki, usiłując cokolwiek wypatrzeć za szybą i przeklinając pod nosem Joego, bo ciemno było choć oko wykol.

On zaś zaczął głośno jęczeć, więc wcisnęłam gaz do dechy.

Rozległ się głośny huk i straciłam kontrolę nad kierownicą.

Wdepnęłam hamulec. Samochód zatrzymał się, ale ukosem, z lewą stroną wyraźnie uniesioną.

Morelli wysiadł, żeby zobaczyć, co się stało.

- Wpakowałaś się na wysepkę - oświadczył. - Cofnij i wszystko będzie w porządku.

Wykręciłam i przejechałam kilka metrów. Wóz silnie ściągał w lewo. Joe ponownie wysiadł, a ja wychodząc z nerwów klęłam w duchu, że go posłuchałam.

- Nic wielkiego - rzekł, pochyliwszy się do otwartego okna. -

Wgięłaś tylko trochę błotnik, kiedy uderzyłaś w krawężnik. Masz jakiegoś znajomego fachowca?

- Zrobiłeś to specjalnie. Nie chciałeś, żebym złapała twojego zapchlonego pociotka.

- Zaraz, zaraz, malutka. Nie wyzywaj się na mnie, bo sama schrzaniłaś sprawę.

- Jesteś draniem, Morelli, naprawdę jesteś draniem!

Uśmiechnął się.

- Lepiej nie podskakuj, bo wlepię ci mandat za nieostrożną jazdę.

Wyszarpnęłam z torebki telefon i wystukałam numer warsztatu „U

Ala”. Al był dobrym znajomym „Leśnika”. Za dnia prowadził najzupełniej legalny warsztat samochodowy. Miałam jednak przecucie, że nocami przebija numery w kradzionych autach. Ale nic mnie to nie obchodziło.

Chciałam tylko, żeby mi naprawił wóz.

Godzinę później mogłam ruszyć w drogę. Nie było już sensu gonić za Kennym Mancuso. Wszelki ślad po nim zaginął. Wstąpiłam do nocnego sklepu, kupiłam pudełko straszliwie niezdrowych lodów kawowych i pojechałam do domu.

Mieszkam w zwalistej dwupiętrowej kamienicy z cegły, parę kilometrów od domu moich rodziców. Budynek stoi przy dość ruchliwej ulicy, wzdłuż której ciągnie się szereg drobnych warsztatów i sklepików.

Zaraz za placem na jego tyłach zaczyna się osiedle domków jednorodzinnych.

Okna mojego mieszkania na pierwszym piętrze wychodzą na parking. Lokal składa się z sypialni, łazienki, maleńkiej kuchni i saloniku połączonego z jadalnią. Łazienka wygląda tak, jakby stanowiła fragment kiepskich dekoracji do popularnego serialu. A z powodu chwilowej szczupłości mojego portfela całe umeblowanie mieszkania jest - rzecz by można - eklektyczne, czyli innymi słowy żaden sprzęt nie pasuje do pozostałych.

Kiedy wysiadłam z windy, na korytarzu spotkałam panią Bestler z drugiego piętra. Miała już swoje osiemdziesiąt trzy lata i kiepsko sypiała w nocy, więc w ramach treningu chodziła po klatce schodowej.

- Dzień dobry, pani Bestler. Jak leci?

- Nawet już nie mam siły narzekać. Czyżbyś pracowała w nocy?

Złapałaś jakiegoś przestępcę?

- Nie, dzisiaj nie.

- Szkoda.

- Jutro też będzie dzień - odparłam filozoficznie, otworzyłam drzwi i weszłam do mieszkania.

Chomik Rex biegał w swoim kółeczku tak szybko, że jego różowe łapki tylko migały. Zastukałam w szybę jego klatki na powitanie. Rex natychmiast się zatrzymał, zastrzygł wąsami i zastygł, obracając w moim kierunku ślepka jak koraliki.

- Sie masz, Rex - powiedziałam.

Nic nie odpowiedział. Jak zawsze milczał.

Rzuciłam torebkę na blat stołu w kuchni i z szuflady wyjęłam łyżeczkę. Otworzyłam pudełko z lodami i jedząc, zaczęłam odsłuchiwać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce.

Wszystkie pochodziły od matki. Na jutro przygotowała pieczonego kurczaka i nalegała, bym wpadła do nich na obiad. Nie mogłam się spóźnić, bo właśnie zmarł szwagier Betty Szajack, a babcia Mazurowa chciała o siódmej wieczorem pojechać na wystawienie zwłok w domu pogrzebowym.

Babcia miała zwyczaj przeglądać kolumny z nekrologami tak, jakby czytała repertuar kin i teatrów. W innych środowiskach ludzie spotykają się w najrozmaitszych klubach. W Miasteczku natomiast tę funkcję pełnią domy pogrzebowe. Gdyby nagle śmierć przestała zbierać swoje żniwo, życie towarzyskie mieszkańców osiedla zupełnie by pewnie zamarło.

Skończyłam lody i włożyłam łyżeczkę do zmywarki. Dałam Rexowi parę winogron oraz garść karmy dla chomików, po czym położyłam się do łóżka.

Obudził mnie deszcz zacinający w okno sypialni. Bębnił w starą drabinkę pożarową, której podest służył mi za balkon. Lubiłam zasypiać, wsłuchując się w szum deszczu. Nie potrafiłam się jednak cieszyć, kiedy słyszałam go po obudzeniu.

Musiałam przyprzeć do muru Julię Cenettę. Należało też sprawdzić, co to za samochód przyjechał po nią wczoraj wieczorem. Zadzwoił

telefon, a ja machinalnie sięgnęłam po słuchawkę leżącą na stoliku przy łóżku, zachodząc w głowę, kto może dzwonić o tak wczesnej porze. Budzik wskazywał piętnaście po siódmej.

Był to mój znajomy z policji, Eddie Gazarra.

- Dzień dobry - rzekł uprzejmie. - Czas wstawać.

- Dzwonisz w celach towarzyskich?

Znaliśmy się z Gazarrą jak łyse konie. Dorastaliśmy razem, później Eddie ożenił się z moją kuzynką Shirley.

- Nie, mam dla ciebie pewne informacje. Ale pamiętaj, że to nie ja ci je przekazałem. Nadal szukasz Kenny'ego Mancuso?

- Tak.

- Nad ranem zginął od kul sprzedawca ze stacji benzynowej, ten sam, którego Kenny wcześniej postrzelił w kolano.

Zerwałam się na równe nogi.

- Jak to się stało?

- Była druga strzelanina. O wszystkim opowiadał mi Schmidty. Miał

akurat dyżur, kiedy ktoś telefonicznie przekazał wiadomość, że znalazł na stacji benzynowej Mooggeya Buesa z wielką dziurą w głowie.

- Jezu.

- Pomyślałem, że ciebie to zainteresuje. Nie wiem, czy Kenny miał z tym coś wspólnego. Może doszedł do wniosku, że strzaskane kolano to za mało, i wrócił, żeby rozwalić tamtemu głowę.

- Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Wiesz, przydałby nam się ktoś do opieki nad dzieckiem na przyszły piątek.

- No nie, aż tyle nie jestem ci winna.

Eddie mruknął coś pod nosem i odłożył słuchawkę.

Wzięłam prysznic, wysuszyłam włosy suszarką i upchnęłam je pod czapką z emblematem nowojorskich „Rangersów” założoną daszkiem do tyłu. Oprócz tego włożyłam džinsy, czarną koszulkę, na wierzch ciemnoczerwoną flanelową koszulkę, a na nogi martensy, jako że padało.

Po nocnej bieganinie w kółeczku Rex spał słodko w swojej puszcze po zupie, więc przemknęłam obok niego na palcach. Włączyłam automatyczną sekretarkę, chwyciłam torebkę i czarno-fioletową kurtkę z goreteksu, wyszłam i wreszcie zamknęłam drzwi mieszkania.

Stacja benzynowa Delia, firmowana przez Exxon, mieściła się przy alei Hamiltona, niedaleko mojego domu. Po drodze wpadłam do sklepu spożywczego, gdzie kupiłam kubek kawy i pudełko pączków w polewie czekoladowej. Aby uspokoić sumienie, wytłumaczyłam sobie, że jak ktoś oddycha powietrzem w New Jersey, to nie musi się już przejmować niezdrowym jedzeniem.

Na stacji benzynowej roilo się od policjantów i radiowozów, a przed drzwiami kantorka stała karetka. Deszcz nieco osłabł i przeszedł w drobniutką mżawkę. Zaparkowałam kilkadziesiąt metrów dalej i z pączkami oraz kawą w ręku zaczęłam się przeciskać przez tłum gapiów, wypatrując jakiejś znajomej twarzy.

Jedynym znajomym mi człowiekiem, jakiego zauważyłam, był Joe Morelli.

Przepchnęłam się więc do niego i otworzyłam pudełko. Wyjął

jednego pączka i wepchnął go sobie do ust.

- Nie jadłeś śniadania? - zagadnęłam.

- Wyciągnęli mnie z łóżka.

- Sądziłam, że pracujesz w służbie porządkowej.

- Owszem. Dochodzeniem kieruje Walt Becker, a on wiedział, że szukam Kenny'ego, pomyślał więc, że będę chciał się tu rozejrzeć.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

- Co tu się stało? - zapytałam.

W kantorku uwijał się policyjny fotograf. Dwaj sanitariusze czekali przy drzwiach, aż będą mogli zapakować zwłoki do czarnego worka i odjechać. Joe ciekawie zaglądał przez okno do środka.

- Patolog ocenił, że śmierć nastąpiła o szóstej trzydzieści. Właśnie o tej porze zabity miał otworzyć stację. Najwyraźniej ktoś podszedł i spokojnie go sprzątnął. Trzy strzały w twarz, z bliska. Nie ma żadnych śladów sprawcy. Nie ruszono pieniędzy z kasy. Jak dotąd nie ma świadków.

- Zabójstwo na zlecenie?

- Na to wygląda.

- Czy przebijali tutaj numery? Albo handlowali koką?

- Nic na ten temat nie wiadomo.

- Może to jakieś osobiste porachunki? Może przyprawiał komuś rogi? A może miał jakieś długi?

- Może.

- A może to Kenny wrócił, żeby go uciszyć?

Na twarzy Joego nie drgnął nawet jeden mięsień.

- Może.

- Uważasz, że Kenny byłby do tego zdolny?

Wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć, do czego Kenny jest zdolny.

- Sprawdziłeś rejestrację tego samochodu, który widzieliśmy wczoraj?

- Tak. Należy do mojego kuzyna, Leo.

Uniosłam brwi.

- Mam dużą rodzinę - wyjaśnił. - Nie ze wszystkimi utrzymuję bliskie stosunki.

- Porozmawiasz z nim?

- Jak tylko będę mógł się stąd wyrwać.

Pociągnęłam łyk kawy z piankowego kubka i pochwyciłam tęskne spojrzenie Morellego.

- Pewnie chciałbyś się napić gorącej kawy - rzekłam.

- Wiele bym za to dał.

- Poczęstuję cię, jeśli mnie weźmiesz na rozmowę z Leem.

- Zgoda.

Upiłam jeszcze jeden łyk i oddałam mu kubek.

- Byłeś dzisiaj u Julii?

- Przejechałem tylko przed jej domem. Światła były pogaszone.

Samochodu nie widziałem. Możemy z nią pogadać po rozmowie z Leem.

Fotograf już skończył, więc do działania przystąpili sanitariusze.

Wepchnęli ciało do worka i umieścili je na wózku. Z turkotem przepchnęli go przez próg kantorka i potoczyli do karetki, worek podskakiwał bezwładnie.

Poczułam skurcz w żołądku. Nie znałam zabitego, ale zrobiło mi się go żal.

Nieco dalej stało dwóch inspektorów z wydziału zabójstw, ubrani w długie płaszcze wyglądali jakby żywcem wyjęci z jakiegoś filmu kryminalnego. Pod spodem mieli garnitury i krawaty. Morelli miał na sobie marynarską koszulkę, dzinsy, tweedową marynarkę i sportowe buty. Na czole perliły mu się kropelki potu.

- W niczym nie przypominasz tamtych dwóch - powiedziałam. -

Gdzie twój garnitur?

- A widziałaś mnie kiedykolwiek w garniturze? Wyglądam jak wykidajło z kasyna. Dostałem specjalne polecenie, żeby nigdy nie wkładać garnituru. - Wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu i gestem dał znak jednemu z inspektorów, że odchodzi. Tamten w odpowiedzi skinął głową.

Morelli przyjechał służbowym wozem. Był to stary fairlane sedan z długą anteną nad bagażnikiem i laleczką zawieszoną na tylnej szybie.

Wyglądał jakby nie dał już rady podjechać pod większą górkę. Cały był pordzewiały, powgniatany i przeraźliwie brudny.

- Czy u was kiedykolwiek myje się samochody? - zapytałam.

- Nigdy. Aż strach pomyśleć, co kryje się pod tą warstwą zaskorupiałego błota.

- Widzę, że policja w Trenton stara się zapewnić funkcjonariuszom jak najwięcej wrażeń.

- A tak, nie można narzekać - odparł Joe. - Za łatwo by się nam pracowało, więc szefostwo robi wszystko, żeby urozmaicić nam życie.

Leo Morelli mieszkał z rodzicami w Miasteczku. Był w tym samym wieku co Kenny i razem ze swoim ojcem pracował w Turnpike Authority.

Kiedy zajechaliśmy przed dom, na podjeździe stał już radiowóz, a cała rodzina wianuszkami otoczyła umundurowanego policjanta.

- Ktoś ukradł mojemu synowi Leo samochód - oznajmiła pani Morelli. - Wyobrażacie sobie? Do czego ten świat zmierza? W Miasteczku nigdy się nie zdarzały takie rzeczy. A teraz - proszę.

Takie rzeczy się nie zdarzały w Miasteczku z tej prostej przyczyny, że było ono dzielnicą emerytowanych mafiosów. Wiele lat temu, kiedy w Trenton wybuchły zamieszki, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by posyłać tam radiowozy. Wszyscy starcy, od zwykłych mafijnych siepaczy po bossów, czuwali wówczas przy oknach z bronią maszynową przygotowaną do strzału.

- Kiedy zauważyłeś, że samochód zniknął? - zapytał Joe.

- Dziś rano - odrzekł Leo. - Jak wychodziłem do pracy.

- A kiedy ostatni raz go widziałeś?

- Wczoraj wieczorem, o szóstej, zaparkowanego po powrocie do domu.

- Kiedy ostatnio widziałeś się z Kennym?

Wszyscy zebrani otworzyli szeroko oczy ze zdziwienia.

- Z Kennym? - powtórzyła jak echo matka Lea. - A co on ma z tym wspólnego?

Joe kołysał się na piętach, z rękoma w kieszeniach spodni.

- Może to Kenny'emu potrzebny był samochód.

Nikt się nie odezwał.

- A zatem, kiedy ostatnio widziałeś Kenny'ego? - powtórzył Morelli.

- Na Boga, synu - wtrącił się ojciec Lea. - Tylko mi nie mów, że pożyczyłeś samochód temu kretynowi.

- Obiecał, że mi go zaraz zwróci - tłumaczył się Leo. - Skąd mogłem wiedzieć?

- Sieczka - oznajmił stanowczo ojciec. - Masz sieczkę zamiast mózgu.

Wyjaśniliśmy Leo, że pomógł ukrywającemu się przestępcy i że na pewno nie wzbudzi to zachwyty sędziego. Poinstruowaliśmy go również, że jeśli Kenny znowu się z nim skontaktuje, powinien natychmiast powiadomić o tym swego kuzyna Joego lub jego przyjaciółkę Stephanie Plum.

- Sądysz, że zadzwoni, jeśli dostanie wiadomość od Kenny'ego? -

zapytałam, gdy byliśmy już w samochodzie.

Joe zatrzymał się pod światłami.

- Nie. Podejrzewam, że prędzej rozwali mu łeb łyżką do opon.

- Krew Morellich?

- Coś w tym rodzaju.

- Męskie porachunki.

- Zgadza się, męskie porachunki.

- A jak już mu rozwali łeb? Czy wtedy do nas zadzwoni?

Morelli pokręcił głową.

- Mało jeszcze wiesz o życiu.

- Wystarczająco dużo.

Uśmiechnął się ironicznie.

- I co teraz? - zapytałam.

- Zostaje nam Julia Cenetta.

Julia pracowała w księgarni przy college'u stanowym w Trenton.

Najpierw sprawdziliśmy, czy nie ma jej w domu. Kiedy nikt nie odpowiedział na pukanie, ruszyliśmy do księgarni. Samochody posuwały się w żółtym tempie, wszyscy wokół rygorystycznie przestrzegali ograniczeń prędkości. Chyba nie ma lepszego sposobu na spowodowanie korka, niż poruszanie się nie oznakowanym wozem policyjnym.

Morelli wjechał przez główną bramę i skręcił w stronę parterowego ceglanego budynku księgarni. Minęliśmy sadzawkę, dużą kępę drzew i ogromny trawnik, odznaczający się piękną żywą zielenią. Deszcz znów przybrał na sile i padał z nużącą jednostajnością, zrobiła się pogoda pod psem. Studenci w płaszczach i dresach z naciągniętymi kapturami przemykali ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Joe spojrzął na parking przed księgarnią, wypełniony po brzegi, jeśli nie liczyć kilku wolnych miejsc na skraju. Bez wahania zatrzymał

samochód przy krawężniku, pod zakazem parkowania.

- Nadzwyczajne przywileje policyjne, co? - zapytałam.

- Żebyś wiedziała - odparł.

Julia pracowała w kasie, ale nie było żadnych klientów, więc oparta biodrem o szufladę kasy podziwiała swoje polakierowane paznokcie. Na nasz widok lekko zmarszczyła brwi.

- Mały ruch dzisiaj, co? - zagadnął Morelli.

Skinęła głową.

- To przez ten deszcz.

- Nie miałaś jakiegóż wiadomości od Kenny'ego?

Na policzki Julii wypłynął rumieniec.

- Jeśli mam być szczerą, to spotkałam się z nim wczoraj wieczorem.

Zadzwonił zaraz po tym, jak wyszliśmy, a później przyjechał.

Powiedziałam mu, że chcecie z nim pogadać. Dałam mu wasze wizytówki, numery pagerów i wszelkie namiary.

- Myślisz, że wróci dziś wieczorem?

- Nie. - Energicznie pokręciła głową. - Powiedział, że przez pewien czas się nie pokaże. Mówił, że musi działać bardzo ostrożnie, bo ktoś depta mu po piętach.

- Policja?

- Chyba chodziło mu o kogoś innego, ale nie jestem pewna.

Joe dał jej kolejną wizytówkę i polecił dzwonić do siebie, jak tylko Kenny się odezwie, bez względu na porę dnia czy nocy.

Julia popatrzyła na nią sceptycznie. Było jasne, że nie powinniśmy liczyć na jej pomoc.

Wyszliśmy na deszcz i szybko wskoczyliśmy z powrotem do samochodu. Jedynym służbowym wyposażeniem fairlane'a była stara zdezelowana krótkofalówka, ustawiona na kanał taktyczny policji. Co chwila ciszę przerywał głos dyspozytora z centrali, przebijający się przez serię trzasków. Miałam podobne radio w jeepie i ze wszystkich sił

próbowałam rozszyfrować policyjne komunikaty. Wiedziałam, że podobnie jak inni gliniarze, Morelli podświadomie odbiera faktyczną treść tych przekazów.

Kiedy wyjechaliśmy z kampusu, zadałam nieuchronne pytanie:

-1 co teraz?

- To ty podobno masz kobiecą intuicję. Sama decyduj.

- Moja intuicja wzięła sobie dzisiaj wolne.

- W porządku, podsumujmy zatem nasze dokonania. Co wiemy o Kennym?

Sądząc po tym, co zaobserwowaliśmy wczoraj wieczorem, cierpiał

prawdopodobnie na przedwczesny wytrysk, ale chyba nie o to Morellemu chodziło.

- Pochodzi z Trenton, zrobił maturę, służył w wojsku, wyszedł cztery miesiące temu. Nadal jest bez pracy, ale najwyraźniej nie cierpi na brak pieniędzy. Z nieznanых powodów postrzelił w kolano swego kumpla, Moogeya Buesa. Został schwytany na gorącym uczynku przez policjanta wracającego ze służby. To jego pierwsze wykroczenie, zatem zwolniono go za kaucją. Naruszył warunki umowy poręczycielskiej i ukradł samochód.

- Nieprawda. Pożyczył samochód. Tyle tylko, że nie zdążył go jeszcze zwrocie.

- Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

Morel li zatrzymał wóz przed skrzyżowaniem

- Może zdarzyło się coś, co pokrzyżowało jego plany.

- Na przykład sprzątnięcie Moogeya.
- Julia powiedziała, że Kenny musi unikać kogoś, kto depta mu po piętach.
- Ojca Lea?
- Żarty sobie stroisz z poważnej sprawy - obruszył się Joe.
- Nie, traktuję ją zupełnie poważnie, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy, a ty się raczej nie kwapisz, żeby wyjawić mi swój punkt widzenia. Kto, według ciebie, tropi Mancusa?
- Kiedy Kenny i Moogey zeznawali w sprawie postrzelenia, obaj potwierdzili, że chodziło o porachunki osobiste, nad którymi nie zamierzają się rozwodzić. Być może prowadzili wspólnie jakieś interesy.
- I co?
- I to wszystko. Tak mi się wydaje.

Patrzyłam na niego przez chwilę, próbując odgadnąć, czy przypadkiem czegoś przede mną nie ukrywa. Pewnie tak było, ale nie mogłam tego jednoznacznie stwierdzić.

- W porządku - westchnęłam w końcu. - Mam listę znajomych Kenny'ego. Zamierzam ich sprawdzić.
- Skąd masz tę listę?
- Tajemnica zawodowa.

Spojrzał na mnie zbolalym wzrokiem.,

- Włamałaś się do jego mieszkania i rąbnęłaś mu notes z adresami.
- Nie ukradłam, tylko skopiowałam.
- Nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat.- Zerknął na moją torebkę. Nie nosisz przy sobie broni, prawda?
- Nieprawda.
- Cholera - syknął. - Chyba mi odbiło, że się zgodziłem na współpracę z tobą.
- To był twój pomysł!
- Chcesz, żebym ci pomógł przy sprawdzaniu tej listy?
- Nie.

Doszłam do wniosku, że powierzenie mu listy byłoby podobne do oddania losu na loterię sąsiadowi,

który potem spokojnie wygra nagrodę główną.

Morelli zaparkował tuż za moim jeepem.

- Zanim wysiądziesz, muszą ci jeszcze coś powiedzieć.

- Tak?

- Te buty, które masz na nogach, są wstrętne.

- Coś jeszcze?

- Przykro mi z tego powodu, że wczoraj wgięłaś błotnik.

No tak, rychło w czas.

O piątej po południu byłam przemoczona i zziębnięta, ale dobrnęłam do końca listy. Część osób udało mi się złapać telefonicznie, z innymi spotkałam się osobiście, ale wszystkie te rozmowy niewiele mi dały. Większość znajomych Kenny'ego pochodziła z Miasteczka i znała go od dziecka. Nikt nie przyznał się do kontaktów z nim po aresztowaniu, a ja nie miałam podstaw do przypuszczeń, że ci ludzie kłamią. Nikt nie słyszał ani o jakichkolwiek wspólnych interesach, ani o konflikcie między Kennym i Moogeyem. Kilka osób zwróciło uwagę na kapryśny charakter Kenny'ego i jego mentalność krętacza. Były to ciekawe, ale zbyt ogólnikowe opinie. Czasami podczas rozmów zapadały długie chwile niezręcznej ciszy, które nasuwały podejrzenia, że pewne fakty otaczano milczeniem.

Aby dobrze zakończyć dzień, postanowiłam jeszcze raz sprawdzić mieszkanie Kenny'ego. Dozorca wpuścił mnie dwa dni wcześniej, widocznie przejęty możliwością współdziałania z łowcą nagród.

Niepostrzeżenie zabrałam wówczas z kuchni zapasowy klucz i teraz mogłam na paluszkach myszkować po mieszkaniu Kenny'ego, kiedy tylko przychodziła mi na to ochota. Od strony prawnej nie wyglądało to najlepiej, ale kłopoty miałabym dopiero wtedy, gdyby mnie przyłapano.

Kenny mieszkał tuż przy autostradzie numer 1, w wielkim kompleksie bloków, o szumnej nazwie „Dębowe Wzgórze”. W zasięgu wzroku nie było ani wzgórz, ani dębów, mogłam zatem jedynie przypuszczać, że i jedno, i drugie zrównano z ziemią, by zrobić miejsce dla trzypiętrowych bunkrów z cegły, w których mieszkania reklamowano jako niedrogie, a zarazem luksusowe apartamenty.

Zaparkowałam na asfaltowym placu i mrużąc oczy spoglądałam przez ciemność i deszcz w stronę oświetlonego wejścia na klatkę schodową. Odczekałam chwilę, aż jakaś para przebiegnie z samochodu do drzwi, po czym przełożyłam z torebki do kieszeni kurtki klucze od mieszkania Kenny'ego oraz spray z gazem obездwładniającym.

Naciągnęłam kaptur na wilgotne włosy i wyskoczyłam z jeepa. W ciągu dnia temperatura dość znacznie spadła i przez mokre dżinsy zaczął

przenikać chłód. Złota jesień definitywnie dobiegła końca.

Przeszłam przez hol ze wzrokiem wbitym w posadzkę i twarzą ukrytą pod kapturem. Na szczęście winda stała na dole. Wjechałam na drugie piętro i popędziłam korytarzem pod drzwi oznaczone numerem 302. Nasłuchiwałam przez chwilę, ale wewnątrz panowała cisza.

Zapukałam. Nikt nie odpowiedział. Przekręciłam klucz w zamku i z bijącym sercem szybko weszłam do środka. Od razu zapaliłam wszystkie światła. W mieszkaniu najwyraźniej nikogo nie było. Przeszukiwałam metodycznie pomieszczenie za pomieszczeniem, by w końcu stwierdzić, że od czasu mojej ostatniej wizyty Kenny w ogóle tu nie zaglądał.

Sprawdziłam automatyczną sekretarkę. Nie było nagranych żadnych wiadomości.

Przed wyjściem przyłożyłam ucho do drzwi. Na zewnątrz było cicho.

Wyłączyłam światła, wzięłam głęboki oddech i wypadłam na korytarz.

Odetchnęłam z ulgą, że mam to już za sobą i nikt mnie nie widział.

W holu skierowałam się od razu w stronę skrzynek pocztowych i sprawdziłam przegródkę Kenny'ego. Była zapchana różnymi przesyłkami.

Przyszło mi do głowy, że jest wśród nich coś, co mnie naprowadzi na jego ślad? Kłopot polegał na tym, że otwieranie cudzej poczty to już przestępstwo federalne. A kradzież listów należy do szczególnie obrzydliwych. Tego robić nie wolno, powtarzałam sobie. Tajemnica korespondencji to rzecz święta. Ale zaraz, ja przecież mam klucz! Czy to nie daje mi pewnych praw? Ta sprawa jednak wyglądała również niezbyt jasno, ponieważ klucz w zasadzie ukradłam. Przycisnęłam nos do kratki i zajrzałam do środka. Na wierzchu leżał rachunek za telefon. Mógł

zawierać cenne wskazówki. Aż mnie ręce świerzbiały, żeby go wyciągnąć ze skrzynki. Niemalże kręciło mi się w głowie. Raz kozie śmierć, pomyślałam.

Wzięłam głęboki oddech, wsunęłam klucz do zamka, otworzyłam skrzynkę i przełożyłam korespondencję Kenny'ego do swojej torby.

Zatrzasnęłam drzwiczki i złana potem wyszłam z budynku. Starłam się jak najszybciej znaleźć w bezpiecznym wnętrzu auta, zanim powróci mój zdrowy rozsądek.

Rozdział 2

Wskoczyłam za kierownicę, zablokowałam drzwi i podejrzliwie rozejrzałam się dookoła, aby upewnić się, że nikt nie zauważył, jak łamię prawo federalne. Przyciskałam torebkę do piersi, a przed oczyma skakały mi czarne plątki. Zgoda, być może nie należę do najtwardszych i najbardziej nieustraszonych łowców nagród na świecie. Ale jakie to ma znaczenie, skoro już wkrótce dopadnę swojego ściganego?

Włożyłam kluczyk do stacyjki, uruchomiłam silnik i ruszyłam z parkingu. Wsunęłam do odtwarzacza kasetę Aerosmith i wjechawszy na autostradę przekręciłam do oporu potencjometr głośności. Było ciemno i padał deszcz, w związku z czym widoczność była bardzo kiepska, ale co mi tam, tu, w

stanie Jersey, nie ma zwyczaju zwalniać nawet na chwilę.

Tuż przed moimi oczyma rozjarzyły się nagle czerwone światła stopu. Z

całej siły wcisnęłam pedał hamulca. Po chwili światło zmieniło się na zielone i wszyscy kierowcy wdusili gaz do dechy. Przekroczyłam dwa pasy ruchu, by przygotować się do zjazdu. Omal przy tym nie wpadłam na jakiś samochód. Kierowca nacisnął klakson i wymownym gestem dał do zrozumienia, co o mnie myśli.

Zrewanżowałam mu się tym samym i dorzuciłam parę przykrych słów pod adresem jego matki. Takie sytuacje zobowiązują obywatela Trenton do odpowiednich reakcji.

Samochody ciągnęły ulicami miasta jak żółwie. Z ulgą spostrzegłam, że przejeżdżam przez tory kolejowe i zbliżam się do Miasteczka. Wjechałam w aleję Hamiltona i od razu poczułam nadciągającą nad moją głowę gradową chmurę rodzinnych wyrzutów.

Kiedy parkowałam przed domem, matka już wyglądała przez drzwi.

- Spóźniłaś się - oznajmiła.

- Tylko dwie minuty!

- Słyszałam syreny. Nie miałaś chyba wypadku?

- Nie, skądże. Po prostu pracowałam.

- Powinnaś znaleźć sobie jakąś porządną robotę. Coś na stałe, z normalnymi godzinami pracy. Twoja kuzynka Marjorie dostała posadę sekretarki w J & J i słyszałam, że całkiem nieźle zarabia.

Babcia Mazurowa stała w korytarzu. Od kiedy dziadek Mazur zaczął

jadać swoją tradycyjną jajecznicę na bekonie w niebiosach, babcia zamieszkała z nami.

- Pospieszmy się z tą kolacją, jeśli chcemy zdążyć na ceremonię wystawienia ciała - ponaglała mnie babcia. - Wiesz przecież, że lubię zjawiać się trochę wcześniej, żeby zdążyć zaklepać sobie dobre miejsce.

Dzisiaj mają tam być Rycerze Kolumba. Zapowiada się niezły tłok. I co sądzisz o tej kiece? - zapytała wygładzając przód sukienki. - Nie za bardzo krzykliwa?

Babcia Mazurowa miała siedemdziesiąt dwa lata, ale bywały dni, kiedy wyglądała na dziewięćdziesiątkę. Bardzo ją kochałam, lecz pozostawiona sama sobie ubierała się jak papuga. Na dzisiejszy wieczór wybrała sukienkę do kolan w kolorze strażackiej czerwieni, ozdobioną błyszczącymi złotymi guzikami.

- Doskonała - zapewniłam ją. Zwłaszcza do domu pogrzebowego.

Matka postawiła na stole puree ziemniaczane.

- Siadajcie do obiadu - wołała - bo ziemniaki wystygną!

- Co dzisiaj robiłaś? - zainteresowała się babcia. - Przywoływałaś kogoś do porządku?

- Przez cały dzień szukałam Kenny'ego Mancuso, ale nie miałam szczęścia.

- Kenny Mancuso to łobuz - stwierdziła matka. - Wszyscy mężczyźni z rodu Morellich i Mancusów są funta kłaków warci. Żadnemu z nich nie można ufać.

Popatrzyłam na matkę.

- Może doszły do twoich uszu jakieś plotki na temat Kenny'ego?

- Owszem, że Kenny to łobuz - odparła matka. - Czy to nie wystarczy?

W Miasteczku zdarzało się ludziom urodzić z piętnem łobuza.

Kobietom Morellich i Mancusów nie można było niczego zarzucić, ale mężczyźni z tych rodzin to same warchoły. Piją, przeklinają, biją dzieci i zdradzają żony i przyjaciółki.

- Na uroczystości wystawienia zwłok będzie Sergie Morelli -

odezwwała się babcia. - Ma przybyć z drużyną Rycerzy Kolumba.

Mogłabym go trochę podpytać. Zawsze miał do mnie słabość. Zresztą sama się rozejrzę.

Sergie Morelli miał osiemdziesiąt jeden lat. Z jego wielkich uszu wystawały kępki siwych włosów. Wątpiłam, by Sergie znał miejsce pobytu Kenny'ego, ale nawet pozornie bezużyteczne informacje też się czasami przydają.

- A może wybrać się z tobą, babciu? - zaproponowałam - Obie mogłybyśmy go wtedy zręcznie podpytać.

- Zgoda, ale ubierz się trochę inaczej niż ja.

Ojciec mrugnął do mnie i zajął się swoim kurczakiem.

- Myślisz, że powinnam wziąć broń? - zapytała babcia Mazurowa. -

Tak na wszelki wypadek.

- Jezu - jęknął ojciec.

Na deser matka podała nam ciepłą domową szarlotkę. Pachniała jabłkami i cynamonem. Ciasto było kruche, polane lukrem i rozpływało się w ustach. Zjadłam dwa kawałki - istne niebo w gębie.

- Powinnaś otworzyć cukiernię - poradziłam matce. - Mogłabyś zbić majątek na wypieku i sprzedaży ciast.

Matka, zajęta sprzątaniem talerzyków deserowych i rodowych sreber, była jednak innego zdania.

- I tak mam dość roboty w domu i przy ojcu. Poza tym jeśli już miałabym pracować, to tylko jako pielęgniarka. Zawsze uważałam, że byłabym doskonała w tym zawodzie.

Wszyscy popatrzyliśmy na nią zaskoczeni. Nigdy nie wspominała nam o tego typu aspiracjach. Bogiem a prawdą nigdy z jej strony nie było mowy o jakichkolwiek planach dotyczących przyszłości, chyba że chodziło o sprawienie nowej pościeli lub zasłon.

- Może powinnaś pomyśleć o doksztalcaniu się - poradziłam jej. - W

college'u jest specjalny kurs dla pielęgniarek.

- Ja tam za nic nie chciałabym być pielęgniarką - wtrąciła babcia Mazurowa. - Boże, chodzić w tych obrzydliwych białych butach na gumowych podszewkach i przez cały dzień nic tylko opróżniać baseny.

Jeślibym już miała pracować, to tylko jako gwiazda filmowa.

W Miasteczku jest pięć domów pogrzebowych. Danny Gunzer, zmarły szwagier Betty Szajack, leżał w „Salonie Pogrzebowym Stivy”.

- Przysięgnij mi, że kiedy umrę, zawieziecie mnie do Stivy -

domagała się w czasie drogi babcia Mazurowa. - Nie chcę, żeby do grobu przygotowywało mnie to beztalencie Mosel. On się w ogóle nie zna na makijażu. Używa za dużo różu. U niego żaden zmarły nie wygląda naturalnie. No i nie chcę, żeby Sokolowsky oglądał mnie nago. Słyszałam sporo dziwnych historii o tym Sokolowskim. Stiva jest najlepszy. Do niego trafiają wszyscy szanujący się obywatele.

Dom pogrzebowy Stivy stał przy alei Hamiltona, niedaleko szpitala św. Franciszka. Mieścił się w ogromnym wiktoriańskim budynku, który przeszedł gruntowną przebudowę i został powiększony o werandę. Na tle białych ścian domu rysowały się czernią okiennice. W trosce o starsze osoby Stiva położył na zewnątrz zieloną wykładzinę, która biegła od frontowych drzwi poprzez schody aż do chodnika. Podjazd dochodził na tyły budynku, gdzie mieścił się garaż na cztery wozy wiadomego przeznaczenia. Po stronie przeciwnej do podjazdu postawiono niewielką dobudówkę z cegły. Mieściły się w niej dwie dodatkowe sale. Nigdy jeszcze nie zwiedzałam domu pogrzebowego Stivy, ale słyszałam, że wewnątrz istnieje też pomieszczenie do balsamowania zwłok.

Zaparkowałam na ulicy i obiegłam jeepa, by pomóc wysiąść babci Mazurowej. Starsza pani doszła bowiem do wniosku, że w zwykłych tenisówkach nic nie wskóra u Sergiego Morellego, paradowała więc w czarnych skórzanych szpilkach, jakie jej zdaniem noszą wszystkie „laski”.

Chwyciłam ją mocno za łokieć i wprowadziłam po schodach do głównego holu, gdzie zbierali się

właśnie Rycerze Kolumba w zabawnych kapeluszach i szarfach. Mówiono ściszymi głosami, a odgłosy kroków tłumiła wykładzina. W powietrzu unosił się zapach ciętych kwiatów, przemieszany z wonią mięty płynącą z oddechów. Mimo to wyczuwało się że Rycerze Kolumba zdążyli już wypić morze whisky Seagram.

Constantine Stiva założył swoją firmę przed trzydziestu laty i od tego czasu codziennie osobiście dotrzymywał towarzystwa rodzinom i bliskim zmarłych. Stiva był żałobnikiem doskonałym, o twarzy nieporuszonej niczym Sfinks. Wysokie blade czoło miało w sobie coś kojącego. Poruszał się cicho i niepostrzeżenie. Constantine Stiva...

pracujący z dala od ludzkich oczu balsamista.

Ostatnio coraz częściej u boku Constantine'a zaczął pojawiać się jego pasierb Spiro. Wieczorami towarzyszył mu przy wystawianiu zwłok, a rankiem przy pochówkach. O ile jednak Constantine Stiva cały oddawał

się na usługi śmierci, dla Spira niezgłębiona tajemnica była raczej widowiskiem. Uśmiechał się wprawdzie współczująco, ale tylko ustami, oczy nie brały w tym udziału. Gdybym miała zgadywać, co najbardziej pociągało go w tym zawodzie, powiedziałabym pewnie, że chemia.

Młodsza siostra Mary Lou Molnar chodziła ze Spirem do podstawówki i opowiadała w domu, że kiedy Stiva junior obcinał sobie paznokcie, to ich ścinki zbierał do szklanego słoiczka.

Spiro był niewielkiego wzrostu, ciemny i miał owłosione palce. W

jego twarzy dominował nos i pochyle czoło. Prawda jest taka, że wyglądem przypominał szczura nafaszerowanego sterydami. Jak można się domyślić, plotki o zbieraniu obciętych paznokci nie poprawiały jego wizerunku w moich oczach.

Przyjaźnił się z Moogeyem Buesem, ale nie wydawał się specjalnie poruszony jego zabójstwem. Rozmawiałam z nim krótko, kiedy sprawdzałam osoby wymienione w kalendarzyku Kenny'ego. Spiro odpowiadał uprzejmie, ale z rezerwą. Owszem, w liceum był blisko z Kennym i Moogeyem. Tak, przyjaźnili się także potem. Zupełnie jednak nie miał pojęcia, jaka mogła być przyczyna zamachu na Moogeya. Nie, nie widział się z Kennym od czasu jego aresztowania i nie orientuje się, gdzie poszukiwany mógłby się schronić.

W holu nigdzie nie widać było Constantine'a, a ruchem kierował

Spiro, ubrany w tradycyjny ciemny garnitur i świeżą białą koszulę.

Babcia zmierzyła go takim wzrokiem, jakim spogląda się na tanią imitację dobrej biżuterii.

- Gdzie Con? - zapytała.

- W szpitalu. Przepuklina. Położyli go w zeszłym tygodniu.

- Nie! - Babcia Mazurowa gwałtownie zaczerpnęła powietrza. - A kto się zajmuje firmą?

- Ja. Zresztą i tak sam prowadziłem większość spraw. No i mam do pomocy Louiego.

- A cóż to za Louie?

- Louie Moon - wyjaśnił Spiro. - Pewnie go pani nie zna, bo pracuje głównie przed południem, czasami prowadzi samochody. Jest u nas od mniej więcej sześciu miesięcy.

Do budynku weszła młoda kobieta i przystanąła w holu. Obrzuciła wzrokiem pomieszczenie i rozpięła płaszcz. Napotkała spojrzenie Spira, a ten skinął głową w oficjalnym geście powitania. Kobieta odpowiedziała tym samym.

- Zdaje się, że ona na ciebie leci - zauważyła babcia.

Spiro uśmiechnął się, odsłaniając wystające kły i siekacze tak krzywe, że niejednemu ortodontcie śniłyby się po nocach.

- Wiele kobiet się mną interesuje. Jestem dobrą partią. - Rozłożył

ramiona. - W końcu kiedyś to wszystko będzie moje.

- Nigdy jakoś nie myślałam o tobie w tych kategoriach - stwierdziła babcia. - Nie wątpię, że byłbyś w stanie zapewnić kobiecie utrzymanie na odpowiednim poziomie.

- Zaczynam przemyśliwać nad rozwojem firmy - oznajmił Spiro. -

Być może zacznę sprzedawać licencje.

- Słyszałaś? - zwróciła się babcia do mnie - Jak to miło poznać młodego człowieka z ambicjami.

Poczułam, że jeszcze chwila takiego kadzenia, a zwymiotuję prosto na garnitur Spira.

- Przyszliśmy tu do Danny'ego Gunzera - powiedziała młodemu ambitnemu przedsiębiorcy. - Miło się z tobą gwarzy, ale musimy pędzić, bo za chwilę Rycerze Kolumba zajmą wszystkie dobre miejsca.

- Rozumiem. Pan Gunzer spoczywa w sali zielonej.

Zielona sala uchodziła za najbardziej prestiżowe pomieszczenie.

Mogłaby rzeczywiście być najlepsza, gdyby Stiva nie pomalował jej na jadowicie zielony kolor i nie zamontował takiej mnogości lamp, że można by nimi oświetlić stadion piłkarski.

- Nie znoszę zielonej sali - powiedziała babcia Mazurowa drepcząc za mną. - W tym oświetleniu widać każdą, nawet najmniejszą zmarszczkę.

Tak to już jest, jak instalacją elektryczną zajmuje się Walter Dumbowski.

Ci Dumbowscy są zupełnie do niczego. Zapamiętaj sobie, że gdyby Stiva próbował mnie kiedyś położyć w zielonej sali, masz się na to nie zgodzić.

Równie dobrze mogliby mnie położyć na chodniku razem ze śmieciami.

Szanujący się ludzie powinni leżeć w którejś z tych nowych sal od tyłu, gdzie położono boazerię. Każdy głupi o tym wie.

Betty Szajack stała wraz z siostrą przy otwartej trumnie. Pani Goodman, Pani Gennaro, stara pani Clak i jej córka zajęły już miejsca.

Babcia Mazurowa rzuciła się naprzód i położyła torebkę na składanym krześle w drugim rzędzie. Zająwszy sobie miejsce podreptała do Betty Szajack i złożyła jej wyrazy współczucia, natomiast ja wycofałam się na koniec sali. Dowiedziałam się przy okazji, że Gail Lazar jest w ciąży, że sanepid zrobił kontrolę w sklepie Barkolowskiego, a Biggy Zaremba został aresztowany za ekshibicjonizm. Nie dowiedziałam się za to niczego na temat Kenny'ego Mancuso.

Lawirowałam wśród zebranych pocąc się pod flanelową koszulą i golfem. Męczyły mnie też koszmarne wizje kłębow pary unoszących się z moich mokrych od potu włosów. Kiedy dotarłam do babci Mazurowej, dyszałam jak pies.

- Spójrz na ten krawat - powiedziała babcia stojąc u wezgłowia trumny z oczyma wlepionymi w Gunzera. - Cały jest w końskie główki. To ci dopiero szpan. Zastanawiam się, czy nie wolałabym być mężczyzną, mogliby mnie wtedy położyć w takim krawacie.

Przy wejściu do sali zaczął się ruch i ustały wszelkie rozmowy.

Pojawili się Rycerze Kolumba. Maszerowali dwójkami, a babcia Mazurowa stanąwszy na palcach kręciła się na swych czarnych szpilkach, starając się zobaczyć możliwie jak najwięcej. Nagle zaczęła obcasem o wykładzinę i - sztywna niczym deska - poleciała do tyłu.

Nim zdążyłam ją złapać, uderzyła w trumnę machając rozpaczliwie rękoma. W ostatniej chwili znalazła oparcie w drucianym kwietniku, na którym stał wazon z mlecznego szkła pełen gladioli. Stojak wytrzymał, ale wazon się przewrócił i wyrzwał leżącego w otwartej trumnie Danny'ego Gunzera prosto w czoło. Woda wlała się nieboszczykowi do uszu i skapywała mu z podbródka, a gladiole ułożyły się na jego czarnej marynarce w zwariowaną kolorową mozaikę. Wszyscy patrzyliśmy w niemym przerażeniu na tę scenę, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, jakby w obawie, że Gunzer zaraz się zerwie jak oparzony i zacznie krzyczeć. Ale Gunzer w dalszym ciągu leżał bez ruchu.

Babcia Mazurowa jako jedyna zachowała olimpijski spokój.

Podniosła się i poprawiła sukienkę.

- Lepiej, że nie żyje - skonstatowała. - Dzięki temu nic mu się nie stało.

- Co?! Nic się nie stało? Nic się nie stało?!- krzyczała wniebogłosy rozwścieczona wdowa po

Gunzerze. - Popatrz tylko na jego krawat!

Zupełnie zniszczony! A ja specjalnie zań dopłaciłam.

Wydukałam jakieś przeprosiny do pani Gunzer i zaproponowałam odszkodowanie za krawat, ale wdowa wpadła w szal i nic do niej nie docierało.

Wygrazając pięścią babci Mazurowej, krzyczała na cały głos:

- Powinni cię zamknąć! Ciebie i tę twoją postrzeloną wnuczkę.

Łowczyni nagród! Do czego to podobne?!

- Słucham? - odezwałam się świdrując ją zwężonymi oczyma, z dłońmi opartymi na biodrach.

Pani Gunzer cofnęła się o krok (pewnie bała się, że ją zastrzele), a ja wykorzystałam tę lukę, aby się wycofać. Chwyciłam babcię Mazurową za łokieć, zebrałam jej rzeczy i popchnęłam ją w stronę drzwi, w pośpiechu omal nie przewracając Spira.

- To był wypadek - wyjaśniła mu babcia. - Zaczepiłam obcasem o wykładzinę. Każdemu się to mogło przytrafić.

- Oczywiście - odrzekł Spiro. - Jestem pewien, że pani Gunzer to zrozumie.

- Niczego nie zrozumiem! - darła się wdowa. - Ona jest zagrożeniem dla normalnych ludzi!

Spiro wyprowadził nas do holu.

- Mam nadzieję, że ten wypadek nie odstraszy pań od wizyt u nas -

powiedział. - Zawsze chętnie witamy w naszych skromnych progach uroczę kobiety. - Pochylił się do mnie i konspiracyjnie szepnął mi do ucha: - Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności o pewnej sprawie, którą mam do załatwienia.

- A co to za sprawa?

- Trzeba coś odnaleźć, a ty podobno jesteś w tym dobra. Popytałem o ciebie tu i ówdzie po twojej wizycie u mnie w związku z Kennym.

- Kłopot w tym, że mam teraz huk roboty. No i nie jestem prywatnym detektywem. Nie mam koncesji.

- Tysiąc dolarów - odrzekł Spiro. - Tyle jestem skłonny zapłacić za odnalezienie tego, co mi zginęło.

Na krótką chwilę czas stanął w miejscu, a ja w myślach już wydawałam jak szalona te tysiąc dolarów na swoje rozliczne potrzeby.

- Gdybyśmy oczywiście nie nadawali temu rozgłosu, to nie widzę nic złego w tym, żeby pomóc

znajomemu - powiedziałam ściszym głosem. -

A czego szukamy?

- Trumien - szepnął Spiro. - Dwudziestu czterech trumien.

Kiedy wróciłam do domu, Morelli czekał na mnie pod drzwiami.

Stał na skrzyżowanych nogach oparty o ścianę, z rękoma w kieszeniach. Z zainteresowaniem podniósł głowę, kiedy wysiadłam z windy i uśmiechnął się ujrawszy papierową torbę po zakupach, którą niosłam pod pachą.

- Niech zgadnę - odezwał się. - Resztki z domowego obiadku?

- No tak, teraz wiem, dlaczego zostałeś detektywem.

- Nie takie rzeczy potrafię. - Pociągnął nosem. - Kurczak.

- Jeszcze trochę, a przyjmą cię do FBI.

Wziął ode mnie torbę, a ja otworzyłam drzwi.

- Miałaś ciężki dzień?

- Ciężki to on mi się wydawał do piątej. Potem było jeszcze gorzej.

Jeśli zaraz nie wyskoczę z tych ciuchów, to się żywcem ugotuję.

Morelli wszedł do kuchni i wyjął z torby kawałek kurczaka owiniętego w folię, pojemnik z nadzieniem, pojemnik z sosem i z ziemniakami. Sos i ziemniaki wstawił do mikrofalówki i nastawił ją na trzy minuty.

- Jak ci poszło sprawdzanie znajomych Kenny'ego? Dowiedziałaś się czegoś nowego?

Podaliśmy mu talerz i sztucce, po czym wyjęłam piwo z lodówki.

- Jedno wielkie g... Nikt go nie widział.

- Masz może jakiś pomysł, od czego moglibyśmy zacząć?

- Nie. - Ależ tak! Poczta! Zapomniałam o listach w torebce. Wyjęłam je i rozłożyłam na kuchennym stole: rachunek za telefon, rozliczenie Master-Carda, jakieś reklamówki i pocztówka z przypomnieniem, że Kenny powinien się zgłosić do dentysty na przegląd.

Morelli zerknął tylko na to, zajęty polewaniem ziemniaków i zimnego kurczaka sosem.

- To twoja poczta?

- Nawet nie pytaj.

- O cholera! - zaklął Morelli. - Czy dla ciebie nie ma nic świętego?

- Owszem, szarlotka mamy. I jak radzisz, co teraz powinnam zrobić? Otworzyć koperty nad parą czy jak?

Morelli zrzucił listy na podłogę i zaczął je deptać butem. Kiedy skończył, podniosłam je i obejrzałam. Były podarte i brudne.

- Przyszły zniszczone - wyjaśnił Morelli. - Najpierw mi pokaż rachunek za telefon.

Zaczęłam przeglądać tę kartkę i ze zdziwieniem znalazłam na niej cztery rozmowy międzynarodowe.

- I cóż ty na to? - zapytałam Morellego. - Wiesz może co to za numery kierunkowe?

- Dwa pierwsze to Meksyk.

Odstawił talerz na blat kuchenny, wysunął antenę mojego telefonu komórkowego i wystukał numer.

- Cześć Murphy - powiedział do mikrofonu. - Sprawdzisz dla mnie kilka numerów?

Odczytał cyfry i czekając na odpowiedź jadł kurczaka. Po kilku minutach Murphy w końcu się odezwał, a Morelli wysłuchał jego informacji. Kiedy się rozłączył, miał absolutnie nieprzenikniony wyraz twarzy. Standardowa mina gliniarza.

- Pozostałe dwa numery są z Salwadoru. Murphy nie zdołał się dowiedzieć niczego bliższego.

Podkradłam mu kawałek kurczaka z talerza i wbiłam weń zęby.

- Po co Kenny miałby dzwonić do Meksyku i Salwadoru?

- Może wybiera się tam na wakacje?

Nie ufałam Morellemu, kiedy robił się taki nieprzenikniony.

Zazwyczaj mogłam z jego twarzy wyczytać nastrój i targające nim emocje.

Otworzył kopertę z rozliczeniem MasterCarda.

- Kenny nieźle się musiał nauwijać. W zeszłym miesiącu zrobił

zakupy za prawie dwa tysiące dolarów.

- Czy kupował jakieś bilety lotnicze?

- Nie, skądże - Morelli podał mi rozliczenie. - Zresztą sama zobacz.

- Cóż to, głównie ubrania? I wszystko w okolicznych sklepach. -

Odłożyłam rachunek na stół. - Co do tych numerów...

Morelli wsadził głowę do papierowej torby.

- Czy mnie wzrok nie myli? To szarlotka?

- Spróbuj jej tylko tknąć, a zginiesz marnie.

Morelli wziął mnie pod brodę.

- Uwielbiam, kiedy tak do mnie mówisz. Chciałbym jeszcze zostać i tego posłuchać, ale muszę już pędzić.

Wyszedł z kuchni i przemknął przez korytarz do windy. Kiedy zamknęły się za nim drzwi uświadomiłam sobie, że wziął ze sobą rachunek telefoniczny Kenny'ego. Uderzyłam się dłonią w czoło.

- O żesz ty!

Wróciłam do mieszkania, zamknęłam drzwi i w drodze do łazienki zrzucałam po kolei ubrania, by wreszcie wejść pod gorący prysznic.

Wyszedłszy spod prysznica założyłam flanelową nocną koszulę. Wytarłam ręcznikiem włosy i boso podreptałam do kuchni.

Zjadłam dwa kawałki szarlotki, parę razy ugryzłam jakieś stare jabłko i sypnęłam trochę trocin Rexowi. Kładąc się do łóżka cały czas myślałam o trumnach Spira. Nie powiedział mi nic więcej. Tylko tyle, że trumny zniknęły i trzeba je odnaleźć. Nie bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, jak można zgubić dwadzieścia cztery trumny, ale chyba wszystko na tym świecie jest możliwe. Obiecałam, że przyjadę do niego bez babci Mazurowej i wtedy omówimy szczegóły.

Zwlokłam się z łóżka o siódmej i wyrzłam przez okno. Deszcz przestał już padać, ale niebo nadal było zaciągnięte i tak ciemne, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. Ubrałam się w szorty, koszulkę i zasznurowałam na nogach sportowe buty. Robiłam to z takim zapałem, jakbym szykowałam się na ścieżkę. Przynajmniej trzy razy w tygodniu próbowałam biegać. Nigdy zresztą nawet nie zakładałam, że mogłoby mi to sprawiać przyjemność. Biegałam, żeby spalić wypitą od czasu do czasu butelkę piwa, a także po to, by być szybsza od chwytyanych rzezimieszków.

Przebiegłam pięć kilometrów, wtoczyłam się do kamienicy, ale do mieszkania wróciłam już windą. Nie ma sensu przetrenowywać się.

Włączyłam ekspres do kawy i na chwilę wskoczyłam pod prysznic.

Założyłam dżinsy i dżinsową koszulę. Wypiłam kubek kawy i umówiłam się z „Leśnikiem” na śniadanie za pół godziny. Można było powiedzieć, że miałam dostęp do podziemia w Miasteczku. Ale „Leśnik” miał kontakty z podziemiem podziemia. Znał handlarzy narkotyków, alfonsów i rewolwerowców. Cała ta sprawa z Kennym Mancuso zaczynała mi coraz bardziej śmierdzieć, a ja chciałam wiedzieć dlaczego. Nie chodziło w zasadzie o moją pracę, bo miałam dość jasne zadanie: znaleźć i sprowadzić Kenny’ego. Chodziło o Morellego. Nie ufałam mu i nie mogłam znieść myśli, że on wie więcej ode mnie.

Kiedy dotarłam do kafejki, „Leśnik” już siedział przy stoliku. Miał

na sobie czarne dżinsy, ręcznie szyte wyglansowane kowbojskie buty z wężowej skóry i czarną koszulkę z krótkim rękawem opinającą mu klatkę piersiową i bicepsy. Czarna skórzana kurtka wisząca na oparciu krzesła z jednej strony zwisała niżej, a to z powodu złowieszczo wypchanej kieszeni.

Zamówiłam gorącą czekoladę i naleśniki z jeżynami z dodatkową polewą.

„Leśnik” zażyczył sobie kawę i pół grejpfruta.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Słyszałeś o strzelaninie na stacji Delia przy alei Hamiltona?

Skinął głową.

- Ktoś sprzątnął Moogeya Buesa.

- Wiesz, kto to zrobił?

- Nie mam pojęcia.

Przyniesiono kawę i czekoladę. Oczekałam, aż kelnerka odejdzie, nim zadałam następne pytanie:

- A co masz?

- Bardzo złe przeczucie.

Pociągnęłam łyk czekolady.

- To zupełnie tak jak ja. Morelli twierdzi, że szuka Kenny’ego na prośbę jego matki, ale moim zdaniem tu chodzi o coś więcej.

- Oho - powiedział „Leśnik”. - Pewnie znów naczytałaś się powieści sensacyjnych?

- Powiedz, co o tym wszystkim sądzisz? Dowiedziałaś się czegoś więcej o Kennym Mancuso? Jak myślisz, czy to on sprzątnął Moogeya Buesa?

- Moim zdaniem, nie ma to dla ciebie znaczenia. Ty masz tylko odnaleźć i sprowadzić Kenny'ego.

- Tylko wciąż nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Kelnerka przyniosła moje naleśniki i owoc dla „Leśnika”.

- Smakowicie to wygląda - skomentowałam ascetyczne śniadanie

„Leśnika”, polewając sobie naleśniki syropem. - Może następnym razem i ja się na coś takiego skuszę.

- Ty, moja droga, lepiej uważaj - odciął się „Leśnik”. - Nie ma bowiem nic paskudniejszego niż tłusta biała kobieta.

- Nie jesteś w tych sprawach wyrocznią.

- Powiedz raczej, co wiesz o Moogeyu Buesie?

- Tyle, że nie żyje.

Zjadł kawałek grejpfruta.

- Mogłabyś go sprawdzić.

- Dobrze. W takim razie ja sprawdzę Moogeya, a ty posłuchaj, co w trawie piszczy.

- Kenny Mancuso i Moogey to raczej nie moja okolica.

- Ale nie zaszkodzi, jak się rozejrzysz.

- Fakt - zgodził się „Leśnik”. - Nie zaszkodzi.

Wypiłam czekoladę i zjadłam naleśniki. Żałowałam, że nie mam na sobie swetra, aby móc rozpiąć guzik od dzinsów. Dyskretnie beknęłam i uregulowałam rachunek.

Wróciłam na miejsce zabójstwa i przedstawiłam się właścicielowi stacji, Cybby'emu Delio.

- Nie mieści mi się to w głowie - powiedział Delio. - Pracuję na tej stacji już od dwudziestu czterech lat i nigdy dotąd nie miałem żadnych kłopotów.

- Od jak dawna Moogey pracował dla pana?

- Od sześciu lat. Zaczął, kiedy jeszcze chodził do liceum. Będzie mi go brakowało. Chłopak dawał się lubić i można było na nim polegać.

Zawsze rano otwierał stację. Nigdy nie musiałem się o to martwić.

- Czy wspominał panu kiedykolwiek o Kennym Mancuso? Może się pokłócili?

Delio pokręcił przecząco głową.

- A jak wyglądało życie osobiste Moogeeya?

- Ja nic na ten temat nie wiem. Był kawalerem. O ile się orientuję, nie miał stałej dziewczyny. Mieszkał sam. - Przerzucił jakieś papiery na biurku i wydobyl przybrudzoną i sfatygowaną listę pracowników. - O, tu jest jego adres - wyjaśnił - Mercerville. Niedaleko liceum. Dopiero co się tam wprowadził. Wynajął sobie domek.

Przepisałam adres, podziękowałam Deliowi za pomoc i wskoczyłam do jeepa. Jechałam aleją Hamiltona aż do ulicy Klockner. Minęłam Liceum im. Steinerta i skręciłam w lewo, gdzie mieściła się dzielnica domków jednorodzinnych. Mijałam doskonale utrzymane trawniki, ogrodzone, by mogły się na nich bawić psy i dzieci. Domy miały przeważnie białe ściany, inne kolory stosowano raczej oszczędnie. Na podjazdach stało niewiele samochodów. Mieszkały tu przeważnie rodziny, w których obydwój rodzice byli zatrudnieni. Wszyscy oni siedzieli teraz w pracy i zarabiali pieniądze na opłacenie kosiarza do trawnika, gosposi domowej i pobytu dzieci w świetlicach.

Odliczałam numerki, aż dojechałam do domku Moogeeya. Nie wyróżniał się niczym spośród innych. Żaden ślad nie wskazywał na to, że jego lokatorowi przydarzyła się tragedia.

Zatrzymałam samochód, przeszłam przez trawnik do frontowych drzwi i zapukałam. Nikt nie zareagował. Nie spodziewałam się z resztą, by mi ktokolwiek otworzył. Zajrzałam przez wąskie okienko przy drzwiach, ale nie zobaczyłam niczego specjalnego: weranda z drewnianą podłogą, pokryte wykładziną schody wiodące na piętro, korytarz prowadzący od werandy do kuchni. Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku.

Podeszłam chodnikiem do podjazdu i zerknęłam do garażu. W środku stał samochód należący, jak się domyślałam, do Moogeeya. Było to czerwone BMW. Przyszło mi do głowy, że jak na faceta pracującego na stacji benzynowej, to dość droga zabawka. Ale cóż ja mogłam na ten temat wiedzieć. Zapisałam numer rejestracyjny i wróciłam do jeepa.

Siedziałam w wozie i rozmyślałam co dalej, gdy dobiegł mnie dźwięk mojego telefonu komórkowego.

Dzwoniła Connie, sekretarka z firmy poręczycielskiej.

- Mam dla ciebie prostą robótkę - oznajmiła. - Wpadnij do biura, jak będziesz miała chwilę czasu, to dam ci wszystkie papierki.

- Co to znaczy prosta robótką?

- Chodzi o taką starą babcie śmietnikową. Mieszka na dworcu kolejowym. Od czasu do czasu ściąga majtki, a potem zapomina o dacie rozprawy. Chodzi tylko o to, żeby ją doprowadzić przed sąd.

- Kto wniósł kaucję, skoro to bezdomna?

- Adoptowało ją jakieś zgromadzenie kościelne.

- Zaraz u ciebie będę.

Biuro Vinniego mieściło się przy alei Hamiltona. „Firma poręczycielska Vincenta Pluma”. Jeśli nie liczyć niezdrowych upodobań seksualnych, kuzyn Vinnie cieszył się nieposzlakowaną opinią. Większość czasu poświęcał temu, by uchronić ciężko pracujące robotnicze rodziny z Trenton przed wyrzutkami społeczeństwa. Od czasu do czasu napatoczył

mu się jakiś prawdziwy łobuz, ale tego typu sprawy rzadko trafiały w moje ręce.

Babcia Mazurowa wyobrażała sobie łowcę nagród jako osobnika z Dzikiego Zachodu rozwalającego drzwi ogniem z rusznicy. Jednak w rzeczy samej moja praca sprowadzała się najczęściej do wpychania opornych łapserdaków do samochodu i wiezienia ich na posterunek policji, gdzie wyznaczano im nowy termin zgłoszenia i wypuszczano na wolność. Wyłapywałam wielu pijanych kierowców i awanturników, od czasu do czasu trafiał mi się jakiś złodziej sklepowy lub samochodowy.

Sprawę Kenny’ego Mancuso Vinnie dał mi tylko dlatego, że z pozoru wyglądała całkiem niewinnie. Kenny pochodził z szanowanej w Miasteczku rodziny i po raz pierwszy złamał prawo. Poza tym Vinnie wiedział, że przy aresztowaniu będzie mi asystował „Leśnik”.

Zatrzymałam jeepa przed delikatesami Fiorella. Zamówiłam kajzerkę z tuńczykiem i dopiero wtedy weszłam w następane drzwi, do biura Vinniego.

Connie podniosła głowę znad biurka, zza którego strzegła wejścia do gabinetu Vinniego. Rozpuszczone włosy tworzyły wokół jej głowy gęstwinę czarnych loków. Connie była ode mnie dwa lata starsza, siedem centymetrów niższa i o piętnaście kilo cięższa i tak jak ja - po rozwodzie powróciła do panińskiego nazwiska. Nazywała się Rosolli. Nazwisko to stało się w Miasteczku szczególnie popularne, z chwilą przyjścia na świat jej wujka Jimmy’ego. Staruszek Jimmy miał już dziś dziewięćdziesiąt dwa lata i nie dojrzałby swego członka, nawet gdyby ten świecił w ciemnościach, ale poza tym nic a nic się nie zmienił.

- Hej - powitała mnie Connie. - Jak leci?

- Długo by mówić. Masz może papiery tej babci?

Connie podała mi kilka spiętych razem formularzy.

- Eula Rothridge. Znajdziesz ją na pewno na dworcu kolejowym.

Przerzuciłam papiery.

- Żadnego zdjęcia?

- Niepotrzebne ci. Na pewno będzie siedziała na ławce najbliższej parkingu, pławiąc się w promieniach słońca.

- Jakież wskazówki?

- Staraj się nie stawać pod wiatr.

Wykrzywiłam twarz w uśmiechu i wyszłam.

Dzięki swemu położeniu nad rzeką Delaware Trenton miało kiedyś szansę stać się ośrodkiem rozwoju przemysłu i handlu. Z biegiem lat jednak spadała żeglowność nurtów Delaware, a wraz z tym i znaczenie Trenton. I tak w końcu stało się ono tym, czym jest dzisiaj - jeszcze jednym większym przystankiem w sieci stanowych autostrad. Chociaż ostatnio ożywiła się u nas mała liga baseballu, a więc sława i fortuna były zaledwie na wyciągnięcie ręki.

Wokół dworca kolejowego ciągnęły się slumsy. Nie sposób było dojechać na stację nie mijając po drodze małych, ponurych czynszowych kamienic bez ogródków, zamieszkałych na stałe przez ludzi o ponurych twarzach. Podczas lata dochodziło tu do ostrych awantur, ale kiedy temperatura spadała, opadały też i emocje, a wrogość chowała się w zaciszu czterech ścian.

Jechałam przez tę dzielnicę z zablokowanymi drzwiami wozu i zamkniętymi oknami. Właściwie był to bardziej odruch niż rzeczywiste zabezpieczenie, bowiem nawet dziecko mogło przeciąć scyzorykiem płócienny dach mego samochodu.

Dworzec kolejowy w Trenton jest mały i nie wyróżnia się niczym szczególnym. Do głównego wejścia prowadzi podjazd w kształcie łuku, na którym stoi kilka taksówek i policjant, który ma oko na wszystko. Wzdłuż podjazdu ustawiono miejskie ławki.

Eula siedziała na tej najdalszej. Miała na sobie kilka zimowych kurtek, fioletową wełnianą czapkę i sportowe obuwie. Jej twarz, pomarszczoną i jakby papierową, okalały siwiuteńkie krótko obcięte włosy, wystające spod czapki zmierzwionymi kępkami. Jej nogi przywodziły na myśl gigantyczne wepchnięte w buty serdelki. Eula siedziała z szeroko rozsuniętymi kolanami, pozwalając wszystkim podziwiać to, czego lepiej było nie oglądać.

Zatrzymałam samochód tuż przy niej, pod znakiem zakazu parkowania. Policjant rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

Machnęłam w jego kierunku papierami, które dostałam od Connie.

- Tylko na minutkę! - krzyknęłam. - Przyjechałam, żeby zabrać Eulę do sądu.

Popatrzył na mnie ironicznie i wrócił do swojej wielce zajmującej czynności, jaką było gapienie się w siną dal.

- Nie pojedę do sądu - zagulgotała Eula na mój widok.

- Dlaczego?

- Świeci słońce, a ja muszę mieć dużo witaminy D.

- Kupię ci karton mleka. Tam też jest witamina D.

- A co mi jeszcze kupisz? Może kanapkę?

Wyjęłam z torebki bułkę z tuńczykiem.

- Miałam to zjeść na obiad, ale proszę.

- Z czym jest ta kanapka?

- To kajzerka z tuńczykiem. Od Fiorella.

- Fiorello robi dobre kanapki. Poprosiłaś może o dodatkowe ogórki?

- Tak, są dodatkowe ogórki.

- No, nie wiem... A co z moimi rzeczami?

Za plecami Euli stał koszyk z supermarketu, z dwoma czarnymi plastikowymi workami na śmiecie pełnymi Bóg wie czego.

- Zamkniemy twoje rzeczy w skrytce bagażowej na dworcu.

- A kto zapłaci za skrytkę? Sama dobrze wiesz, jakie mam dochody.

- Dobra, zafunduję ci tę skrytkę.

- Musisz tam zanieść moje rzeczy. Utykam na jedną nogę.

Zerknęłam na gliniarza, który wciąż uśmiechał się pod nosem i oglądał własne buty.

- Chcesz może coś wyjąć z tych worków? - zapytałam Eulę.

- Nie - odparła. - Mam wszystko, czego mi potrzeba.

- I obiecujesz, że kiedy zabezpieczę twoje manatki, przyniosę ci mleko i dam kanapkę, pojedziesz ze mną?

- Zgoda..

Wtaszczyłam worki na schody, zaciągnęłam je korytarzem do skrytek i dałam bagażowemu dolara napiwku, żeby pomógł mi upchnąć to diabelstwo w jednej z nich. Jeden worek, jedna skrytka. Wrzuciłam do otworów garść ćwierćdolarówek, zabrałam kluczyki i oparłam się o ścianę dla nabrania oddechu. Zastanawiałam się, czy nie powinnam trochę poćwiczyć, by rozwinąć partie górnych mięśni. Podreptałam do wyjścia, a po drodze wstąpiłam do McDonalda i kupiłam Euli karton niskotłuszczowego mleka. Wypadłam przed dworzec i zaczęłam się rozglądać za Eulą. Nie było jej nigdzie. Zniknął też gdzieś policjant. Na domiar złego za wycieraczką mojego jeepa pojawił się blankiet za niewłaściwe parkowanie.

Podeszłam do pierwszej z brzegu taksówki i zastukałam w boczną szybę.

- Nie wie pan, gdzie się podziała Eula? - zapytałam.

- Nie mam pojęcia - odparł kierowca. - Wzięła taksówkę.

- Miała pieniądze na taksówkę?

- Pewnie. Całkiem nieźle tu zarabia.

- Wie pan może, gdzie ona mieszka?

- O tam, na tamtej ławce, ostatnia z prawej.

Cudownie. Wsiadłam do samochodu, zawróciłam i podjechałam do parkingu. Zaczekałam, aż ktoś zwolni miejsce i zaparkowałam jeepa.

Zjadłam kanapkę, popiłam mlekiem i dalej czekałam z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

Dwie godziny później pod dworzec podjechała taksówka i wysiadła z niej Eula. Podreptała do swojej ławki i usiadła, dając wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że to jej terytorium. Wyjechałam z parkingu i powoli podjechałam do niej, uśmiechając się.

Eula również się uśmiechnęła.

Wysiadłam z samochodu i podeszłam do niej.

- Pamiętasz mnie?

- Tak - odparła. - To ty zabrałaś moje rzeczy.

- Zamknęłam je w skrytce.

- Długo ci zeszło.

Urodziłam się o miesiąc za wcześnie, i nigdy nie umiałam docenić cierpliwości.

- Widzisz te dwa kluczyki? Tylko nimi można otworzyć skrytki, w których są zamknięte twoje rzeczy. Albo wsiadasz do samochodu, albo wrzucam kluczyki do studzienki.

- Nie zrobiłabyś tego biednej staruszce.

Reszką sił powstrzymałam się, by na nią nie ryknąć.

- No dobrze - powiedziała Eula wstając z ławki. - Ostatecznie mogę pójść. I tak już nie ma słońca.

Wydział policji w Trenton mieści się w dwupiętrowej kamienicy z czerwonej cegły. Bliźniaczy budynek obok, połączony na poziomie parteru z komendą, mieści w sobie sale sądowe i kancelarie:

Wokół tej ostoji prawa i praworządności rozciągają się slumsy. W ten sposób policja nie musi zbyt długo szukać najrozmaitszych przestępców.

Postawiłam samochód na parkingu przyległym do budynku policji i zaciągnęłam Eulę do holu wejściowego, aż do samego biurka dyżurnego.

Gdyby już było po godzinach urzędowania lub schwytałabym groźnego zbiega, od razu wparowałabym tylnym wejściem do gabinetu oficera dyżurnego. Ale Eula to co innego. Posadziłam ją przy biurku dyżurnego, a sama starałam się dowiedzieć, czy sędzia, który wypuścił ją za kaucją, jest teraz w pracy. Okazało się, że nie, a więc i tak musiałam udać się do oficera dyżurnego, by mu powierzyć Eulę.

Dałam jej kluczyki od skrytek, zabrałam z biurka formularz przekazania osoby i wyprowadziłam ją przez tylne drzwi.

Morelli czekał na mnie na parkingu. Oparty o mój samochód, trzymał ręce w kieszeniach udając twardziela. Zresztą tak bardzo nie musiał udawać.

- Co nowego? - zapytał.

- Niewiele. A u ciebie?

Wzruszył ramionami.

- Leniwy dzionek.

- Aha.

- Masz coś w sprawie Kenny'ego? - zapytał.

- Nic, co bym ci mogła powiedzieć. Wczoraj wieczorem świsnąłeś mi rachunek telefoniczny Kenny'ego.

- Wcale nie świsnąłem. Zapomniałem po prostu, że trzymam go w ręku.

- Akurat. To dlaczego nic nie mówisz o tych meksykańskich numerach?

- Bo nie ma o czym mówić.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. I nie wierzę też, że szukasz Kenny'ego tylko dlatego, że taki dobry z ciebie kuzyn.

- Masz powody, by w to wątpić?

- Ścisła mnie w dołku.

Morelli uśmiechnął się.

- To rzeczywiście niezbity dowód.

W porządku. Spróbujmy zatem z innej beczki.

- Myślałam, że gramy w jednej drużynie.

- Są różne zespoły. Czasami trzeba działać niezależnie.

Przewróciłam oczyma.

- Powiedzmy to sobie wprost - wygarnęłam mu. - Dotychczas dzieliłam się z tobą każdą informacją, a ty ze mną wcale. Kiedy wreszcie znajdziemy Kenny'ego, to zwiniesz mi go pewnie sprzed nosa z nieznanych mi jeszcze przyczyn i tyle będzie mojej nagrody za schwytanie przestępcy.

- To nie tak. Wcale nie mam zamiaru pozbawiać cię nagrody.

- Daj spokój, Morelli. Przecież wiadomo, że tak właśnie będzie i oboje mamy tego świadomość.

Rozdział 3

Kłóciłam się z Morellem już przedtem i każde z nas odnosiło krótkotrwałe zwycięstwa. Miałam przeczucie, że i teraz szykuje się jakaś wojna. Doszłam do wniosku, że będę musiała nauczyć się z tym żyć. Jeśli zacznę zadzierać z Morellem, może mi to utrudnić, a nawet wręcz uniemożliwić pracę w firmie Vinniego.

Nie zamierzałam bynajmniej dać się wykierować na zupełną idiotkę. Najważniejsze, aby w odpowiednich chwilach sprawiać wrażenie idiotki. Doszłam jednak do wniosku, że teraz powinnam udawać wściekłą i obrażoną. Przyszło mi to tym łatwiej, że tak było w istocie. Ruszyłam z policyjnego parkingu udając, że wiem dokąd zmierzam, choć tak naprawdę nie miałam bladego pojęcia, co teraz począć. Dochodziła czwarta, a ja wciąż nie wiedziałam, gdzie jeszcze powinnam zajrzeć w poszukiwaniu Mancusa. Pojechałam więc do domu. Prowadziłam, jakbym miała w samochodzie autopilota. W myślach sumowałam, czego udało mi się dokonać.

Zdawałam sobie sprawę, że muszę spotkać się ze Spirem, ale wcale nie cieszyłam się na to. Nie podzielałam babcinego zachwyty nad domami pogrzebowymi. Już sama myśl o śmierci przyprawiała mnie o gęsią skórę. Spiro zresztą wyglądał trochę tak, jakby go wyjęto spod ziemi.

Jako że nie byłam w nastroju do odwiedzin u przedsiębiorcy pogrzebowego, postanowiłam przełożyć to spotkanie.

Zaparkowałam na tyłach mojej kamienicy i zamiast wjechać na górę windą, wbiegłam po schodach. Poranne naleśniki wciąż nie pozwalały mi na dopięcie dzinsów. Weszłam do mieszkania i niemal od razu nadepnęłam na kopertę, którą ktoś wsunął mi pod drzwi. Srebrne litery, z których złożono moje imię i nazwisko, wycięto z jakiegoś kolorowego czasopisma i naklejono na kopertę. Otworzyłam ją i wyjęłam kawałek białego papieru z umieszczonymi na nim dwoma zdaniami również złożonymi z liter wyciętych z kolorowej gazety.

„Zrób sobie wakacje. Wyjdzie ci to na zdrowie”.

W kopercie nie było żadnej broszury z biura podróży, a zatem należało założyć, że nie była to oferta wycieczki.

Zaczęłam rozważać inną możliwość: pogróżki. Oczywiście. Jeśli ich autorem jest Kenny, to znaczy, że nadal przebywa w Trenton. Co więcej, oznaczało to również, że udało mi się go zaniepokoić. Nie miałam pojęcia, kto poza Kennym mógłby mi grozić. Może któryś z jego kumpli? Może też Morelli albo moja matka...

Przywitałam się z Rexem, rzuciłam torbę i kopertę na stół w kuchni i uruchomiłam automatyczną sekretarkę.

Kuzynka Kitty, która pracuje w banku, zadzwoniła, by zapewnić mnie, że ma oko na konto Kenny'ego Mancuso, tak jak ją prosiłam, ale na razie nie dokonywano na nim żadnych nowych operacji.

Dzwoniła też moja najlepsza przyjaciółka od kołyski, Mary Lou Stankovic, *primo voto* Molnar. Pytała, czy u licha przypadkiem nie zapadłam się pod ziemię, bo nie odzywałam się do niej, Bóg wie jak dawno.

Jako ostatnia nagrała się babcia Mazurowa.

„Nie znoszę tych kretyńskich maszyn”, powiedziała. „Zawsze czuję się jak głupek mówiący sam do siebie. Przeczytałam w gazecie, że dziś wieczorem wystawiają tego chłopaczka ze stacji benzynowej. Z chęcią bym się tam wybrała. Wprawdzie Elsie Famworth zaofiarowała się, że mnie zawiezie, ale nie znoszę z nią jeździć, bo ona ma artretyzm i czasami noga jej się zacina na pedale gazu”.

Będą wystawiać Moogeya Buesa. Warto by było tam zajrzeć.

Wysłałam na korytarz, aby pożyczyć gazetę od pana Wolesky'ego. U niego telewizor chodził dniami i nocami, więc trzeba było mocno walić w drzwi.

Wtedy pan Wolesky otwierał i prosił, żeby mu ich nie rozwalać. Kiedy cztery lata temu dostał zawału, zadzwonił po karetkę, ale nie pozwolił się wynieść z pokoju, dopóki nie skończył się teleturniej „Va banque”.

Pan Wolesky otworzył drzwi i zdałam sobie sprawę, że gdyby mógł

zabijać wzrokiem, padłabym trupem.

- Nie musisz rozwalać mi drzwi. Przecież nie jestem głuchy -

powiedział.

- Przepraszam bardzo, czy mógłby mi pan pożyczyć gazetę?

- Tylko odnieś ją z powrotem. Potrzebny mi program telewizyjny.

- Chciałam tylko sprawdzić godziny ceremonii w domach pogrzebowych. - Otworzyłam gazetę na stronie z nekrologami i zaczęłam czytać. Moogeya Buesa wystawiano u Stivy o siódmej wieczorem.

Podziękowałam panu Wolesky'emu i zwróciłam mu gazetę.

Zadzwoiłam do babci i powiedziałam jej, że wpadnę po nią o siódmej. Wykręciłam się od zaproszenia na kolację i obiecałam mamie, że nie pójdę do domu pogrzebowego w dzinsach. Odłożyłam słuchawkę i biorąc pod uwagę skutki jedzenia naleśników, zaczęłam szukać w lodówce czegoś bez tłuszczu.

Obzerałam się właśnie jakąś sałatką, kiedy zadzwonił telefon.

- Sie masz - usłyszałam w słuchawce głos „Leśnika”. - Założę się, że wsuwasz jakąś sałatkę na kolację.

Pokazałam język do słuchawki.

- Masz mi może coś do powiedzenia o Kennym Mancuso?

- Tutaj go nie ma. Nie pokazuje się. Nie kręci też żadnych interesów.

- Zadam ci pytanie z czystej ciekawości, gdybyś miał szukać dwudziestu czterech zaginionych trumien, to od czego byś zaczął?

- A były puste czy pełne?

O cholera, zapomniałam o to zapytać. Zacisnęłam powieki. Boże, proszę Cię, żeby były puste.

Rozłączyłam się natychmiast i wykręciłam numer Eddiego Gazarry.

- Tu twój znajomy gliniarz. Co słychać? - powitał mnie Eddie.

- Chciałabym wiedzieć, nad czym teraz pracuje Joe Morelli.

- Powodzenia. Nawet sam kapitan często nie ma o tym pojęcia.

- Rozumiem, ale słyszysz przecież to i owo.

Po drugiej stronie rozległo się głębokie westchnienie.

- Zobaczą, co się da zrobić.

Morelli pracował w obyczajówce, w zupełnie innym budynku i w innej części Trenton niż Eddie. Policjanci z obyczajówki blisko współpracowali z DEA*[* DEA (Drug Enforcement Administration)

-

Agencja ds. Walki z Narkotykami.] oraz z celnikami i zazwyczaj nie puszczali pary z ust na temat

swojej pracy. Ale od czego koleżeńskie pogaduszki w barze, plotki biurowe i gadulstwo żon.

Wyskoczyłam z dzinsów i włożyłam cienkie rajstopy oraz garsonkę z krótką spódniczką. Na nogi wsunęłam szpilki i nastroszyłam włosy jakimś żelem. Pociągnęłam jeszcze rzęsy tuszem i odsunęłam się o krok od lustra. Nieźle, ale Sharon Stone nie rzuciłaby się chyba z mostu z zazdrości o mój wygląd.

- Spójrz tylko na tę spódnicę - jęknęła matka, kiedy tylko otworzyła mi drzwi. - Nic dziwnego, że przez to mini tyle teraz gwałtów i rozbojów.

Jak ty w tym siedzisz? Każdy może ci wszędzie zajrzeć.

- Mamo, ona wcale nie jest taka krótka, sięga zaledwie pięć centymetrów nad kolano.

- Nie czas gadać teraz o kieckach - odezwała się babcia Mazurowa. -

Jadę do domu pogrzebowego zobaczyć, jak zabalsamowali tego chłopaczka. Mam nadzieję, że nie zalepili mu zbyt dokładnie tych dziur po kulach.

- Nie rób sobie wielkich nadziei, babciu - studziłam jej zapał. -

Pewnie wystawią go w zamkniętej trumnie.

Moogey nie dość, że został zastrzelony, to jeszcze poddany sekcji zwłok. Moim zdaniem nawet największy mistrz balsamowania nie zdołałby go zlepić z powrotem.

- Zamknięta trumna! Co też ty mówisz? To by dopiero było cholerne rozczarowanie. Jeśli tylko rozniesie się, że Stiva wystawia nieboszczyków w zamkniętych trumnach, ludzie z miejsca przestaną do niego przychodzić. - Babcia zapięła narzucony na sukienkę sweter i wsunęła torebkę pod pachę. - W gazecie nic nie wspominali o zamkniętej trumnie.

- Wpadnij potem - zaprosiła mnie matka. - Zrobiłam budyń czekoladowy.

- Na pewno nie chcesz jechać? - zwróciła się do niej babcia.

- Nawet nie znałam tego Moogeya Buesa - odparła matka. - Mam pilniejsze sprawy, niż oglądanie zwłok zupełnie obcej mi osoby.

- Ja też bym nie jechała - powiedziała babcia. - Ale staram się pomóc Stephanie w tej obławie. Może się tam pojawić Kenny Mancuso i przyda jej się jakaś dodatkowa pomoc. W telewizji pokazywali, jak wsadzić przestępcy palce w oczy, by opóźnić jego działanie.

- Powierzam ją twojej opiece - upomniała mnie matka. - Jeśli wsadzi komuś palec w oko, ty będziesz za to odpowiadać.

Podwójne drzwi prowadzące do sali otwarto na oścież, by wpuścić do środka tłum ludzi, którzy przyszli popatrzeć na Moogeya Buesa.

Babcia Mazurowa natychmiast zaczęła przepychać się w stronę trumny, a ja posłusznie podreptałam za nią.

- Proszę, proszę, to dopiero wydarzenie - powiedziała, kiedy dotarliśmy do pierwszego rzędu krzeseł. - Miałaś rację. Zamknęli trumnę. - Zmrużyła oczy. - A skąd pewność, że Moogey naprawdę tam jest?

- Ktoś to na pewno sprawdził.

- Ale nie wiemy tego na sto procent.

Popatrzyłam na nią bez słowa.

- Może powinniśmy zajrzeć do środka i się przekonać -

zapropozowała babcia.

- NIE!

Rozmowy ucichły jak nożem uciął i wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę. Uśmiechnęłam się przepraszająco i chwyciłam babcie za ramię.

Odezwałam się do niej szeptem, któremu starałam się nadać ostry ton:

- Babciu, nie przystoi zaglądać do zamkniętej trumny. A poza tym to nie nasza sprawa i tak naprawdę nie ma znaczenia, czy Moogey Bues leży tam rzeczywiście czy też nie. A nawet jeśli go nie ma, to i tak nie powinno nas to obchodzić.

- Ale to może mieć znaczenie dla twojej sprawy - nie dawała za wygraną babcia. - Może ma to jakiś związek z Kennym Mancuso?

- Ty, babciu, jesteś po prostu ciekawska. Chcesz koniecznie zobaczyć dziury po kulach.

- To też - przyznała potulnie.

Zauważyłam, że na ceremonii zjawił się także „Leśnik”. Z moich dotychczasowych spostrzeżeń wynikało, że „Leśnik” ubierał się tylko w dwa kolory: wojskową zieleń i czerń, ulubioną również przez bandytów.

Dziś był w czerni, której monotonię urozmaicały dwa kolczyki połyskujące w świetle jarzeniówek. Swoim zwyczajem włosy zebrał z tyłu głowy w kucyk, a na sobie miał nieodłączną kurtkę. Tym razem z czarnej skóry. Można się było tylko domyślać, co pod nią chował. Było tam zapewne dość broni, by zmieścić z powierzchni ziemi niewielkie państwko. Stał pod ścianą z rękoma złożonymi na piersiach, w pozycji: odprężony, ale czujny.

Naprzeciw niego w podobnej pozycji stał Joe Morelli.

Przez tłum przy drzwiach przepychał się jakiś mężczyzna. Szybko rozejrzał się po sali i skinął głową w kierunku „Leśnika”. Tylko ktoś, kto znał „Leśnika”, mógł dostrzec, że ten zrewanżował mu się takim samym gestem.

Zerknęłam na niego, a on bezgłośnie powiedział do mnie

„Sandman”. Sandman. Nic mi nie mówiło to nazwisko.

Tenże Sandman podszedł do trumny i w milczeniu patrzył na politurowane wieko. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Sprawiał

wrażenie, jakby wszystko już w życiu widział i nic nie jest w stanie wytrącić go z równowagi. Miał ciemne głęboko osadzone oczy, otoczone siateczką drobnych zmarszczek. Podejrzewałam, że pochodziły raczej od nadużywania alkoholu niż od słońca czy śmiechu. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu.

Spostrzegł, że mu się przyglądam i przez chwilę patrzył mi w oczy, po czym odwrócił wzrok.

- Muszę pogadać z „Leśnikiem” - powiedziałam do babci. - Obiecasz mi, że jeśli cię tu zostawię na chwilę samą, nie zrobisz jakiegoś głupstwa?

Babcia prychnęła.

- Powinnam się chyba obrazić. W końcu mam już tyle lat na karku, że wiem, jak należy się zachować.

- A nie będziesz zaglądała do trumny?

- Uhum.

Podeszłam do „Leśnika” i zapytałam:

- Co to za facet, ten który złożył ci uszanowanie? Jakiś Sandman?

- Nazywa się Perry Sandeman. Ksywka „Sandman”*[Sandman bajkowy duszek, który usypiał dzieci sypiąc im piasek w oczy.] wzięła się stąd, że jeśli go zdenerwujesz, potrafi cię nieźle uspić.

- Skąd go znasz?

- Kręci się tu i tam. Czasami kupuje narkotyki od murzyńskich gangów.

- Skąd się tu wziął?

- On też pracuje na stacji benzynowej.

- Na tej samej co Moogey?

- Tak. Podobno był nawet przy tym, jak Moogey dostał w kolano.

W głębi sali ktoś krzyknął, a w chwilę potem rozległo się głucho uderzenie, jakby ktoś upuścił coś ciężkiego. Na przykład wieko trumny.

Bezwiednie przewróciłam oczami do góry.

Obok mnie w drzwiach stanął Spiro. Między jego brwiami pojawiły się dwie pionowe zmarszczki. Ruszył przed siebie torując sobie drogę przez tłum. Ludzie rozstępowali się i moim oczom ukazał się widok, którego centralnym punktem była babcia Mazurowa.

- Wszystko przez ten rękaw - zaczęła wyjaśniać. - Zaczepiłam nim przypadkowo o wieko i samo się otworzyło. Każdemu mogło się to przytrafić.

Babcia spojrzała w moją stronę i uniosła kciuk do góry.

- To twoja babcia? - zapytał „Leśnik”.

- Aha. Chciała sprawdzić, czy Moogey naprawdę leży w tej trumnie.

- No, no, mała, ależ ty masz geny.

Spiro sprawdził, czy wieko jest dobrze zamknięte i ułożył na nim kwiaty, które spadły na podłogę.

Ruszyłam natychmiast, by poprzeć babciną teorię o zaczepionym rękawie, ale okazało się to zbędne. Spiro najwyraźniej chciał

zbagatelizować cały incydent. Wyszeptał jakieś przeprosiny do zebranych przy trumnie bliskich zmarłego i z werwą zabrał się do wycierania z błyszczącego wieka odcisków śladów babci Mazurowej.

- Kiedy wieko się otworzyło, nie mogłam się powstrzymać, żeby tam nie zajrzeć i muszę przyznać, że wykonaliście kawał dobrej roboty -

trajkotała babcia krążąc wokół Spira. - Gdyby nie to, że w paru miejscach warstwa balsamu trochę się zapadła, w ogóle nie byłoby widać tych dziur.

Spiro z powagą skinął głową i zdecydowanym ruchem odsunął

babcię od trumny.

- W holu podano herbatę - powiedział. - Może po tym przykrym wypadku napiłaby się pani czegoś?

- Łyk herbaty dobrze mi robi - przyznała babcia. - Zresztą i tak zamierzałam stąd iść.

Poszłam za babcią do holu i upewniłam się, że rzeczywiście wzięła filiżankę. Kiedy usiadła w fotelu z herbatą i ciasteczkami, zostawiłam ją, by poszukać Spira. Znalazłam go na dworze przy bocznym wejściu. Stał w aureoli sztucznego światła i ćmił papierosa.

Zrobiło się dość chłodno, ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Bezmyślnie zaciągał się głęboko i powoli wydychał dym z płuc.

Zapukałam delikatnie w szklane drzwi, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Gdzie moglibyśmy pogadać na temat... No przecież wiesz...

Skinął głową, pociągnął ostatni haust dymu i rzucił niedopałek na podjazd.

- Miałem do ciebie zadzwonić dziś po południu, ale pomyślałem, że może przyjdiesz obejrzyć Buesa. Muszę mieć tę zgubę na wczoraj. -

Rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy jesteśmy sami. - W końcu - ciągnął

dalej - trumna to taki towar jak każdy inny. Producenci miewają nadwyżki, czasami też mają zwroty i robią wyprzedaże. Bywa, że udaje się kupić towar w hurcie po okazjnych cenach. Mniej więcej pół roku temu udało mi się w ten właśnie sposób kupić dwadzieścia cztery trumny. Nie mamy tu za wiele miejsca, więc umieściłem je w wynajętym magazynie.

Spiro wyjął z kieszeni marynarki kopertę. Z koperty wyjął klucz i podał mi, abym go obejrzała.

- To właśnie ten klucz do magazynu. Adres jest w kopercie. Na czas transportu trumny owinięte były w folię ochronną i ułożone na paletach.

Do koperty włożyłem też zdjęcie jednej z nich. Wszystkie były takie same.

Bardzo proste.

- Zgłaszałeś to policji?

- Nikomu jeszcze nie mówiłem o tej kradzieży. Chcę po prostu odzyskać trumny bez nadawania tej sprawie rozgłosu.

- To nie moja działka.

- Tysiąc dolarów.

- Chryste, Spiro, mówimy przecież o trumnach! Kto miałby ochotę kraść trumny? Od czego należałoby zacząć? Masz może podejrzenia?

- Mam tylko klucz i pusty magazyn.

- Może powinienesz spisać ten towar na straty i upomnieć się o odszkodowanie.

- Nie mogę wziąć odszkodowania, jeśli nie zgłoszę tego na policji, a już ci mówiłem, że nie chcę mieszać do tego gliniarzy.

Tysiąc dolarów to spora pokusa, ale i zadanie było z gatunku dość niezwykłych. Nie miałam bladego pojęcia, od czego by zacząć poszukiwania owych dwudziestu czterech zagubionych trumien.

- Załóżmy, że znajdę te trumny... co wtedy? Jak chcesz je odzyskać?

Wydaje mi się, że jeśli ktoś posunął się do kradzieży, nie podda się tak łatwo.

- Na razie spróbujmy je odnaleźć - powiedział Spiro. - W ramach wynagrodzenia masz tylko odnaleźć te trumny, a ja sam się zajmę ich odzyskaniem.

- No tak, myślę, że trzeba by popytać tu i tam.

- Ale pamiętaj, że zależy mi, aby się to nie rozniosło.

Nie ma sprawy. Myślałby kto, że szukanie trumien należy do atrakcji, o których chciałoby się rozgłaszać na prawo i lewo. Bez przesady.

- Możesz być pewien, że będę trzymała buzię na kłódkę - obiecałam.

Wzięłam od niego kopertę i włożyłam ją do torebki. - Jeszcze jeden drobiazg - odezwałam się. - Te trumny są mam nadzieję puste, tak?

- Ależ oczywiście.

Wróciłam po babcię, pocieszając się, że może nie będzie tak źle.

Spiro zgubił dwa tuziny trumien. W końcu czegoś takiego nie da się tak łatwo ukryć. Nie można ich wrzucić do bagażnika samochodu i odjechać w siną dal. Ktoś musiał przecież podjechać po nie furgonetką albo ciężarówką. Może to jakieś wewnętrzne porachunki. Niewykluczone, że ktoś z magazynu obrobił Spira. I co wtedy? Rynek trumien jest przecież dość ograniczony. Trudno byłoby je przerobić na ławki ogrodowe czy podstawki do kwiatów. Ktoś musiał je odsprzedać jakiemuś innemu domowi pogrzebowemu. W ogóle co za pomysł - sprzedawać trumny na czarnym rynku!

Babcia popijała herbatę z Joem Morellim. Nigdy dotąd nie widziałam Morellego z filiżanką w ręku i był to widok obezwładniający.

Jako nastolatek Morelli zachowywał się jak dzikus. Dwa lata w marynarce wojennej i dwanaście następnych w policji nauczyły go nieco panowania nad sobą, ale moim zdaniem, dałby się oswoić dopiero po wycięciu gonad. Pod maską spokoju czaiła się w nim dusza barbarzyńcy. Pociągało mnie to bez reszty, ale zarazem napawało strachem.

- No proszę, odnalazła się! - wykrzyknęła babcia na mój widok. - O

wilku mowa.

Morelli uśmiechnął się.

- Właśnie rozmawialiśmy o tobie.
- Nie może być.
- Słyszałem, że odbyłaś tajemnicze spotkanie ze Spirem.
- Pogadaliśmy o interesach - wyjaśniłam.
- Czy te interesy mają jakiś związek z tym, że Spiro, Kenny i Moogey byli kumplami w liceum?

Uniosłam brwi, żeby podkreślić moje zdziwienie.

- Przyjaźnili się w liceum?

Podniósł trzy palce w górę.

- Jak trzech muszkietierowie.
- Hmmmm - mruknęłam maskując zaskoczenie.

Morelli uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Domyślam się, że nadal jesteś ze mną w stanie wojny.
- Cóż to, nabijasz się ze mnie?
- Raczej nie.
- No to, o co ci chodzi?

Zakołysał się na piętach, trzymając ręce cały czas w kieszeniach.

- Uważam, po prostu, że jesteś milutka.
- Boże mój, cóż za wyznanie!
- Szkoda, że nie pracujemy razem - powiedział Morelli. - Bo gdybyśmy pracowali razem, mógłbym ci opowiedzieć co nieco o samochodzie mojego kuzyna.
- No więc co z tym samochodem? Gadaj!
- Znalaziono go dzisiaj po południu. Porzucony. Żadnych trupów w bagażniku. Żadnych plam krwi. Ani śladu Kenny'ego.
- Gdzie go znaleźli?
- Na parkingu przed centrum handlowym.

- Może Kenny wybrał się na zakupy?

- Raczej nie. Ochroniarze z centrum przypomnieli sobie, że samochód stał tam od poprzedniego dnia.

- Drzwi były zamknięte?

- Wszystkie, z wyjątkiem drzwi po stronie kierowcy.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę.

- Gdybym porzucała samochód kuzyna, to sprawdziłabym na pewno, czy zamknęłam wszystkie drzwi.

Morelli i ja patrzyliśmy sobie w oczy i żadne z nas nie wypowiedziało następnej myśli. Może Kenny nie żyje. Nie mieliśmy żadnych podstaw, by wyciągać taki wniosek, ale ta myśl zaczęła krążyć mi po głowie. Zastanawiałam się, jak miało się to do listu, który dzisiaj otrzymałam.

Morelli skwitował tę myśl ponurym wyrazem twarzy.

- No tak - stwierdził lakonicznie.

Stiva wybudował hol wyburzając ścianę między starym korytarzem a dawną jadalnią. Podłogę nowego pomieszczenia przykryto wykładziną, która tłumiła wszelkie kroki. Herbatę podawano na klonowym stole tuż przy drzwiach do kuchni. Zainstalowano dyskretne oświetlenie, a krzesła i stoliki z epoki królowej Anny poustawiano tak, by można było przy nich prowadzić rozmowy. Tu i ówdzie stały rośliny ozdobne. Byłoby tu całkiem przyjemnie, gdyby nie świadomość, że w innej części tego domu nagi i zimny jak sople lodu leżał wujek Harry, ciocia Minnie bądź mleczarz Morty, w oczekiwaniu na swoją porcję formaldehydu.

- Chcesz herbaty? - zapytała babcia.

Pokręciłam głową. Herbata mnie nie kusila. Potrzebowałam świeżego powietrza i budyniu czekoladowego. I marzyłam, by w końcu zrzucić z siebie tę garsonkę.

- Jestem gotowa do wyjścia - oznajmiłam babci. - A ty?

Babcia rozejrzała się dookoła.

- Jeszcze trochę wcześniej, ale chyba ze wszystkimi się już widziałam. - Odstawiła filiżankę na stół i wsunęła sobie torebkę pod ramię. - Zresztą mam ochotę na budyń czekoladowy.

Odwróciła się do Morellego.

- Mieliśmy dziś na deser budyń czekoladowy i trochę jeszcze zostało. Zawsze zresztą robimy podwójną porcję.

- Dawno już nie jadłem domowego budyniu czekoladowego -

rozmarzył się Morelli.

Babcia przystanęła.

- Doprawdy? W takim razie zapraszam. Na pewno starczy i dla pana.

Jęknęłam cichutko i wzrokiem dawałam Morellemu znak, by odmówił.

Ten jednak rzucił mi niewinne i naiwne spojrzenie.

- Pani oferta brzmi niezwykle zachęcająco - stwierdził. - Z

przyjemnością posmakowałbym budyniu czekoladowego.

- W takim razie umowa stoi - oznajmiła babcia. - Wiesz, gdzie mieszkamy?

Morelli zapewnił nas, że trafiłby sam z zamkniętymi oczami, ale pojedzie za nami, aby upewnić się, iż nic nam nie grozi.

- Czyż to nie cudowne? - zachwyciła się babcia w samochodzie. -

Pomyśl tylko, on się troszczy o nasze bezpieczeństwo. Czy spotkałaś kiedyś równie uprzejmego młodego człowieka? No i jest przystojny. I pracuje w policji. Założę się, że pod marynarką nosi gnata.

Morellemu będzie potrzebna broń, pomyślałam, kiedy matka zobaczy go w drzwiach naszego domu. Wyrzy na werandę i nie zobaczy w Morellim gościa, który został zaproszony na budyń. Nie zobaczy Morellego - dawnego absolwenta liceum i żołnierza. Nie ujrzy w nim też policjanta Morellego. Dla niej będzie to zawsze napalony ośmiolatek o szybkich palcach, który zabrał sześciolletnią Stephanie do garażu swego ojca, żeby pobawić się w doktora.

- To doskonała partia dla ciebie - powiedziała babcia, kiedy parkowałam przed domem. - Przydałby ci się mężczyzna.

- Ale może nie ten.

- A co ci w nim nie pasuje?

- Nie jest w moim typie.

- Nie masz gustu, jeśli chodzi o mężczyzn - stwierdziła babcia. -

Twój były mąż to baran. Kiedy za niego wychodziłaś, wszyscy ci mówiliśmy, że to baran, ale ty nie słuchałaś.

Morelli zaparkował za mną i wysiadł ze swego samochodu. Matka otworzyła drzwi. Nawet z tej odległości widziałam, jak nagle wyprostowała się, a jej twarz ściał grymas gniewu.

- Przyszliśmy wszyscy na budyń - oznajmiła babcia, kiedy stanęliśmy na werandzie. - Przeprowadziłyśmy ze sobą pana Morellego, bo uskarżał się, że już od dawna nie jadł domowego budyniu.

Matka ciasno ściągnęła usta.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwał się Morelli. - Zdaję sobie sprawę, że nie spodziewała się pani mojej wizyty.

Po takim wstępie ma się otwarte drzwi do każdego domu w Miasteczku. Żadna gospodyni nigdy się w życiu nie przyzna, że nie jest w stanie kogokolwiek ugościć. Nawet sam Kuba Rozpruwacz wszedłby bez trudu, gdyby tylko wypowiedział te magiczne słowa.

Matka sztywno skinęła głową i z pewnym oporem odsunęła się, wpuszczając do środka całą naszą trójkę.

W obawie, aby nie doszło do rękoczynów, ojcu nigdy nie powiedziano o naszej zabawie w doktora. W związku z tym traktował

Morellego nie gorzej i nie lepiej od innych potencjalnych narzeczonych, których matka i babcia sprowadzały czasem do domu. Obrzucił Joego badawczym spojrzeniem, wymienił kilka, grzecznościowych zdań i wrócił

do oglądania telewizji, z premedytacją nie zważając na babcię, która wniosła budyń.

- Wyobraź sobie, że Moogeya Buesa wystawili w zamkniętej trumnie - oznajmiła matce. - Ale przypadek zrządził, że i tak go zobaczyłam.

Matka otworzyła szeroko oczy.

- Jaki znowu przypadek?

Zdjęłam marynarkę.

- Babcia zaczepiła rękawem o wieko trumny i ono się nagle otworzyło - wyjaśniłem.

Matka uniosła ręce w błagalnym geście.

- Dopiero co ludzie wydzwaniali do mnie w sprawie tych nieszczęsnych gladioli. Jutro znów będą wydzwaniać na temat wieka trumny.

- Ten biedak wcale nie wyglądał tak rewelacyjnie - stwierdziła babcia Mazurowa. - Powiedziałam Spirowi, że dobrze się spisał, bo nie chciałam mu robić przykrości.

Pod kurtką Morelli miał na sobie czarną koszulkę i rozpinany sweter. Kiedy usiadł przy stole, kurtka się rozchyliła i wszyscy mogli podziwiać broń na jego biodrze.

- Ale kopyto! - wykrzyknęła z uznaniem babcia. - Co to jest?

Czterdziestkapiątka?

- To dziewięćmilimetrówka.

- Pewnie nie pozwolisz mi go obejrzeć - rzekła babcia. - Dobrze by było poczuć w dłoni takiego gnata.

- NIE! - krzyknęliśmy wszyscy jednocześnie.

- Kiedyś strzeliłam do kurczaka - wyznała babcia Morellemu. - Ale to był wypadek.

Widziałam, że Morelli gorączkowo szuka odpowiedzi.

- Gdzie go pani ustrzeliła?

- Prosto w kuper - oznajmiła. - Odstrzeliłam mu go równusieńko.

Po dwóch porcjach budyniu i trzech piwach Morelli odkleił się od telewizora. Wysłałam razem z nim i zaczęliśmy rozmawiać na chodniku.

Niebo było bezgwiezdne. Nigdzie też nie widać było księżycy, a w większości domów światła już pogaszono. Ulica wiała pustką. W innych dzielnicach Trenton noc mogła być groźna, ale w Miasteczku raczej kojarzyła się ze spokojem i bezpieczeństwem.

Morelli postawił kołnierz mojej marynarki, bo w powietrzu czuło się chłód. Musnął palcami moją szyję i zawisł spojrzeniem na moich ustach.

- Masz miłą rodzinę - powiedział.

Zmrużyłam oczy.

- Jeśli mnie pocałujesz, to zacznę krzyczeć, a wtedy wyjdzie ojciec i da ci w nos. - Ale zanim to wszystko się stanie, pomyślałam, ja będę miała mokro w majtkach.

- Poradziłbym sobie z twoim ojcem.

- Ale nic byś mu chyba nie zrobił.

Morelli wciąż trzymał ręce przy moim kołnierzu.

- Pewnie nie zrobiłbym.

- To opowiedz mi jeszcze raz o tym samochodzie. Serio, nie było żadnych śladów szarpaniny?

- Mowa. Kluczyki tkwiły w stacyjce, a drzwi od strony kierowcy były zamknięte, ale nie zablokowane.

- A znaleźli jakieś ślady krwi na betonie?

- Nie byłem na miejscu, ale chłopcy z laboratorium sprawdzili wszystko i twierdzą, że nie znaleźli żadnych dowodów.

- Odciski palców?

- Są w kartotece.

- Jakież rzeczy osobiste?

- Nic.

- W takim razie nie mieszkał w tym samochodzie - rozumowałam.

- Coraz lepiej ci idzie w te klocki - pochwalił mnie Morelli. -

Zadajesz właściwe pytania.

- Oglądam sporo telewizji.

- Porozmawiajmy o Spirze.

- Spiro wynajął mnie, żebym zajęła się pewnym problemem z branży pogrzebowej.

Morelli zaczął się śmiać.

- Wolne żarty! Cóż to znowu za problem z branży pogrzebowej?!

- Nie chcę o tym mówić.

- Czy to ma coś wspólnego z Kennym?

- Nie mam pojęcia, słowo daję.

Na piętrze otworzyło się okno i ukazała się w nim głowa mojej matki.

- Stephanie - odezwała się scenicznym szeptem. - Co ty tam jeszcze robisz? Co sobie sąsiedzi pomyślą.

- Proszę się nie martwić, pani Plum - rzekł Morelli. - Właśnie zbierałem się do odjazdu.

Kiedy wróciłam do domu, Rex biegał w swoim kółku. Włączyłam światło, a chomik stanął jak wryty. Czarne śleпка miał szeroko otwarte i poruszał wąsami zastanawiając się, dlaczego noc tak nagle się skończyła.

Po drodze do kuchni zrzuciłam buty. Położyłam torebkę na stole i wcisnęłam przycisk odtwarzania w automatycznej sekretarce.

Nagrała się tylko jedna wiadomość. Gazarra dzwonił pod koniec zmiany, żeby powiadomić mnie, iż nikt nic nie wie bliższego o Morellim, ponad to, że pracuje nad jakąś grubszą sprawą i że ma to związek z Mancusem i zabójstwem Buesa.

Wcisnęłam przycisk i zadzwoniłam do Morellego.

Odebrał po szóstym dzwonku lekko zdyszany. Pewnie dopiero co wpadł do mieszkania.

Nie uważałam za stosowne wygłosić jakiegokolwiek wstępu i walnęłam prosto z mostu:

- Łajdak.

- O rany, a któż to może dzwonić?

- Okłamałeś mnie! Wiedziałam. Wiedziałam od samego początku, ty palancie!

Po obu stronach zapadła cisza, a ja uświadomiłam sobie nagle, że moje oskarżenie może dotyczyć bardzo wielu spraw, więc czym prędzej zawęziłam jego zakres:

- Chcę się dowiedzieć, nad jaką to wielce tajemniczą sprawą pracujesz i jaki ma ona związek z Kennym Mancuso i Moogeyem Buesem.

- Ach, o to kłamstwo ci chodzi - odrzekł Morelli.

- No więc...?

- Na ten temat nie mogę ci niestety nic powiedzieć.

Rozdział 4

Przez całą noc przewracałam się z boku na bok rozmyślając o Kennym Mancuso i Joem Morellim. O siódmej zwlokłam się z łóżka niewyspana i zmęczona. Wzięłam prysznic, włożyłam dzinsy i koszulkę z krótkim rękawem, po czym nastawiłam ekspres do kawy.

Podstawowy kłopot polegał na tym, że miałam mnóstwo przemyśleń na temat Joego, za to prawie nic w sprawie Kenny'ego Mancuso.

Nalałam sobie mleka do miski z płatkami kukurydzianymi, napełniłam kawą dzbanek w kształcie kaczoza Duffy'ego i zabrałam się do przeglądania zawartości koperty, którą otrzymałam od Spira. Magazyn mieścił się tuż przy autostradzie nr 1, w okolicy pełnej podobnych zabudowań. Zdjęcie jednej z zaginionych trumien wydarto z jakiejś ulotki lub katalogu. Przedstawiało ono ten typ trumny, jaki z całą pewnością w hierarchii usług pogrzebowych znajdował się na samym dole. Była to po prostu zwykła sosnowa skrzynka bez żadnych ozdób i koronek, jakie zazwyczaj zdobią trumny w Miasteczku. Nie miałam pojęcia, po co Spiro kupił aż dwadzieścia cztery takie skrzynki. W Miasteczku na pogrzeby i śluby nie żałowano pieniędzy. Pochówek w tak skromnej trumnie byłby dla mieszkańca Miasteczka większą ujmą niż chodzenie po prośbie.

Nawet moja sąsiadka, pani Clak, która żyła z zasiłku i codziennie o dziewiątej wyłączała światło, aby zaoszczędzić na rachunkach za prąd, miała odłożonych kilka tysięcy na pogrzeb.

Zjadłam płatki, opłukałam miskę i łyżeczkę, po czym nalałam sobie drugą filiżankę kawy i wsypałam Rexowi do miseczki trochę płatków i jagód. Rex wychylił główkę ze swojej puszkii i w podnieceniu zaczął

poruszać noskiem. Popędził do miseczki, wepchnął sobie wszystko do pyszczki i wrócił z powrotem do puszkii. Wielce szczęśliwy zaszył się tam i odwrócił do mnie tyłem. To jedna z wielu korzyści, jakie daje posiadanie chomika. Niewiele potrzeba, żeby go uszczęśliwić.

Chwyciłam kurtkę i czarną torebkę ze skóry, w której nosiłam cały osprzęt łowcy nagród, i wyszłam na korytarz. U pana Wolessky'ego jak zwykle dudnił telewizor, a pod drzwiami pani Karwatt unosił się zapach smażonego boczku. Wyszłam z kamienicy i przystanąłam na chwilę, by rozkoszować się świeżym porannym powietrzem. Na drzewach wisiały jeszcze tu i ówdzie pojedyncze liście desperacko trzymające się gałęzi, a splątane konary wyglądały na tle jasnego nieba niczym gigantyczna pajęczyna. Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies i trzasnęły drzwi samochodu.

Mieszkańcy przedmieścia wybierali się do pracy. A Stephanie Plum, nadzwyczajny łowca nagród, ruszała na poszukiwanie dwudziestu czterech zaginionych trumien.

Korki w Trenton nie mogły się równać z weekendowym tłokiem w Nowym Jorku, ale były równie denerwujące. Postanowiłam zachować resztki rozsądku, jakie mi jeszcze zostały i darowałam sobie bezpieczną jazdę i piękne widoki wzdłuż zakorkowanej alei Hamiltona. Skręciłam w Linnert i przejechaawszy metodą „żabiego skoku” dwie przecznice, popędziłam przez podupadłe dzielnice otaczające centrum miasta.

Ominięłam okolice dworca kolejowego i przejechaawszy przez całe miasto wypadłam na autostradę nr 1. Niecały kilometr dalej zjechałam w aleję Oatland.

Firma „Magazyny R i J” zajmowała około ćwierćhektarową działkę przy alei Oatland. Dziesięć lat temu Oatland była po prostu kawałkiem pola zapomnianym przez Boga i ludzi. W trawie walały się potłuczone butelki, kapsle, pety, prezerwatywy i tym podobne śmieci. Ale niedawno przemysł odkrył zalety Oatland i dziś na owym zaśmieconym przez wiele lat polu wyrosły firmy „Drukarnia Ganta”, „Skład Hydrauliczny Knoblocka”, no i oczywiście „Magazyny R i J”. W miejsce łąki wylano asfaltowe parkingi, ale tu i ówdzie zostały jeszcze kępy trawy z potłuczonym szkłem, kapslami i wszelkim innym śmieciem.

Samoobsługowy skład otaczało ogrodzenie z solidnych łańcuchów.

Do zespołu magazynów wielkości garażów samochodowych prowadziły dwie alejki oznaczone jako „Wjazd” i „Wyjazd”. Na małej tabliczce przytwierdzonej do ogrodzenia znajdowała się informacja, że biuro czynne jest codziennie w godzinach od 7.00 do 10.00 rano. Bramy wjazdowa i wyjazdowa były otwarte, na drzwiach przeszklonego kantorka zaś wisiała tabliczka „Otwarte”. Wszystkie te budynki pomalowano na biało i ozdobiono jasnoniebieskim paskiem. Wyglądały bardzo czysto i elegancko. Idealne miejsce, by rąbnąć w nim dwa tuziny trumien.

Wjechałam na teren składu i zaczęłam liczyć poszczególne boksy, aż dotarłam do numeru 16. Zaparkowałam przed tym magazynem, podeszłam i włożyłam klucz do zamka wciskając guzik, który uruchomił

hydrauliczne otwieranie drzwi. Kiedy się podniosły, na własne oczy mogłam się przekonać, że pomieszczenie jest rzeczywiście puste. Trumien ani śladu.

Stałam tak przez chwilę, wyobrażając sobie ustawione jedna na drugiej owe proste sosnowe skrzynki. Leżały tu sobie i nagle pewnego dnia zniknęły. Odwróciłam się i omal nie potrąciłam Morellego.

- Jezu Chryste! - krzyknęłam łapiąc się za serce. - Nie znoszę, kiedy skradasz się za mną w ten sposób. Co ty tu w ogóle robisz?

- Śledzę cię.

- Nie chcę, żebyś mnie śledził. Czy to przypadkiem nie narusza moich swobód obywatelskich? Zdaje się, że to podpada pod prześladowanie policyjne.

- Większość kobiet piałaby z zachwytu, gdybym się za nimi włóczył.

- Aleja nie jestem większość.

- Opowiedz mi coś o tym tutaj. - Wskazał ręką na pusty schowek. -

O co tu chodzi?

- Skoro musisz wiedzieć... Szukani trumien.

Morelli nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Mówię poważnie! Spiro miał tu dwa tuziny trumien i nagle gdzieś mu zniknęły.

- Zniknęły? To znaczy, że mu je skradziono? Czy zgłaszał to na policji?

Pokręciłam głową.

- Nie chciał wciągać w to policji, w obawie, żeby rozniosło się po mieście, iż kupił partię trumien i gdzieś mu przepadły.

- Nie chcę ci wchodzić w paradę, ale mi to brzydko pachnie. Ludzie, którym zginie coś wartościowego, zgłaszają to na ogół policji, żeby móc ubiegać się o odszkodowanie.

Zamknęłam drzwi i wrzuciłam klucz do torebki.

- Za odnalezienie tych trumien dostanę tysiąc dolarów. Nie mam ochoty zastanawiać się, czy tu coś cuchnie. Nie mam powodów, żeby podejrzewać w tym jakiś przekręt.

- No dobrze. A co z Kennym? Zdawało mi się, że go poszukujesz?

- Zabrnęłam w ślepią uliczkę.

- Poddajesz się?

- Nie, ale na razie sobie odpuszczam.

Otworzyłam drzwi jeepa, wskoczyłam za kierownicę i włożyłam kluczyk do stacyjki. Nim silnik zdążył zaskoczyć, Morelli już siedział obok mnie.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Ja jadę do kantorka pogadać z kierownikiem tej budy.

Morelli znów się uśmiechnął.

- To może być początek zupełnie nowej kariery. Jak się dobrze spiszesz, to może zaczniesz łapać hieny cmentarne i wandali niszczących nagrobki.

- Bardzo śmieszne. Wsiadaj z mojego samochodu.

- Myślałem, że pracujemy razem.

Akurat. Wrzuciłam wsteczny i zawróciłam. Zaparkowałam przed przeszklonym kantorkiem i wyskoczyłam z jeepa. Morelli deptał mi po piętach.

Zatrzymałam się i odwróciłam do niego.

- Stop. To moje indywidualne zadanie.

- Mogę ci się przydać - powiedział Morelli. - Machnę odznaką i przydam ci wiarygodności.

- Po co miałbyś to robić?

- Bo jestem miłym facetem.

Czułam, jak moje palce zaciskają się na jego koszuli. Z trudem się opanowałam.

- Spróbuj lepiej innej śpiewki.

- Kenny, Moogey i Spiro byli w liceum niczym syjamskie trojaczki.

Moogey nie żyje. Mam przeczucie, że Julia Cenetta jest dla Kenny'ego spalona. Może więc zwrócił się do Spira?

- Ja pracuję dla Spira, a ty jakoś nie bardzo wierzysz w tę historię z trumnami.

- Nie wiem, co o tym myśleć. Masz może jakieś dodatkowe informacje na temat tych trumien? Gdzie je kupiono? Jak wyglądały?

- Są z drewna, mają mniej więcej metr osiemdziesiąt długości...

- Nie cierpię przemądrzałych łowców nagród.

Pokazałam mu zdjęcie.

- Masz rację - powiedział. - Są z drewna i mają mniej więcej metr osiemdziesiąt.

- I są brzydkie.

- Tak. Zgadza się.

- I bardzo proste - dodałam.

- Babcia Mazurowa nie położyłaby się w czymś takim - stwierdził

Morelli.

- Nie każdy jest tak wybredny jak moja babcia. Jestem pewna, że u Stivy można znaleźć całą gamę trumien.

- Powinienem sam pogadać z kierownikiem - stwierdził Morelli. -

Jestem lepszy w te klocki.

- Dość tego. Wracaj do samochodu.

Mimo tych ciągłych utarczek musiałam przyznać, że nawet lubiłam Morellego. Zdrowy rozsądek nakazywał trzymać się od niego z daleka, ale nigdy nie byłam niewolnicą zdroworozsądkowego myślenia. Podobało mi się jego zaangażowanie w pracy i to, w jaki sposób wyrósł ze swych szczenięcych wybryków. Z dawnego cwane ulicznika, stał się cwany policjantem. Nie da się ukryć, że było w nim sporo męskiego szowinizmu, ale czy to tylko jego wina? W końcu pochodził z New Jersey i co więcej, należał do rodziny Morellich. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, radził sobie całkiem nieźle.

Kantorek tworzyło jedno niewielkie pomieszczenie przedzielone ladą. Stała za nią kobieta w białej koszulce z niebieskim logo „Magazyny R i J”, lat około czterdziestu - pięćdziesięciu, o miłej twarzy i dość pulchnej sylwetce. Skinęła głową w moją stronę, po czym skupiła uwagę na Morellim, który oczywiście nie posłuchał mojego polecenia i stanął tuż za moimi plecami.

Morelli miał na sobie sprane dzinsy, które dość sugestywnie opinały jego sprężyste ciało zarówno z przodu, jak i z tyłu. Pod brązową skórzaną kurtką nosił ukrytą broń. Kobieta z „R i J” wyraźnie przełknęła ślinę z wrażenia i z trudem oderwała wzrok od dzinsów mojego towarzysza.

Powiedziałam jej, że sprawdzałam skrytkę znajomego i zainteresowały mnie kwestie bezpieczeństwa.

- Kto to taki? - zapytała.

- Spiro Stiva.

- Bez obrazy - powiedziała krzywiąc się - ale on ma w skrytce pełno trumien. Mówił, że są puste, ale wszystko jedno. I tak nie podejść tam bliżej niż na dziesięć metrów. Chyba nie musi się pani martwić o bezpieczeństwo. Któż u diabła miałby ochotę kraść trumny?

- Skąd pani wie, że Spiro trzyma tam trumny?

- Widziałam, jak je rozładowywał. Było ich tyle, że przywieźli je ciężarówką i zdejmowali wózkiem widłowym.

- Pracuje tu pani na pełny etat? - zapytałam.

- Ja tu pracuję cały czas. To ja jestem Rz „Ri J”. Mam na imię Roberta - wyjaśniła.

- Czy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy przyjeżdżały tu jeszcze jakieś inne duże ciężarówki?

- Było kilka wielkich TIR-ów. A co, czy coś się stało?

Spiro kazał mi wprawdzie zachować dyskrecję, ale nie widziałam sposobu, by zdobyć potrzebne mi informacje bez wtajemniczenia Roberty w sprawę. Poza tym na pewno i tak miała uniwersalny klucz i na pewno po naszym wyjeździe przemogłaby strach i sprawdziła skrytkę Spira, odkrywając brak trumien.

- Otóż trumny Stivy zniknęły - powiedziałam. - Boks jest pusty.

- To niemożliwe! Nie można ot tak sobie zabrać takiej liczby trumien. Było ich naprawdę dużo. Cały boks był zastawiony! Ciągłe podjeżdżają tu wprawdzie jakieś ciężarówki, ale przecież zauważyłabym, gdyby ładowali trumny!

- Boks szesnasty stoi trochę z tyłu - zasugerowałam. - Stąd go nie widać. No i być może nie zabierali wszystkiego za jednym razem.

- Ale jak się dostali do środka? - zastanawiała się Roberta. - Czy zamek jest wyłamany?

Ba, sama chciałabym wiedzieć, jak to się stało. Zamek nie był

wyłamany, a Spiro podkreślał, że klucz nosił zawsze przy sobie.

Oczywiście mógł kłamać.

- Czy mogłabym spojrzeć na listę innych waszych najemców? -

poprosiłam. - I gdyby mogła pani sobie przypomnieć, czy w okolicy boksów Spira podjeżdżały może jakieś ciężarówki. Oczywiście wystarczająco duże, żeby przewieźć te trumny.

- Stiva jest ubezpieczony - powiedziała Roberta. - Każdy najemca musi się ubezpieczyć.

- Nie może ubiegać się o zwrot pieniędzy, dopóki nie zgłosi kradzieży na policji, a na razie Spiro wolałby nie nadawać tej sprawie rozgłosu.

- Prawdę mówiąc ja też wolałabym, żeby się to nie rozniosło. Nie chciałabym, żeby ludzie myśleli, że w naszych magazynach buszują złodzieje. - Wstukała kilka komend do komputera i wydrukowała listę najemców. - To ci, którzy są aktualnie w rejestrze. Kiedy ktoś zwalnia magazyn, trzymamy go jeszcze w bazie danych przez trzy miesiące, po czym komputer go wykasowuje.

Zaczęliśmy z Morellim przeglądać listę, ale nie znaleźliśmy na niej żadnych znajomo brzmiących nazwisk.

- Czy przy wynajmie boksów wymagacie jakichś dokumentów tożsamości? - zapytał Morelli.

- Prawa jazdy - odparła Roberta. - Firma ubezpieczeniowa każe nam zawsze sprawdzać jakiś dokument z fotografią.

Złożyłam wydruk i wrzuciłam go do torebki. Wręczyłam Robertce wizytówkę i poleciłam zadzwonić, gdyby sobie cokolwiek przypomniała.

Przyszło mi jeszcze do głowy, aby sprawdzić, czy czasem nie zginęło coś i z pozostałych skrytek. Poprosiłam Robertę, aby skorzystała ze swoich kluczy i zajrzała razem z nami do pozostałych boksów. Być może trumny wcale nie opuściły terenu składu.

Kiedy potem wróciliśmy do jeepa, jeszcze raz rzuciliśmy okiem na wydruk, ale niczego nie udało nam się zeń wydedukować.

Roberta wypadła z kantorka z kluczami w rękę i telefonem komórkowym w kieszeni.

- Poszukiwacze zaginionych trumien - westchnął Morelli patrząc, jak Roberta znika za rogiem pierwszego rzędu boksów. Osunął się na siedzeniu. - Coś mi tu nie pasuje. Po co ktoś miałby kraść trumny? Są wielkie i ciężkie, a nieoficjalny rynek trumien w ogóle nie istnieje.

Podejrzewam, że w tych boksach są pewnie towary, które o wiele łatwiej w ten sposób upłynnić. Po co komu kraść akurat trumny?

- Może były komuś potrzebne. Na przykład jakiemuś pechowemu przedsiębiorcy pogrzebowemu? Choćby Moselowi. Od kiedy Stiva rozbudował swój zakład, dla Mosela nastały ciężkie czasy. Może Mosel wiedział, że Spiro trzyma w schowku trumny i którejs ciemnej nocy zakradł się i zwinął mu je sprzed nosa.

Morelli popatrzył na mnie, jakbym była Marsjanką.

- Wiesz przecież, że to możliwe - powiedziałam. - Nie takie rzeczy już się zdarzały. Wydaje mi się, że powinniśmy pokręcić się po domach pogrzebowych i zobaczyć, czy nie wystawili kogoś w trumnie Spira.

- O Boże.

Poprawiłam torebkę na ramieniu.

- Wiesz, wczoraj u Stivy był pewien facet nazwiskiem Sandeman.

Znasz go?

- Dwa lata temu zapuszkowałam go za posiadanie prochów. Wpadł

w obławie.

- „Leśnik” mówi, że Sandeman pracował z Moogeyem na stacji benzynowej. Ponoć był tam wtedy, gdy Moogey został postrzelony w kolano. Zastanawiałam się nawet, czy z nim rozmawiałeś.

- Nie. Jeszcze nie. Tamtego dnia sprawę prowadził Scully. To on przepytował Sandemana, ale niewiele się dowiedział. Do strzelaniny doszło w kantorku, a Sandeman pracował akurat w warsztacie przy jakimś samochodzie. A że miał włączoną sprężarkę, nie słyszał wystrzału.

- Pomyślałam, że warto by go zapytać, czy ma jakiś pomysł na odnalezienie Kenny’ego.

- Proszę cię, nie zbliżaj się za bardzo do Sandemana. To prawdziwy świr. Zły charakter, złe maniery.
- Morelli wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. - Ale za to doskonały mechanik.

- Będę uważała.

Morelli spojrzał na mnie tak, jakby zupełnie nie wierzył w moje słowa.

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą pojechał? - zapytał. - Mam niezłą smykałkę do ściskania ludzi w imadle.

- Nie zamierzam nikogo ścisnąć w imadle, ale mimo wszystko dziękuję za propozycję.

Fairlane Morellego stał obok jeepa.

- Podoba mi się ta Hawajka na tylnej półce - powiedziałam. - Niezłe cacko.

- To pomysł Constanzy. W środku jest antena.

Przyjrzałam się lalce dokładniej i rzeczywiście - z czubka głowy wystawała jej końcówka anteny. Zmrużyłam oczy i spojrzałam na Morellego.

- Obiecuj, że nie będziesz mnie śledził, dobrze?

- Najpierw musisz mnie o to poprosić.

- Nigdy w życiu.

Morelli zrobił minę mówiącą, że i tak wie swoje.

Przejechałam przez miasto i skręciłam w aleję Hamiltona. Siedem przecznic dalej wjechałam na parking przy stacji benzynowej Delio.

Wczesnym rankiem i wieczorem ruch przy dystrybutorach był wielki, ale o tej porze dnia stacja zamierała. Drzwi do kantorka stały otworem, a w samym pomieszczeniu nie było nikogo. Za kantorkiem znajdowały się drzwi do warsztatu. Dwa stanowiska były puste, ale na trzecim stał samochód.

Sandeman pracował w pobliżu. Wywazał koło. Miał na sobie czarną wyblakłą koszulkę na ramiączkach z nadrukiem Harley-Davidsona.

Koszulka kończyła się mniej więcej pięć centymetrów nad poplamionymi smarem dżinsami. Ramiona i barki Sandemana były wytatuowane w węże z obnażonymi jadowitymi zębami i rozdwojonym językiem.

Pomiędzy węzami tkwiło czerwone serce z napisem „Kocham Jean”.

Szczęśliwa dziewczyna. Pomyślałam, że do pełnego obrazu Sandemana brakuje mi tylko psujących się zębów i kilku wstrętnych pryszczu na twarzy.

Kiedy mnie ujrzał, wyprostował się i otarł ręce o spodnie.

- Co jest?

- Ty jesteś Perry Sandeman?

- Zgadza się.

- Stephanie Plum - przedstawiłam się, darując sobie tym razem wstępny uścisk dłoni. - Pracuję dla firmy, która złożyła poręcznie za Kenny'ego Mancuso. Próbuję odnaleźć Kenny'ego.

- Ja go nie widziałem - uciał Sandeman.

- Wiem, że on i Moogey się przyjaźnili.

- Ja też tak słyszałem.

- Czy Kenny często zaglądał na stację?

- Nie.

- Czy Moogey kiedykolwiek wspominał o Kennym?

- Nie.

Chyba marnuję tutaj swój czas, doszłam do wniosku.

- Byłeś w pracy tego dnia, kiedy Moogeya postrzelono w kolano? -

spróbowałam jeszcze raz. - Czy według ciebie była to przypadkowa strzelanina?

- Byłem w warsztacie. Nic nie wiem. Koniec pytań. Muszę wracać do roboty.

Dałam mu swoją wizytówkę i poprosiłam o telefon, gdyby coś sobie przypomniał.

Przedarł wizytówkę na pół i rzucił skrawki papieru na cementową posadzkę.

Każda inteligentna kobieta z godnością by się w tym momencie wycofała, ale mieszkamy w New Jersey, gdzie godność zawsze przegrywa z chęcią wygarnięcia komuś prosto w twarz.

Pochyliłam się do przodu i oparłam ręce na biodrach.

- Coś ci nie pasuje, koleś?

- Nie znoszę glin. Dotyczy to także glin w spódnicach.

- Nie jestem gliną. Jestem pracownikiem firmy poręczycielskiej.

- Jesteś pieprzonym łowcą nagród w spódnicy. Nie rozmawiam z takimi cipkami.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie cipką i się wścieknę.

- I co, już mam się bać?

W torebce miałam aerozol z pieprzem i aż mnie korciło, żeby z niego skorzystać. Miałam też pistolet elektryczny. Sprzedawczyni w sklepie z bronią namówiła mnie na jego kupno, ale do tej pory nie miałam okazji go wypróbować. Zastanawiałam się, czy zacząłby się bać, gdybym mu wrzepiła 45 tys. woltów w logo Harleya.

- Pamiętaj tylko jedno, Sandeman, że nie powinieneś zatajać żadnych informacji. Twój kurator mógłby się nieźle wkurzyć.

Położył mi rękę na ramieniu z taką siłą, że aż cofnęłam się o krok.

- Nie drażnij mnie takimi gadkami, bo prędko możesz się przekonać, dlaczego mam ksywę „Sandman”. Przemyśl to sobie.

Na pewno nie tak prędko.

Rozdział 5

Kiedy wyjechałam ze stacji benzynowej, było jeszcze wczesne popołudnie. Od Sandemana dowiedziałam się tylko tyle, że nie darzy mnie sympatią. Zresztą z wzajemnością. Wydawało mi się, że w zwykłych okolicznościach Kenny nie mógłby się kumplować z Sandemanem, ale widać nie były to normalne warunki. Sandeman miał w sobie coś, co wzbudzało mój niepokój.

Nie paliłam się do grzebania w jego życiorysie, ale doszłam do wniosku, że warto mu poświęcić trochę uwagi. Chciałam przynajmniej rzucić okiem na jego przytulne gniazdko i sprawdzić, czy przypadkiem nie dzieli go z Kennym.

Przejechałam aleją Hamiltona i niedaleko biura Vinniego znalazłam wolne miejsce na chodniku. Gdy weszłam do biura, Connie, zła niczym chmura gradowa, trzaskała szufladami i klęła na czym świat stoi.

- Twój kuzyn to prawdziwy skurwysyn - ryknęła na mnie. –

Stronzo! [Stronzo (z wł.) - szuja, drań.]

- Co tym razem przeskrobał?

- Pamiętasz tę nową pracownicę, którą niedawno zatrudniliśmy?

- Sally jakaś tam.

- Tak. Sally, geniusz alfabetu.

Rozejrzałam się po biurze.

- Zdaje się, że jej już tu nie ma.

- I nic dziwnego. Twój kuzynek Vinnie przydybał, ją jak pochylała się nad szufladą kartoteki z literą D, i próbował się z nią zabawić w chowanie parówki.

- Domyślam się, że Sally nie miała ochoty na tę zabawę.

- Wybiegła stąd z krzykiem, wrzeszcząc, że jej pensję możemy wpłacić na cele dobroczynne. Teraz nie ma nikogo do segregowania, więc zgadnij, kto tu wyrabia nadgodziny? - Connie kopnięciem zamknęła szufladę. - To już trzecia pracownica w ciągu dwóch miesięcy!

- Może powinniśmy zrobić zrzutkę i wykastrować Vinniego?

Connie otworzyła środkową szufladę swego biurka i wyjęła nóż sprężynowy. Wcisnęła guzik i ostrze wyskoczyło z groźnym trzaskiem.

- Może lepiej zrobmy to same!

Zadzwoił telefon i Connie schowała nóż do szuflady. W czasie gdy ona rozmawiała, ja przejrzałam archiwum w poszukiwaniu teczki Sandemana. Nie był tu odnotowany, więc albo nie zabiegał o poręczenie, albo korzystał z usług innej firmy poręczycielskiej. Zaczęłam przeglądać książkę telefoniczną Trenton, ale tam również niczego nie znalazłam.

Zadzwoiłam do Loretty Heinz z biura meldunkowego. Przyjaźniłyśmy się z Loretą od dawna. Należałyśmy do tej samej drużyny harcerskiej i wspólnie jakoś przebrnęłyśmy przez najgorsze dwa tygodnie w moim życiu na obozie w Sacajawea. Loretta wstukała coś szybko do komputera i oto proszę, miałam adres Sandemana.

Przepisałam go i mruknęłam Connie „do widzenia”.

Sandeman mieszkał przy ulicy Morton, w dzielnicy wielkich domów z betonu, które powoli szły w rozsypkę. Wszędzie widać było zaniedbane trawniki, w brudnych oknach wisiały podarte zasłony, a na ścianach kwitła sprayowa twórczość młodocianych gangów. Większość domów zasiedlało kilku lokatorów. W niektórych spalonych i opuszczonych budynkach otwory okienne zabito deskami. Widać też było domy odremontowane, którym starano się przywrócić ich dawny splendor i dostojeństwo.

Sandeman mieszkał w budynku wraz z kilkoma innymi rodzinami.

Nie był to może najpiękniejszy obiekt przy tej ulicy, ale też i nie najgorszy.

Na frontowych schodach siedział jakiś staruszek o pożółkłych białkach oczu i posiwiałych włosach. Srebrna szczecina pokrywała zapadłe policzki, a skórę miał ciemną niczym smoła. Z kącika ust wystawał mu papieros. Staruszek zaciągnął się i skrzywił na mój widok.

- Od razu wyczuwam gliniarzy - powiedział.

- Nie jestem policjantką. - O co im wszystkim chodzi z tą policją?

Spojrzałam na swoje martensy zastanawiając się, czy to przypadkiem nie bierze się z powodu butów. Morelli miał chyba rację. Może rzeczywiście powinnam się ich pozbyć.

- Szukam Perry'ego Sandemana - oznajmiłam pokazując staruszkowi wizytówkę. - Szukam też jego przyjaciela.

- Sandemana nie ma w domu. W dzień pracuje na stacji benzynowej. Zresztą wieczorami też go trudno zastać. Wraca tu, kiedy się spije albo naćpa. A wtedy jest bardzo nieprzyjemny i lepiej się od niego trzymać z daleka. Kiedy jest pod gazem, dostaje małego rozumu. Ale to dobry mechanik. Każdy to pani powie.

- Wie pan może, pod którym mieszka?

-3C.

- Jest tam ktoś teraz?

- Nie widziałem, żeby ktoś wchodził.

Minęłam staruszkę i weszłam do budynku. Stałam przez chwilę, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Otaczało mnie zatęchłe powietrze.

Czuć w nim było odór z kiepskiej kanalizacji. Poplamiona tapeta odłaziła od ścian. Drewniana podłoga aż chrzęściła od śmieci.

Wyjęłam z torebki aerozol obronny i przełożyłam go do kieszeni spodni. Powoli wchodziłam po schodach. Na drugim piętrze było troje drzwi. Wszystkie zamknięte na głucho. Zza jednych dobiegał dźwięk telewizora. W pozostałych dwóch mieszkaniach panowała cisza.

Zastukałam do drzwi z tabliczką 3C i czekałam na odzew. Zastukałam ponownie. Nic.

Z jednej strony bałam się jak diabli spotkania oko w oko z kryminalistą i chciałam się stąd czym prędzej wynieść. Ale z drugiej strony chciałam też złapać Kenny'ego i czułam się zmuszona przez to przejść.

Na końcu korytarza zauważyłam okno. Za szybą widać było jakąś pordzewiałą konstrukcję, która wyglądała mi na drabinkę przeciwpożarową. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Wszystko się zgadzało, to była drabinka i na dodatek przylegała do okna Sandemana. Gdybym na nią weszła, mogłabym zajrzeć do jego mieszkania. Na dole nie zauważyłam nikogo. W kamienicy stojącej naprzeciwko wszystkie okna miały pozaciągane zasłony. Należało działać.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki, oddech. Co złego mogło mnie spotkać? Mogłam zostać aresztowana, zastrzelona, pobita na kwaśne jabłko, no i mogłam też spaść i połamać sobie kości. A wariant optymistyczny? W mieszkaniu nie będzie nikogo, a ja będę mogła w nim pobuszować.

Otworzyłam okno i wyszłam na drabinkę przeciwpożarową.

Metalowe schodki znałam jak własną kieszeń, gdyż sama miałam takie przy oknie i spędziłam na nich wiele czasu. Szybko przemknęłam pod okno Sandemana i zajrzałam do środka. W mieszkaniu stała nie zaścielona prycza, która służyła za łóżko. Umeblowania dopełniał

niewielki stół kuchenny, krzesło, telewizor na metalowym stojaku i lodówka. Na dwóch wbitych w ścianę hakach wisiało kilka drucianych wieszaków. Na stole leżało rozgrzebane jedzenie na wynos z jakiejś knajpy, pogiete puszki po piwie, zatłuszczone papierowe tacki i pomięty papier. W mieszkaniu nie było żadnych innych drzwi, doszłam więc do wniosku, że Sandeman musi korzystać z ubikacji na pierwszym piętrze.

No, nie zazdroszczę mu.

Co najważniejsze, nie znalazłam nawet śladu Kenny'ego. Jedną nogą stałam już na korytarzu, kiedy zerknęłam na dół.

Między prętami żelaznej konstrukcji dostrzegłam, że staruszek z dołu stoi dokładnie przede mną i patrzy do góry osłaniając oczy od słońca. Wciąż trzymał moją wizytówkę.

- I co, jest tam ktoś? - zapytał.

- Nie.

- Tak też myślałem - powiedział. - Przez jakiś czas go nie będzie.

- Ładna drabinka przeciwpożarowa. 63

- Przydałoby się to i owo naprawić. Wszystkie bolce pordzewiały. Ja na pani miejscu bym jej nie ufał. No, ale rzecz jasna, jakby się paliło, to i tak nikt by nie zważał na rdzę.

Posłałam mu zakłopotany uśmiech i wcisnęłam się przez okno na korytarz. Czym prędzej zbiegłam po schodach i wypadłam z budynku.

Wskoczyłam do jeepa, zablokowałam drzwi i odjechałam.

Pół godziny później byłam już u siebie i zastanawiałam się, co założyć na wieczorną wyprawę detektywistyczną. Zdecydowałam się na botki, długą dzinsową spódnicę i białą koszulę. Poprawiłam makijaż i nakręciłam włosy na wałki. Później, kiedy fryzura była już gotowa, wyglądałam na wyższą o kilka centymetrów. Może nie przyjęliby mnie jeszcze do ligi zawodowej koszykówki, ale na pewno byłabym w stanie onieśmielić Pigneja.

Właśnie zastanawiałam się, czy zamówić coś z Burger Kinga czy z Pizzy Hut, kiedy rozdzwonił się telefon.

- Stephanie - usłyszałam w słuchawce głos matki - ugotowałam wielki gar gołąbków. No, a na deser jest ciasto.

- Mniem, cóż za pyszności - powiedziałam. - Ale niestety, mam inne plany na dzisiejszy wieczór.

- Jakie plany?

- Dotyczące kolacji.

- Umówiłaś się na randkę?

- Nie.

- No to nie ma sprawy.

- Mamo, w życiu są jeszcze inne problemy oprócz randek.

- Na przykład jakie?

- Na przykład praca.

- Stephanie, Stephanie, Stephanie. Przecież ty łapiesz chuliganów dla tego huncwota Vinniego. Co to

za praca.

Miałam wielką ochotę walić głową o ścianę.

- Mam też lody waniliowe - kusiła matka.

- Dietetyczne?

- Nie, te drogie, które sprzedają w kartonowych kubkach.

- No dobrze - ustąpiłam. - Przyjadę.

Rex wysunął głowę z puszek i przeciągnął się, unosząc pupę do góry.

Ziewnął tak, że można go było przejrzeć na wylot. Obwąchał miseczkę na jedzenie, ale nic w niej nie znalazł, więc powędrował do swojego kółka.

Zreferowałam mu, jak zamierzam spędzić wieczór, żeby się nie martwił, że późno wrócę do domu. W kuchni zostawiłam zapalone światło, włączyłam sekretarkę i wzięwszy pod pachę torebkę i brązową kurtkę, zamknęłam za sobą drzwi. Przyjadę trochę za wcześnie, ale to nie szkodzi. Będę miała czas, żeby przejrzeć nekrologi i postanowić, gdzie się wybrać po kolacji.

Kiedy zajechałam przed dom rodziców, zaczęły zapalać się uliczne latarnie. Sierp księżycy wisiał nisko na ciemniejszym wieczornym niebie.

Od popołudnia zdążyło się już oziębic.

W korytarzu przywitała mnie babcia Mazurowa. Siwe włosy miała ciasno skręcone w małe loczki. Spomiędzy nich wyzierała różowa skóra głowy.

- Byłam dziś w salonie piękności - oznajmiła. - Pomyślałam, że może uda mi się czegoś dowiedzieć w sprawie Mancusa.

-1 jak poszło?

- Całkiem nieźle. Mam parę nowin. Norma Szajack, kuzynka Betty, farbowała sobie włosy. Wszyscy mnie namawiali, żebym zrobiła to samo.

Może nawet dałabym się skusić, ale w telewizji mówili, że od farby do włosów można dostać raka. To było chyba w programie Kathy Lee. W

studiowała kobieta z guzem wielkości piłki koszykowej i mówiła, że to od farbowania włosów. Ale do rzeczy. Rozmawiałam z Normą. Czy wiesz, że syn Normy, Billie, chodził do szkoły z Kennym Mancuso? Teraz pracuje w kasynie w Atlantic City. Norma powiedziała mi, że kiedy Kenny wyszedł z wojska, zaczął tam bywać. Billie jej powiedział, że Kenny przepuszczał tam sporo grosza.

- A nie wspominała może, kiedy Kenny był ostatnio w Atlantic City?

- Tego nie mówiła. Wiem tylko, że Kenny zadzwonił do Billiego trzy dni temu i prosił go o pożyczkę. Billie się zgodził, ale Kenny już się potem nie odezwał.

- I Billie powiedział to wszystko matce?

- Opowiedział żonie, a ta poszła i wygadała wszystko Normie.

Pewnie nie podobało jej się, że Billie chce pożyczyć pieniądze Kenny'emu.

Wiesz, jakie jest moje zdanie? - spytała babcia Mazurowa. - Ja myślę, że Kenny'ego ktoś załatwił. Założę się, że już go zjadły rybki. Widziałam w telewizji, jak zawodowcy pozbywają się ciała. Pokazywali to w programie edukacyjnym. Najpierw podrzynają ofierze gardło i wieszają ją do góry nogami w prysznicu, żeby się wykrwawiła. W ten sposób mają pewność, że nie zaplamia dywanu ani pościeli. Potem trzeba wypatroszyć ciało i nakłuć płuca. Jeśli się nie nakłuje płuc, to ciało wypłynie po wrzuceniu do rzeki.

Matka jęknęła w kuchni. Z salonu dobiegł mnie też zduszony śmiech ojca zaczytanego w gazecie.

Zadzwonił dzwonek i babcia Mazurowa skoczyła na równe nogi.

- Mamy gości!

- Gości - powtórzyła matka. - Jakich gości? Przecież nikogo nie zapraszałam.

- Ale ja zaprosiłam chłopaka dla Stephanie - oznajmiła babcia. - To naprawdę niezła partia. Może nie wygląda zbyt atrakcyjnie, ale ma dobrze płatną posadę.

Babcia otworzyła drzwi i do środka wszedł Spiro Stiva.

Ojciec wyrzął z gazety.

- Chryste - powiedział - to ten cholerny grabarz.

- No nie, aż tak bardzo mi na tych gołąbkach nie zależy -

powiedziałam do matki.

Poklepała mnie po ramieniu.

- Może nie będzie tak źle. A ze Stivą trzeba dobrze żyć. Wiesz przecież, że babcia nie robi się

młodsza, wręcz przeciwnie.

- Zaprosiłam Spira do nas, bo jego matka całe dni przesiaduje w szpitalu przy łóżku Cona i Spiro zupełnie nie jada domowych posiłków. -

Babcia mrugnęła do mnie i szepnęła. - Ale cię tym razem zaskoczyłam!

Rzeczywiście.

Matka ustawiła na stole dodatkowe nakrycie.

- Zapraszamy, a jakże - zwróciła się do Spira. - Zawsze powtarzamy Stephanie, że powinna przyprowadzać do nas swoich znajomych.

- Ale ostatnio stała się taka wybredna, że w ogóle z nikim sienie umawia - wyjaśniła babcia. - Zobaczysz, Spiro, co będzie na deser. Ciasto.

Stephanie sama je upiekła.

- Nieprawda.

- Gołąbki też sama zrobiła - kłamała babcia jak najęta. - Będzie z niej kiedyś wspaniała żona.

Spiro spojrzał na koronkowy obrus i porcelanowe talerzyki ozdobione różowymi kwiatuśkami.

- Właśnie się rozglądam za żoną. Człowiek o moim statusie musi myśleć o przyszłości.

Że co? Rozgląda się za żoną?

Spiro zajął przy stole miejsce obok mnie. Dyskretnie odsunęłam od niego krzesło w nadziei, że może to pozwoli zlikwidować gęsią skórę na moich rękach.

Babcia podała Spirowi gołąbki.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli porozmawiamy o twojej branży? - zapytała - Mam masę pytań. Na przykład zawsze się zastanawiałam, czy zakładacie nieboszczykom bieliznę. W sumie im i tak jest już wszystko jedno, ale z drugiej strony...

Ojciec zamarł z pudełkiem margaryny w jednym ręku i nożem w drugim. Przez krótką chwilę pomyślałam, że gotów jest nim przebić babcie Mazurową.

- Wydaje mi się, że Spiro nie ma ochoty rozmawiać o bieliźnie -

zasugerowała matka.

Spiro skinął głową i uśmiechnął się do babci.

- Poza tym to tajemnica zawodowa - oświadczył.

Za dziesięć siódma Spiro skończył drugą porcję ciasta i oznajmił, że musi już iść na wieczorną ceremonię.

Babcia Mazurowa pomachała do niego, kiedy ruszał spod domu.

- Było całkiem nieźle - powiedziała. - On chyba cię lubi.

- Chcesz jeszcze lodów? - zapytała matka. - A może kawy?

- Nie dziękuję. Obżarłam się. Poza tym mam jeszcze trochę roboty.

- A cóż takiego chcesz robić po nocy?

- Muszę objechać kilka domów pogrzebowych.

- Jakich domów pogrzebowych? - krzyknęła babcia z korytarza.

- Zaczynam od Sokolovsky'ego.

- A kto leży u Sokolovsky'ego?

- Helen Meyer.

- Nie znałam jej, ale może i ja powinnam jej oddać szacunek, skoro byliście takimi dobrymi przyjaciółkami - stwierdziła babcia Mazurowa.

- Od Sokolovsky'ego jadę do Mosela, a potem do „Wiecznego odpoczynku”.

- „Wieczny odpoczynek”? Nigdy tam nie byłam - zdziwiła się babcia.

- To jakiś nowy dom? W Miasteczku?

- Nie. To na ulicy Stark.

Matka aż się przeżegnała.

- Trzymajcie mnie - jęknęła.

- Ulica Stark nie jest taka zła.

- Pełno tam handlarzy narkotyków i morderców. Ty pochodzisz z zupełnie innej dzielnicy. Frank, pozwolisz jej, żeby jechała po nocy na Stark?

Na dźwięk swego imienia ojciec podniósł głowę znad talerza.

- Co?

- Stephanie wybiera się na Stark.

Ojciec najwyraźniej był całkowicie pochłonięty jedzeniem ciasta i niewiele do niego docierało.

- A co, chce, żeby ją podwieźć?

Matka przewróciła oczyma.

- Sama widzisz, z kim ja tu mieszkam.

Babcia była już niemal gotowa do wyjścia.

- Zaczekaj chwileczkę. Pójdę tylko po torebkę i możemy jechać.

Przed lustrem w korytarzu pociągnęła pomadką usta, zapięła wełniany płaszcz i zarzuciła sobie na ramię czarną skórzaną torebkę.

Wełniany płaszcz był jaskrawoczerwonego koloru i miał futrzany kołnierz. Z upływem lat płaszcz zdawał się rosnąć w przeciwieństwie do babci, która zaczęła się kurczyć. Teraz sięgał jej prawie do kostek. Ujęłam babcię za łokieć i zaprowadziłam do jeepa. Miałam wrażenie, że pod ciężarem tego płaszcza zaraz ugną się pod nią nogi. W myślach widziałam ją już bezbronną, leżącą na chodniku w morzu czerwonej wełny, z którego wystają jedynie buty.

Tak jak planowałyśmy, najpierw pojechaliśmy do Sokolovsky'ego.

Helen Meyer wyglądała pociągająco w bladobłękitnej koronkowej sukience i z lekko podbarwionymi płukanką włosami. Babcia okiem profesjonalistki przyjrzała się makijażowi zmarłej.

- Powinni byli dać jej więcej zielonkawego korektora pod oczy -

oceniła. - Przy takim oświetleniu jak tutaj, nie ma innego wyjścia. W

nowych salach u Stivy światło jest przytłumione i wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Zostawiłam babcię samą, by poszukać Melvina Sokolovsky'ego.

Znalazłam go w gabinecie, tuż obok głównego wejścia. Drzwi były otwarte, a Sokolovsky siedział za eleganckim mahoniowym biurkiem i coś wstukiwiał do laptopa. Zapukałam cicho, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Sokolovsky był przystojnym mężczyzną około czterdziestki. Nosił

tradycyjny czarny garnitur, białą koszulę i krawat w dyskretne paski.

Na mój widok uniósł brwi do góry.

- Słucham?

- Chciałabym omówić pewne sprawy dotyczące pogrzebu -

oznajmiłam. - Moja babcia się starzeje, pomyślałam więc, że nie od rzeczy będzie zorientować się w cenach trumien.

Z czeluści biurka Sokolovsky wyjął wielki, oprawny w skórę katalog i otworzył go.

- Mamy różne opcje pogrzebowe i ogromny wybór trumien.

Pokazał mi trumnę o nazwie „Montgomery”.

- Ładna - powiedziałam. - Pewnie droga jak diabli.

Odwrócił kilka stron i pokazał mi trumny z sosny.

- Oto bardziej oszczędna propozycja. Jak pani widzi, skrzynki są dość ładne i mają mahoniowe wstawki oraz mosiężne rączki.

Przejrzałam wszystkie najskromniejsze wzory, ale nie zauważyłam nic równie żalosnego, jak owe zaginione trumny młodego Stivy.

- To najtańsza oferta? - zapytałam. - Nie ma pan czegoś bez wstawek?

Na twarzy Sokolovsky'ego malował się wyraz bólu.

- A dla kogo ma być ta trumna?

- Dla mojej babci.

- Czy nie uwzględniła pani w testamencie?

No tak, jeszcze tylko tego brakowało, kolejny sarkastyczny grabarz.

- To co, ma pan zwykle proste trumny, czy nie?

- W Miasteczku nikt nie kupuje prostych trumien. A może zechciałaby pani wziąć na raty? Poza tym moglibyśmy trochę zaoszczędzić na makijażu... No wie pani, ułożylibyśmy babci włosy tylko tam, gdzie widać.

Wstałam i byłam już prawie przy drzwiach.

- Zastanowię się.

Sokolovsky zerwał się równie szybko jak ja i wsunął mi w rękę jakieś foldery.

- Na pewno coś wspólnie wymyślimy. Mam na przykład do sprzedania okazijną kwaterę na cmentarzu...

W korytarzu wpadłam na babcię Mazurową.

- Co on mówił o kwaterze? - zapytała. - Przecież my już mamy miejsce. I to dobre. Obok hydrantu. Cała rodzina tam leży. Oczywiście, kiedy chowaliśmy ciocię Marion, trzeba było nieco obniżyć wujka Freda i położyć ją na nim. Mnie pewnie położą na twoim dziadku. Zawsze to samo. Nawet po śmierci nie można liczyć na odrobinę prywatności.

Kątem oka dostrzegłam, że zbliża się w naszą stronę Sokolovsky, wyraźnie biorąc na cel babcię Mazurową.

Babcia też to zauważyła.

- Spójrz tylko na tego Sokolovsky'ego - rzekła. - Nie może oczu ode mnie oderwać. To pewnie przez tę nową sukienkę.

Jako drugi odwiedziłyśmy dom pogrzebowy Mosela. Następnie udałyśmy się do Dorfmana i do „Styksu”. W drodze do „Wiecznego Odpoczynku”, czułam się już cała przesiąknięta śmiercią. Ubranie przeniknięte było wonią ciętych kwiatów, a ja cały czas mówiłam przyciszonym głosem.

Babcia Mazurowa bawiła się nieźle jeszcze u Mosela. U Dorfmana była już bardzo znużona, a do „Styksu” w ogóle nie weszła, tylko czekała na mnie w jeepie, aż skończę wywiad na temat cen.

„Wieczny odpoczynek” był ostatnim domem pogrzebowym z mojej listy. Przejechałam przez centrum miasta, minęłam budynki rządowej administracji i zjazdy w kierunku Pensylwanii. Było już po dziewiątej i śródmiejskie ulice obejmowali we władanie ludzie nocy: prostytutki, handlarze narkotyków, ich klienci oraz młodzieżowe gangi.

Skręciłam prosto w ulicę Starka i natychmiast znalazłyśmy się w przygnębiającej dzielnicy brudnych ceglanych kamienic i drobnych sklepików. Drzwi do barów stały tam otworem, rzucając na cementowy chodnik prostokątne plamy światła. Przed barami kręcili się mężczyźni, którzy zabijali tu po prostu czas lub robili jakieś interesy, ale przede wszystkim starali się zaimponować innym. Chłód wygonił większość mieszkańców do domów. Na ulicy pozostali tylko najbiedniejsi z biednych.

Babcia Mazurowa wierciła się na siedzeniu z nosem przytkniętym do szyby.

- A więc to jest ulica Starka - powiedziała. - Słyszałam, że w tej części miasta aż się roi od dziwek i handlarzy narkotyków. Strasznie chciałabym ich zobaczyć. Kiedyś w telewizji widziałam jakieś prostytutki, ale potem okazało się, że to byli faceci. Jeden z nich miał na sobie pończochy elastyczne i mówił, że musi sobie przyklejać członka między nogami, żeby go nie było widać. Wyobrażasz to sobie?

Zaparkowałam niedaleko domu pogrzebowego i przyglądałam się temu budynkowi. Był to jeden z nielicznych domów na tej ulicy nie pokryty graffiti. Białe ściany wyglądały na świeżo odnowione, a zainstalowane u góry oświetlenie jeszcze podkreślało wrażenie czystości.

W kręgu światła stała grupka mężczyzn w garniturach. Rozmawiali i palili papierosy. Otworzyły się drzwi i z budynku wyszły dwie kobiety w odświętnych strojach. Podeszły do dwóch mężczyzn i cała czwórka ruszyła w stronę samochodu. Kiedy pojazd odjechał, pozostali mężczyźni powrócili do

wnętrza i na ulicy zrobiło się pusto.

Zajęłam zwolnione przed chwilą miejsce do parkowania i szybko wymyśliłam historyjkę na użytek krewnych i znajomych zmarłego.

Przyszłam, żeby pożegnać się z Fredem „Kaczorem” Wilsonem. Zmarł w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Gdyby ktoś się dopytywał, co mnie z nim łączyło, zamierzałam twierdzić, że Fred był znajomym mojego dziadka.

Weszliśmy cicho do domu pogrzebowego i otaksowałyśmy wzrokiem jego wnętrze. Budynek był niewielki: trzy sale i kaplica. W

jednej z sal leżał zmarły. Światło było przytłumione, a meble niedrogie, ale gustowne.

Babcia przygryzła wargi i zmierzyła wzrokiem tłum ludzi wychodzących z sali, gdzie leżał „Kaczor”.

- Chyba nic z tego - stwierdziła. - Mamy niewłaściwy odcień skóry.

Będziemy wyglądać jak wilki pośród owiec.

Myślałam dokładnie o tym samym. Liczyłam na to, że spotkamy tu przynajmniej kilka różnych ras. Ta część ulicy Starka przypominała tygiel, w którym kolor skóry był jednym ze składników.

- Co ty tu chcesz załatwić? - zainteresowała się nagle babcia. - Po co jeździmy po tych wszystkich domach? Założę się, że kogoś szukasz.

Przyznaj, na pewno polujemy na kogoś.

- Coś w tym rodzaju. Nie mogę ci zdradzić szczegółów.

- Nie przejmuj się mną. Potrafię trzymać gębę na kłódkę.

Trumnę „Kaczora” widziałam niezbyt wyraźnie, ale nawet z tej odległości biło w oczy, że rodzina nie oszczędzała na pogrzebie. Miałam świadomość, że powinnam porozmawiać z szefem tego przybytku, ale dość już miałam lipnych negocjacji na temat trumien.

- Już się napatrzyłam - oświadczyła babci. - Czas wracać do domu.

- Zgoda. Z ulgą zdejmę te buty. Takie polowania są wykańczające.

Wyszliśmy na zewnątrz i stałyśmy mrużąc oczy w padającym z góry świetle lamp.

- Zabawne - odezwała się babcia. - Dałabym sobie głowę uciąć, że zaparkowałyśmy w tym miejscu.

- Bo też rzeczywiście zaparkowałyśmy tutaj - powiedziałam westchnąwszy głęboko.

- Ale samochodu nie ma.

Niestety była to prawda. Samochód zniknął. Przepadł gdzieś.

Nigdzie go nie było. Wyjęłam telefon z torebki i zadzwoniłam do Morellego. W domu nikt nie odpowiadał, więc wykreśliłam jego samochodowy numer.

Usłyszałam w słuchawce krótki trzask, a po chwili głos Morellego.

- Tu Stephanie - odezwałam się. - Jestem przy domu pogrzebowym

„Wieczny Odpoczynek” na Starka. Ukradli mi samochód.

Na odpowiedź musiałam chwilę poczekać, ale zdawało mi się, że w tle słyszę tłumiony śmiech.

- Zgłosiłaś to policji? - zapytał w końcu Morelli.

- Przecież dzwonię do ciebie.

- To dla mnie zaszczyt.

- Jest tu ze mną babcia Mazurowa, którą straszenie bolą stopy.

- Już się robi, szefowo. Pędzę do was.

Wrzuciłam telefon do torebki.

- Zaraz tu będzie Morelli.

- To miło, że po nas przyjedzie.

Nie chciałam być cyniczna, ale podejrzewałam, że Morelli siedział w samochodzie pod moją kamienicą i tylko czekał, aż wrócę do domu, by mnie wypytać, czego dowiedziałam się o Perrym Sandemanie.

Trzymałyśmy się z babcią Mazurową blisko drzwi i cały czas wyglądałyśmy, czy aby ulicą nie przejedzie mój samochód. Czekanie okazało się dość męczące i nudne, a babcia najwyraźniej była rozczarowana, że ani razu nie podszedł do nas handlarz narkotyków lub alfons szukający świeżych ciał.

- Zupełnie nie wiem, o co tyle hałasu - powiedziała. - Noc jest piękna, stoimy tutaj i nie zobaczyłyśmy nawet pół przestępstwa. Ulica Starka to już nie to co dawniej.

- Jakiś kretyn ukradł mi samochód!

- Tak, to prawda. Ale dzięki temu nie można tego wieczoru uznać za stracony. Szkoda mi, że nie widziałam, jak się to stało. To nie to samo, jeśli się czegoś nie zobaczy na własne oczy.

Zza rogu wyjechał samochód Morellego. Joe zaparkował, postawił

na dachu koguta i podszedł do nas.

- No i co się stało?

- Jeep stał sobie tutaj, zamknięty na głucho. Byłyśmy w budynku nie więcej niż dziesięć minut. Kiedyśmy wyszły, samochodu już nie było.

- Są jacyś świadkowie?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie przepytываłam nikogo. - W czasie swojej krótkiej kariery łowcy nagród zdążyłam się nauczyć jednego: na Stark nikt nigdy niczego nie widział. Zadawanie pytań miało się z celem.

- Zadzwońełm do centrali, a oni powiadomią wszystkie radiowozy -

poinformował mnie Morelli. - Jutro przyjdiesz na posterunek i złożysz oświadczenie.

- Są jakieś szanse na odzyskanie samochodu?

- Zawsze trzeba mieć nadzieję.

- Widziałam w telewizji program o kradzieżach samochodów -

wtrąciła się babcia Mazurowa. - Mówili o takich warsztatach samochodowych, gdzie rozbiera sieje na części. Pewnie do tej pory z twego jeepa została już tylko tłusta plama na posadzce w warsztacie.

Morelli otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł babci wsiąść.

Wskoczyłam na siedzenie obok niej i zmuszałam się do pozytywnego myślenia. Przecież nie wszystkie kradzione samochody rozkłada się na części, prawda? Mój jeep był taki śliczny, że pewnie ktoś nie mógł się oprzeć pokusie i pożyczył go sobie na przejażdżkę. Myśl pozytywnie, Stephanie. Myśl pozytywnie.

Morelli zawrócił i pojechał w stronę Miasteczka. Zatrzymaliśmy się na chwilę pod domem rodziców po to tylko, by usadzić babcię w bujanym fotelu i zapewnić matkę, że nic złego nam się na Stark nie przytrafiło...

jeśli nie liczyć rzecz jasna tego, że ukradli mi samochód.

Kiedy wychodziłam, matka tradycyjnie wręczyła mi wałówkę.

- To mała przekąska - powiedziała. - Kawałek ciasta.

- Uwielbiam ciasto - oznajmił Morelli, kiedy wracaliśmy do mnie.

- Nawet o tym nie myśl. Nie dostaniesz ani kawałka.

- Muszę - upierał się Morelli. - Odłożyłem wszystko na bok, żeby wyciągnąć cię z opresji. Mogłabyś przynajmniej poczęstować mnie tym ciastem.

- Tak naprawdę to nie zależy ci na cieście. Chcesz się do mnie wprosić, żeby dowiedzieć się czegoś o Perrym Sandemanie.

- To jeden z wielu powodów.

- Sandeman nie był dzisiaj zbyt rozmowny.

Morelli zatrzymał się przed światłami skrzyżowania.

- Dowiedziałaś się czegoś?

- Tyle, że nie znosi gliniarzy. Nie znosi też mnie, a ja jego. Mieszka na Morton Street i rozrabia po pijanemu.

- Skąd wiesz, że rozrabia po pijanemu?

- Poszłam do niego do domu i rozmawiałam z jednym z sąsiadów.

Morelli zerknął na mnie.

- Odważna jesteś.

- Eee tam - powiedziałam nieszczerze. - Taka to już praca.

- Mam nadzieję, że zachowałaś na tyle rozsądku, żeby się nie przedstawiać? Sandeman nie byłby zachwycony, gdyby dowiedział się, że weszysz w jego gniazdku.

- Zdaje się, że zostawiłam tam wizytówkę. - Nie mówiłam już o tym, jak utknęłam na drabince przeciwpożarowej. Szkoda go było dobijać niepotrzebnymi szczegółami.

Morelli popatrzył na mnie jak na idiotkę.

- Zdaje się, że w domu towarowym „Macy’s” poszukują kogoś do pracy w salonie piękności.

- Nie wyśmiewaj się. Zgodna, popełniłam błąd.

- Słoneczko, ty cały czas popełniasz błędy.

- Taki już mam styl pracy. I nie mów do mnie słoneczko.

Niektórzy uczą się z książek, niektórzy słuchają dobrych rad, a jeszcze inni uczą się na własnych błędach. Ja niestety należę do tej ostatniej grupy. Mówi się trudno. Ale przynajmniej rzadko popełniałam dwa razy ten sam błąd... Chyba żeby chodziło o Morellego. Morelli miał

zwyczaj co jakiś czas przewracać moje życie do góry nogami. A ja zazwyczaj mu na to pozwalałam.

- A jak udało się rundka po grabarzach?

- Zero informacji.

Wyłączył silnik i zbliżył się do mnie.

- Pachniesz goździkami.

- Uważaj, pokruszysz ciasto.

Spojrzał na papierową torebkę.

- To kawał ciasta.

- Aha.

- Jeśli go sama zjesz, zaraz ci pójdzie prosto w biodra.

Westchnęłam ciężko.

- W porządku, możesz dostać kawałek. Ale nie próbuj żadnych sztuczek.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Już ty dobrze wiesz co!

Morelli uśmiechnął się.

Zaczęłam się zastanawiać, czy by go jednak nie splawić, ale doszłam do wniosku, że jest już za późno, a zresztą i tak by mi się nie udało.

Postanowiłam zatem przybrać pozę rezygnacji i wygramoliłam się z samochodu. Powlokłam się do budynku, a Morelli trzymał się tuż za moimi plecami. W milczeniu odbyliśmy jazdę windą na górę.

Wysiedliśmy na drugim piętrze i stanęliśmy jak wryci na widok lekko uchylonych drzwi od mojego mieszkania. W okolicy zamka widać było ślady wyważania.

Usłyszałam, że Morelli wyciąga pistolet z kabury i zerknęłam w jego kierunku. Gestem nakazał mi odsunąć się na bok. Wzrok miał utkwiony w drzwiach.

Wyciągnęłam z torebki własny pistolet i stanęłam obok niego.

- Moje mieszkanie, mój kłopot - powiedziałam nie z chęci zgrywania się na bohatera, ale chcąc zachowywać kontrolę nad sytuacją.

Morelli chwycił mnie za poły kurtki i pociągnął do tyłu.

- Nie bądź idiotką.

Otworzyły się sąsiednie drzwi i stanął w nich pan Wolessky z torbą śmieci. Przyłapał nas na sprzeczce.

- Co się tu dzieje? - zapytał. - Mam wezwać policję?

- Ja jestem z policji - wyjaśnił Morelli.

Wolessky otaksował go długim spojrzeniem i odwrócił się w moją stronę.

- Jeśli będzie cię niepokoił, daj mi znać. Zaraz wracam, tylko wyrzucę śmieci.

Morelli popatrzył za nim.

- Nie wydaje mi się, abym wzbudził jego zaufanie.

Nie ma co, sprytny gliniarz.

Ostrożnie zajrzeliśmy do mojego mieszkania. Weszliśmy do środka niczym złączone biodrami syjamskie bliźnięta. W kuchni i w salonie nie było nawet śladu intruzów. Natychmiast sprawdziliśmy sypialnię i łazienkę. Zagląaliśmy do szaf, pod łóżko, a nawet na drabinkę przeciwpożarową za oknem.

- Nikogo nie ma - orzekł Morelli. - Musisz oszacować szkody i sprawdzić, czy ci coś nie zginęło. Postaram się jakoś zabezpieczyć drzwi.

Dotkliwą szkodą od razu rzucającą się w oczy były wymalowane sprayem na ścianach teksty, mające ścisły związek z żeńskimi organami płciowymi i sugerujące najrozmaitsze, często anatomicznie nieprawdopodobne pozycje. Ze szkatułki z biżuterią nic mi chyba nie zginęło. Poczulałam się nawet trochę urażona, bo trzymałam w niej kolczyki z cyrkoniami, do złudzenia przypominającymi diamenty. Ale na czym ten facet mógł się znać, skoro słowo „pochwa” napisał przez „h”.

- Zamek nie działa, ale udało mi się przymocować łańcuszek -

zawołał Morelli z korytarza. Słyszałam, jak idzie do salonu i nagle zatrzymuje się w pół kroku. Nastąpiła cisza.

- Joe?

- Jestem.

- Co robisz?

- Obserwują twojego kota.

- Ja nie mam kota.

- A co masz?

- Chomika.

- Jesteś pewna?

Poczułam lekkie ukłucie w piersi. Rex! Wypadłam z sypialni do salonu, gdzie na stoliku obok kanapy znajdowało się szklane terrarium z Rexem. Wyhamowałam pośrodku pokoju i przycisnęłam dłoń do ust na widok wielkiego tłustego kota, który siedział w terrarium, zabezpieczony od góry cienką siateczką przyklejoną taśmą do bocznych szyb.

Serce biło mi jak oszalałe i nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

To był kot pani Delgado. Siedział ze zjeżoną sierścią, patrzył na nas zmrużonymi oczyma i był strasznie wściekły. Nie wyglądał na głodnego, a Rexa nigdzie nie było.

- Cholera jasna - powiedział Morelli.

Wydałam z siebie dźwięk, który był po trosze szlochem, po trosze jękiem i ugryzłam się w rękę, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Morelli otoczył mnie ramieniem.

- Kupię ci nowego chomika. Znam faceta, który ma sklep zoologiczny. Jeszcze pewnie nie śpi. Pojadę i poproszę, żeby otworzył

sklep...

- Nie chcę nowego ch-ch-chomika - chlipałam. - Chcę Rexa.

Kochałam go.

Morelli objął mnie mocniej.

- W porządku, kochanie. Rex żył szczęśliwie. Pewnie był już stary, co? Ile miał lat?

- Dwa.

- Hmm.

Kot w terrarium przeciągnął się i zamruczał.

- To kot pani Delgado - powiedziałam. - Ona mieszka dokładnie nade mną, a kot często przesiaduje na drabince przeciwpożarowej.

Morelli poszedł do kuchni i wrócił z nożyczkami. Rozciął taśmę samoprzylepną, podniósł siatkę, a kot wypadł jak oparzony i popędził do sypialni. Morelli pobiegł za nim, otworzył mu okno, a kot natychmiast czmychnął.

Zajrzałam do klatki, ale nie zobaczyłam w niej szczątków chomika.

Ani futra, ani małych kosteczek, ani małych żółtych kielków. Nic.

Morelli też zajrzał do terrarium.

- Nieźle to sobie ktoś zaplanował - stwierdził.

Znów zaszlochałam.

Staliśmy tak przez minutę przed terrarium. W otępieniu wpatrywaliśmy się w sosnowe wiórki za puszką Rexa.

- Po co ta puszka? - zainteresował się Morelli.

- Zawsze w niej spał.

Morelli zastukał w puszkę i nagle wypadł z niej Rex.

Omam nie zemdlałam. Co za ulga. Chciało mi się płakać i śmiać, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

Rex najwyraźniej także był mocno pobudzony. Biegał z jednego końca terrarium w drugi, poruszał noskiem, a czarne ślepka niemal wychodziły mu z orbit.

- Biedny chomik - powiedziałam sięgając do terrarium i biorąc Rexa do ręki. Zbliżyłam go do twarzy, by móc mu się lepiej przyjrzeć.

- Może powinnaś mu pozwolić przez chwilę odpocząć - radził

Morelli. - Wygląda na wytrąconego z równowagi.

Pogłaskałam zwierzątko po grzbiecie.

- Słyszysz, Rex... Jesteś zestresowany?

W odpowiedzi chomik zatopił swe małe kielki w czubku mego kciuka. Krzyknęłam i machnęłam ręką, rzucając Rexem niczym ringo.

Przeleciał przez pół pokoju i wylądował z miękkim stuknięciem. Przez chwilę leżał oszołomiony, po czym wczołgał się za regał z książkami.

Morelli obejrzał dwa ślady w moim kciuku, po czym przeniósł

wzrok na regał.

- Mam go zastrzelić?

- Oszalałeś?! Idź do kuchni, przynieś jakąś szklaną miskę i złap go, a ja umyję ręce i przykleję sobie plaster.

Kiedy pięć minut później wyszłam z łazienki, Rex siedział jak trusia pod miską, a Morelli przy stole delectował się ciastem. Zostawił też kawałek dla mnie i nalał dwie szklanki mleka.

- Myślę, że możemy z dużym prawdopodobieństwem określić, kto to zrobił - powiedział wpatrując się w wizytówkę zatknietą za nóż do papieru, wbity w sam środek drewnianego stołu.

- Ładna konstrukcja - pochwalił. - A więc mówisz, że zostawiłaś swoją wizytówkę jednemu z sąsiadów Sandemana?

- Wówczas wydawało mi się, że to całkiem niezły pomysł.

Morelli zjadł ciasto, wypił mleko i zaczął kołysać się na krześle.

- Bardzo jesteś przerażona?

- W skali od jednego do dziesięciu, to chyba około sześciu.

- Chcesz, żebym tu został, dopóki nie naprawisz drzwi?

Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę. Bywałam już w najrozmaitszych tarapatach i wiem, że nie jest zbyt przyjemnie zostawać samotnie w takich sytuacjach. Kłopot był w tym, że nie chciałam, aby Morelli wyczuł moje obawy.

- Myślisz, że złoczyńca tu wróci?

- Nie dzisiaj. Może nawet w ogóle, chyba że jeszcze raz nadepniesz mu na odcisk.

Skinęłam głową.

- Nic mi nie będzie. Ale dziękuję za propozycję.

Wstał.

- W razie czego masz mój numer.

Nawet nie miałam zamiaru z niego korzystać. Spojrzał jeszcze na Rexa.

- Może pomóc ci uspokoić tego małego Drakulę?

Przyklękłam, podniosłam miskę, wyjęłam spod niej chomika i delikatnie włożyłam go z powrotem do terrarium.

- Zazwyczaj nie gryzie - wyjaśniłam. - Teraz jest po prostu wytrącony z równowagi.

Morelli wziął mnie pod brodę.

- Mnie się też to czasem zdarza.

Kiedy Morelli wyszedł, zasunęłam łańcuszek i mozolnie ustawiłam pseudosystem alarmowy w postaci piramidy szklanek przed drzwiami.

Jeśli je ktoś otworzy, przewrócą piramidę, brzęk tłuczących się szklanek powinien mnie obudzić. Ten pomysł miał jeszcze jedną dodatkową zaletę.

Jeśli przestępca przyjdzie na bosaka, wpakuje się gołymi stopami na potłuczone szkło. Oczywiście trudno było liczyć na człowieka bez butów, jako że mieliśmy chłodne listopadowe dni.

Wyczyściłam zęby, włożyłam piżamę, a na stoliku przy łóżku położyłam pistolet. Staralam się uspokoić i nie zważać na obraźliwe napisy na ścianach. Następnego dnia trzeba będzie przede wszystkim wstawić zamek i kupić farbę.

Dość długo leżałam z otwartymi oczyma i nie mogłam zasnąć.

Mięśnie wciąż jeszcze drżały mi od tych wszystkich nerwów. Cierpiałam też na chwilowy niedowład mózgu. Nie zgadzałam się z Morellem w jego przypuszczeniach. Byłam raczej przekonana, że to nie Sandeman zdemolował mi mieszkanie. Jeden z tekstów na ścianie mówił o konspiracji. Widniała pod nim wielka srebrna litera „K”. Zaczęłam myśleć, że powinnam była pokazać to „K” Morellemu. Powinnam mu była również pokazać anonimowy list, w którym sugerowano, bym wybrała się na wakacje. Zastanawiałam się, dlaczego mu o tym nie powiedziałam?

Podejrzewam, że z jakichś dziecinnych powodów, w rodzaju: nie zdradzę ci tajemnicy, dopóki ty nie zdradzisz mi swojej. Cha, cha, cha.

Leżałam w ciemności i rozmyślałam, dlaczego zabito Moogeya i dlaczego nie mogę odszukać Kenny'ego. Zastanawiałam się też, czy przypadkiem nie mam jakiejś dziury w zębach.

Obudziłam się nagle. Usiadłam na łóżku wyprężona jak struna.

Przez szparę w zasłonach do sypialni wpadało słońce. Czułam, jak wali mi serce. Jakby z oddali dobiegł mnie jakiś brzęk. Umysł zaczął pracować i nagle uświadomiłam sobie, że rozbiła się piramida ze szklanek. Zerwałam się na równe nogi.

Rozdział 6

Wybiegłszy z łóżka chwyciłam po drodze za broń, ale nie mogłam się zdecydować, co najpierw zrobić. Miałam do wyboru: zadzwonić na policję, wyskoczyć przez okno albo wybiec z pokoju i spróbować zastrzelić tego sukinsyna przy drzwiach. Na szczęście nie musiałam wybierać, bo rozpoznałam w korytarzu głos Morellego.

Spojrzałam na budzik przy łóżku. Ósma. Zaspałam. Tak to już jest, kiedy do świtu nie można zmrużyć oka. Wsunęłam stopy w martensy i poczłapałam na korytarz, gdzie na podłodze pełno było szkła z potłuczonych szklanek. Morelli odpiął łańcuszek i stał w otwartych drzwiach szacując straty.

Podniósł wzrok i przyjrzał mi się uważnie.

- Co to, śpisz w tych butach?

Posłałam mu druzgoczące spojrzenie i poszłam do kuchni, po szczotkę do zmiatania i szufelkę. Wręczyłam mu miotelkę, rzuciłam szufelkę na podłogę i wróciłam do sypialni miażdżąc szkło butami.

Zamieniłam piżamę na bluzkę i dresowe spodnie. Omal nie jęknęłam z przerażenia, kiedy zerknęłam w owalne lustro nad toaletką. Wory pod oczyma, rozczochrane włosy, brak makijażu. Nie będąc przekonana, czy szczotkowanie pomoże, wcisnęłam na głowę baseballówkę.

Kiedy wróciłam do przedpokoju, szkło było już posprzątane, a Morelli uwijał się w kuchni parząc kawę.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, żeby wchodząc najpierw zapukać?

- Pukałem, ale nikt nie odpowiadał.

- Powinieneś był pukać głośniej.

- Żeby zaniepokoić pana Wolesky'ego?

Wsadziłam głowę do lodówki i wyjęłam stamtąd resztki ciasta z poprzedniego dnia, które podzieliłam między nas dwoje. Połowa dla mnie, połowa dla Morellego. Staliśmy przy blacie kuchennym i w oczekiwaniu na kawę jedliśmy ciasto.

- Niezbyt ci się wiedzie, mała - stwierdził Morelli. - Ukradli ci samochód, zrujnowali mieszkanie no i ktoś próbował wykończyć twojego chomika. Może powinnaś dać sobie z tym spokój.

- Martwisz się o mnie.

- Aha.

Oboje zaczęliśmy przestępować z nogi na nogę.

- To dziwne - powiedziałam.

- Ba.

- Dowiedziałaś się może czegoś o moim jeepie?

- Niestety. - Wyjął z kieszeni plik papierów. - To oświadczenie o kradzieży. Przeczytaj i podpisz.

Szybko przejrzałam treść dokumentu i podpisałam się na dole, po czym zwróciłam go Joemu.

- Dzięki za pomoc.

Morelli wepchnął papiery do kieszeni kurtki.

- Muszę wracać do miasta. Masz jakieś plany na dzisiejszy dzień?

- Muszę naprawić drzwi.

- Chcesz zgłosić włamanie i akt wandalizmu?

- Chcę wszystko naprawić i udawać, że nic się nie stało.

Morelli przyjął to do wiadomości i wpatrywał się w czubki swoich butów. Nie miał zamiaru wychodzić.

- Coś nie tak? - zapytałam.

- Mnóstwo rzeczy. - Wypuścił powoli powietrze. - Jeśli chodzi o tę sprawę, nad którą teraz pracuję...

- Tę supertajną?

- Zgadza się.

- Jeśli mi o tym opowiesz, nie pisnę nikomu ani słówka.

Przysięgam!

- Akurat - zachnął się Morelli. - Tylko Mary Lou.

- Po co miałabym to opowiadać Mary Lou?

- Bo to twoja najlepsza przyjaciółka. Kobiety zawsze paplają wszystko swoim przyjaciółkom.

Stuknęłam się w czoło.

- No tak. Męska głupota i seksizm.

- No to co, taki już jestem - powiedział Morelli.

- To powiesz mi w końcu czy nie?

- Ale to musi pozostać między nami.

- Nie ma sprawy.

Morelli wciąż się wahał. Znalazł się między młotem a kowadłem.

Zrobił kolejny wydech.

- Jeśli to się rozejdzie...

- Nic nikomu nie powiem!

- Trzy miesiące temu w Filadelfii zginął policjant. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną z kevlaru, ale dostał dwie kule o zwiększonej sile rażenia. Jedna przebiła mu lewe płuco, druga trafiła w serce.

- Kule „glinobójcy”...

- Zgadza się. Nielegalna amunicja, przebijająca nawet najgrubsze pancerze. Dwa miesiące temu w Newark miała miejsce efektywna strzelanina na ulicy. Strzelano z lekkich raketnic przeciwpancernych.

Takich, jakich używa się w wojsku. Gang Wielkich Psów z ulicy Sherman poniósł spore straty w ludziach, a nowy ford bronco Lionela Simmsa, jednego z Wielkich Psów zamienił się w kupkę złomu. Znalaziono łuskę od pocisku i ustalono, że pochodzi ona z bazy wojskowej Fort Braddock.

Zrobiono inwentaryzację w magazynie i okazało się, że brakuje sprzętu.

Kiedy Kenny trafił pod opiekę kuratora, sprawdziliśmy jego pistolet w krajowym rejestrze broni i zgadnij, co się okazało?

- Pochodził z Braddock.

- Otóż to.

To była naprawdę wielka tajemnica. Teraz życie wydawało mi się o wiele ciekawsze.

- A co Kenny miał do powiedzenia na temat tej broni?

- Powiedział, że kupił ją od kogoś na lewo. Mówił, że nie pamięta nazwiska faceta, ale pomoże nam go odnaleźć.

- A potem zniknął.

- To śledztwo jest prowadzone jednocześnie przez kilka instytucji.

Wojskowe Służby Wewnętrzne chcą wszystko utrzymać w tajemnicy.

- To dlaczego postanowiłeś mi o tym opowiedzieć?

- Siedzisz w samym środku tej sprawy. Musisz o tym wiedzieć.

- Mogłeś mnie wcześniej uświadomić.

- Z początku wydawało nam się, że mamy dobre ślady. Liczyłem, że Kenny do tej pory znajdzie się w areście i może nie będę musiał cię w to wciągać.

Mój umysł pracował teraz na najwyższych obrotach i rozważał

najrozmaitsze możliwości.

- Mogłeś go przyskrzynić zaraz wtedy na parkingu, kiedy bzykał się z Julią - powiedziałam.

- Mogłem - przyznał mi rację.

- Ale wtedy nie dowiedziałbyś się tego, czego naprawdę chciałeś się dowiedzieć.

- To znaczy?

- Chciałeś go śledzić, żeby wiedzieć, gdzie się ukrywa. Coś mi się zdaje, że ty szukasz nie tylko Kenny'ego. Szukasz zaginionej broni.

- Dobrze, jedź dalej.

Byłam z siebie niezwykle dumna, ale starałam się nie uśmiechać za szeroko.

- Kenny służył w Braddock. Wyszedł z wojska cztery miesiące temu i zaczął szastać pieniędzmi. Kupił sobie samochód, zapłacił gotówką.

Potem wynajął dość drogie mieszkanie i je umeblował. W szafach miał pełno nowych ubrań.

-1 co jeszcze?

- Moogeyowi też się nieźle wiodło, zwłaszcza jak na pracownika stacji benzynowej. W garażu miał samochód wart fortunę.

- Jaki z tego wniosek?

- Kenny nie kupił tego pistoletu na ulicy. Razem z Moogeyem byli zamieszani w tę kradzież broni z Braddock. Powiedz mi, co Kenny robił w wojsku? Gdzie pracował?

- Zajmował się logistyką. Pracował w magazynie.

- W tym, z którego zginęła broń?

- No, niedokładnie. Broń znajdowała się w składziku obok, ale Kenny miał do niego dostęp.

- Aha!

Morelli uśmiechnął się.

- Nie podniecaj się tak bardzo. To, że Kenny pracował w magazynie, to jeszcze nie dowód. Setki żołnierzy miały dostęp do tego składu. A jeśli chodzi o dochody Kenny'ego... Mógł sprzedawać narkotyki, grać na wyścigach albo nawet szantażować wujka Mario.

- Moim zdaniem handlował bronią.

- Ja też tak uważam - zgodził się Morelli.

- Wiesz może, w jaki sposób wywiózł to wszystko z bazy?

- Nie. WSW też nie wie. Mógł wywieźć wszystko za jednym razem, ale mógł też wynosić po troszeczkę. Nikt nie robi remanentu, jeśli tego nie potrzebuje albo - jak w tym przypadku - nie okaże się, że coś skradziono. WSW sprawdza przyjaciół Kenny'ego z wojska i jego współpracowników z magazynu. Na razie nikogo nie podejrzewają.

- W takim razie, co należałoby robić?

- Pomyślałam, że nie od rzeczy byłoby pogadać z „Leśnikiem”.

Chwyciłam za telefon, który leżał na blacie kuchennym i wystukałam numer.

- No, lepiej, żeby to było coś interesującego - odezwał się „Leśnik”.

- Chyba się nie zawiedziesz - powiedziałam. - Znajdziesz dziś chwilę na obiad ze mną?

- W południe u Wielkiego Jima.

- Będzie nas troje - uprzedziłam „Leśnika”. - Ty, ja i Morelli.

- Jest tam teraz z tobą? - dopytywał się „Leśnik”.

- Aha.

- Jesteś może bez ubrania?

- Też coś! Co ci przychodzi do głowy?

- No tak, pewnie jeszcze za wcześnie - stwierdził „Leśnik”.

Usłyszałam trzask w słuchawce i odłożyłam telefon.

Kiedy Morelli wyszedł, zadzwoniłam do Dillona Rudnicka, dozorca, który był miłym facetem i moim dobrym znajomym. Wyjaśniłam mu, w czym rzecz, i pół godziny później Dillon zjawił się u mnie ze swoją skrzyneczką z narzędziami, trzema litrami farby i sprzętem do malowania.

Zaczął od drzwi, a ja zajęłam się ścianami. Musiałam położyć trzy warstwy farby, by zamalować te napisy, ale już o jedenastej w moim mieszkaniu nie było śladu po groźbach, a w drzwiach tkwiły nowiusieńkie zamki.

Wzięłam prysznic, wyczyściłam zęby i wysuszyłam włosy. Następnie włożyłam dzinsy i czarny golf.

Zadzwoniłam do firmy ubezpieczeniowej i zgłosiłam kradzież samochodu. Dowiedziałam się, że zgodnie z polisą, nie mogę sobie wynająć samochodu na koszt ubezpieczyciela i że pieniądze

otrzymam w ciągu miesiąca, o ile rzecz jasna, wcześniej nie znajdzie się mój samochód. Właśnie głęboko sobie wzdychałam, kiedy zadzwonił telefon.

Nim zdążyłam podnieść słuchawkę, już przeczuwałam, że to matka.

- Odzyskałaś samochód? - zapytała.

- Nie.

- Nie martw się. Wszystko już sobie obmyśliliśmy. Możesz wziąć wóz wujka Sandora.

Wujek Sandor miał osiemdziesiąt cztery lata i w zeszłym miesiącu powędrował do domu starców. Samochód oddał do dyspozycji jedynej żyjącej siostrze, babci Mazurowej. Babcia nie miała nawet prawa jazdy.

Rodzice i reszta wolnego świata wcale nie pragnęli, by próbowała teraz swoich sił.

Wprawdzie darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, aleja naprawdę nie chciałam samochodu wujka Sandora. Był to błękitny buick z 1953 roku z lśniącobiałym dachem, ogromnymi oponami z białymi paskami po bokach i błyszczącymi chromowanymi wykończeniami.

Wielkością przypominał wieloryba, a pożerał pewnie najmniej trzydzieści litrów na setkę.

- W ogóle nie przysłoby mi to do głowy - powiedziałam matce. - To miło z waszej strony, ale to przecież samochód babci.

- Babcia chce, żebyś go sobie wzięła. Ojciec już do ciebie jedzie.

Szerokiej drogi.

Cholera. Wykręciłam się od kolacji i odłożyłam słuchawkę.

Zerknęłam na Rexa, aby upewnić się, czy nie widać po nim jakichś spóźnionych reakcji na wczorajsze przeżycia. Ale Rex był w świetnym humorze, więc dałam mu kawałek brokułu i orzecha. Wzięłam kurtkę z wieszaka, torebkę i zamknęłam mieszkanie. Postanowiłam poczekać na ojca przed domem.

Już z daleka słyhać było ryk potężnego silnika beztriosko złopiącego paliwo. Przywarłam do ściany kamienicy, licząc na jakieś wybawienie. Modliłam się, żeby to nie był buick.

Ale ów potężny samochód, duma amerykańskiej motoryzacji, wyjechał właśnie zza rogu. Serce waliło mi w rytm pracy tłoków. No tak, to był buick, w całej swojej okazałości. Ani śladu rdzy. Wujek Sandor kupił go w 1953 roku w salonie samochodowym i dbał o niego tak, że teraz auto spokojnie mogłoby wrócić do salonu i stanąć na wystawie.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - zwierzyłam się ojcu. - A jeśli go zadrapię?

- Nie zadrapiesz - powiedział ojciec przestawiając dźwignię automatycznej skrzyni biegów w pozycję „postój” i przesuując się na wielkim przednim siedzeniu. - Przecież to buick.

- Ale ja wolę małe samochody - wyjaśniłam.

- No właśnie, Ameryka ginie przez te małe samochody - stwierdził

ojciec. - Od kiedy zaczęli sprowadzać z Japonii te miniatutki, wszystko zaczęło schodzić na psy. - Postukał w deskę rozdzielczą. - To jest samochód. Stworzony po to, żeby trwać. Z takiego samochodu kierowca jest dumny. To dopiero wóz z jajami.

Usiadłam obok ojca i spojrzałam ponad kierownicą, podziwiając z rozdziawionymi ustami ogrom maski. Fakt, samochód był wielki i brzydki, ale rzeczywiście jaj mu nie brakowało.

Chwyciłam mocniej kierownicę i przydusiłam lewą nogę do podłogi, zanim uświadomiłam sobie, że nie ma sprzęgła.

- Automatyczna skrzynia biegów - powiedział ojciec. - Duma Ameryki.

Wysadziłam ojca pod domem i zmusiłam się do uśmiechu.

- Dziękuję.

Matka stała już na stopniach przed werandą.

- Jedź ostrożnie! - krzyknęła. - I zamykaj wszystkie drzwi!

Gdyśmy z Morellim weszli do lokalu Wielkiego Jima „Leśnik” już siedział plecami do ściany przy stoliku, z którego miał widok na całą salę.

Nie potrafił już zrzucić skóry łowcy nagród. Tym razem czuł się pewnie jak nagi, bo przez wzgląd na Morellego większość arsenału zostawił w samochodzie.

Nie trzeba nawet było zaglądać do menu. Wszyscy wiedzieli, że do Wielkiego Jima chodzi się na żeberka z warzywami. Złożyliśmy zamówienie i czekaliśmy w milczeniu. „Leśnik” z rękoma skrzyżowanymi na piersiach rozparł się wygodnie na krześle. Morelli przyjął mniej agresywną, swobodniejszą pozę. Ja usiadłam na brzeжку krzesła, gotowa wstać i uciekać, gdzie pieprz rośnie, gdyby ni z tego, ni z owego panowie postanowili sobie postrzelać.

- No więc, co się dzieje? - zapytał w końcu „Leśnik”.

Morelli pochylił się nieco do przodu. Mówił ostrożnie, niskim głosem:

- Wojsko zgubiło trochę zabawek. Na razie pojawiły się w Newark, Filadelfii i w Trenton. Słyszałeś może, że ktoś handluje takimi rzeczami?

- Różnymi rzeczami ludzie handlują.

- Ale to dość osobliwe rzeczy - powiedział Morelli. - Kule

„glinobójcy”, lekkie rakiety przeciwpancerne, M-16, nowiutkie beretty kalibru 9 mm z wytłoczonym napisem „własność rządu USA”.

„Leśnik” skinął głową.

- Słyszałem o tym samochodzie w Newark i gliniarzu w Filadelfii.

Ale co się stało w Trenton?

- Mamy pistolet, z którego Kenny postrzelił Moogeya w kolano.

- Poważnie? - „Leśnik” odchylił głowę do tyłu i wybuchnął

śmiechem. - Robi się coraz weselej. Kenny Mancuso przypadkowo strzela i trafia swego najlepszego kumpla w kolano, sprawcę zatrzymuje policjant, który przypadkiem zajechał na stację, aby zatankować, i to w chwili, gdy z lufy jeszcze unosił się dymek. A na dodatek pistolet okazuje się trefny.

- Ale mówi się coś o tym? - dopytywał się Morelli. - Wiesz coś na ten temat?

- Nic - odparł „Leśnik”. - A co wam powiedział Kenny?

- Nic - powtórzył jak echo Morelli.

Rozmowa na chwilę ustała. Zaczęliśmy przesuwac szklanki i sztucce, aby zrobić miejsce dla żeberek i misek z surówką.

„Leśnik” wciąż wpatrywał się w Morellego.

- Coś mi się wydaje, że to jeszcze nie wszystko.

Morelli wybrał zeberko i zabrał się do niego niczym lew z Serengeti.

- Tę broń skradziono z Braddock.

- Wtedy, kiedy służył tam Kenny?

- Być może.

- Założę się, że ten drań miał klucze do magazynu.

- Na razie to tylko zbieg okoliczności, nie mamy żadnych dowodów

- stwierdził Morelli. - Dobrze byłoby namierzyć siatkę handlarzy.

„Leśnik” rozejrzał się po sali i znów przeniósł wzrok na Morellego.

- Tutaj panuje spokój, ale mogę popytać w Filadelfii.

Głęboko w torebce rozległ się sygnał mojego pagera. Bezskutecznie przetrząsałam jej zawartość, aż w końcu zaczęłam wszystko po kolei wyklądać na stolik: kajdanki, latarkę, pistolet elektryczny, lakier i szczotkę do włosów, portfel, walkmana, scyzoryk i wreszcie pager.

„Leśnik” i Morelli patrzyli na mnie ponuro, ale i z zaciekawieniem.

Zerknęłam w okienko pagera.

- To Roberta.

Morelli podniósł głowę znad żeberek.

- Lubisz się zakładać?

- Nie z tobą.

Jim miał w zakładzie automat telefoniczny w wąskim korytarzyku przy łazienkach. Wykręciłam numer i czekałam oparta biodrem o ścianę.

Roberta podniosła słuchawkę po kilku dzwonek. Liczyłam na to, że odnalazły się trumny, ale nic z tego. Sprawdziła wszystkie boksy i nie znalazła nic podejrzanego, natomiast przypomniała sobie białą ciężarówkę, która kilka razy podjeżdżała w pobliże magazynu numer 16.

- To było jakoś pod koniec miesiąca - mówiła. - Pamiętam, bo robiłam bilans miesięczny, a ta ciężarówka wjeżdżała i wyjeżdżała kilka razy.

- Mogłabyś ją opisać?

- Dość duża. Ale nie TIR, raczej taka jak do przeprowadzek. Można by do niej zmieścić meble z niewielkiego mieszkania. Nie była z wypożyczalni. Na drzwiach miała czarny napis, ale stała za daleko, żebym mogła coś odczytać.

- Widziałaś może kierowcę?

- Przykro mi, ale nie przyglądałam się aż tak dokładnie. Byłam zajęta bilansem.

Podziękowałam jej i odwiesiłam słuchawkę. Trudno powiedzieć, czy informacja o ciężarówce była coś warta. W okolicy Trenton jeździło pewnie ze sto samochodów pasujących do tego opisu.

Kiedy wróciłam do stolika, Morelli patrzył na mnie wyczekująco.

- No i co?

- Niczego nie znalazła, ale przypomniała sobie, że pod koniec miesiąca kilka razy widziała białą ciężarówkę z czarnym napisem na drzwiach.

- To trochę zawęża obszar poszukiwań.

„Leśnik” zjadł już wszystkie żeberka. Spojrzał na zegarek i odsunął krzesło.

- Muszę się z kimś spotkać.

Wymienili z Morellim tradycyjny uścisk dłoni i „Leśnik” wyszedł.

Jedliśmy z Morellim przez chwilę w milczeniu. Jedzenie było jedną z niewielu czynności, którą bez kłopotu mogliśmy wykonywać wspólnie.

Kiedy z talerzy zniknęły ostatnie kawałki żeberka, oboje jak na komendę westchnęliśmy z zadowoleniem i poprosiliśmy o rachunek.

U Wielkiego Jima ceny były niższe niż w pięciogwiazdkowych hotelach, ale kiedy złożyłam się na ten obiad, nie zostało mi wiele w portfelu. Pomyślałam, że nie od rzeczy będzie wpaść do Connie i spytać, czy nie ma dla mnie jakichś łatwych zleceń.

Morelli zaparkował na ulicy. Ja zostawiłam swego grzmota na parkingu dwie przecznice dalej, przy Klonowej. Zostawiłam Morellego przed restauracją i ruszyłam w stronę parkingu, powtarzając sobie, że co samochód, to samochód. Co z tego, że ludzie widzą mnie w buicku z 1953

roku? W końcu to tylko środek lokomocji, prawda? No tak. I właśnie dlatego zaparkowałam go prawie pół kilometra dalej na podziemnym parkingu.

Odebrałam buicka i pomknęłam aleją Hamiltona, mijając stację Delia z Perrym Sandemanem. Przed firmą Vinniego znalazłam wolne miejsce na chodniku. Zmrużyłam oczy wpatrując się w błękitną maskę mego wieloryba i zastanawiałam się, gdzie tak naprawdę kończy się ten samochód. Podjechałam jeszcze kawałek, wtoczyłam się na krawężnik i musnęłam parkometr. Stwierdziłam, że wystarczy tego parkowania.

Wyłączyłam silnik i zamknęłam buicka.

Connie siedziała za biurkiem i wyglądała na jeszcze bardziej złą niż zwykle. Ściągnęła blisko siebie grube czarne brwi i zacisnęła usta podkreślone czerwoną szminką. Na szafkach piętrzyły się nie poukładane teczki, a biurko Connie tonęło w papierach i pustych filiżankach po kawie.

- No i jak leci? - zapytałam.

- Nawet nie pytaj.

- Zatrudniliście już kogoś?

- Jutro ma się ktoś zgłosić. A ja tymczasem nie mogę niczego znaleźć przez ten cholerny bałagan.

- Powinnaś zagonić do pracy Vinniego.

- Nie ma go. Pojechał do Karoliny Północnej z Mo Barnesem, żeby zgarnąć jednego kołosa.

Wyjęłam plik teczek i zaczęłam je przeglądać.

- Jeśli chodzi o Kenny'ego Mancuso to na razie trwam w impasie.

Masz może dla mnie coś szybkiego?

Podziała mi kilka spiętych razem kartek.

- Eugene Petras nie zjawił się wczoraj w sądzie. Pewnie siedzi w domu pijany w trupa i nawet nie wie, jaki mamy dzisiaj dzień.

Zerknęłam na umowę poręczycielską. Eugene Petras mieszkał w Miasteczku. Oskarżono go o pobicie żony.

- Czyja znam tego faceta?

- Możesz znać jego żonę Kitty. Panięskie nazwisko Lukach. Zdaje się, że chodziła z tobą do szkoły, ale kilka klas niżej.

- To jego pierwsze wykroczenie?

Connie pokręciła głową.

- Ma już spory dorobek. To prawdziwy dupek. Ilekroć wypije kilka piw, zaraz rozstawia Kitty po kątach. Czasami kończy się nawet tym, że Kitty ląduje w szpitalu. Parokrotnie wносиła skargi, ale zawsze je w końcu wycofuje. Podejrzewam, że się go boi.

- Pięknie. Na jaką sumę opiewa kaucja?

- Dwa tysiące dolarów. Przemocy w domu nie uznaje się za zbyt wielkie zagrożenie.

Wepchnęłam papiery pod pachę.

- Do zobaczenia.

Kitty i Eugene mieszkali w wąskim domku na rogu ulic Bakera i Rose, naprzeciw starej fabryki guzików Milpeda. Frontowe drzwi wychodziły prosto na chodnik, bez werandy czy ganku. Domek pokryty był czerwoną dachówką i miał białe drewniane wykończenia. W głównym pokoju zasłony były zaciągnięte. W oknach na piętrze było ciemno.

W kieszeni kurtki czekał w gotowości aerozol z pieprzem, a w kieszeniach dzinsów tkwiły kajdanki i pistolet elektryczny. Zapukałam do drzwi i usłyszałam dziwne odgłosy. Zapukałam ponownie i męski głos wykrzyknął coś niezrozumiałego. Kolejne pukanie, znów jakieś zamieszanie wewnątrz, po czym

drzwi się otworzyły.

Zza drzwi uchylonych na długość łańcuszka wyjrzała młoda kobieta.

- Słucham?

- Czy pani Kitty Petras?

- A czego pani sobie życzy?

- Szukam pani męża, Eugene'a. Czy jest może w domu?

- Nie. Nie ma go.

- Słyszałam dobiegający stąd męski głos. Wydawało mi się, że to Eugene.

Kitty Petras była chuda jak szczapa, miała zboląłą twarz i wielkie brązowe oczy. Była bez makijażu. Brązowe włosy zebrane w kucyk, opadały jej na kark. Nie była ładna, ale nie można też było odmówić jej pewnej dozy atrakcyjności. Ogólnie, dość przeciętna osobka, nie wyróżniająca się niczym szczególnym. Była to typowa twarz kobiety od lat maltretowanej przez męża, kobiety, która robi wszystko, aby nie rzucać się w oczy.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Zna pani Eugene'a?

- Pracuję na zlecenie firmy poręczycielskiej. Eugene nie pojawił się wczoraj w sądzie i chcielibyśmy umówić się z nim na inny termin. -

Właściwie nie było to kłamstwo, lecz półprawda. Najpierw umówimy się na inny termin, a potem zamknjemy go w brudnej śmierdzącej celi, do czasu, aż ów termin nadejdzie.

- No nie wiem...

Eugene pojawił się w szparze między drzwiami i futryną.

- Co jest?

Kitty odsunęła się.

- Ta pani chciałaby się z tobą umówić na wizytę w sądzie.

Eugene zbliżył twarz do framugi. Widziałam dokładnie jego nos, podbródek i przekrwione oczka i czułam wyraźnie opary alkoholu, dobywające się z jego ust.

- Co?

Powtórzyłam mu te bzdury o nowym terminie i odsunęłam się na bok. Teraz, aby mnie zobaczyć,

musiał otworzyć drzwi.

Usłyszałam zgrzyt zwalnianego łańcuszka.

- To pewnie jakieś wielkie gówno, co? - wybełkotał Eugene.

Stałam w drzwiach, poprawiłam torebkę na ramieniu i zebrałam w sobie całą odwagę.

- To zajmie tylko kilka minut. Musimy wpaść do sądu i ustalić nowy termin wizyty.

- Dobra, dobra. Wiesz, co mi możesz zrobić? - Odwrócił się do mnie tyłem, spuścił spodnie i pochylił się. - Możesz mnie cmoknąć w dupę.

Nie mogłam go załatwić pieprzeni, bo stał odwrócony niewłaściwą stroną, więc sięgnęłam po pistolet elektryczny. Nigdy go przedtem nie używałam, ale nie wyglądało to na czynność przesadnie skomplikowaną.

Pochyliłam się, mocno przycisnęłam pistolet do dupska Eugene'a i wcisnęłam guzik. Eugene wydał z siebie krótki jęk i padł na podłogę jak worek.

- O Boże! - krzyknęła Kitty. - Co pani narobiła?

- To pistolet elektryczny - wyjaśniłam. - Zgodnie z ulotką nie zostawia trwałych urazów.

- To źle. Miałam nadzieję, że go pani zabiła.

- Może powinna mu pani naciągnąć spodnie - poradziłam Kitty. Na tym świecie było już i tak dość brzydoty, więc wcale nie miałam ochoty gapić się na „narzędzie” Eugene'a.

Kiedy Kitty zapięła mu rozporek, kopnęłam go lekko czubkiem buta, ale porażony Eugene wcale nie zareagował.

- Najlepiej, jak zniemiemy go do mojego samochodu, nim dojdzie do siebie.

- Ale jak mamy to zrobić? - zapytała Kitty.

- Chyba będziemy musiały go zaciągnąć.

- O nie, ja nie chcę w tym brać udziału. Chryste, to straszne. Zabiłby mnie za to.

- Nie pobije pani, jeśli będzie siedział w areszcie.

- Ale mnie pobije, jak wyjdzie.

- O ile pani nadal tu będzie.

Eugene niezdarnie próbował coś powiedzieć.

- Zaraz się obudzi! Niech pani coś zrobi! - krzyczała Kitty.

Nie chciałam ładować w niego dalszych woltów. Nieszczególnie wyglądałby w sądzie z włosami zwiniętymi w sprężynki. Chwyciłam go więc za kostki i zaczęłam ciągnąć w stronę drzwi.

Kitty popędziła na górę i z dochodzących stamtąd odgłosów wnosiłam, że gorączkowo się pakuje.

Udało mi się jakoś wyciągnąć Eugene'a z domu na chodnik obok buicka, ale bez pomocy nie dałabym rady wsadzić go do samochodu.

- Widziałam, jak Kitty w pośpiechu ustawia w pokoju walizki i najrozmaitsze torby.

- Hej, Kitty! - krzyknęłam. - Musisz mi pomóc!

Wyjrzała przez otwarte drzwi.

- O co chodzi?

- Sama nie dam rady wrzucić go do samochodu.

Przygryzła dolną wargę.

- A jest przytomny?

- Są różne stany przytomności. Trudno powiedzieć, ale myślę, że chyba nie wszystko jeszcze kojarzy.

Kitty postąpiła krok naprzód.

- Ma otwarte oczy.

- To fakt, ale źrenice są wywrócone do góry. W ten sposób chyba nic nie widzi.

Jakby w odpowiedzi na naszą rozmowę, Eugene zaczął słać się na nogach.

Podtrzymałyśmy go z Kitty.

- Byłoby łatwiej, gdyby pani zaparkowała bliżej - powiedziała Kitty dysząc. - Stała pani prawie na środku ulicy.

Poprawiłam sobie Eugene'a na ramieniu.

- Na chodniku parkuję tylko tam, gdzie jest parkometr.

Wspólnie oparliśmy Eugene'a o tylny błotnik buicka i odetchnęliśmy z ulgą. A potem wepchnęliśmy go na tylne siedzenie wozu i przykużyliśmy kajdankami do poręczy przy drzwiach.

- Co teraz zrobisz? - zapytałam Kitty. - Masz się gdzie podziać?

- Mam przyjaciółkę w Nowym Brunswiku. Mogę się u niej zatrzymać na jakiś czas.

- Nie zapomnij podać sądowi swego nowego adresu.

Skinęła głową i podreptała do domu. Wskoczyłam za kierownicę i ruszyłam ulicami Miasteczka w stronę alei Hamiltona. Eugene uderzył

parę razy głową o drzwi na jakichś wybojach, ale poza tym podróż na posterunek policji przebiegła bez zakłóceń.

Podjechałam od tyłu, wysiadłam z buicka i wcisnęłam przycisk przy zamkniętych drzwiach, który uruchamiał dzwonek na biurku dyżurnego.

Odsunęłam się o krok i pomachałam do kamery.

Niemal natychmiast drzwi się otworzyły i wyrzwał z nich Szalony Carl Constanza.

- O co chodzi?

- Przywiozłam pizzę.

- Okłamywanie policjanta to przestępstwo.

- Pomóż mi lepiej wydostać tego gościa z samochodu.

Carl zakołysał się na piętach, a na twarzy pojawił mu się uśmiech.

- To twój wóz?

Zmrużyłam oczy.

- A masz coś przeciwko niemu?

- Gdzież tam. Poprawność polityczna przede wszystkim. Niech mnie ręka boska broni przed żartowaniem sobie z kobiet i ich wielkich samochodów.

- Załatwiła mnie prądem - bełkotał Eugene. - Chcę rozmawiać z prawnikiem.

Popatrzyliśmy z Carlem na siebie.

- To straszne, co wódka robi z człowieka - powiedziałam odpinając Eugene'owi kajdanki. - Ludzie wygadują najbardziej niestworzone rzeczy.

- Nie przyłożyłaś mu chyba prądem, co?

- Oczywiście, że nie!

- A może jednak trochę podrażniłaś mu neurony?

- No dobrze, jak chcesz wiedzieć, przyłożyłam mu pistolet elektryczny do dupy.

Kiedy wypisano mi zaświadczenie o dostarczeniu poszukiwanego, było już po szóstej. Za późno, żeby wpaść do biura po pieniądze.

Przez chwilę stałam na parkingu i przez drucianą siatkę wpatrywałam się w budynki po drugiej stronie ulicy. Kościół, „Sklep modniarski Lydii”, magazyn z używanymi meblami i sklepik spożywczy.

W żadnym z tych przybytków nie widziałam nigdy klientów i zaczęłam się zastanawiać, jak ich właściciele wiązali koniec z końcem. Zdaje się, że ledwo ledwo, choć fasady wyglądały solidnie i nigdy się nie zmieniały.

Skamieliny też się nie zmieniają.

Zaniepokojona poważnym spadkiem cholesterolu w organizmie, postanowiłam zjeść na kolację kurczaka na ostro i jakieś ciasteczka.

Kupiłam jedzenie na wynos i udałam się na ulicę Patersona, gdzie zaparkowałam naprzeciw domu Julii Cenetty. Pomyślałam, że tu można zjeść tak samo, jak w każdym innym miejscu, a przy okazji obserwować, czy przypadkiem nie pojawi się Kenny.

Zjadłam kurczaka i ciasteczka. Popiłam i doszłam do wniosku, że to wymarzona kolacja: nie musiałam się denerwować obecnością Spira, nie miałam talerzy do zmywania, po prostu pełny luz.

W domu Julii świeciło się światło, ale zasłony były zaciągnięte, więc i tak nic nie mogłam zobaczyć. Na podjeździe stały dwa samochody.

Jeden należał do Julii, a drugi pewnie do jej matki.

Nagle na chodniku przed domem zatrzymał się nowiutki samochód.

Wysiadł z niego jakiś blondynek i podszedł do drzwi. Otworzyła mu Julia.

Była w dzinsach i kurtce. Krzyknęła coś przez ramię i wyszła z domu.

Blondyn i Julia całowali się przez kilka minut w samochodzie. W końcu chłopak uruchomił silnik i oboje odjechali. I to by było na tyle, jeśli chodzi o Kenny'ego.

Podjechałam do wypożyczalni kaset wideo Vica i wzięłam *Pogromców duchów*, mój ulubiony film, po którym zawsze przychodziły mi do głowy jakieś pomysły. Po drodze kupiłam jeszcze prażoną kukurydzę, batonik Kit-Kat, torbę ciasteczek z masłem orzechowym i rozpuszczalną czekoladę. W końcu, jak szaleć, to szaleć.

Kiedy wróciłam do domu, zauważyłam, że sekretarka mruga czerwoną diodą.

Spiro chciał się koniecznie dowiedzieć, czy poczyniłam jakieś postępy w sprawie jego trumien, i

pytał, czy nie wybrałabym się z nim do kina po ceremonii wystawienia niejakiego Kingsmitha. Na oba pytania mogłam bez wahania i z całą mocą odpowiedzieć NIE! Odwlekałam telefon do niego, gdyż nawet jego głos z taśmy przyprawiał mnie o mdłości.

Druga wiadomość była od „Leśnika”: „Zadzwoń do mnie”.

- Kto mówi? - zapytał „Leśnik”.

- Tu Stephanie. Co się stało?

- Szykuje się impreza. Powinnaś się chyba przygotować.

- Mam włożyć szpilki i pończochy?

- Myślałem raczej o drobiazgach z firmy Smith & Wesson.

- Domyślam się, że chcesz się ze mną spotkać.

- Jestem w zaułku na rogu ulic West Lincoln i Jacksona.

Ulica Jacksona miała niemal trzy kilometry i biegła obok wysypisk śmieci, starych opuszczonych zakładów hydraulicznych i najrozmaitszych spelunek oraz podrzędnych hotelików. Była to tak zapuszczona dzielnica, że młodocianym gangom nie chciało się tam nawet mazać graffiti na ścianach. Tylko nieliczne samochody zapuszczały się w te okolice. Lampy uliczne porozbijali chuligani, a nikomu nie przyszło do głowy, by je powymieniać. Pożary były tam na porządku dziennym. W związku z tym przybywało osmalonych budynków o oknach pozabijanymi deskami. W

zapchanych śmieciami studzienkach pełno było strzykawek i igieł.

Ostrożnie wyjęłam pistolet z brązowego pudełka po ciastkach i sprawdziłam, czy jest nabity. Wrzuciłam go do torebki razem z KitKatem, wepchnęłam włosy pod baseballówkę, aby choć trochę upodobnić się do mężczyzny i z powrotem zarzuciłam kurtkę na grzbiet.

Rezygnowałam z randki z *Pogromcami duchów*, ale przynajmniej z ważnego powodu. „Leśnik” ani chybi zwąchał coś w sprawie Kenny’ego albo trumien. Gdyby potrzebował pomocy przy ujęciu kogoś, kogo śledził, na pewno nie dzwoniłby do mnie. Wystarczyło dać mu kwadrans, a zebrałby drużynę, dla której Pustynna Burza byłaby dziecinną igraszka.

Nie muszę chyba dodawać, że nie byłam na czele listy kandydatów do tej drużyny marzeń. Nie byłam nawet na jej końcu.

Jadąc buickiem ulicą Jacksona czułam się względnie bezpieczna.

Wątpię, by był ktoś na tyle głupi, by chciał kraść tego wielkiego grzmota, i nikt nie byłby pewnie aż takim idiotą, żeby w ogóle porywać się na taką akcję. Przypadkowych kul też nie miałam się co obawiać. Trudno przecież celować, kiedy człowiek trzęsie się ze śmiechu, patrząc na tego dinozaura.

Kiedy „Leśnik” nie odstawiał nikogo na posterunek policji, jeździł

zwykle czarnym mercedesem. Na polowanie zaś udawał się czarnym fordem bronco. Zauważyłam forda w zaułku, który mi opisał. Czułam, że zaraz dostanę rozwolnienia na myśl o tym, że mielibyśmy kogoś zgarnąć z ulicy Jacksona. Zaparkowałam tuż przed samochodem „Leśnika” i wyłączyłam światła. Patrzyłam, jak właściciel forda wychodzi z cienia.

- Co się stało z jeepem?

- Ukradli mi go.

- Słyszałem, że dziś w nocy ma dojść do jakiegoś handlu bronią.

Wojskowe zabawki i rzadko spotykana amunicja. Dostawca ma być ponoć biały.

- Kenny!

- Być może. Pomyślałem, że może warto by się temu przyjrzeć. Mój informator mówił, że transakcja ma nastąpić na Jacksona pod dwieście siedemdziesiątym. To ta chałupa z wybitym oknem.

Zmrużyłam oczy i spojrzałam na drugą stronę ulicy. Dwa domy dalej od numeru 270 stał na ceglach pordzewiały bonneville bez kół. Poza tym było pusto i głucho. W żadnym z domów nie świeciło się światło.

- Nie chodzi o to, żeby zapobiec tej transakcji - powiedział „Leśnik”.

- Posiedzimy tutaj po cichu i spróbujemy zidentyfikować tego białego.

Jeśli to Kenny, pojedziemy za nim.

- Jest za ciemno, żeby go rozpoznać.

„Leśnik” podał mi lornetkę.

- Z noktowizorem.

- Oczywiście.

Czekaliśmy już ponad godzinę, kiedy nagle ulicą Jacksona przejechała furgonetka. Po chwili pojawiła się znowu i zatrzymała się.

Ustawiłam ostrość na kierowcę.

- Wygląda na białego - powiedziałam do „Leśnika” - ale ma na twarzy kominiarkę. Nie widzę dokładnie.

Za furgonetką nadjechało BMW. Wysiedli z niego czterej Murzyni i podeszli do półciężarówki. Na

dźwięk odsuwanych drzwi „Leśnik” opuścił

okno. Dochodziły nas przyciszone głosy. Ktoś się roześmiał. Mijały minuty. Jeden z Murzynów zaczął kursować między furgonetką a BMW.

Najpierw zaniósł do bagażnika jedną drewnianą skrzynię, potem drugą.

Nagle otworzyły się drzwi domu, przed którym stał bonneville na ceglach i z budynku wypadli policjanci z wyciągniętą bronią i wykrzykując polecenia pędzili w stronę BMW. Skądś nadjechał radiowóz i z piskiem opon zatrzymał się, blokując ulicę. Czterej Murzyni rozbiegli się.

Furgonetka natychmiast ruszyła spod numeru 270.

- Nie zgub jej - krzyknął „Leśnik”, pędząc do swojego forda. - Będę tuż za tobą.

Kiedy tylko furgonetka przemknęła mi przed maską, przełożyłam dźwignię w pozycję „jazda” i wcisnęłam gaz do dechy. Wypadłam z zaułka. Poniewczasie niestety dostrzegłam, że tuż za nią jedzie jeszcze inny samochód. Zahamowałam z piskiem opon i zakłęłam pod nosem, a samochód goniący furgonetkę odbił się od buicka z dość głośnym hukiem.

Z dachu tamtego odczepił się czerwony kogut i poszybował w noc niczym raca. Ja prawie w ogóle nie odczułam uderzenia, ale ten drugi samochód -

zdaje się, że policyjny - odrzuciło o dobre cztery metry.

Widziałam znikające w dali tylne światła furgonetki i zastanawiałam się, czyby nie zacząć jej gonić. To chyba zły pomysł, doszłam do wniosku. Ktoś mógłby pomyśleć, że rozbiwszy jeden z nie oznakowanych samochodów policyjnych, uciekam z miejsca wypadku.

Grzebałam w torebce w poszukiwaniu prawa jazdy, kiedy drzwi buicka otworzyły się i zza kierownicy wyciągnął mnie nie kto inny jak sam Joe Morelli. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę z rozdziawionymi ustami, nie dowierzając własnym oczom.

- No nie! - krzyknął Morelli. - Nie, tego już za wiele, do jasnej cholery! Ty chyba nie robisz nic innego, tylko myślisz, jak by mi tu wszystko spieprzyć.

- Nie pochlebiaj sobie.

- Omal mnie nie zabiłaś!

- Przesadzasz. A poza tym nie miałam wobec ciebie żadnych morderczych zamiarów. Nawet nie wiedziałam, że to ty jedziesz tym samochodem. - Gdybym wiedziała, na pewno by mnie tu nie było. - Poza tym ja się nie skarżę i nie skamle, że to ty zajechałeś mi drogę. Gdyby nie ty, na pewno bym go złapała.

Morelli zakrył sobie oczy dłonią.

- Powiniennem być się wynieść z tego stanu, kiedy miałem okazję.

Powiniennem być zostać w marynarce.

Popatrzyłam na jego samochód. Część tylnego błotnika była zdarta, a zderzak leżał na ulicy.

- Nie jest tak źle - powiedziałam. - Chyba nawet można jeszcze nim jeździć.

Oboje spojrzeliśmy na błękitnego olbrzyma. Nie było nawet śladu po zderzeniu.

- Przecież to buick - powiedziałam przepraszająco. - Pożyczony wóz.

Morelli patrzył w przestrzeń.

- Jasna cholera.

Za plecami Morellego pojawił się radiowóz.

- Wszystko w porządku?

- Tak, w jak najlepszym - odparł Morelli. - Czuję się, kurwa, wspaniale.

Radiowóz odjechał.

- Buick - powiedział Morelli. - Jak za starych dobrych czasów.

Kiedy miałam osiemnaście lat, omal nie przejechałam Morellego podobnym wozem.

Morelli patrzył gdzieś poza mną.

- Jak się domyślam, w tym czarnym bronco siedzi „Leśnik”.

Spojrzałam w głąb zaułka. „Leśnik” wciąż tam był i skulony za kierownicą trząsał się ze śmiechu.

- Chcesz, żebym złożyła oświadczenie o wypadku? - zapytałam Morellego.

- Nie określiłbym tego mianem wypadku.

- Przyjrzałeś się temu facetowi z ciężarówki? Jak myślisz, był to Kenny?

- Tego samego wzrostu, ale wyglądał na szczuplejszego.

- Mógł schudnąć.

- Sam już nie wiem - powiedział Morelli. - Nie wydaje mi się, aby to był Kenny.

„Leśnik” błysnął światłami i bronco wytoczył się z zaułka wymijając buicka.

- Chyba już sobie pójdę - oznajmił, zatrzymawszy się na chwilę. -

Troje to czasami tłum.

Pomogłam Morellemu wepchnąć zderzak na tylne siedzenie, a resztę złomu kopnęliśmy na pobocze. Zza rogu słychać było, jak policjanci kończą akcję.

- Muszę wracać na policję - powiedział Morelli. - Chcę być przy przesłuchaniu tych gagatków.

- No i sprawdzisz przy okazji numer furgonetki.

- Na pewno była kradziona.

Wróciłam do buicka i cofnęłam się w głąb zaułka, by ominąć potłuczone szkło. Skręciłam w Jackson i ruszyłam do domu. Ujechałam kilka przecznic, kiedy nagle zawróciłam i pojechałam w stronę posterunku policji. Zaparkowałam w głębokim cieniu naprzeciw baru z reklamą RC Coli. Siedziałam tak nie dłużej niż pięć minut, kiedy na parkingu pojawiły się radiowozy, za nimi fairlane Morellego - bez zderzaka, i dwa inne radiowozy. Fairlane pasował teraz jak ulał do biało-niebieskich radiowozów. Policja w Trenton nie traci pieniędzy na zabiegi kosmetyczne. Jeśli na karoserii radiowozu pojawi się wgniecenie, to tak już zostaje. We flocie policyjnych wozów nie było ani jednego, który nie przypominałby worka treningowego dla nieopierzonych kierowców.

O tej porze parking był raczej pusty. Morelli ustawił fairlane'a obok swojej prywatnej toyoty i wszedł do budynku. Dwa radiowozy stanęły pod drzwiami, aby wysadzić aresztowanych. Włączyłam bieg i wjechawszy na parking, ustawiłam się tuż przy toyocie Morellego.

Po godzinie zrobiło mi się chłodno, więc włączyłam dmuchawę i wkrótce w środku zrobiło się cieplutko. Zjadłam pół KitKata i wyciągnęłam się na siedzeniu. Minęła druga godzina. Powtórzyłam wszystkie czynności. Właśnie kończyłam czekoladkę, kiedy otworzyły się boczne drzwi posterunku i pojawiła się w nich podświetlona od tyłu sylwetka mężczyzny. Od razu poznałam, że to Morelli. Zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę toyoty. W połowie drogi zauważył mnie i buicka.

Widziałam, jak poruszył ustami. Nie trzeba było przesadnie wielkiego intelektu, by odgadnąć jakie słowo wymamrotał.

Wysiadłam z samochodu, aby jeszcze trudniej było mu mnie nie zauważyć.

- No i jak poszło? - zaszczębiotałam radośnie.

- Te graty pochodzą z Braddock. To wszystko. - Podszedł krok bliżej i pociągnął nosem. - Czuję czekoladę.

- Zjadłam pół KitKata.

- I pewnie nie masz drugiej połówki.

- Zjadłam ją wcześniej.

- To wielka szkoda. Gdybym dostał KitKata, mógłbym sobie przypomnieć jakieś ważne informacje.
- Czy sugerujesz, że powinnam cię nakarmić?
- Masz może coś jeszcze w torebce?
- Nie.
- A masz jeszcze w domu szarlotkę?
- Mam prażoną kukurydzę i słodycze. Miałam też zamiar oglądać film.
- Czy to kukurydza z masłem?
- Tak.
- W porządku - stwierdził Morelli. - Chyba się zgodzę na tę kukurydzę.
- Jeśli liczysz na połowę mojej kukurydzy, to musisz mi dać coś naprawdę niezłego.

Morelli uśmiechnął się szeroko.

- Mówiłam o informacjach!
- Jasne - powiedział Morelli.

Rozdział 7

Morelli jechał za mną od posterunku. Trzymał się z daleka, bojąc się pewnie zawirowań powietrza, jakie wywoływał buick sunąc przez noc.

Wjechaliśmy na parking na tyłach kamienicy i ustawiliśmy wozy jeden przy drugim. Przy tylnym wejściu Mickey Boyd palił papierosa.

Żona Mickeya, Francine, zaczęła przed tygodniem stosować plastry nikotynowe i Mickey nie mógł teraz palić w mieszkaniu.

- No, no, no - rzekł Mickey mrużąc oczy od dymu. Papieros jak zaczarowany trzymał się jego dolnej wargi. - Ale bryka z tego buicka.

Kawał wozu. Teraz już się takich nie robi.

Zerknęłam na Morellego.

- Podejrzewam, że wielki samochód z chromowanymi wykończeniami to jeszcze jedna typowo męska rzecz.
- Tu chodzi o rozmiar - wyjaśnił mi Morelli. - Facet musi mieć czym zaimponować.

Ruszyliśmy po schodach, lecz w połowie drogi poczułam mocne bicie serca. Może kiedyś opuści mnie uczucie strachu przed kolejnym włamaniem, a zastąpi go zwykła ostrożność. Kiedyś, ale nie dzisiaj.

Dzisiaj ze wszystkich sił starałam się ukryć niepokój. Nie chciałam, żeby Morelli pomyślał, że jestem mięczakiem. Na szczęście drzwi zastaliśmy zamknięte i nienaruszone, a kiedy weszliśmy do mieszkania, usłyszałam w ciemności, że chomik biega w swoim kółku.

Włączyłam światło i rzuciłam kurtkę i torebkę na stolik w przedpokoju.

Morelli wszedł za mną do kuchni i patrzył, jak wstawiam kukurydzę do mikrofalówki.

- Założę się, że do tej kukurydzy wypożyczyłaś jakiś film.

Otworzyłam torbę z ciasteczkami i podałam ją Morellemu.

- *Pogromców duchów.*

Morelli wyjął ciasteczko z torby, i wrzucił go sobie do ust.

- Na filmach też się nie znasz.

- To mój ulubiony!

- To głupi film. I nie gra w nim De Niro.

- Opowiedz mi o tej dzisiejszej akcji.

- Złapaliśmy czterech gości z BMW - zaczął Morelli - Ale nikt nic nie wie. Całą transakcją uzgodniono telefonicznie.

- A co z furgonetką?

- Kradziona, tak jak ci mówiłem. Tutejsza.

Brzęknął dzwonek mikrofalówki. Wyjęłam prażoną kukurydzę.

- Aż trudno uwierzyć, że ktoś zdecydował się jechać na ulicę Jacksona w środku nocy, żeby tam kupić trefne wojskowe uzbrojenie od kogoś, z kim rozmawiał tylko przez telefon.

- Sprzedawca znał nazwiska. I to chyba wystarczyło tym facetom.

To nie są grube ryby.

- Nic nie wskazuje na udział Kenny'ego?

- Jak dotąd, nic.

Wrzuciłam kukurydzę do miski i podałam ją Morellemu.

- A jakie nazwiska wymienił sprzedawca? Znam może kogoś?

Morelli otworzył lodówkę i wyjął piwo.

- Też chcesz?

Wzięłam puszkę i otworzyłam ją.

- To co z tymi nazwiskami...

- Zapomnij o nazwiskach. I tak nie pomogą ci w odnalezieniu Kenny'ego.

- A może opis? Jak brzmiał głos sprzedawcy? Jakiego koloru miał
oczy?

- Przeciętny biały facet o przeciętnym głosie, bez żadnych znaków szczególnych. Na kolor oczu nikt nie zwrócił uwagi. Ci Murzyni chcieli po prostu kupić broń, a nie umówić się na randkę.

- Nie zgubilibyśmy go, gdybyśmy pracowali razem. Powinieneś być

do mnie zadzwonić - powiedziałam. - Jestem przedstawicielką firmy poręczycielskiej i mam prawo brać udział w takich operacjach.

- Mylisz się. Możemy cię zaprosić do udziału w takiej operacji tylko przez czystą uprzejmość, a nie z obowiązku.

- No dobrze, ale dlaczego mnie nie zaprosiliście?

Morelli wziął garść kukurydzy.

- Nie mieliśmy pewności, że to Kenny będzie kierowcą furgonetki.

- Ale była taka możliwość.

- Owszem, była.

-1 postanowiliście mnie z tego wyłączyć. Wiedziałam to od samego początku. Wiedziałam, że będziecie chcieli się mnie pozbyć.

Morelli poszedł do pokoju.

- Wnoszę z tego, że dajesz mi do zrozumienia, iż między nami znowu wojna?

- Daję ci do zrozumienia, że jesteś łajdakiem. Powiem więcej, oddawaj kukurydzą i wynoś się z mojego mieszkania!

- Nie.

- Co to znaczy „nie”?

- Umówiliśmy się, o ile pamiętasz. Informacje za kukurydzą.

Dostałaś informacje, a ja uzyskałem prawo do kukurydzy.

Natychmiast pomyślałam o torebce leżącej na stoliku w przedpokoju. Mogłabym przecież potraktować Morellego tak jak Eugene'a Petrasa.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł mnie Morelli. - Wystarczy, że się zbliżysz do tego stolika, a wsadzę cię do paki za nielegalne noszenie broni.

- To już przekracza wszelkie granice. Nadużywasz swojej władzy policjanta.

Morelli wziął kasetę z filmem i wrzucił ją do magnetowidu.

- Oglądasz czy nie?

Obudziłam się w złym humorze i sama nie wiedziałam, dlaczego.

Podejrzewałam, że ma to jakiś związek z Morellim i tym, że nie udało mi się go obezwładnić pistoletem elektrycznym ani sparaliżować gazem obronnym. Wyszedł, kiedy skończył się film i kukurydza w misce. Na odchodnym powiedział tylko, że powinnam mu ufać.

- Jasne - odparłam. - Już się rozpędziłam.

Nastawiłam kawę, wykręciłam numer Eddiego Gazarry i zostawiłam dla niego wiadomość, żeby oddzwonił. Czekając na kawę pomalowałam sobie paznokcie. Wypiłam trochę kawy i przysmażyłam sobie na patelni ciasteczka ryżowe. Zjadłam dwa, kiedy zadzwonił telefon.

- O co chodzi? - zapytał Gazarra.

- Chcę poznać nazwiska czterech Murzynów, których aresztowano wczoraj na Jacksona. I powiedz mi, jakie nazwiska podał im kierowca furgonetki.

- Jasna cholera. Nie mam dostępu do akt tej sprawy.

- A potrzebna ci niańka do dziecka?

- Pytanie. Zobaczę, co da się zrobić.

Wzięłam szybki prysznic, przeczesałam palcami włosy, włożyłam dzinsy i flanelową koszulę. Wyjęłam pistolet z torebki i ostrożnie wrzuciłam go z powrotem do puszki. Włączyłam sekretarkę i zamknęłam drzwi.

Powietrze było rześkie, a niebo niemal idealnie błękitne. Na szybach buicka połyskiwały kryształki szronu. Wsiadłam za kierownicę, uruchomiłam silnik i włączyłam dmuchawę na pełną moc.

Wyznaję zasadę, że lepiej robić cokolwiek (choćby wydawało się to głupie i bezsensowne), niż nie robić nic. Zgodnie z tym założeniem rano postanowiłam poświęcić na sprawdzanie znajomych i krewnych Kenny'ego. Jeżdżąc po ulicach rozglądałam się przy okazji za moim jeepem i białymi ciężarówkami opatrzonymi czarnymi napisami. Niczego takiego nie znalazłam, a lista rzeczy zaginionych wciąż się wydłużała.

Może więc mimo wszystko czyniłam jakieś postępy? Jeśli ta lista wydłuży się jeszcze trochę, to w końcu coś się może zacznie wyjaśniać.

Po trzeciej rundce poddałam się i skierowałam wóz w stronę biura.

Należało odebrać czek za Eugene'a Petrasa, a poza tym chciałam sprawdzić wiadomości na automatycznej sekretarce. Niedaleko biura Vinniego znalazłam wolne miejsce i zaczęłam parkować błękitnego grzmota równolegle do krawężnika. Nie minęło nawet dziesięć minut i buick stał tam, gdzie chciałam... no może tylko tylne koło trochę za bardzo wjechało na chodnik.

- Nieźle to zrobiłaś - pochwaliła mnie Connie. - Bałam się już, że zanim zdołasz go ustawić, zabraknie ci benzyny.

Rzuciłam torebkę na kanapę.

- Idzie mi coraz lepiej. Tylko dwa razy stuknęłam samochód z przodu, ale nawet nie musnęłam parkometru.

Zza pleców Connie wyjrzała znajoma twarz.

- No, mam nadzieję, że to nie w mój samochód stuknęłaś.

- Lula!

Lula w białym dresie i białych adidasach stała z ręką na biodrze w całej swej stukilowej okazałości. Włosy jej były koloru marchewki i wyglądały, jakby je ktoś poprzycinał sekatorem i usztywnił klejem do tapet.

- Sie masz - powitała mnie Lula. - Co cię tu przyгнаło?

- Przyjechałam po wypłatę. A ty co tu robisz? Próbujesz się jako łowca nagród?

- A skąd. Przyjęli mnie, aby doprowadzić to biuro do porządku.

Rzygać mi się już chce od tych teczek.

- A twoja poprzednia praca?

- Przeszłam na emeryturę. Miejsce pod latarnią oddałam Jackie. Po tym wypadku w lecie zeszłego roku nie mogłam już wrócić na ulicę.

Connie uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- No, ona to sobie z Vinniem da radę.

- Ba - powiedziała Lula. - Niech tylko spróbuje mnie tknąć, a rozdepczę go jak pluskwę. Jak zacnie zadzierać z Lula, zostanie z niego mokra plama na dywanie.

Bardzo lubiłam Lulę. Poznałyśmy się kilka miesięcy wcześniej.

Wtedy stawiałam zaledwie pierwsze kroki w swoim nowym zawodzie.

Kiedy zadawałam jej pytania, stała jeszcze na rogu ulicy Stark.

- Utrzymujesz swoje stare kontakty? Słyszałaś może, o czym się teraz mówi na mieście?

- A niby co takiego miałabym słyszeć?

- Czterech Murzynów próbowało wczoraj kupić broń i gliny ich zwinęły.

- A, o to ci chodzi. Wszyscy o tym wiedzą. To dwóch chłopaków Longa, Booger Brown i jego przygłupi kuzynek Freddie Johnson.

- A wiesz może, od kogo próbowali kupić tę broń?

- Podobno od jakiegoś białego. Ale nic więcej nie wiem.

- Próbuję właśnie namierzyć tego gościa.

- Ale śmiesznie jest stać teraz po tej stronie prawa - stwierdziła Lula. - Będę się chyba jednak musiała przyzwyczaić.

Wykręciłam numer do domu, żeby odsłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki. Otrzymałam kolejne zaproszenie od Spira i listę nazwisk od Eddiego Gazarry. Pierwsze cztery odpowiadały tym, które podała mi Lula. Ostatnie trzy były nazwiskami gangsterów, o których mówił biały handlarz. Zapisałam je i pokazałam Luli.

- Powiedz mi, co wiesz o Lionelu Boone, „Śmierdzielu” Sandersie i Jamalu Alou.

- Boone i Sanders handlują. W mamrze bywają regularnie, jakby tam mieli abonament. Na ich życie nie postawiłabym nawet złamanego szeląga, wiesz, co mam na myśli. Tego Alou w ogóle nie znam.

- A ty? - zwróciłam się do Connie. - Znasz któregoś z tych gagatków?

- Tak od ręki to ci nie powiem, ale mogę poszperać w aktach.

- Zaraz, zaraz - zaprotestowała Lula. - To moja działka. Odsuń się i pozwól mi zajrzeć do kartoteki.

W czasie gdy Lula grzebała w aktach, ja zadzwoniłam do „Leśnika”.

- Rozmawiałam wczoraj w nocy z Morellim - oznajmiłam mu. -

Niewiele zdołali wyciągnąć z tych Murzynów. Dowiedzieli się właściwie tylko tyle, że kierowca furgonetki powoływał się na nazwiska Lionela Boone’a, „Śmierdziela” Sandersa i Jamala Alou.

- Banda gałganów - stwierdził „Leśnik”. - Alou to rzemieślnik.

Potrafi przerobić każdą pukawkę.

- Może powinniśmy z nim pogadać.

- Nie sądzę, żebyś chciała tego słuchać, mała. Sam się lepiej nim zajmę.

- Nie ma sprawy. Zresztą i tak muszę parę rzeczy załatwić.

- Żadnego z tych palantów nie ma w aktach - oznajmiła Lula. -

Chyba zahaczyliśmy o wyższą klasę.

Wzięłam czek z biurka Connie i wycofałam się w stronę błękitnego olbrzyma. Z pobliskiej kafejki wyszedł jej właściciel, Sal Fiorello, i zaglądał przez boczną szybę do wnętrza buicka.

- Ależ pięknie utrzymany - rzucił w eter.

Przewróciłam oczami i włożyłam klucz do zamka.

- Dzień dobry, panie Fiorello.

- Niezły masz wóz - powiedział z uznaniem.

- Aha - zgodziłam się. - Nie każdy może takim jeździć.

- Mój wujek Manni też miał buicka z pięćdziesiątego trzeciego roku.

Znaleziono go później martwego w samochodzie. Na wysypisku śmieci.

- O rany, tak mi przykro.

- Cała tapicerka była do wyrzucenia - dorzucił Sal. - Co za strata.

Pojechałam do domu pogrzebowego Stivy i zaparkowałam po drugiej stronie ulicy. Na podjazd wjechała furgonetka z kwiaciarni i zniknęła za rogiem budynku. Poza tym nic się nie działo. Budynek sprawiał wrażenie całkowicie wymarłego. Zaczęłam rozmyślać o Constantinie Stiva, który leżał w szpitalu św. Franciszka. Nie pamiętam, by kiedykolwiek robił sobie wakacje, a teraz musiał leżeć w

łóżku i powierzyć całą firmę temu swojemu szczerowatemu pasierbowi. To musiało go strasznie gryźć. Ciekawa byłam, czy wie coś o trumnach.

Zapewne nie. Spiro pokpił sprawę i próbował to ukryć przed Conem.

Musiałam poinformować Spira, że nie poczyniłam żadnych postępów i odrzucić jego zaproszenie na kolację, ale trudno mi było zmusić się do przejścia na drugą stronę ulicy. Można było znieść dom pogrzebowy o siódmej wieczorem, kiedy pełno w nim ludzi. Ale być na tyle szaloną, by pchać się tam o jedenastej rano? Tylko ja, Spiro i truposze?!

Siedziałam przez dłuższą chwilę w samochodzie i rozmyślałam o przyjaźni Spiro, Kenny'ego i Moogeeya z czasów licealnych. Kenny cwaniaczek. Spiro - facet o niezbyt lotnym umyśle, zepsutych zębach i grabarskim rodowodzie. Wreszcie Moogeey, który - o ile mi wiadomo - był

raczej porządnym człowiekiem. To zdumiewające, jak różni ludzie łączą się z potrzeby przyjaźni.

Dziś Moogeey już nie żyje. Kenny gdzieś zaginął. Natomiast Spiro szuka dwudziestu czterech tanich trumien. Życie doprawdy się czasem dziwnie układa. Chodzisz z człowiekiem do liceum, przyjaźnisz się z nim, grasz w kosza i podkradasz maluchom drobne na drugie śniadanie, aż tu nagle musisz zabalsamować jego zwłoki i wypełnić mu w głowie dziury po kulach.

Nagle zaświtała mi w głowie szalona myśl. A jeśli to się wszystko w jakiś sposób łączy? Jeśli Kenny ukradł tę broń i schował ją w trumnach Spira? Co wówczas? Nie miałam pojęcia.

Na niebo wypełzły postrzępione chmury. Wzmógł się też wiatr. Nad ulicą przeleciały niesione powiewem liście i zaszeleściły na przedniej szybie buicka. Doszłam do wniosku, że jeszcze trochę takich medytacji, a objawią mi się ufoludki.

Około południa zdałam sobie sprawę, że górę wzięło we mnie tchórzostwo. Żaden problem. Zastosuję wobec tego plan numer dwa.

Pojadę do rodziców, zjem obiad i przyciągną ze sobą babcię Mazurową.

Kiedy zajechałam na mały prywatny parking Stivy, dochodziła już prawie druga. Babcia siedziała obok mnie na wielkiej przedniej kanapie i wyciągała szyję, żeby cokolwiek zobaczyć.

- Zazwyczaj nie chodzę na popołudniowe wystawienia - zastrzegła się biorąc rękawiczki i torebkę.
- Wpadam tam tylko czasami latem, kiedy spaceruję, ale mimo wszystko wolę te tłumy, które zbierają się wieczorami. Oczywiście to nie ma znaczenia, kiedy jest się łowcą nagród...

jak my.

Pomogłam babci wysiąść z samochodu.

- Nie przychodzę tu dziś jako łowca nagród. Chcę pogadać ze Spirem. Pomagam mu rozwiązać drobny problem.

- No pewnie. A co zgubił? Założą się, że jakieś zwłoki.

- Mylisz się. Nie zgubił żadnych zwłok.

- Szkoda. Mogłybyśmy równie dobrze szukać trupa.

Weszliśmy po schodach do wnętrza domu pogrzebowego.

Zatrzymałyśmy się na chwilę przed wywieszonym programem wieczoru.

- Kogo będziemy dziś oglądać? - dopytywała się babcia. - Feinsteina czy Mackeya?

- A którego wolałabyś zobaczyć?

- Mogłabym popatrzeć na Mackeya. Nie widziałam go już wieki całe, od kiedy odszedł z pracy w A&P.

Zostawiłam babcię samą sobie i ruszyłam na poszukiwania Spira.

Znalazłam go w gabinecie Cona. Siedział za wielkim orzechowym biurkiem z telefonem w ręku. Rozłączył się i gestem wskazał mi, żebym usiadła.

- To Con - wyjaśnił. - Wciąż do mnie wydzwania. Nie mogę się od niego odczepić. Zaczyna być po prostu upierdliwy.

Pomyślałam sobie, jak wspaniale by było, gdyby Spiro spróbował

teraz rzucić się na mnie - mogłabym go uraczyć sporą dawką woltów lub też zażyć go może inaczej? Gdyby odwrócił się do mnie plecami, mogłabym mu przystawić pistolet elektryczny do karku, a potem udawać, że to nie ja, tylko jakiś szalony żalobnik wpadł do gabinetu, ogłuszył Spira i wybiegł.

- No więc, co słychać? - zapytał Spiro.

- Masz rację co do trumien. Rzeczywiście zniknęły. - Położyłam na biurku klucz od schowka. - Zastanówmy się raz jeszcze nad kwestią klucza. Czy tylko ty go masz?

- Owszem.

- Czy dorabiałeś kiedykolwiek drugi?

- Nie.

- A może go komuś pożyczałeś?

- Na pewno nie.

- A może zostawiłeś go na chwilę spiętego razem z innymi kluczami?

- Ależ skąd. Nikt nie miał do niego dostępu. Klucz leżał u mnie w domu w górnej szufladzie mojej bielizniarki.

- A Con?

- Co Con?

- Czy miał dostęp do klucza?

- Con nic nie wie o trumnach. To był mój pomysł.

Nie zaskoczyło mnie to.

- A tak z czystej ciekawości: powiedz, co miałeś zamiar zrobić z tymi trumnami? Przecież nikt z Miasteczka by ci ich nie kupił.

- Właściwie występowałem jako pośrednik. Miałem na nie kupca.

Kupca. Aha! W myślach klepnęłam się w czoło.

- Czy ten kupiec już wie, że po trumnach nie ma ani śladu?

- Jeszcze nie.

- A ty wolałbyś pewnie nie rujnować swojej reputacji.

- Mniej więcej o to mi chodzi.

Nie chciałam już niczego dociekać. Nie byłam nawet pewna, czy chcę dalej szukać tych trumien.

- No dobrze - rzekłam. - Zmieńmy teraz temat. Kenny Mancuso.

Spiro zapadł jakby głębiej w fotel Cona.

- Dawniej przyjaźniliśmy się - oparł. - Ja, Kenny i Moogey.

- Dziwię się, że Kenny nie zwrócił się do ciebie o pomoc. Mógł na przykład prosić cię, żebyś go ukrył.

- Chciałbym mieć tyle szczęścia.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Bo on mnie prześladowuje.

- Kto? Kenny?

- Tak. Był tutaj..

Spiro otworzył środkową szufladę i wyjął z niej kartkę papieru, po czym mi ją podał.

- Czytaj! Dziś rano znalazłem to na swoim biurku.

Wiadomość brzmiała tajemniczo: „Ty masz coś, co należy do mnie, ale teraz i ja mam coś twojego”. List złożono ze srebrnych liter wyciętych z czasopism, a podpisano go również srebrną literą „K”.

- Co to znaczy? - zapytałam.

Spiro wciąż siedział, jakby był przygwożdżony do fotela.

- Sam nie wiem, co to ma oznaczać. Chyba tylko to, że mu całkiem odbiło. Poszukasz dla mnie tych trumien, prawda? - upewniał się mój niefortunny klient. - Pamiętaj, umówiliśmy się.

Coś takiego. Najpierw przerażeniem napawa go liścik od Kenny’ego, a za chwilę pyta mnie o trumny. Bardzo podejrzana sprawa.

- Jeszcze się chyba rozejrzę - zapewniłam go. - Ale szczerze mówiąc, nie mam punktu zaczepienia.

Babcia wciąż przesiadywała w sali, gdzie wystawiono Mackeya.

Trzymała wartę u wezłowania trumny razem z Marjorie Boyer i wdową po Mackeyu. Pani Mackey była niezłe wstawiona „wzmocnioną” herbatką i zabawiała babcię i Marjorie nieco bełkotliwą wersją własnego życiorysu.

Skupiała się głównie na jaśniejszych jego punktach, żywo przy tym gestykulując i ochlapując sobie od czasu do czasu buty płynem z filiżanki.

- Musisz to zobaczyć - ponaglała mnie babcia. - Ubrali George’a w garnitur z ciemnoniebieskiego atlasu, bo to kolory jego łoży, niebieski i złoty. Czyż to nie wspaniałe?

- Wszyscy bracia z łoży przyjdą wieczorem - powiedziała pani Mackey. - Będą tutaj mieli ceremonię. A wieniec to TAAAKI przysłali!

- Jaką dziwną obrączkę ma twój mąż na palcu - zauważyła babcia.

Pani Mackey wychyliła resztę herbaty.

- To sygnet łoży. George, Panie świeć nad jego duszą, chciał być pochowany z tym sygnetem.

Babcia pochyliła się, aby dokładniej obejrzeć ów sygnet.

- O-o!

Bałyśmy się zapytać, co się stało.

Babcia wyprostowała się i spojrzała na nas.

- Patrzcie no tylko - powiedziała zaskoczona trzymając w ręku coś, co kształtem przypominało niewielką marchewkę. - Odpadł biedakowi palec.

Pani Mackey padła zemdlnona na podłogę, a Marjorie z krzykiem wypadła z sali.

Podeszłam bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Jesteś tego pewna? - zapytałam babcie. - Jak to się mogło stać?

- Podziwiałam sygnet, dotknęłam kamienia, no i nim się spostrzegłam, jego palec został mi w ręku - wyjaśniła.

Spiro wpadł do sali, a krok w krok za nim szła Marjorie.

- Cóż to znów za afera z palcem?

Babcia pokazała mu *corpus delicti*.

- Chciałam się bliżej przyjrzeć temu sygnetowi no i palec odpadł.

Spiro chwycił palec Mackeya.

- To nie jest prawdziwy palec tylko woskowa atrapa.

- Ależ on odpadł mu od ręki - powiedziała babcia. - Proszę tylko zobaczyć.

Wszyscy zajrzeliśmy do trumny i patrzyliśmy na żaloszny kikucik, który dopiero co był środkowym palcem George'a.

- Parę dni temu wieczorem jeden facet opowiadał w telewizji, że kosmici porywają ludzi i wyczyniają na nich swoje naukowe eksperymenty - odezwała się babcia Mazurowa. - Coś takiego mogło się tu zdarzyć! Może to właśnie kosmici odcięli palec George'owi? Aby tylko czegoś innego też mu nie odcięli! Chce pan, żebym sprawdziła, czy George ma wszystko na miejscu?

Spiro zatrzaskał] wieko trumny.

- Czasami w procesie balsamowania zdarzają się wypadki -

wyjaśnił. - Niekiedy trzeba nieco podretuszować ubytki.

Przez głowę przemknęła mi przerażająca myśl. Nie, odrzuciłam ją.

Kenny Mancuso nie byłby zdolny do czegoś takiego. To zbyt obrzydliwe nawet jak na niego.

Spiro przestąpił panią Mackey i podszedł do interkomu wiszącego tuż przy drzwiach. Podążyłam za nim i odczekałam, aż wyda polecenie Louiemu Moonowi, by ten zadzwonił po karetkę. Spiro polecił mu też przynieść trochę balsamu do sali numer cztery.

- Co do tego palca... - zaczęłam.

- Gdybyś robiła, co do ciebie należy, Kenny już by siedział za kratkami! - wybuchnął Spiro. - Zastanawiam się, dlaczego ja cię w ogóle zatrudniłem do szukania tych trumien, skoro nie potrafisz sobie dać rady nawet z Mancusem. Cóż w tym trudnego? Facetowi wyraźnie odbiło: zostawia mi liściki, kaleczy sztywniaków.

- Dzwoniłeś na policję?

- Czyś ty z byka spadła? Nie mogę zadzwonić na policję. Od razu poleźliby do Cona, a ten, jakby się o tym dowiedział, to wyszedłby z siebie.

- Nie bardzo ufam swojej wiedzy prawniczej, ale zdaje mi się, że masz obowiązek zgłosić tego typu wypadek.

- Zgłaszani go więc tobie.

- No nie, ja za to nie biorę odpowiedzialności.

- Sam zdecyduję, czy chcę o tym zameldować policji - orzekł Spiro. -

Nie ma takiego prawa, które nakazywałoby paplać o wszystkim glinom.

Spiro wbił wzrok gdzieś ponad moim lewym ramieniem.

Odwróciłam się, by zobaczyć co przykuło jego uwagę i aż podskoczyłam widząc o krok ode mnie Louiego Moona. Łatwo go było rozpoznać po nazwisku, wyszytym czerwoną nitką nad lewą kieszonką białego kombinezonu. Louie był średniego wzrostu i średniej wagi, wyglądał

mniej więcej na trzydziestolatka. Miał bardzo bladą skórę i puste bladoniebieskie oczy. Jego blond włosy zaczęły powoli ustępować miejsca łysinie. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem - na tyle tylko, by przyjąć do wiadomości moją obecność - i podał Spirowi balsam.

- Na sali leży zemdlona kobieta - powiedział doń Spiro. - Wyjdź i skieruj karetkę na tyły posesji, a potem wprowadź ich tutaj.

Moon wyszedł bez słowa. Bardzo potulny. Może dlatego, że miał do czynienia ze zmarłymi. Przypuszczam, że jeśli widziało się tyle co Louie, można było rzeczywiście nabrać wody w usta. Ogranicza to, rzecz jasna, kontakty towarzyskie, ale za to doskonale wpływa na ciśnienie krwi.

- A jak z Moonem? - zapytałam Spira. - Czy miał może dostęp do klucza od schowka? Wie coś o tych trumnach?

- Moon o niczym nie wie. Louie Moon ma iloraz inteligencji jaszczurki.

Nie bardzo wiedziałam, jak na to zareagować, bo sam Spiro był

trochę jaszczurowaty.

- Zaczniemy może od początku - powiedziałam. - Kiedy dostałeś tę wiadomość od Kenny'ego?

- Wpadłem, żeby zatelefonować i znalazłem tę kartkę na biurku.

Musiało być jakieś parę minut po dwunastej.

- A co z palcem? Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Przed wystawieniem zawsze dokonuję ostatecznych oględzin.

Zauważyłem, że staremu George'owi brak jednego palca, więc mu dolepiłem sztuczny.

- Powinieneś być mi o tym powiedzieć.

- Nie bardzo miałem ochotę o tym trąbić. Myślałem, że nikt tego nie zauważy. Nie miałem pojęcia, że pojawi się Babcia-Niszczycielka.

- Powiedz, jak Kenny mógł się tu dostać?

- Musiał po prostu wejść niepostrzeżenie. Kiedy wieczorem opuszczam firmę, włączam alarm. Wyłączam go rano, kiedy otwieram. W

ciągu dnia tylne drzwi są zawsze otwarte, bo często przyjeżdżają tu różni dostawcy. Drzwi od frontu też są zazwyczaj otwarte.

Przez większą część poranka obserwowałam główne wejście i nikt z niego nie korzystał. Na tyły budynku zajechała tylko furgonetka z kwiaciarni. I to wszystko. Oczywiście Kenny mógł wejść, zanim jeszcze objęłam posterunek.

- Nie słyszałeś czegoś?

- Rano pracujemy zwykle w przygotowalni. Jeśli ktoś ma jakiś interes, wzywa nas przez interkom.

- A ktoś może wchodził i wychodził?

- Clara czesze dla nas zmarłych. Przyszła dziś około dziewiątej trzydzieści, aby przygotować panią Grasso. Wyszła mniej więcej po godzinie. Myślę, że możesz ją wybadać. Tylko jej nie wtajemniczaj. Sal Munoz przywiózł kwiaty. Byłem na gorze, kiedy przyjechał i kiedy odjeżdżał, więc on ci na pewno w niczym nie pomoże.

- Może powinieneś się rozejrzeć i sprawdzić, czy ci coś nie zginęło?

- Choćby mi nawet coś zginęło nie chcę o tym wiedzieć.

- Powiedz, co takiego masz, co chciałby też mieć Kenny?

Spiro chwycił się za krocze.

- On ma małego. Rozumiesz, o czym mówię?

Miałam ochotę go udusić.

- Oczywiście żartujesz?

- Nigdy nie wiadomo, co ludźmi powoduje.

- Dobra, dobra, jak ci przyjdzie coś konkretnego do głowy, to daj mi znać.

Wróciłam do pali i zabrałam babcię Mazurową. Pani Mackey wstała już z podłogi i wyglądała nie najgorzej. Marjorie Boyer miała wciąż jeszcze zzieleniałą twarz, ale był to może efekt świetlówek.

Kiedy wyszliśmy na parking zauważyłam, że buick stoi trochę przekrzywiony. Louie Moon stał przy moim samochodzie z błogim wyrazem twarzy i wpatrywał się w potężny śrubokręt sterczący z białego boku opony. Prawdopodobnie z taką samą miną obserwowałby, jak rośnie trawa.

Babcia przykucnęła, aby się lepiej przyjrzeć.

- Nie powinno się robić takich rzeczy buickowi - stwierdziła.

Nie ulegając zbiorowej paranoi, ani przez chwilę nie sądziłam jednak, że jest to przypadkowy akt wandalizmu.

- Widziałeś może, kto to zrobił? - zapytałam Louiego.

Pokręcił przecząco głową. Kiedy się odezwał, usłyszałam głos cichy i pusty jak jego oczy:

- Dopiero co wyszedłem wypatrywać karetki.

- I co, nikogo nie było na parkingu? Nie widziałeś jakiegoś odjeżdżającego samochodu?

- Nie.

Pozwoliłam sobie na luksus westchnienia i wróciłam do budynku, by zadzwonić po pomoc drogową. Skorzystałam z automatu w holu. Kiedy szukałam na dnie torby ćwierćdolarówki, zauważyłam, że trzęsą mi się ręce. To tylko przebita opona, powtarzałam sobie. Nie ma się czym przejmować. To w końcu tylko samochód... stary samochód.

Poprosiłam ojca, żeby przyjechał i zabrał babcię, a sama zaczekałam, aż wymienią mi koło. W tym czasie próbowałam sobie wyobrazić, jak Kenny wkrada się do domu pogrzebowego i zostawia wiadomość dla Spira. Wejść niepostrzeżenie przez tylne drzwi nie musiało być wcale trudno. Gorzej już z odcięciem palca. Do tego potrzebował trochę czasu.

Rozdział 8

Przez tylne drzwi domu pogrzebowego wchodziło się do krótkiego korytarza, który łączył się z głównym holem. Z holu można też było wejść do piwnicy, kuchni i gabinetu Cona. Między gabinetem Cona a drzwiami do piwnicy znajdował się mały westybul i podwójne szklane drzwi, które wychodziły na żwirowy podjazd, wiodący aż do stojących na tyłach garaży. To właśnie przez te drzwi zmarli wyruszali w swą ostatnią drogę.

Dwa lata temu Con wynajął dekoratora, by nieco odświeżyć wnętrza. Dekorator zaprojektował wystrój w kolorze fiołkoworóżowym i białym, a ściany przyozdobił sielankowymi widoczkami. Podłogi wyściełano grubymi wykładzinami. Nic nie skrzypiało. Cały dom starano się urządzić tak, by akustyczność ograniczyć w nim do minimum i dlatego Kenny mógł wśliznąć się nie usłyszany przez nikogo.

W korytarzu wpadłam na Spira.

- Muszę się czegoś więcej dowiedzieć o Kennym - powiedziała na wstępie. - Jak myślisz, gdzie mógł się zadekować? Kto mu pomaga? Do kogo mógłby się zwrócić?

- Morelli i Mancuso zawsze wracają na łono rodziny. U nich, jak ktoś umiera, to tak, jakby umarła cała rodzina. Przychodzą tutaj w tych swoich okropnych czarnych sukniach i płaszczach i wylewają potoki łez.

Moim zdaniem Kenny ukrywa się na strychu u któregoś z Mancusów.

Nie byłam tego taka pewna. Wydawało mi się, że Joe już by coś o tym wiedział. Rodziny Mancusów i Morellich nie słynęły ze zbytnej dyskrecji.

- A jeśli go nie ma na strychu u Mancusa?

Spiro wzruszył ramionami.

- Często też jeździł do Atlantic City.

- Czy widuje się jeszcze z jakimiś innymi dziewczynami poza Julią Cenettą?

- A chciałoby ci się wertować książkę telefoniczną?

- O, to jest ich aż tyle?

Wyszłam przez boczne drzwi i czekałam niecierpliwie, aż właściciel z warsztatu „U Ala” opuści podnośnik, na którym stał mój buick. Al wyprostował się, wytarł ręce w spodnie kombinezonu i dopiero wtedy podał mi rachunek.

- Kiedy ostatnio zmieniałem ci koło, jeździłaś chyba jeepem?

- Ukradli mi go.

- A nie przyszło ci nigdy do głowy, żeby korzystać z publicznej komunikacji?

- Powiedz lepiej co z tym śrubokrętem?

- Włożyłem ci go do bagażnika. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Salon piękności „U Clary” znajdował się w odległości trzech przecznic od alei Hamiltona, obok cukierni z pączkami. Znalazłam miejsce do zaparkowania buicka, zacisnęłam zęby, wstrzymałam oddech i wjechałam tyłem wciskając pedał gazu do końca. Lepiej mieć to już za sobą. Pewna, że mi się udało, nagle usłyszałam brzęk tłuczonego szkła.

Wyszłam z buicka, by oszacować zniszczenia. Mojemu wielorybowi nic się nie stało. Drugi samochód miał niestety stłuczone przednie światło. Zostawiłam mu za wycieraczką informację z numerem mojej polisy ubezpieczeniowej i weszłam do salonu Clary.

Bary, domy pogrzebowe, piekarnie i salony piękności tworzą oś koła, które napędza całe Miasteczko. Salony piękności odgrywają tu szczególną rolę, gdyż Miasteczko to dzielnica równych szans, gdzie czas zatrzymał się na późnych latach pięćdziesiątych. Polega to mniej więcej na tym, że dziewczęta z Miasteczka już od wczesnego dzieciństwa mają fioła na punkcie swoich włosów. Do diabła tam z koedukacyjnymi meczami futbolowymi. Małe dziewczynki z Miasteczka wolą rozczesywać włosy Barbie. Tu wciąż jeszcze Barbie wyznacza kanon urody. Długie, ponętne czarne rzęsy, intensywnie niebieski tusz do powiek, spiczaste wystające piersi i burza platynowych włosów, które wyglądają jak sztuczne. Barbie uczy nas nawet, jak się ubierać. Obcisłe błyszczące sukienki, króciutkie spodenki, od czasu do czasu szal ze strusich piór, no i oczywiście szpilki. Rzecz jasna Barbie ma jeszcze wiele innych wcieleń do zaoferowania, ale małe dziewczynki z Miasteczka nie dadzą się uwieść Barbie w wersji *yuppie*. Nie pociągają ich śliczne dresy i eleganckie garsonki. Bo małe kobietki z Miasteczka pragną nade wszystko blichtru.

Według mnie, my mieszkańcy Trenton jesteśmy tak bardzo zapóźnieni w stosunku do reszty kraju, że właściwie stanowimy już forpocztę nowej mody. Nigdy nie musieliśmy przeżywać bałaganu związanego ze zmianą życiowych ról. W Miasteczku człowiek jest tym, czym chce być. Mężczyźni nigdy nie występowali tu przeciw kobietom.

Tutaj zawsze silniejsi stawali w opozycji do słabszych.

Kiedy byłam małą dziewczynką, poszłam do Clary, aby mi obcięła warkocze. Ona układała mi włosy zarówno do pierwszej komunii, jak i na uroczystość zakończenia liceum. Teraz czeszę się w centrum handlowym u Alexandra, ale i tak czasami wpadam do Clary na manicure.

Salon piękności mieści się w przerobionym do tego celu budynku, w którym wyburzono wszystkie ściany, aby uzyskać jedną wielką salę z łazienką w rogu. Przy wejściu ustawiono kilka chromowanych krzeseł

obitych skórą. Można na nich wygodnie czekać na swoją kolejkę i przeglądać czasopisma z pozaginanymi rogami lub też rzucić okiem na foldery z fryzurami, jakich nikt nie potrafi tu wyczarować. Za poczekalnią ustawiono miski do mycia głów, a naprzeciw nich stoją rzędem fotele fryzjerskie. Tuż przy łazience znajduje się małe stanowisko do manicure.

Na ścianach wiszą plakaty z co bardziej egzotycznymi fryzurami, które odbijają się w kilku lustrach.

Kiedy weszłam do sali, wszystkie głowy obróciły się w moją stronę.

Pod trzecią suszarką od końca siedziała moja odwieczna rywalka, Joyce Barnhardt. Kiedy byłam w drugiej klasie, Joyce Barnhardt wylała na moje krzeselko wodę z papierowego kubka i potem rozpowiadała wszystkim, że zlałam się w majtki. Dwadzieścia lat później przyłapałam ją *in flagranti* z moim byłym mężem. Ujeżdżała go na stole w naszej jadalni niczym kowboj.

- Witaj, Joyce - odezwałam się. - Kopę lat.

- Stephanie. Jak ci leci?

- Nie narzekam.

- Słyszałam, że już nie sprzedajesz majtek.

- Nigdy nie sprzedawałam majtek. - Co za suka. - Byłam zaopatrzeniowcem w dziale bielizny w E.E. Martin, ale straciłam pracę, kiedy firma połączyła się z Baldicott.

- Zawsze miałaś jakieś problemy z majtkami. Pamiętasz, jak się zmoczyłaś w drugiej klasie?

Gdybym właśnie w tej chwili mierzyła sobie ciśnienie, natychmiast eksplodowałby każdy przyrząd pomiarowy. Odchyliłam suszarkę i zbliżyłam twarz do jej twarzy, tak że prawie dotykałyśmy się nosami.

- Wiesz, czym się teraz trudnię, Joyce? Jestem łowcą nagród i mam przy sobie broń, więc lepiej mnie nie wkurzaj.

- Phi, dzisiaj w New Jersey każdy nosi broń - powiedziała Joyce.

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej dziewięćmilimetrową berettę.

Znalazłam się w kropce, bo przede wszystkim nie miałam przy sobie pistoletu, a poza tym mój był znacznie mniejszy niż „kopyto” Joyce.

Obok Joyce siedziała Bertie Greenstein.

- Mnie się podobają czterdziestki piątki - oznajmiła Bertie i wyciągnęła z torebki wersję colta amerykańskich służb publicznych.

- Za duży odrzut - stwierdziła Betty Kuchta z drugiego końca sali. -

Poza tym zajmuje za dużo miejsca w torebce. Lepsza jest trzydziestka ósemka. Taka jaką mam teraz. Mówię wam, nie ma to jak trzydziestka ósemka.

- Ja też mam trzydziestką ósemką - wyznała Clara. - Kiedyś nosiłam czterdziestką piątką, ale od tego

dźwignia dostałam zapalenia stawu i lekarz kazał mi się przerzucić na coś lżejszego. Mam też pieprz w aerozolu.

Okazało się, że w pieprz zaopatrzone były wszystkie kobiety z wyjątkiem pani Rizzoli, która właśnie robiła sobie trwałą.

- Mam też coś takiego - pochwaliła się Betty Kuchta, wymachując w powietrzu pistoletem elektrycznym.

- To dobre dla dzieci - zgasiła ją Joyce.

Nikt nie był w stanie jej przelicytować.

- Co dzisiaj robimy? - zapytała mnie Clara. - Manicure? Właśnie dostałam nowy lakier. Słodkie Mango.

Popatrzyłam na buteleczką Słodkiego Mango. Właściwie nie miałam zamiaru robić sobie dziś manicure, ale ten lakier wydał mi się pokusą nie do odparcia.

- Niech będzie Słodkie Mango - odparłam. Powiesiłam kurtkę i torebkę na oparciu krzesła. Usiadłam przy stoliku do manicure i włożyłam palce do miski z wodą.

- Kogo teraz ścigasz? - zainteresowała się pani Rizzoli. - Słyszałam, że Kenny'ego Mancuso.

- A może widziała go pani?

- Ja nie - odparła pani Rizzoli - Ale słyszałam, że Kathryn Freeman widziała, jak o drugiej w nocy wychodził od dziewczyny Zarembów.

- To nie był Kenny Mancuso - powiedziała Clara. - To był Mooch Morelli. Słyszałam to od samej Kathryn. Mieszka po drugiej stronie ulicy i właśnie wyprowadzała psa na spacer. Miał rozwolnienie, bo najadł się kości z kurczaka. Mówiłam jej, żeby nie dawała psu kości z kurczaka, ale ona zawsze wie lepiej.

- Mooch Morelli! - wykrzyknęła pani Rizzoli. - Coś takiego! Czyjego żona o tym wie?

Joyce wystawiła głowę spod suszarki.

- Słyszałam, że wszczęła sprawę rozwodową.

Wszystkie panie jak na komendę schowały głowy pod suszarki i zatopiły się w uważnej lekturze czasopism. Rozmowa schodziła na niebezpieczny temat dotyczący Joyce i mnie. Było tajemnicą poliszynela, kogo i z kim przyłapano na moim stole. Żadna z pań nie miała ochoty stać się świadkiem strzelaniny w wałkach na głowie.

- A ty, Claro? - zapytałam manicurzystkę, kiedy mój paznokiec przybrał kształt doskonałego owalu. - Nie widziałas przypadkiem Kenny'ego?

- Oj, nie, i to od bardzo dawna - pokręciła głową.

- Słyszałam, że ktoś go widział dzisiaj rano, jak zakradał się do domu pogrzebowego Stivy.

Clara przestała piłować i podniosła głowę.

- Jasny gwint. Byłam tam przecież dziś rano.

- Słyszałaś może coś szczególnego lub widziałaś?

- Nie. To się musiało stać już po moim wyjściu. Ale ta wizyta by mnie nie dziwiła. Kenny i Spiro bardzo się przyjaźnili.

Betty Kuchta wyjrzała spod suszarki.

- On miał tu zawsze nie po kolei. - Pokazała palcem na głowę. -

Chodził z moją Gail do drugiej klasy. Nauczyciele bali się odwrócić do niego plecami.

Pani Rizzoli pokiwała potakująco głową.

- Kenny to złe nasienie. Za gorąca krew. Tak jak jego wujek Guido Pazzo.

- Lepiej uważaj na niego - poradziła mi pani Kuchta. - Widziałaś jego mały palec? Kiedy miał dziesięć lat, odrąbał sobie koniuszek siekierą ojca. Chciał się przekonać, czy to będzie bolało.

- Mówiła mi o tym Adele Baggionne - zawtórowała pani Rizzoli. -

Mówiła mi też i o innych rzeczach. Podobno wyglądała sobie właśnie na podwórko i zastanawiała się, co też ten Kenny wyczynia z siekierą.

Opowiadała, że w pewnej chwili, jakby nigdy nic, położył rękę na pieńku przy garażu i zamachnąwszy się odrąbał sobie koniec palca. Mówiła, że nawet nie krzyknął. Po prostu stał tak sobie i uśmiechał się. Adele mówiła, że wykrwawiłby się na śmierć, gdyby nie zadzwoniła na pogotowie.

Dochodziła już piąta, kiedy wyszłam od Clary. Im więcej dowiadywałam się o Kennym i Spirze, tym większe ciarki przechodziły mi po plecach. Zaczynając poszukiwania uważałam Kenny'ego za zwykłego cwaniaczka, teraz nabierałam przekonania, że to po prostu wariat. Spiro zresztą też nie był lepszy.

Jechałam prosto do domu, w coraz podlejszym nastroju. Kiedy dotarłam pod drzwi swego mieszkania, byłam już tak podminowana, że otwierając je, trzymałam w ręku spray z pieprzem. Włączyłam światło i odetchnęłam z ulgą ujrzawszy, że wszystko jest w porządku.

Automatyczna sekretarka mrugała do mnie czerwoną diodą.

Mary Lou zostawiła wiadomość.

- Co się stało? Poderwałaś Kevina Costnera czy co, że się w ogóle nie odzywasz?

Zrzuciłam kurtkę i wykręciłam numer Mary Lou.

- Byłam zajęta - wyjaśniłam jej. - Ale zapewniam cię, że nie Kevinem Costnerem.

- No to kim? - dopytywała się Mary.

- Choćby Joem Morellem.

- Jeszcze lepiej.

- Nie w tym sensie - sprostowałam. - Poszukuję Kenny'ego Mancuso i utknęłam w martwym punkcie.

- Wydajesz mi się przygnębiona. Powinnaś sobie zrobić manicure.

- Zrobiłam, ale to nie pomogło.

- A zatem pozostało ci tylko jedno.

- Wiem, zakupy.

- Brawo - pochwaliła mnie Mary Lou. - O siódmej na Quaker Bridge. Przy stoisku z butami w Macy's.

Kiedy przybyłam na umówione spotkanie okazało się, że Mary Lou zdążyła już przejrzeć sporą część półek z obuwem.

- Co myślisz o tych? - zapytała obracając się w czarnych kozakach, sięgających jej do kolan, które miały szpilki niczym sztylety.

Mary Lou ma metr pięćdziesiąt siedem cm wzrostu i sylwetkę dobrego wojaka Szwejka. Jej głowa tonie w burzy włosów, które w tym tygodniu przybrały rudy odcień. Ubóstwia wielkie kolczyki w kształcie kół

i kładzie mnóstwo błyszczycy na usta. Od sześciu lat jest szczęśliwą żoną i matką dwójki dzieci. Lubiłam te jej pociechy, ale sama na razie wołałam swojego chomika. Ten przynajmniej nie domaga się jednorazowych pieluch.

- Coś mi przypominają - stwierdziłam patrząc na kozaki. - Zdaje się, że podobne nosili trzej muszkietierowie.

- Nie podobają ci się?

- To na jakąś szczególną okazję?

- Na sylwestra.

-1 bez cekinów?

- Ty też powinnaś sobie kupić buty - poradziła mi Mary Lou. - Coś seksownego.

- Nie potrzebuję butów. Potrzebny mi jest raczej noktowizor.

Myślisz, że można tu gdzieś tu dostać takie urządzenie?

- O Boże! - pisnęła Mary Lou biorąc do ręki parę pantofelków na płaskim obcasie wykonanych z fioletowego zamszu. - Spójrz tylko na te buciki. Jakby na ciebie szyte.

- Nie mam pieniędzy. Jeszcze mi nie zapłacili.

- Możemy je ukraść.

- Już się w to nie bawię.

- Od kiedy?

- Od dawna. Zresztą i tak nigdy nie buchnęłam nic wielkiego. Tylko raz rąbnęłyśmy trochę gumy do żucia u Sala, bo go nie znosiłyśmy.

- A ta kurtka z Armii Zbawienia?

- To była moja kurtka! - Kiedy miałam czternaście lat matka oddała Armii Zbawienia moją ulubioną dżinsową kurtkę. Ale odzyskałyśmy ją z Mary Lou. Matce powiedziałam, że ją odkupiłam, ale tak naprawdę, to ją zwędziłyśmy.

- Powinnaś je przynajmniej przymierzyć - stwierdziła Mary Lou.

Kiwnęła na sprzedawczynię. - Chciałybyśmy obejrzeć ten fason rozmiar siedem i pół.

- Nie chcę nowych butów - broniłam się. - Potrzebuję wielu innych rzeczy. Muszę sobie kupić nowy pistolet. Joyce Barnhardt ma większą spluwę niż ja.

- Aha! Tu cię mam.

Usiadłam i rozsznurowałam martensy.

- Widziałam się z nią dzisiaj u Clary. Ledwie się powstrzymałam, żeby jej nie udusić.

- Przecież ona ci wyświadczyła przysługę. Twój były mąż był

dupkiem.

- Ona jest zła.

- Czy wiesz, że Joyce tu pracuje? W dziale kosmetycznym.

Wchodząc widziałam, jak robi makijaż. Przerabiała jakąś starszą babkę na Królową Śnieżkę.

Wzięłam pantofle od ekspedientki i przymierzyłam.

- Czyż nie są cudowne? - zachwycała się Mary Lou.

- Owszem, są śliczne, ale w takich cudeńkach nie mogłabym do nikogo strzelać.

- Przecież i tak do nikogo nie strzelasz. No, przepraszam, raz rzeczywiście strzeliłaś.

- Jak sądzisz, czy Joyce Barnhardt ma takie fioletowe buciki?

- Z tego, co wiem, Joyce Barnhardt nosi rozmiar dziesięć i pół. W

tym fasonie wyglądałaby jak krowa.

Podeszłam do lustra na końcu stoiska i zaczęłam podziwiać fioletowe pantofelki. Joyce Barnhardt pięknie z zazdrości.

Odwróciłam się, aby obejrzeć się z tyłu i dosłownie wpadłam na Kenny'ego Mancuso.

Zamknął żelazny uścisk na moim nadgarstku i szarpnął mnie do siebie.

- I co, zdziwiona?

Aż mnie zatkało.

- Jesteś jak ten wrzód na dupie - powiedział. - Myślisz, że nie widziałem, jak chowałaś się za krzakami przed domem Julii? Myślisz, że nie wiem o tym, jak jej nagadałaś, że pieprzę się z Denise Barkolowsky? -

Potrząsnął mną tak, że aż zastukały mi zęby. - A teraz po cichutku kręcisz ze Spirem, prawda? Wam się obojgu wydaje, że takie z was cwaniaki, prawda?

- Powinieneś teraz pojechać ze mną do sądu. Zapewniam cię, że jeśli Vinnie wyśle za tobą innego łowcę nagród, to nie będzie się już bawił

w uprzejmości.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Ja nie jestem zwykłym śmiertelnikiem.

Ja w ogóle nie odczuwam bólu. Być może jestem nawet nieśmiertelny!

O Boże, biedak, pomyślałam w pierwszej chwili.

Machnął nagle ręką i w jego dłoni pojawił się nóż.

- Ostrzegalem cie, ale ty mnie nie sluchasz - mowil. - Powinienem ci chyba odciac ucho. Moze wtedy zaczniesz mnie sluchac?

- Nie przestraszysz mnie. Jesteś tchórzem. Nie masz nawet dość odwagi, żeby stanąć przed sądem. - Próbowałam już kiedyś tego sposobu, gdy miałam do czynienia z agresywnymi osobnikami i zazwyczaj skutkowało.

- Jasne, że się mnie boisz - ciągnął niewzruszony Kenny. - Wszyscy się mnie boją. - Błysnęło ostrze i nóż chlasnął po moim rękawie. - A teraz ucho - o

■ znalazł Kenny trzymając mnie mocno za kurtkę.

Torba ze sprzętem obronnym leżała na stołku obok Mary Lou, więc pozostawało mi tylko zrobić to, co na moim miejscu zrobiłaby każda bezbronna kobieta. Otworzyłam usta i krzyknęłam, ile sił w płucach.

Kenny był na tyle zaskoczony, że udało mi się jakoś wyrwać z jego uchwytu. Straciłam wprawdzie trochę włosów, ale za to zachowałam ucho.

- Jezu - powiedział Kenny. - Ale z ciebie numer! Ty mi naprawdę, kurwa, bruździsz. - Popchnął mnie na półkę z butami, a sam uskoczył do tyłu i rzucił się do ucieczki.

Pozbierałam się i popędziłam za nim, przepychając się przez zwały toreb i tornistrów. Kipiałam od adrenaliny, za to zdrowego rozsądku miałam w tym momencie jak na lekarstwo. Słyszałam, że biegną za mną Mary Lou i sprzedawczyni. Klęłam w głos Kenny'ego i darłam się na wszystkie strony, że gonię złodzieja butów, aż w ferworze wpadłam na jakąś staruszkę przy ladzie z kosmetykami i omal jej nie przewróciłam.

- O rany, przepraszam! - wykrzyknęłam do niej.

- Biegnij! - zachęcała mnie Mary Lou ze stoiska z odzieżą dla dzieci.

- Łap tego sukinsyna!

Ledwo uwolniłam się od staruszki, a już w następnej chwili wpadłam na jakieś dwie inne kobiety. Jedną z nich była Joyce Barnhardt w białym kitlu. Wszystkie trzy wylądowałyśmy na podłodze przy akompaniamencie przekleństw i krzyków.

Mary Lou i sprzedawczyni ze stoiska z butami natychmiast rzuciły się, żeby nas rozłączyć. Korzystając z chwilowego zamieszania Mary Lou kopnęła Joyce w kolano. Ta poturlała się na bok wyjąc z bólu, a sprzedawczyni pomogła mi wstać z podłogi.

Rozglądałam się za Kennym, ale nigdzie go nie było widać.

- Jasny gwint - odezwała się Mary Lou. - Czyżby to był Kenny Mancuso?

Przytaknęłam, łapczywie chwyając powietrze.

- Co ci powiedział?

- Zaprosił mnie na randkę. No i pochwalił pantofle.

Mary Lou prychnęła.

Sprzedawczyni natomiast uśmiechnęła się.

- Dogoniłaby go pani, gdyby właśnie przymierzała adidas.

Szczerze powiedziawszy nie wiem jednak, co bym zrobiła, gdyby mi się udało dogonić Kenny'ego. On miał nóż, a ja jedynie seksowne buciki.

- Dość tego, dzwonię do prawnika - oznajmiła Joyce podnosząc się z ziemi. - Napadłaś na mnie! Podam cię do sądu i oskubię jak kaczkę.

- To był wypadek - tłumaczyłam jej. - Goniłam Kenny'ego, a ty stanęłaś mi na drodze.

- To jest dział kosmetyczny! - darła się. - Nie możesz tutaj biegać jak jaka szurnięta i przeganiać ludzi.

- Nie jestem szurnięta. Wykonuję tylko swoją pracę.

- Pewnie, że jesteś szurnięta - nie dawała za wygraną. - Ty i twoja babcia macie nierówno pod sufitem!

- Przynajmniej nie jestem dziwką.

Oczy Joyce zrobiły się wielkie jak piłki od baseballu.

- Kogo nazywasz dziwką?

- Ciebie. - Postąpiłam krok naprzód w fioletowych pantofelkach. -

Jesteś dziwką.

- Skoro ja jestem dziwką, to ty jesteś włóczęgą.

- A ty kłamczuchą i złodziejką.

- Suka.

- Kurwa.

- No to jak? - zwróciła się do mnie Mary Lou. - Bierzesz te buty, czy nie?

Kiedy dojechałam do domu, wcale nie byłam taka pewna, czy dobrze zrobiłam kupując je. Poprawiłam pudełko pod pachą i otworzyłam drzwi. Oczywiście pantofle były urocze, ale miały

fioletowy kolor. Do czego je założę? Będę musiała kupić sobie fioletową sukienkę. Trzeba będzie też do tego nabyć szminkę i odpowiedni cień do powiek.

Włączyłam światło i zamknęłam za sobą drzwi. Torebkę i nowe buciki położyłam na blacie w kuchni. Aż podskoczyłam, kiedy zadzwonił

telefon. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień, pomyślałam sobie. Zaczynały mi puszczać nerwy.

- I co teraz? - pytał głos w słuchawce. - Czy już się teraz boisz?

Dałam ci chyba trochę do myślenia, co?

Serce zamarło mi na chwilę.

- Kenny?

- Znalazłaś już wiadomość ode mnie?

- O jakiej wiadomości mówisz?

- Zostawiłem ci ją w kieszeni kurtki. Dotyczy ona ciebie i twojego nowego kumpla Spira.

- Gdzie jesteś?

W słuchawce usłyszałam tylko trzask rozłączanej rozmowy.

- Cholera.

Włożyłam rękę do kieszeni kurtki i zaczęłam ją opróżniać: zużyta chusteczka higieniczna, szminka, ćwierćdolarówka, opakowanie po snickersie i ludzki palec.

- CHRYSSTE! - Rzuciłam wszystko na podłogę i wybiegłam do łazienki, żeby zwymiotować.

- Gówno, psiakrew, wielkie gówno! - darłam się w bezsilnej złości.

Po kilku minutach trzymania głowy w muszli klozetowej doszłam do wniosku, że jednak nie zrobię tego (a szkoda, bo dobrze byłoby pozbyć się tych tłustych lodów, które zjadłam w towarzystwie Mary Lou).

Umyłam ręce zużywając mnóstwo mydła i gorącej wody, po czym wróciłam do kuchni. Palec nadal leżał na środku podłogi. Wyglądał na dobrze zabalsamowany. Chwyciłam telefon i trzymając się od palca jak najdalej, wykręciłam numer Morellego.

- Przyjeżdżaj natychmiast - rzuciłam krótko.

- Coś nie tak?

- PRZYJEDŹ TU!

Dziesięć minut później skrzypnęły drzwi windy i wysiadł z niej Morelli.

- Oho - powiedział. - Skoro witasz mnie już na korytarzu, to znaczy, że nie jest dobrze. - Spojrzał na drzwi do mojego mieszkania. - Nie masz tam chyba trupa?

- Niezupełnie.

- To znaczy?

- Na podłodze w kuchni leży ludzki palec.

- Sam palec? I nie jest połączony z żadną ręką?

- Mam tylko palec. Zdaje się, że należał do George'a Mayera.

- I co, ot tak z miejsca go rozpoznałaś?

- Nie. Po prostu wiem, że George'owi jednego brakowało. Na jego pogrzebie pani Mayerowa rozwodziła się na temat łoża, do której George należał i jak to chciał być pochowany z sygnetem na palcu. Babcia Mazurowa przyglądała się sygnetowi no i dotknąwszy go odłamała George'owi palec. Okazało się, że był on dorobiony z wosku. Kenny'emu udało się dzisiaj rano wśliznąć do domu pogrzebowego, gdzie zostawił list do Spira i odciął przy okazji palec świętej pamięci George'owi. No a po południu, kiedy poszłam dziś z Mary Lou do centrum handlowego, Kenny groził mi w dziale obuwniczym. Właśnie wtedy musiał mi chyba włożyć ten palec do kieszeni.

- Czy ty coś może piłaś?

Spojrzałam na niego z wyrzutem i wskazałam na kuchnię.

Morelli minął mnie i stanął w drzwiach wiodących do kuchni. Z

rękami na biodrach wpatrywał się w palec leżący na podłodze.

- W rzeczy samej palec.

- Kiedy weszłam do mieszkania, zadzwonił telefon. To Kenny poinformował mnie o ostrzeżeniu, jakie zostawił mi w kieszeni.

- I tym ostrzeżeniem jest ten właśnie palec?

- Aha.

- A jak się znalazł na podłodze?

- Zdaje się, że go upuściłam, kiedy pędziłam do łazienki, żeby zwymiotować.

Morelli oderwał kawałek papierowego ręcznika i zawinął weń palec.

Podałam mu foliowy woreczek. Wrzucił do niego zawiniątko i wepchnął

woreczek do kieszeni kurtki. Oparł się o blat kuchenny i skrzyżował ręce na piersi.

- Zacznijmy od początku.

Zdałam mu szczegółową relację, pomijając jedynie część dotyczącą Joyce Barnhardt. Opowiedziałam mu o liście wyklejonym srebrnymi literami i o srebrnej literce „K” wymalowanej na ścianie mojej sypialni, o śrubokręcie w oponie i o tym, że moim zdaniem wszystko to są sprawy Kenny'ego.

Kiedy skończyłam, Morelli milczał. Po dłuższej chwili zapytał, czy kupiłam sobie buty.

- Tak - odparłam.

- Pokaż.

Pokazałam mu pantofle.

- Bardzo seksowne - stwierdził. - Uważaj, bo zaczynają mi działać na wyobraźnię.

Szybko schowałam buty do pudełka.

- Wiesz może, co Kenny miał na myśli pisząc, że Spiro ma u siebie coś, co należy do niego?

- Nie mam pojęcia. A ty?

- Ja też nie.

- A gdybyś wiedziała, powiedziałaś mi?

- Być może.

Morelli otworzył lodówkę i popatrzył na półki.

- Piwo ci się skończyło.

- Musiałam wybierać: buty albo jedzenie.

- I dobrze wybrałaś.

- Założę się, że to wszystko ma związek ze skradzioną bronią. Idę o zakład, że Spiro ma coś wspólnego z tą aferą. Może właśnie dlatego zginął

Moogey. Moogey mógł dowiedzieć się o tym, że Spiro i Kenny ukradli broń z wojska. A może zrobili to wspólnie, a potem Moogey został ze spółki wyłączony?

- Powinnaś trochę się pokręcić wokół Spira - powiedział Morelli. -

No wiesz, wybrać się z nim do kina, potrzymać go za rękę.

- Daj spokój! Tfu! Obrzydliwość!

- Aleja na twoim miejscu nie pokazywałbym mu tych bucików.

Mógłby stracić panowanie nad sobą. Powinnaś zostawić je tylko dla mnie.

Założ do nich coś kuszącego. Na przykład pas do pończoch. Tak, pas do pończoch zdecydowanie by do nich pasował.

Przyrzekłam sobie, że jeśli jeszcze kiedykolwiek znajdę w kieszeni palec, to spuszczę go po prostu w

klozecie.

- Szlag mnie trafia, że nie możemy znaleźć Kenny'ego, gdy tymczasem on śledzi mnie bez problemu.

- Jak wyglądał? Zapisał może brodę? Przetarbował włosy?

- W ogóle się nie zmienił. Wcale nie wygląda na kogoś, kto się ukrywa po zaułkach. Był świeżo ogolony. Nie sprawiał wrażenia głodnego.

Miał na sobie czyste ubranie. Zdaje się, że był sam. No i wydawał się trochę, hmmm, zdenerwowany. Powiedział mi bez ogródek, że jestem jak ten wrzód na dupie.

- No nie! Wrzód na dupie? To wprost nie do wiary, żeby ktokolwiek mógł się o tobie tak wyrazić.

- Nieważne. W każdym razie Kenny nie głoduje. Jeśli handluje bronią, to pewnie ma pieniądze. Może mieszka w jakichś motelach, gdzieś poza miastem. Może w Nowym Brunswiku, w Burlington albo i w Atlantic City.

- Jego zdjęcia rozesłano już w Atlantic City. Nikt go tam nie widział.

Prawdę mówiąc przepadł jak kamień w wodę. Ale to, że się na ciebie wkurzył, to najlepsza wiadomość, jaką słyszałem w tym tygodniu. Teraz wystarczy cię śledzić i czekać na kolejny ruch Kenny'ego.

- Świetnie. Staję się przynętą dla mordercy i oprawcy zwłok.

- Nie martw się. Zaopiekuję się tobą.

Nawet nie próbowałam powstrzymać ironicznego uśmiechu.

- Masz rację - powiedział Morelli robiąc służbową minę. - Czas skończyć z flirtowaniem i tym podobnymi bzdurami. Musimy porozmawiać poważnie. Wiem, co mówią ludzie o facetach od Morellich i Mancusów: że jesteśmy bumelantami, pijakami i łajdakami względem kobiet. Absolutnie się z tym zgadzam. Kłopot w tym, że takie uogólnianie szkodzi przyzwoitym członkom tych rodzin, na przykład mnie...

Przewróciłam oczami.

- A z kolei facet taki jak Kenny uważany jest w związku z tym za cwaniaczka, podczas gdy gdziekolwiek indziej uznano by go po prostu za psychopatę. Kiedy miał osiem lat, podpalił swojego psa i nie miał z tego powodu nawet najmniejszych wyrzutów sumienia. To także krętacz i absolutny egoista. Niczego się nie boi, bo nie odczuwa bólu. No i trzeba przyznać, że jest bardzo sprytny.

- Czy to prawda, że odrąbał sobie koniuszek palca?

- Niestety, tak. Gdybym wiedział, że ci groził, załatwilibyśmy wszystko inaczej.

- To znaczy jak?

Morelli patrzył na mnie przez chwilę, nim odpowiedział:

- Przede wszystkim wcześniej opowiedziałbym ci o jego psychopatycznych skłonnościach. No i nie zostawiłbym cię samej w nie zamkniętym mieszkaniu, którego strzegła jedynie piramidka szklanek.

- Wciąż nie jestem pewna, czy był to rzeczywiście Kenny.

- Od dzisiaj noś spray z pieprzem wetknięty za pasek, a nie w torebce.

- Ale przynajmniej wiemy, że Kenny kręci się po okolicy. Moim zdaniem on siedzi tu z powodu tego, co zagarnął Spirowi. Nie ulotni się, dopóki tego nie odzyska.

- Czy Spiro przeraził się tą sprawą z palcem?

- Wyglądał raczej na... wściekłego. Rozdrażnionego. Martwił się, że Con może się dowiedzieć, iż w firmie nie wszystko układa się tak jak trzeba. A Spiro ma plany. Ma zamiar przejąć firmę i udzielać innym koncesji.

Morelli szeroko się uśmiechnął.

- Chce, powiadasz, udzielać koncesji na prowadzenie filii domu pogrzebowego Stivy?

- No tak. Jak McDonald's.

- Może powinniśmy pozwolić Kenny'emu i Spirowi wziąć się za łby, a potem posprzątać to, co po nich zostanie.

- A propos, co masz zamiar zrobić z tym palcem?

- Zobaczymy czy pasuje do kikutu George'a Mayera. Ale tymczasem powinienem chyba delikatnie podpytać Spira, co się, u diabła, dzieje.

- Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł. On nie chce, żeby w tę sprawę mieszała się policja. Musiałby zameldować o okaleczeniu Mayera i o liście od Kenny'ego. Jeśli naskoczysz na niego, to gotów mnie odsunąć od tej całej sprawy.

- W takim razie, co proponujesz?

- Oddaj mi ten palec. Zaniosę go jutro Spirowi i zobaczę, czy uda mi się zdobyć jakieś nowe informacje.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Akurat! Do cholery, w końcu to mój palec, ja go znalazłam!

- Daj spokój. Przecież jestem gliniarzem. Znam swoje obowiązki.

- A ja jestem łowcą nagród. I też znam swoje obowiązki.

- No dobrze. Dam ci ten palec, ale musisz mi obiecać, że będziesz mnie na bieżąco o wszystkim informować. Jeśli tylko zacznę podejrzewać, że coś przede mną ukrywasz, koniec współpracy.

- Świetnie. A teraz daj mi ten palec i idź do domu, zanim zmienisz decyzję.

Wyjął z kieszeni foliowy woreczek i włożył go do lodówki.

- Tak na wszelki wypadek - wyjaśnił.

Kiedy Morelli wyszedł, zamknęłam drzwi na zamek i sprawdziłam okna. Zajrzałam też pod łóżko i do wszystkich szaf. Upewniwszy się, że w mieszkaniu nic mi nie grozi, położyłam się do łóżka i zasnęłam kamiennym snem, nie wyłączając nawet światła.

O siódmej zadzwonił telefon. Przez półprzymknięte oczy spojrzałam na budzik, a potem na telefon. Nie ma nic lepszego niż telefon o siódmej rano. Z doświadczenia wiem, że telefony między jedenastą wieczorem a dziewiątą rano zwiastują zwykle jakieś nieszczęście.

- Halo - odezwałam się do słuchawki. - Co się stało?

- Nic się nie stało. Jeszcze nie - dobiegł mnie głos Morellego.

- Jest siódma rano. Dlaczego do mnie wydzwaniaasz o tej porze?

- Masz zaciągnięte zasłony. Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko jest w porządku.

- Mam okna zasłonięte, bo leżę jeszcze w łóżku. A ty skąd wiesz, że są zasłonięte?

- Bo siedzę właśnie na parkingu przed twoim domem.

Rozdział 9

Zwlokłam się z łóżka, rozsunęłam zasłony i spojrzałam na parking.

Rzeczywiście - obok buicka wujka Sandora stał brązowy fairlane Morellego. Na tylnym siedzeniu samochodu wciąż leżał zderzak, a na drzwiach ktoś wymalował sprayem napis „ŚWINIA”. Otworzyłam okno w sypialni i wystawiłam głowę.

- Idź sobie.

- Za kwadrans mam zebranie służbowe - odkrzyknął Morelli. - Nie powinno mi to zająć więcej niż godzinę. Potem przez resztę dnia będę wolny. Zaczekaj na mnie i nie idź sama do Stivy.

- Nie ma sprawy.

Kiedy Morelli wrócił z zebrania, było już wpół do dziewiątej i zaczynałam się niecierpliwić. Wypatrywałam go w oknie, a kiedy się wreszcie pojawił na parkingu, wypadłam z domu jak strzała, porywając po drodze torebkę ze stołu. Na wypadek, gdyby trzeba było kogoś kopnąć, założyłam na nogi martensy, a za pasek wsadziłam spray z pieprzem.

Naładowałam też i włożyłam do kieszeni pistolet elektryczny.

- Spieszysz się dokądś? - zapytał Morelli.

- Denerwuję się trochę przez ten palec Mayera. Poczuję się o wiele lepiej, kiedy George go wreszcie odzyska.

- Gdybyś chciała ze mną pogadać, to po prostu zadzwoń -

powiedział Morelli. - Masz mój numer samochodowy?

- Wykuty na blachę.

- A pager?

- Też.

Uruchomiłam buicka i wyjechałam z parkingu. Widziałam, że Morelli trzyma się w pewnej odległości za mną. Mniej więcej o pół

przecznicy przed domem pogrzebowym Stivy zauważyłam błysk motocyklowego „koguta”. Doskonale. Pogrzeb. Zjechałam na krawężnik i obserwowałam przesuwany się konwój. Za motocyklistą jechał karawan z kwiatami i limuzyna z najbliższą rodziną zmarłego. Zerknęłam w okno limuzyny i rozpoznałam panią Mayerową.

Popatrzyłam w lusterko wsteczne i ujrzałam, że Morelli zaparkował

tuż za mną i kręci głową, jakby starał się mi powiedzieć: „nawet o tym nie myśl”.

Wykręciłam szybko jego numer.

- Chowają George’a bez palca!

- Uwierz mi, George’owi ten palec nie jest już do niczego potrzebny.

Możesz mi go oddać. Wykorzystam go jako dowód.

- Dowód czego?

- Okaleczania zwłok.

- Nie wierzę ci. Pewnie wyrzucisz go do kosza.

- Właściwie miałem zamiar zamknąć go w skrytce bankowej.

Cmentarz mieścił się w odległości dwóch kilometrów od zakładu Stivy. W smętnym kondukcje stało przede mną jeszcze siedem, może osiem samochodów. Za szybą temperatura wahała się w okolicach zera, a niebo zrobiło się intensywnie niebieskie, tak jak to bywa w zimie. Czułam się, jak gdybym stała w korku na mecz futbolowy, a nie w drodze na pogrzeb. Przejechaliśmy przez bramę i skierowaliśmy się w głąb cmentarza, gdzie wykopano już grób i ustawiono krzesła. Zanim zaparkowałam buicka, Spiro zdążył już usadzić wdowę Mayerową.

Podeszłam do Spira i pochylając się do niego szepnęłam:

- Mam palec George'a.

Żadnej reakcji.

- Palec George'a - powtórzyłam głosem matki pouczającej trzylatka.

- Prawdziwy, ten który zginął. Mam go w torebce.

- A skąd, u diabła, palec George'a wziął się w twojej torebce?

- To długa historia. Musimy teraz złożyć biednego George'a do kupy.

- Oszalałaś? Nie otworzę przecież trumny tylko po to, żeby oddać nieboszczykowi palec! Co kogo obchodzi ten cholerny palec!

- Mnie obchodzi!

- Dlaczego nie zajmiesz się czymś pożytecznym i nie odnajdziesz na przykład moich trumien? Po co tracisz czas na szukanie rzeczy, których wcale nie potrzebuję? Chyba nie oczekujesz, że ci za ten palec zapłacę, co?

- Oj, Spiro, ależ z ciebie kreatura.

- Powiedzmy. Ale o co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, żebyś czym prędzej wykombinował, jak zwrócić George'owi jego palec, bo jak nie, to zrobię tu scenę.

Spiro nie wydawał się przekonany.

- I powiem babci Mazurowej - dodałam.

- Psiakrew! Tego by tylko brakowało.

- Więc jak będzie z tym palcem?

- Trumnę opuszczamy dopiero wtedy, kiedy już wszyscy powiadają do samochodów i włączają silniki. Możemy wtedy wrzucić do grobu ten palec. Może być?

- Jak to wrzucić?

- Nie mam najmniejszego zamiaru otwierać trumny. Musi ci wystarczyć, że George i jego palec spoczną w tym samym dołku.

- Czuję, że chce mi się krzyknąć...

- Chryste! - Spiro zacisnął usta, ale i tak nie były one w stanie zakryć ogromnego przodozgryzu młodego Stivy. - No dobrze już. Otworzę tę trumnę. Czy ktoś ci już mówił, że jesteś jak ten wrzód na dupie.

Odsunęłam się od Spira i stanęłam przy żałobnikach.

- Wszyscy mi mówią, że jestem jak wrzód na dupie - zwróciłam się szeptem do Morellego.

- W takim razie to musi być prawda - powiedział i otoczył mnie ramieniem. - Pozbyłaś się wreszcie tego palca?

- Spiro odda go George'owi po ceremonii, kiedy wszyscy już sobie pojedą.

- Zostajesz tu?

- Tak. Chcę jeszcze zamienić ze Spirem kilka słów.

- Ja wyjdę razem z żywymi. W razie czego, wiedz, że będę się kręcił

w pobliżu.

Wystawiłam twarz do słońca i w myślach zmówiłam krótką modlitwę. Kiedy temperatura spadała poniżej dziesięciu stopni, Stiva uwijał się na cmentarzu jak mógł. Żadna wdowa z Miasteczka nie włożyłaby w życiu ciepłych butów na pogrzeb, a żaden szanujący się przedsiębiorca pogrzebowy nie może dopuścić do tego, by jego żywi klienci marzli na cmentarzu. Całe nabożeństwo trwało przeto nie więcej niż dziesięć minut. Pani Mayerowa nie zdążyła sobie nawet odmrozić nosa. Patrzyłam na staruszków odchodzących od grobu po przymarzniętej trawie. Za pół godziny wszyscy będą już siedzieć u wdowy na stypie, a o pierwszej po południu pani Mayerowa zostanie nagle sama i będzie zachodziła w głowę, co też ma począć przez resztę życia ze swoją samotnością.

Zaczęły trzaskać drzwi od samochodów i rozległ się warkot silników. Po chwili auta odjechały.

Spiro stał z rękami podpartymi na biodrach, niczym posąg doświadczonego przez życie grabarza.

- No i co? - zwrócił się do mnie.

Wyjęłam z torebki woreczek foliowy i podałam mu go.

Po obu stronach trumny stali grabarze. Spiro podał jednemu z nich woreczek, polecił otworzyć trumnę i włożyć do niej zawiniątko.

Żaden z grabarzy nie mrugnął nawet okiem. Wygląda na to, że ludzie zarabiający na życie kopaniem grobów nie przejmują się takimi drobiazgami.

- A teraz powiedz mi, w jaki sposób znalazłaś ten palec? - chciał się dowiedzieć Spiro.

Opowiedziałam mu o spotkaniu z Kennym w stoisku obuwniczym i o tym, jak po przyjściu do domu znalazłam palec w kieszeni.

- Teraz widzisz różnicę między mną a Kennym - rzekł Spiro. -

Kenny zawsze chce dominować. Chce wszystkim manipulować i przyglądać się efektom swych manipulacji. Dla niego wszystko jest grą.

Kiedy byliśmy mali, ja rozdeptywałam chrząszcze, a Kenny przebijał je szpilką, żeby przekonać się, ile wytrzymają. Kenny lubi się delectować widokiem cierpienia, podczas kiedy ja wolę wszystko kończyć jak najszybciej. Na jego miejscu zaciągnąłbym cię na jakiś ciemny parking i wsadził ci palec między nogi.

Poczułam, że kręci mi się w głowie.

- Oczywiście mówię to tylko teoretycznie - zastrzegł się Spiro. -

Nigdy bym ci czegoś takiego nie zrobił, bo jesteś na to za sprytna. No, chyba żebyś sama chciała.

- Muszę już iść.

- Może spotkalibyśmy się dzisiaj wieczorem? Może wybralibyśmy się razem na kolację albo coś w tym guście? To, że ty jesteś wrzodem na dupie, a ja kreaturą, nie oznacza jeszcze, że nie możemy się spotykać.

- Wolalabym wbić sobie igłę w oko.

- Przejdzie ci - rzekł Spiro. - Mam to, czego chcesz.

Aż się bałam zapytać co.

- Podobno masz też coś, co bardzo chce mieć Kenny.

- Kenny to palant.

- Kiedyś się przyjaźniliście.

- Różnie się w życiu układa.

- To znaczy? - próbowałam pociągnąć go za język.
- Nieważne.
- Mam wrażenie, że Kenny uważa, iż spiskujemy przeciwko niemu.
- Kenny to wariat. Następnym razem, jak go zobaczysz, to go zastrzel. Przecież możesz to zrobić, prawda? Masz chyba pistolet?
- Naprawdę muszę już iść.
- Do zobaczenia - pożegnał mnie Spiro, układając dłoń w kształt pistoletu i pociągając za spust.

Prawie biegiem rzuciłam się do buicka. Wsiadłam do wozu, zablokowałam drzwi i zadzwoniłam do Morellego.

- Może i masz rację, że powinnam zostać kosmetyczką.
- Polubiłabyś z pewnością ten zawód - powiedział Morelli. - Pomyśl tylko, depilowałabyś brwi różnych starych bab...
- Spiro nic mi nie powiedział. A przynajmniej nic takiego, co bym chciała usłyszeć.
- Kiedy tak na ciebie czekałem, usłyszałem w radiu coś ciekawego.

Wczoraj w nocy na Low wybuchł pożar. W jednym z budynków starych zakładów hydraulicznych. Najwyraźniej jest to podpalenie. Zakład stoi od lat zamknięty, ale w tym budynku ktoś zdaje się przechowywał trumny.

- Chcesz mi powiedzieć, że spaliły się moje trumny?
- Czy Spiro sprecyzował, w jakim stanie powinny być odnalezione trumny? Czy za wskazanie popiołu po nich też dostaniesz zapłatę?
- Czekaj. Spotkamy się na ulicy Low. 123

Zakłady hydrauliczne mieściły się między ulicą Low a torami kolejowymi. Zamknięto je w latach siedemdziesiątych i zostawiono na pastwę losu. Po obu stronach zabudowań rozciągały się bezwartościowe płaskie pola. Dalej widać było funkcjonujące jeszcze przedsiębiorstwa: cmentarzysko samochodów, sklep z materiałami hydraulicznymi i firmę przewozową Jacksona.

Brama wiodąca na teren zakładów była pordzewiała i otwarta.

Asfalt, popękany i pełen dziur, zaśmiecony był szkłem i rozkładającymi się odpadkami. W błotnistych kałużach wody przeglądało się ołowiane niebo. Pośrodku placu stał wóz strażacki. Obok niego zauważyłam samochód, którym musieli przyjechać jacyś oficjele. Bliżej rampy załadunkowej, gdzie najwyraźniej wybuchł pożar, stały dwa radiowozy.

Zaparkowaliśmy z Morellim obok siebie i podeszliśmy do grupki mężczyzn, którzy rozmawiali i zapisywali coś w notatnikach.

Popatrzyli na nas i skinieniem głowy powitali policjanta Morellego.

- I co macie? - zapytał Morelli.

Rozpoznałam mężczyznę, który udzielał wyjaśnień. Był to John Petrucci, niegdyś kierownik mojego ojca w czasach, kiedy ten pracował

jeszcze na poczcie. Teraz Petrucci przewodził brygadzie strażackiej.

Ważna persona.

- Podpalenie - odparł Petrucci. - Ogień wybuchł tylko w jednym miejscu. Ktoś nasączył trumny benzyną i podpalił. Ślady są wyraźne.

- Macie może jakichś podejrzanych? - zapytał Morelli.

Popatrzyli na niego jak na wariata.

Morelli uśmiechnął się.

- Tak tylko zapytałem. Mogę się rozejrzeć?

- Proszę bardzo. My już skończyliśmy. Wygląda na to, że faceci z ubezpieczeń już chyba też. Właściwie nie ma żadnych poważnych szkód.

Tu wszystko jest z betonu. Ktoś się jeszcze zjawi, żeby zabezpieczyć to miejsce.

Weszłam z Morellim na rampę przeładunkową. Wyjęłam z torebki latarkę i poświeciłam w stronę zwęglonej sterty drewna, na środku hali.

Tylko z bliska widać było, że to trumny. Prostota, wręcz ubóstwo formy.

Wszystko szerniało od ognia. Sięgnęłam ręką, chcąc dotknąć trumny, ale rozpadła się z chrzęstem.

- Jeśli ktoś chciałby się pobawić, to mógłby dokładnie określić, ile było tych trumien. Wystarczy zebrać okucia. Potem można by je zanieść do Spira, żeby zidentyfikował swoją zgubę.

- Jak myślisz, ile było tych trumien?

- No, trochę tego było.

- To mi wystarczy - Z leżących na podłodze okuć wybrałam jedno i zawinąwszy je w chusteczkę higieniczną, włożyłam do kieszeni kurtki.

- Po co ktoś miałby kraść trumny i je potem podpalać?

- Zemsta? Zabawa? Może początkowo kradzież wydawała się dobrym pomysłem, ale ten, kto je sobie przywłaszczył, nie mógł się ich widocznie pozbyć.

- Spiro nie będzie tym zachwycony.

- No tak - rzekł Morelli. - To ci powinno poprawić humor, nie?

- Potrzebowałam tych pieniędzy.

- Na co miałaś zamiar je wydać?

- Chciałam spłacić raty za jeepa.

- Maleńka, przecież nie masz już jeepa.

Okucie od trumny ciążyło mi w kieszeni. Nie dosłownie, ale w sensie metaforycznym. Byłam przerażona. Nie chciałam przecież błagać Spira na kolanach, żeby mi zapłacił. Kiedy wpadam w panikę, staram się wówczas grać na zwłokę.

- Tak sobie myślę, że może wpadnę do domu na jakiś obiad -

powiedziałam do Morellego. - Potem pewnie pojedę do Stivy. Zabiorę ze sobą babcię. W sali, gdzie leżał George Mayer, znowu dzisiaj kogoś wystawiają, a babcia bardzo lubi chodzić na te popołudniowe ceremonie.

- Nieźle to sobie obmyśliłaś - odparł Morelli. - A czy jestem też zaproszony na obiad?

- Nie. Jadłeś już budyń. Gdybym przyprowadziła cię na obiad, moja rodzinka już by cię nie wypuściła ze swoich szponów. Dwa posiłki w domu dziewczyny to prawie oświadczyły.

Po drodze do rodziców zajechałam na stację benzynową. Z ulgą stwierdziłam, że Morellego nigdzie nie widać w pobliżu. Może nie będzie tak źle, pomyślałam. Pewnie nie dostanę nagrody za odnalezienie trumien, ale przynajmniej nie będę musiała się już spotykać ze Spirem.

Skręciłam w aleję Hamiltona i minęłam stację Delia.

Kiedy przed domem rodziców ujrzałam brązowego fairlane'a Morellego, omal nie dostałam palpitacji serca. Spróbowałam ustawić się tuż za nim, ale źle obliczyłam odległość i roztrzaskałam mu prawe tylne światło.

Morelli wysiadł z samochodu, by ocenić straty.

- Zrobiłaś to celowo - stwierdził.

- Wcale nie! To przez tego grzmota. Nie wiadomo, gdzie ma koniec.

- Spojrzałam na Joego z ukosa. - A ty co tu robisz? Przecież mówiłam, że nie masz co liczyć na

obiad.

Ochraniam cię. Zaczekam w samochodzie.

- No i dobrze.

- Okay - zawtórował Morelli.

- Stephanie - zawołała matka od drzwi. - Dlaczego stoisz na ulicy ze swoim chłopakiem?

- Widzisz! - zawołałam triumfalnie. - A nie mówiłam? Już cię uznali za mojego chłopaka.

- No to masz szczęście.

Matka machała już do nas.

- Wchodźcie. Co za miła niespodzianka. Dobrze, że ugotowałam trochę więcej zupy. A ojciec właśnie przywiózł chlebek prosto z pieca.

- Lubię zupę - rzucił jak gdyby nigdy nic Morelli. 124 125

- Nie. Nie będzie żadnej zupy - zaprotestowałam.

W drzwiach pojawiła się też babcia Mazurowa.

- Co ty tu z nim robisz? - zdziwiła się. - Przecież mówiłaś, że nie jest w twoim typie.

- Przyjechał za mną aż do domu.

- Gdybym wiedziała, to bym się trochę umalowała.

- On nie wchodzi na obiad.

- Ależ oczywiście, że wchodzi - powiedziała matka. - Mamy cały gar zupy. Co by sobie ludzie pomyśleli, gdyby nie wszedł?

- No właśnie - rzeki do mnie Morelli. - Co by sobie ludzie pomyśleli?

Ojciec siedział w kuchni i podłączał do kranu nową zmywarkę. Z

ulgą spojrzął na stojącego w progu Morellego. Wolałby pewnie, abym przyprowadziła kogoś, z kogo byłby większy pożytek - rzeźnika czy mechanika samochodowego, ale szybko doszedł do wniosku, że policjant to i tak o niebo lepiej niż przedsiębiorca pogrzebowy.

- Siadajcie do stołu - zapraszała matka. - Zjedzcie sobie chlebka z serem. Jest też wędlina. Od Giovichinniego. On ma najsmaczniejszą wędlinę.

Kiedy powoli kończyliśmy zupę i zabierali się do wędlin, wyciągnęłam z torby zdjęcie trumny.

Fotografia nie była zbyt wyraźna, ale metalowe okucia bardzo przypominały te, które znaleźliśmy w pogorzelisku.

- A to co? - zaciekawiała się babcia Mazurowa. - Wygląda jak zdjęcie trumny. - Przyjrzała się bliżej. - Chyba nie zamierzacie kupić czegoś takiego dla mnie? Chcę trumnę z girlandkami. Nie chcę tego wojskowego pudła.

Morelli podniósł głowę.

- Wojskowego mówi pani?

- Takie brzydkie trumny mają tylko w wojsku. W telewizji mówili, że po Pustynnej Burzy zostało im sporo tego towaru. Za mało widoczne zginęło amerykańskich chłopców i teraz panowie wojskowi muszą coś z tym zrobić, więc organizują wyprzedaże. Mają po prostu... nadwyżkę.

Spojrzeliliśmy z Morellem po sobie. Oho.

Morelli położył serwetkę na stole i odsunął krzesło.

- Przepraszam, ale muszę zatelefonować - zwrócił się do mojej matki. - Czy mogę skorzystać z państwa telefonu?

Założenie, że Kenny przeszmuglował broń i amunicję w trumnach wydawało się trochę naciągane, ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. No i to by wyjaśniało niepokój Spira o te trumny.

- Jak poszło? - zapytałam Morellego kiedy wrócił do stołu.

- Marie właśnie to sprawdza.

Babcia Mazurowa zamarła z łyżką zupy w połowie drogi do ust.

- Czy to jakaś policyjna afera? Nad czym pracujecie?

- Próbuję się tylko zapisać do dentysty - pospieszył z wyjaśnieniem Morelli. - Plomba mi właśnie wypadła.

- Trzeba sobie sprawić takie zęby jak ja - powiedziała babcia. -

Mogę je wysłać dentyście pocztą.

Zacząłam się poważnie zastanawiać, czy zabrać babcie ze sobą do Stivy. Z obrzydliwym grabarzem jakoś by sobie dała radę, ale nie chciałam, aby miała do czynienia z grabarzem niebezpiecznym.

Zjadłam zupę i chleb z wędliną i sięgnęłam do miski po ciasteczka.

Zerknęłam przy tym na szczupłe ciało Morellego. Zjadł dwa talerze zupy, pół bochenka chleba z masłem i siedem ciasteczek. Dokładnie liczyłam.

Zauważył, że się na niego gapię i w milczeniu unióśł brwi.

- Pewnie zawzięcie ćwiczysz - stwierdziłam raczej, niż zapytałam.

- Biegam, kiedy mogę. Czasami wpadam na siłownię. - Wyszczzerzył

zęby. - W naszej rodzinie wszyscy mężczyźni mają dobrą przemianę materii.

Życie jest zdecydowanie niesprawiedliwe.

Zabrzączał pager i Morelli wyszedł do kuchni, żeby zatelefonować.

Kiedy wrócił, miał minę jak kot, który dopiero co zezarł kanarka.

- To dentysta - wyjaśnił. - Ma dla mnie dobre wieści.

Zebrałam talerze i odniosłam je do kuchni.

- Muszę już lecieć - oznajmiłam matce. - Mam jeszcze trochę pracy.

Praca - zachnęła się matka. - Phi! Też mi praca.

- Było mi niezmiernie miło - podziękował Morelli. - A zupa była po prostu przepyszna.

- Powinieneś znów nas kiedyś odwiedzić - powiedziała matka. -

Jutro będzie pieczeń. Stephanie, może wpadniecie jutro na pieczeń?

- Nie.

- To nieuprzejme z twojej strony - skarciła mnie matka. - Jak ty traktujesz swojego chłopaka?

To, że zaakceptowała nawet Morellego w roli mojego chłopaka, dowodziło jak desperacko pragnęła wydać mnie za mąż albo przynajmniej trochę rozruszać.

- On nie jest moim chłopakiem - sprostowałam.

Matka dała mi torbę ciastek.

- Jutro robię bezy. Dawno już nie robiłam beżów. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, stanęłam i popatrzyłam Morellemu prosto w oczy.

- Żeby nie było niejasności: nie przychodzisz jutro na kolację.

- Oczywiście - odparł Morelli.

- A co z tym telefonem?

- W Braddock było od cholery pustych trumien. Pół roku temu zorganizowali wyprzedaż. Dwa miesiące przed wyjściem Kenny'ego z wojska. Dom pogrzebowy Stivy kupił dwadzieścia cztery trumienki.

Leżały w tej samej okolicy, gdzie zaginiona broń, ale to ogromny obszar.

Kilka magazynów i ponad pół hektara odkrytego pola, a wszystko za ogrodzeniem.

- Ogrodzenie nie stanowiło dla Kenny'ego problemu, bo on tam przecież pracował.

- No tak. A kiedy przyjęto oferty kupna, trumny odłożono dla konkretnych nabywców. Kenny wiedział zatem, które trumny pojedą do Spira. - Morelli uśmiechnął się. - Wujek Vito by się ucieszył.

- A co, sam też kradł trumny?

- Raczej je wypełniał. Kradł tylko dorywczo.

- A więc myślisz, że to możliwe, by Kenny przemycił tę broń w trumnach?

- Wygląda to dość dziwnie i dramatycznie, ale chyba tak, myślę, że to zupełnie możliwe.

- No dobrze, w takim razie Spiro, Kenny i zapewne Moogey ukradli ten towar z Braddock i złożyli go w boksie „R i J”. Ale nagle wszystko znika. Ktoś grał na dwie strony i wiadomo, że to nie był Spiro, bo to on mnie wynajął do szukania trumien.

- Kenny też raczej odpada - stwierdził Morelli. - Kiedy mówił, że Spiro ma coś, co należy do niego, miał chyba na myśli skradzioną broń.

- A zatem, kto nam zostaje? Moogey?

- Nieboszczycy nie umawiają się na nocne spotkania z braćmi Long.

Nie chciałam przejechać przez kawałki rozbitej lampy z wozu Morellego, więc pozbierałam je z asfaltu. A nie wiedząc, co z nimi zrobić, podałam mu ten plastikowy złom.

- Mam nadzieję, że masz na to ubezpieczenie - odezwałam się ze skruchą.

Morelli nic nie powiedział.

- Czy dalej będziesz mnie śledził? - zapytałam.

- Aha.

- To popilnuj mi samochodu, kiedy będę u Stivy.

Parking przy domu pogrzebowym był wypełniony samochodami uczestników popołudniowej ceremonii. Musiałam zaparkować na ulicy.

Wysiadłam z buicka i starałam się nie zwracać uwagi na Morellego. Nie widziałam go, ale czułam, że jest w pobliżu, bo coś mnie ścisnęło w dołku.

Spiro stał w holu i grał rolę boga kierującego ruchem ciał
niebieskich.

- Jak leci? - zapytałam.

- Mnóstwo pracy. Zeszłej nocy zmarł Joe Loosey. Wylew. No, a dzisiaj mamy Staną Radiewskiego. Należał do klubu Łosiów. Na pogrzeby Łosiów zawsze przychodzą tłumy.

- Mam złą i dobrą wiadomość - powiedziałam. - Dobra to taka, że znalazły się twoje trumny.

- A zła?

Wyjęłam z kieszeni osmalone okucie.

- Zła jest taka, że... to wszystko, co z nich zostało.

Spiro wpatrywał się w kawałek metalu.

- Nie rozumiem.

- Ktoś podpalił w nocy stertę trumien. Ustawił je na jednej z ramp załadowniczych w zakładach hydraulicznych, oblał benzyną i podpalił. W

zasadzie wszystko poszło z dymem, ale po szczątkach ustalono, że były to trumny.

- Widziałaś je? Co jeszcze się spaliło? Było tam coś jeszcze?

Na przykład rakietnice przeciwpancerne, pomyślałam.

- Z tego, co widziałam, to tylko trumny. Możesz to zresztą sam sprawdzić.

- Chryste - rzekł Spiro. - Teraz nie mogę się ruszyć. Kto będzie niańczył tych wszystkich cholernych Łosiów?

- A Louie?

- O Jezu, tylko nie Louie. Chyba tobie przypadnie w udziale ten zaszczyt.

- O nie, ja się na to nie piszę.

- Wystarczy, że będziesz im donosić gorącą herbatę i powiesz parę bzdur w stylu „niezbadane są wyroki boskie”. Wrócę za pół godzinki. -

Sięgnął do kieszeni po kluczyki. - Kto był w zakładach, kiedy się tam zjawiałaś?

- Komendant straży, policja w mundurach, jakiś facet, którego nie znam, Joe Morelli i kilku strażaków, którzy kończyli akcję.

- Mówili może coś interesującego?

- Nie.

- Mówiłaś im, że te trumny należały do mnie?

- Nie. I nie mam zamiaru tu zostać. Chcę swoje pieniądze za odnalezienie trumien i spływam.

- Nie dam ci żadnych pieniędzy, dopóki nie zobaczę tego pogorzelniska na własne oczy. Być może są to trumny należące do kogoś innego. A może sobie to wszystko wymyśliłaś.

- Pół godziny - krzyknęłam do pleców Spira. - Ani sekundy dłużej!

Sprawdziłam stolik z herbatą. Nie było tam nic do roboty. Na stole stały całe litry wrzątku i kilogramy ciastek. Usiadłam sobie z boku w fotelu i zaczęłam podziwiać cięte kwiaty. Klub Łosiów przeniósł się do nowej sali, gdzie leżał Radiewski, a w holu zapanowała cisza, która zbijała mnie z tropu. Żadnych kolorowych magazynów do czytania. Żadnej telewizji. Cicha pogrzebowa muzyka sącząca się z ukrytych głośników.

Wydawało mi się, że upłynęły co najmniej cztery dni, kiedy do holu wtoczył się Eddie Ragucci. Eddie był ważną figurą u Łosiów.

- Gdzie ten szczur? - zapytał Eddie.

- Musiał wyjść. Ale zaraz powinien wrócić.

- W sali Staną jest za gorąco. Pewnie zepsuł się termostat. Nie możemy wyłączyć ogrzewania, a makijaż nieboszczyka zaczyna już spływać. Kiedy tu był Con, takie rzeczy się nie zdarzały. To pech, że Stan musiał odejść akurat wtedy, kiedy Con poszedł do szpitala. Nieszczęścia chodzą parami.

- Niezbadane są wyroki boskie.

- Święta racja.

- Spróbuję poszukać zastępcy Spira.

Zaczęłam naciskać po kolei klawisze interkomu i krzyczałam na Louiego, aby się zjawił w holu. Wszedł, kiedy wciskałam ostatni guzik.

- Byłem w przygotowalni - wyjaśnił.

- Macie tam kogoś jeszcze?

- Pana Looseya.

- Chodziło mi o innych pracowników. Na przykład o Clare z salonu piękności.

- Nie, jestem sam.

Powiedziałam mu o termostacie i wysłałam go, żeby to sprawdził.

Louie wrócił po pięciu minutach.

- Taka mała blaszka się zagięła - oznajmił. - To się często zdarza.

Ludzie się opierają i ta blaszka się zagina.

- Lubisz tę pracę?

- Przedtem pracowałem w domu opieki. Tu jest łatwiej, myję ich po prostu szlauchem, a jak już położy się takiego na stole, to mi się nie wierci.

- Znałeś Moogeya Buesa?

- Poznałem go dopiero tutaj. Pół kilo wypełniacza poszło na tę jego głowę.

- A Kenny'ego Mancuso?

- Spiro mówi, że to Kenny Mancuso zastrzelił Moogeya Buesa.

- Wiesz, jak Kenny wygląda? Przychodził tu kiedykolwiek?

- Wiem, jak wygląda, ale nie widziałem go już od dawna. Słyszałem, że jesteś łowcą nagród i polujesz na Kenny'ego.

- Nie stawił się w sądzie.

- Jeśli go spotkam, to dam ci znać.

Dałam mu swoją wizytówkę.

- Złapiesz mnie na pewno pod któryś z tych numerów.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Do holu wpadł Spiro i z równym hukiem zamknął podwoje. Czarne lakierki i rękawy marynarki miał przyprószone popiołem. Policzki pałały mu rumieńcem, a małe szczurze oczka błyszczały.

- No i co? - zapytałam.

Wbił wzrok gdzieś ponad moim ramieniem. Obejrzałam się i spostrzegłam, że przez hol idzie Morelli.

- Szukasz kogoś? - zapytał go Spiro. - Radiewski leży w nowej sali.

Morelli machnął mu przed nosem odznaką.

- Wiem, gdzie pracujesz - zachnął się Spiro. - Coś nie gra? No proszę, wystarczy wyjść na pół godziny, a tu już same problemy.

- Nie ma żadnego problemu - zapewnił go Morelli. - Szukamy tylko właściciela trumien, które właśnie spłonęły.

- No to już go znaleźliście. Ale ja ich nie podpaliłem. Te trumny mi ukradziono.

- Czy zgłaszał pan to na policji?

- Nie chciałem nadawać temu rozgłosu. Wynająłem panią detektyw, żeby mi je szybko odnalazła.

- Ta trumna, która ocalała z pożaru, wydaje się zbyt prosta, jak na gusty w Miasteczku - zauważył Morelli.

- Kupiłem je na wyprzedaży w bazie wojskowej. Mieli nadwyżkę.

Myślałem o otwarciu filii zakładu w innych dzielnicach. Może nawet w Filadelfii. Tam mieszka sporo biedoty.

- Zainteresowała mnie sprawa tej wojskowej nadwyżki - powiedział

Morelli. - Jak się odbywa taka wyprzedaż?

- Trzeba złożyć w kwatermistrzostwie ofertę. Jeśli się na nią zgodzą, należy w ciągu tygodnia zabrać towar z bazy.

- A w której bazie kupowałeś?

- W Braddock.

Morelli zachowywał kamienny spokój.

- Czy Kenny Mancuso nie służył przypadkiem właśnie w Braddock?

- A tak. Jak zresztą wielu innych naszych chłopaków.

- No dobrze. A więc przyjęli twoją ofertę - dociekał Morelli. - W jaki sposób przywiozłeś tu trumny?

- Pojechaliśmy po nie z Moogeyem ciężarówką.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział Morelli. - Nie wiesz przypadkiem, dlaczego ktoś kradnie trumny, a potem je podpala?

- Pewnie, że wiem. Bo ukradł je jakiś czub. Mam jeszcze sporo roboty - uciął Spiro. - Czy to już

koniec?

- Na razie tak.

Popatrzyli sobie w oczy tak intensywnie, że na twarzy Spira zaczął drgać mięsień. Wreszcie młody Stiva odwrócił się na pięcie i poszedł do gabinetu.

- Do zobaczenia później - pożegnał mnie Morelli i również wyszedł.

Drzwi do gabinetu Spira były zamknięte. Zapukałam i czekałam.

Cisza. Zapukałam głośniej.

- Spiro! - krzyknęłam. - Wiem, że tam jesteś!

Spiro szarpnięciem otworzył drzwi.

- O co znowu chodzi?

- O moje pieniądze.

- Chryste, czy ty myślisz, że ja mam czas myśleć o twoich gównianych pieniądzach? Mam ważniejsze zmartwienia na głowie.

- Na przykład?

- Na przykład to, że Kenny Mancuso podpalił te cholerne trumny.

- A skąd wiesz, że to Kenny?

- A kóżby inny? To świr i na dodatek mi groził.

- Powinieneś powiedzieć o tym Morellemu.

- No tak, tego mi jeszcze brakowało, żeby sobie ściągnąć na głowę gliniarzy. Tak jakbym nie miał już dość kłopotów.

- Zauważyłam, że nie darzysz policjantów szczególnym szacunkiem.

- Gliny to szuje.

Poczułam na karku czyjś oddech. Odwróciłam się i ujrzałam tuż za mną Louiego Moona.

- Przepraszam - powiedział. - Muszę pogadać ze Spirem.

- Mów - polecił Spiro.

- Chodzi o pana Looseya. Zdarzył się wypadek.

Spiro nie odezwał się, ale wzrokiem świdrował dziurę w czole Louiego.

- Pan Loosey leżał już na stole - zaczął opowiadać Louie. - Właśnie miałem go ubierać, kiedy zdarzyła się ta historia z termostatem.

Musiałem wyjść i go naprawić, a kiedy wróciłem, zauważyłem, że pan Loosey nie ma... no... pewnej intymnej części ciała. Nie wiem, jak to się mogło stać. Jeszcze przed chwilą to miał, a teraz już nie ma...

Spiro odepchnął Louiego na bok i popędził przed siebie krzycząc:

- Kurwa mać, szlag mnie zaraz trafi!

Po kilku minutach wrócił do gabinetu ze ściągniętą twarzą i zaciśniętymi pięściami.

- Nie do wiary, kurwa, nie do wiary - wściekał się przez zaciśnięte zęby. - Nie było mnie zaledwie pół godziny, a tu ktoś sobie przyszedł i odciął Looseyowi kutasa. A wiesz kto to był? Nikt inny tylko Kenny.

Zostawiam cię na posterunku, a ty wpuszczasz tu Kenny'ego i pozwalasz mu odciąć trupowi kutasa.

Na biurku zadzwonił telefon i Spiro rzucił się do słuchawki.

- Dom pogrzebowy Stivy.

Zacisnął usta. Wiedziała już, że dzwonił Kenny.

- Jesteś czubkiem - powiedział Spiro. - Powinieneś się leczyć.

Zawsze myślałem, że masz nie po kolei pod sufitem, ale teraz to już naprawdę przegiąłeś pałę.

Kenny zaczął coś mówić, ale Spiro mu przerwał.

- Zamknij się - powiedział. - Sam już nie wiesz, co mówisz. Nie zdajesz sobie, kurwa, sprawy, czym ci grozi zadzieranie ze mną. Jeszcze raz się tu pokażesz, a zabiję cię. A nawet jeśli nie zrobię tego sam, to każę małej cię wykończyć.

Małej? Czyżby mówił o mnie?

- Chwileczkę - powiedziała do Spira. - Co chciałeś powiedzieć przez to ostatnie zdanie?

Spiro rzucił słuchawką.

- Pieprzony świr.

Położyłam dłonie płasko na biurku i pochyliłam się do przodu.

- Nie jestem żadną małą. I nie jestem wynajętym rewolwerowcem.

Gdybym nawet pracowała jako ochroniarz, na pewno bym cię nie chroniła, ty gadzie. Jesteś nędzną kreaturą, wypierdkiem mamuta i obmierzłym szczurem. Jeśli jeszcze raz komukolwiek powiesz, że go zabiję na twoje polecenie, to ty zginiesz pierwszy!

To była cała Stephanie Plum, mistrzyni czczych pogróżek.

- Niech zgadnę, jesteś bez grosza przy duszy, prawda?

Całe szczęście, że nie miałam przy sobie broni, bo gotowa byłam go zastrzelić.

- Ktoś inny nic by ci nie zapłacił za odnalezienie samych popiołów. -

powiedział Spiro. - Ale ja jestem dobrym wujkiem i mimo wszystko wypiszę ci czek. Potraktujmy to jako zaliczkę na poczet przyszłych usług.

Czasami może mi się przydać taka cizia jak ty.

Wzięłam czek i wyszłam bez słowa. Dalsza rozmowa nie miała sensu, bo najwyraźniej miałam do czynienia z idiotą. Zatrzymałam się na stacji benzynowej, a tuż za mną stanął Morelli.

- To wszystko wydaje mi się coraz bardziej podejrzane -

powiedziałam do niego. - Widzę, że Kenny'emu całkiem szajba odbiła.

- A co się znowu stało?

Opowiedziałam mu o tym, co spotkało pana Looseya, i o rozmowie telefonicznej.

- Powinnaś oddać ten samochód do przeglądu - stwierdził Morelli. -

Trzeba ustawić zapłon.

- Po co? Przecież wszystko dobrze chodzi?

Morelli był wyraźnie zdegowany.

- Niech to jasna cholera! - zaklął.

Pomyślałam, że to moja obojętność na problem stanu technicznego samochodu tak na niego działa.

- Naprawdę uważasz, że powinnam ustawić ten zapłon?

Morelli oparł się o błotnik i wydusił z siebie:

- Zeszłej nocy w New Jersey zginął policjant. Dwie kule przebiły mu kamizelkę.

- To była wojskowa amunicja?
- Tak. - Podniósł na mnie wzrok. - Muszę znaleźć to świństwo. Ono tu musi być gdzieś pod nosem.
- Myślisz, że Kenny może mieć rację co do Spira? Twierdzi, że Spiro opróżnił trumny i wynajął mnie tylko po to, żeby zachować pozory...
- Nie wiem. Ale coś mi tu nie pasuje. Moim zdaniem wszystko zaczęli Kenny, Moogey i Spiro, ale gdzieś po drodze nawinął się ktoś czwarty i pomieszał im szyki. Na mój nos ktoś podebrał towar naszej trójce muszkieterów i skłócił ich ze sobą. Podejrzewam, że to nikt z Braddock, bo towar pojawia się w New Jersey i w Filadelfii.
- Musiałby to być ktoś znajdujący się blisko tej trójki. Ktoś zaufany... Na przykład dziewczyna.
- Równie dobrze mógł się ktoś dowiedzieć o wszystkim przez przypadek - powiedział Morelli. - Wystarczy, że podsłuchał rozmowę.
- Na przykład Louie Moon.
- Tak. Mógł to być z powodzeniem Louie Moon - powtórzył Morelli.
- No i ten ktoś musiał też mieć dostęp do klucza od boksu. A Louie Moon go miał.
- Znalazłoby się pewnie mnóstwo ludzi, przed którymi Spiro mógł

się wygadać i którzy mieli dostęp do klucza. Od sprzątaczkę po Clare. Tak samo jest w przypadku Moogeya. To, że Spiro powiedział ci, że tylko on miał klucz od boksu, wcale nie musi oznaczać, że mówił prawdę. Pewnie wszyscy trzej mieli klucze. 133

- W takim razie, co się stało z kluczem Moogeya? Ustalono to?

Ciekawe, czy miał go przy sobie w chwili śmierci?

- Nie znaleziono przy nim żadnych kluczy. Przyjęto, że posiał je gdzieś na stacji benzynowej i prędzej czy później same się znajdują.

Wówczas nie miało to żadnego znaczenia. Rodzice mieli zapasowy komplet i odprowadzili samochód do domu. Teraz, kiedy wypłynęła sprawa trumien, mam powód, żeby trochę pomęczyć Spira. Chyba wrócę i trochę go przycisnę. Chcę też pogadać z Louiem Moonem. Obiecasz mi, że w nic się nie wdasz przez ten czas?

- Nie martw się. Dam sobie radę. Może pójdę na zakupy. Spróbuję dobrać jakąś sukienkę do tych fioletowych pantofli.

Morelli zacisnął usta.

- Kłamiesz. Masz raczej zamiar zrobić coś głupiego, przyznaj, że tak?

- O Boże, ranisz mnie. Myślałam, że podnieci cię myśl o fioletowej sukience i fioletowych bucikach. Chciałam sobie też kupić jakąś kieckę z lycry. Pomyśl tylko, krótka sukienka z lycry z mnóstwem cekinów...

- Znam cię za dobrze i wiem, że wcale nie masz zamiaru iść na zakupy.

- Przysięgam ci na co tylko chcesz. Idę na zakupy. Słowo daję.

Morelli uśmiechnął się kącikiem ust.

- Wyprowadziłabyś w pole samego papieża.

Niemal się przeżegnałam.

- Ależ ja prawie nigdy nie kłamię. - Tylko wtedy, kiedy naprawdę muszę. No i... kiedy mówienie prawdy byłoby nie na miejscu.

Patrzyłam, jak Morelli odjeżdża, po czym ruszyłam do biura Vinniego po kilka adresów.

Rozdział 10

Kiedy weszłam do biura, Connie i Lula wydzierały się na siebie.

- Dominik Russo sam robi sos - krzyczała Connie. - Z dojrzałych pomidorów, świeżej bazylii i świeżego czosnku.

- W dupie mam te jego dojrzałe pomidory. Najlepszą pizzę w Trenton robi Tiny przy Pierwszej ulicy - nie dawała za wygraną Lula. -

Nikt nie robi takiej pizzy jak Tiny. On po prostu robi pizzę z duszą!

- Pizzę z duszą? A cóż to ma u diabła znaczyć? - dopytywała się Connie.

Obie jak na komendę odwróciły głowy w moją stronę i obrzuciły mnie rozognionymi spojrzeniami.

- Ty musisz to rozstrzygnąć - zwróciła się do mnie Connie. -

Opowiedz tej mądrali o pizzy Dominika.

- Nie przeczę, Dominik robi świetną pizzę - odparłam. - Ale mnie smakuje najbardziej pizza u Pina.

- U Pina! - Connie skrzywiła się. - Oni używają sosu marinara z dziesięciolitrowych pojemników.

- Zgadza się - powiedziałam. - Uwielbiam ten sos. - Rzuciłam torebkę na biurko Connie. - Widzę, że się doskonale dogadujecie.

- Aha - mruknęła Lula.

Usiadłam na kanapie.

- Potrzebuję kilku adresów. Muszę trochę powęszyc.

Connie wyjęła książkę telefoniczną z szafki.

- Czyich adresów szukasz?

- Spira Stivy i Louiego Moona.

- W życiu bym nie zajrzała pod poduszkę w domu Spira -

wzdrygnęła się Connie. - Do jego lodówki też bym nie zajrzała.

Lula skrzywiła się.

- To ten grabarz? O rany, chyba nie będziesz się włamywać do domu grabarza, co?

Connie zapisała mi adres na kartce i zaczęła szukać następnego.

Zerknęłam na adres Spira.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Rezydencje Century Court. Jedziesz ulicą Klockner aż do Demby. -

Connie podała mi drugi adres. - Nie mam za to pojęcia, gdzie znajduje się mieszkanie Moona. Chyba gdzieś w okolicy Hamilton Township.

- A czego tam szukasz? - zapytała Lula.

Włożyłam karteczki do kieszeni.

- Sama nie wiem. Może klucza. - Albo paru skrzyń z bronią w salonie, dodałam w myślach.

- Może powinnam pojechać tam z tobą - zaofiarowała się Lula. -

Taka chudzina jak ty nie powinna samotnie wybierać się na włamanie.

- Dziękuję za pomoc - powiedziałam - ale nie przyjęli cię do pracy w terenie.

- No, nie wiem - odparła Lula. - Wygląda na to, że mam robić to, co akurat potrzeba. Robiłam tu już wszystko poza cyklinowaniem podłogi i szorowaniem kibla.

- To maniaczka porządkowania kartotek - powiedziała Connie. -

Ona urodziła się po to, żeby układać papierki.

- To jeszcze nic - zapowiedziała Lula. - Zobaczysz, jaka będę dobra jako asystentka łowcy nagród.

- No to jazda, spróbuj - powiedziała Connie.

Lula zarzuciła na siebie kurtkę i wzięła torebkę.

- Ale zaszalejemy - cieszyła się. - Jak Cagney i Lacey.

Zaczęłam szukać adresu Moona na ściennym planie miasta.

- Jeśli Connie się zgadza, to ja nie mam nic przeciwko temu, ale pamiętaj, ja jestem Cagney.

- Nie ma mowy! To ja jestem Cagney - zaprotestowała Lula.

- Aleja pierwsza zaklepałam.

Lula wysunęła dolną wargę i zmrużyła oczy.

- Ale to był mój pomysł. Nie bawię się, jeśli nie będę Cagney.

Spojrzałam na nią.

- Chyba nie bierzesz tego na serio, mam nadzieję?

- Ha! - zachnęła się Lula. - Mów za siebie.

Powiedziałam Connie, żeby nie czekała na nas, i przepuściłam Lulę w drzwiach.

- Najpierw sprawdzimy, co słychać u Louiego Moona - oznajmiłam.

Lula stanęła na środku chodnika i patrzyła na błękitnego olbrzyma.

- Jedziemy tym pieprzonym buickiem!

- Tak.

- Kiedyś jeden alfons miał takie cudo.

- Ten należał do mojej świętej pamięci wujka Sandora.

- Czy on zajmował się jakimś biznesem?

- O ile wiem, to nie.

Louie Moon mieszkał na obrzeżach Hamilton Township. Kiedy skręciłyśmy wreszcie w Orchideową, dochodziła już czwarta.

Odczytywałam numery domów, szukając 216. Nie mogłam się nadziwić, że przy ulicy o tak

egzotycznej nazwie, mogą stać tak obrzydliwie przeciętne domy. Tę dzielnicę zasiedlano w latach sześćdziesiątych, kiedy ziemi nie brakowało, więc działki były spore. Trzypokojowe niewielkie domki zupełnie na nich ginęły. Z czasem właściciele jednakowych, jak spod sztancy, chatek poprzydawali im nieco indywidualizmu - tu dobudowano garaż, ówdzie ganek. Ściany pokryto winylowymi płytami w najróżniejszych kolorach. Dostawiano przeszklone werandy. Posesje obsadzano krzewami azalii. A mimo to wszystkie domki były nadal do siebie podobne.

Domek Louiego Moona wyróżniał się kolorem - utrzymanym w jasnoturkusowej tonacji - oraz bożonarodzeniową iluminacją i półtorametrową postacią Mikołaja z plastiku przymocowaną do anteny.

- Facet wcześniej się wprowadza w przedświąteczny nastrój -

zauważyła Lula.

Świąteczka zwisały smętnie i nierówno, a Mikołaj mocno już wypłowiał, z czego wnosiłam, że Moon trwał w świątecznym nastroju od zeszłego roku.

Przy domu nie było garażu, a na podjeździe ani na ulicy nie widać było żadnego samochodu. W domu panowały ciemności i wyglądało na to, że nikogo tam nie ma. Zostawiłam Lulę w samochodzie i podeszłam do drzwi. Zapukałam dwa razy. Nikt nie odpowiedział. Dom był parterowy.

Wszystkie zasłony były rozsunięte. Widocznie Louie nie miał nic do ukrycia. Okrążyłam budynek zaglądając po kolei do wszystkich okien. We wnętrzu panował porządek, ale stojące tam meble stanowiły przypadkową zbieraninę nikomu niepotrzebnych gratów. Nie zauważyłam niczego nowego. Nie spostrzegłam też amunicji na kuchennym stole ani nawet pojedynczego karabinu. Odniosłam wrażenie, że Louie mieszka samotnie. W zlewozmywaku stał jeden kubek i jeden talerz. Na podwójnym łóżku poruszona była tylko jedna strona.

Nietrudno mi było wyobrazić sobie, jak Louie Moon mieszka tu sobie, zadowolony z życia, bo ma swój mały niebieski domek. Zaczęłam zastanawiać się nad nielegalnym wtargnięciem do tego turkusowego gniazdka, ale nie mogłam wymyślić żadnego przekonującego uzasadnienia takiego kroku.

W powietrzu unosiła się wilgoć, a twarda ziemia głucho dudniła pod stopami. Postawiłam kołnierz kurtki i wróciłam do samochodu.

- Nie zajęło ci to zbyt dużo czasu - powiedziała Lula.

- Bo też i nie było się czemu przyglądać.

- To co, teraz do grabarza?

- Ano tak.

- Całe szczęście, że nie mieszka tam, gdzie pracuje. Wcale nie miałabym ochoty przyglądać się temu, co oni wynoszą w wiadrach po zabalsamowaniu truposza.

Już zmierzchało, kiedy dojechałyśmy do Century Courts.

Ujrzałyśmy piętrowe budynki z czerwonej cegły z białymi oknami. W

każdym z nich mieściło się dwadzieścia mieszkań. Dziesięć na piętrze i dziesięć na parterze. Wszystkie budynki stały przy wąskich uliczkach odchodzących od Demby. Przy każdej z nich stały cztery domy.

Mieszkanie Spira mieściło się na parterze. W oknach było ciemno, a na parkingu nie zauważyłam jego samochodu. Z powodu choroby Cona Spiro musiał pracować dłużej niż zwykle. Buicka raczej trudno byłoby nie zauważyć, a ja nie chciałam zostać przyłapana na gorącym uczynku, gdyby Spiro zapragnął na przykład zmienić skarpetki. Przejechałam więc jedną uliczkę dalej i dopiero tam zaparkowałam.

- Założę się, że coś tutaj znajdziemy - powiedziała Lula wysiadając z samochodu. - Mam przecucie.

- Przyjechałyśmy tylko rzucić okiem - przypomniałam. - Nie będziemy robić niczego, co byłoby niezgodne z prawem... Na przykład włamywać się.

- Pewnie - odparła Lula. - Do kogo ta mowa.

Przeszłyśmy przez trawnik, tak jakbyśmy spacerowały. W oknach od frontu pozaciągano zasłony. Udałyśmy się zatem na tył budynku, ale i tu zasłony były zaciągnięte. Lula sprawdziła rozsuwane drzwi na patio i oba okna, ale wszystko było pozamykane.

- Czy to nie chamstwo? - zapytała. - Jak tu mamy się teraz czegokolwiek dowiedzieć? I to właśnie wtedy, kiedy miałam przecucie.

- Rozumiem cię - pocieszałam ją. - Sama chciałabym się dostać do tego mieszkania.

Ni stąd, ni zowąd Lula wzięła szeroki zamach i walnęła torebką w okno mieszkania Spira, rozbijając szybę.

- Dla chcącego nic trudnego - stwierdziła jakby mimochodem.

Zdębiałam, a kiedy wreszcie wróciła mi zdolność mówienia, z mojego gardła wydobył się zduszony szept:

- Nie do wiary, ty to naprawdę zrobiłaś! Wybiłaś mu okno!

- Tak to już bywa - odrzekła Lula.

- Mówiłam przecież, że nie będziemy tu łamać prawa. Nie można ot tak sobie wybijać ludziom szyby w oknach.

- Cagney by tak zrobił.

- Cagney by tak na pewno nie zrobił.

- A właśnie, że by zrobił!

- A ja ci mówię, że nie!

Uchyliła okno i wsadziła głowę do środka.

- Nikogo nie ma chyba w domu. Moim zdaniem powinniśmy wejść do środka i sprawdzić, czy odłamki szkła czegoś nie zniszczyły. - Lula górną połową ciała była już w mieszkaniu Spiro. - Mogliby robić te okna większe trochę - utyskiwała. - Porządnie zbudowana kobieta, taka jak ja, z trudem się w nim mieści.

Przygryzłam wargę i wstrzymałam oddech. Nie byłam pewna, czy mam ją popchnąć, czy też wyciągnąć z tego okna. Wyglądała jak Kubuś Puchatek, który utknął w norce Królika.

Lula stęknęła i nagle cała zniknęła za zasłoną. Chwilę później drzwi na patio otworzyły się i Lula wystawiła głowę.

- Masz zamiar stać tak cały dzień czy co?

- Mogą nas za to aresztować!

- Mówisz tak, jakbyś się nigdy nigdzie nie włamała.

- Bo jeszcze nigdy się nie włamywałam.

- Tym razem zresztą też nie, bo to moja sprawa. Ty tylko weszłaś.

Pomyślałam, że jeśli spojrzeć na to w ten sposób, to wszystko jest w porządku.

Weszłam więc do środka i odczekałam chwilę, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

- Czy wiesz, jak wygląda Spiro? - zapytałam.

- To ten szczerowaty konus?

- Ten sam. Będziesz stała na czatach na werandzie. Jeśli się pojawi, zapukaj trzy razy.

Lula otworzyła frontowe drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

- Na razie spokój - zameldowała. Wyszła na dwór i zamknęła za sobą drzwi.

Zamknęłam wszystkie drzwi na zamki i włączyłam światło w jadalni, ściemniając je maksymalnie. Zaczęłam od kuchni. Metodycznie przeglądałam wszystkie schowki. Zajrzałam nawet do lodówki i pobieżnie rzuciłam okiem na zawartość kosza na śmieci.

Podobnie zlustrowałam jadalnię i salon, ale nie odkryłam niczego, co by wzbudziło choć cień

podejrzenia. W zlewku znajdowały się brudne naczynia, a na stole leżała rozłożona gazeta. Przed telewizorem walały się eleganckie czarne buty. Doprawdy w tym mieszkaniu nie było nic godnego uwagi. Żadnej broni, żadnych kluczy, żadnych liścików z pogrózkami. Nawet w notesie przy telefonie w kuchni można było podziwiać tylko puste kartki.

Włączyłam światło w łazience. Na podłodze leżała sterta brudnych ubrań. Za żadne skarby świata nie dotknęłabym brudów Spira. Jeśli nawet w którejś z jego kieszeni znajdowało się coś, co mogłoby być istotne dla sprawy, to nie zamierzałam tego sprawdzać. Zerknęłam jeszcze do apteczki i do kosza na śmieci. Nic.

Drzwi do sypialni były zamknięte. Wstrzymałam oddech i otworzyłam je, a przekonawszy się, że nikogo tam nie ma, odetchnęłam z prawdziwą ulgą. Sypialnię umeblowano nowoczesnymi duńskimi meblami. Na łóżku leżała czarna aksamitna pościel. Na suficie nad łóżkiem wmontowane były lustrzane tafle, a na krześle przy łóżku leżał stos czasopism porno. Do jednej z okładek przykleiła się zużyta prezerwatywa.

Pocieszałam się myślą, że gdy tylko wrócę do domu, wezmę gorący prysznic.

Przy ścianie pod oknem stało biurko. Wyglądało obiecująco.

Usiadłam w fotelu obitym czarną skórą i ostrożnie zaczęłam przeglądać ulotki reklamowe, rachunki i osobistą korespondencję - rozrzucone na politurowanym blacie. Rachunki wyglądały całkiem zwyczajnie, większość korespondencji zaś dotyczyła domu pogrzebowego. Listy -

podziękowania od świeżo oskubanych klientów w rodzaju: „Drogi Spiro, dziękuję, że zdarłeś ze mnie skórę, kiedy pogrążony byłem w rozpaczy”.

Wiadomości telefoniczne Spiro zapisywał na czym popadło, na kopertach i na marginesach listów. Żadna z notatek nie miała charakteru pogróżki od Kenny'ego. Zapiisałam wszystkie nie znane mi numery telefonów.

Włożyłam je do torebki, aby je później posprawdzać.

Zaglądałam do szuflad, grzebałam w jego papierach, teczkach, skoroszytach i innych szpargałach. Nikt się nie nagrał na automatycznej sekretarce. Nic też nie było pod łóżkiem.

Nie chciało mi się wierzyć, że w mieszkaniu nie ma broni. Spiro wyglądał bowiem na człowieka, który lubi sobie to i owo zatrzymać.

Zajrzałam do bieliźniarki, a nie znalazłszy niczego otworzyłam szafę. Pełno tam było żałobnych garniturów, koszul i krawatów. Na dnie stało sześć par butów i sześć pudełek po butach. Otworzyłam jedno z nich. Trafiony zatopiony. Znalazłam wreszcie broń. Colta kalibru 11 mm.

Zajrzałam do pozostałych pięciu pudełek i znalazłam w nich zestaw trzech pistoletów oraz trzy pudełka pełne amunicji. Spisałam skrupulatnie numery seryjne pistoletów i zanotowałam obecność pudełek z amunicją.

Otworzyłam okno sypialni i wyjrzałam na Lulę. Siedziała na werandzie i piłowała paznokcie. Zastukałam w szybę, a Lula z wrażenia aż upuściła pilniczek. Najwyraźniej nie była jednak tak opanowana, za jaką chciała uchodzić. Pomachałam jej, dając znak, że wychodzę i spotkamy się na tyłach domu.

Upewniłam się, że wszystko leży dokładnie tak, jak w chwili, kiedy tu przyszedłam, wyłączyłam wszystkie światła i wyszłam przez drzwi prowadzące na patio. Spiro oczywiście domyśli się, że ktoś włamał się do jego mieszkania, ale prawdopodobnie winą za to obarczy Kenny'ego.

- No dobra, a teraz gadaj - niecierpliwiła się Lula. - Znalazłaś coś, prawda?

- Znalazłam kilka pistoletów.

- Nie rusza mnie to. Dziś każdy ma gnata.

- Ty też?

- Mowa. Pewnie, że mam. - Wyjęła z torebki wielki czarny pistolet. -

Nieodłączny towarzysz. Kupiłam go od Harry'ego „Ogiera”, kiedy jeszcze szlajałam się po ulicy. Wiesz, dlaczego nazywali go „Ogierem”?

- Lepiej mi nie mów.

- Ho, ho, ten miał się czym pochwalić. Można się było wręcz przestraszyć. Czy wiesz, że musiałam mu to robić obiema rękami, bo inaczej się nie dało.

Wysadziłam Lulę przed biurem i wróciłam do domu. Kiedy ustawiałam buicka na parkingu, niebo pociemniało pod pokrywą chmur, z których zaczęła siąpić mżawka. Zarzuciłam torebkę na ramię i czym prędzej pobiegłam do budynku, szczęśliwa, że już jestem w domu.

Pani Bestler krążyła po korytarzu w swym chodziku. Tup, tup, brzdęk. Tup, tup, brzdęk.

- Kolejny dzień z głowy - powiedziała.

- Ano właśnie - odparłam.

Zza drzwi pana Wolessky'ego dobiegały co jakiś czas wybuchy śmiechu zgromadzonej w studiu publiczności. U niego telewizor grał jak zwykle na okrągło.

Otworzyłam drzwi i podejrzliwie rozejrzałam się po mieszkaniu.

Dzięki Bogu nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Na sekretarce nikt się nie nagrał, a w skrzynce pocztowej na dole nie znalazłam żadnych listów.

Zrobiłam sobie gorącą czekoladę i kanapkę z masłem orzechowym i miodem. Położyłam kanapkę na kubku, wsunęłam telefon pod pachę, wzięłam kartkę z numerami telefonów, wynotowanymi u Spira i

zaniósłam to wszystko na stół do pokoju.

Wykręciłam pierwszy numer i w słuchawce rozległ się głos kobiety.

- Chciałabym rozmawiać z Kennym - powiedziałam.

- To chyba pomyłka. Tu nie ma żadnego Kenny'ego.

- Czy to Colonial Grill?

- Nie, to mieszkanie prywatne.

- Przepraszam.

Do sprawdzenia zostało mi jeszcze siedem numerów. Pierwsze cztery okazały się również prywatnymi telefonami. Zapewne jacyś klienci Spira. Pod piątym można było zamówić pizzę do domu. Szósty okazał się numerem szpitala św. Franciszka, siódmy zaś połączył mnie z jakimś motelem w Bordentown. Pomyślałam, że to może być jakiś trop.

Dałam Rexowi resztkę kanapki, westchnęłam na myśl o opuszczeniu przytulnego i ciepłego mieszkania, po czym zarzuciłam kurtkę. Motel leżał przy drodze nr 206 niedaleko wjazdu na autostradę.

Był to jeden z tanich zajazdów, wybudowany w epoce, kiedy jeszcze nie słyhać było o wielkich sieciach moteli. Składał się z czterdziestu parterowych domków z wąskimi werandami. W dwóch świeciło się światło. Stojący przy drodze neon zachwalał wszystkie dostępne tu usługi.

Od zewnątrz motel nie wyglądał najgorzej, ale wiadomo było, że w środku wszystko ma już swoje lata: tapety wyblakły, narzuty na łóżkach zaczęły się strzępić, a umywalki w łazienkach zachodziły rdzą.

Zaparkowałam w pobliżu recepcji i weszłam do środka. Za kontuarem siedział starszy mężczyzna wpatrzony w mały telewizor.

- Dobry wieczór - powitał mnie.

- Czy pan jest tu kierownikiem?

- Zgadza się. Kierownikiem, właścicielem i chłopcem na posyłki.

Wyjęłam z torebki zdjęcie Kenny'ego.

- Szukam tego chłopaka. Widział go pan?

- A czy może mi pani powiedzieć, dlaczego pani go szuka?

- Naruszył umowę poręczycielską.

- A co to znaczy?

- Że jest przestępcą.

- Czy pani jest z policji?

- Jestem agentem dochodzeniowym. Pracuję dla firmy poręczycielskiej, która zapłaciła kaucję za tego pana.

Recepcjonista raz jeszcze spojrział na zdjęcie i skinął głową.

- Mieszka pod siedemnastką. Od paru dni. - Przesunął palcem po rejestrze meldunkowym. - O, proszę. Jest. John Sherman. Zameldował

się we wtorek.

Nie mogłam w to uwierzyć! I niech mi ktoś powie, że nie mam talentu do tej pracy.

- Czy mieszka sam?

- O ile się nie mylę, to tak.

- Czy ma pan dane dotyczące jego samochodu?

- Nawet o to nie pytamy. Miejsca na parkingu jest pod dostatkiem.

Podziękowałam mu i zapowiedziałam, że trochę się pokręcę w pobliżu. Dałam mu wizytówkę i poprosiłam, żeby do mnie zadzwonił, jak tylko zobaczy Shermana.

Odjechałam w najciemniejszy kąt parkingu, wyłączyłam silnik, zamknęłam okna i zaczęłam rozmyślać. Jeśli pojawi się Kenny, zadzwonię do „Leśnika”. Jeśli nie uda mi się skontaktować z „Leśnikiem”, zadzwonię do Joego Morellego. O dziewiątej zaczęłam sobie wyrzucać, że wybrałam zły zawód. Palce mi kompletnie zgrabiały i chciało mi się siusiu. Kenny wciąż się nie pojawiał, a ja siedząc bez ruchu, marzłam i nudziłam się jak mops. Włączyłam silnik, żeby go rozgrzać i posprawdzać wskaźniki.

Zaczęłam snuć półsenne marzenia o nocy spędzonej z Batmanem. Było trochę ciemno, ale wciąż pamiętam, że z rozkoszą dotykałam jego gumowego kombinezonu.

O jedenastej uprosiłam recepcjonistę, aby pozwolił mi skorzystać z ubikacji. Wypiłam zaferowany mi kubek kawy i wróciłam do błękitnego olbrzyma. Muszę przyznać, że choć czekanie samo w sobie było nużące, w buicku czułam się o wiele lepiej niż w małym jeepie. Miałam wrażenie, że siedzę w schronie przeciwbombowym na kółkach. Na przednim siedzeniu mogłam bez trudu wyciągnąć nogi, a z tyłu było jeszcze dość miejsca, by tam urządzić buduar.

Okolo wpół do pierwszej przysnęłam i obudziłam się kwadrans po pierwszej. W domku Kenny'ego wciąż było ciemno, a na parkingu jak dotąd, nie pojawił się żaden nowy samochód.

Miałam teraz do wyboru kilka możliwości. Mogłam pozostać na czatach, mogłam też poprosić „Leśnika”, by mnie zmienił, wreszcie mogłam po prostu zabrać się do domu i wrócić tu przed wschodem słońca. Gdybym poprosiła „Leśnika” o zmianę, musiałabym mu oddać większą część nagrody, niż zamierzałam. Z drugiej strony obawiałam się, że gdybym dalej tu czekała, mogłabym przysnąć i zamarznąć jak dziewczynka z zapałkami. Wybrałam zatem wyjście numer trzy. Jeśli Kenny tu się zjawi, na pewno położy się spać i o szóstej rano będzie jeszcze w domku.

Aby nie zasnąć, przez całą drogę do domu śpiewałam sobie *Panie Janie, panie Janie*. Wdrapałam się po schodach na górę i zamknęłam za sobą drzwi na klucz. Rzuciłam się na łóżko w ubraniu, butach i tak dalej.

Spałam kamiennym snem aż do szóstej, kiedy to uruchomił się mój wewnętrzny budzik.

Zwlokłam się więc z łóżka i z ulgą stwierdziłam, że jestem już ubrana, w związku z czym odpada mi ta czynność. W łazience spędziłam dosłownie chwilę i zabrawszy kurtkę oraz torebkę wyszłam na parking.

Ponad latarniami było ciemno choć oko wykol. Wciąż mżyło, a na szybach samochodów zaczął się tworzyć lód. Wspaniale. Uruchomiłam silnik buicka, włączyłam dmuchawę na pełny regulator, a z atlasu samochodowego wyjęłam skrobaczkę do szyb. Kiedy uporałam się z usuwaniem lodu, zupełnie odechciało mi się spać. Po drodze zatrzymałam się, by kupić kawę i pączki.

Kiedy dotarłam do motelu, wciąż jeszcze było ciemno. We wszystkich domkach panowały egipskie ciemności. Na parkingu nie zauważyłam żadnych nowych samochodów. Zaparkowałam z dala od latarni i zabrałam się do kawy. Zasób mego entuzjazmu dla sprawy znacznie zmalał. Zaczęłam się zastanawiać, czy recepcjonista przypadkiem sobie ze mnie nie zakpił. Postanowiłam, że jeśli Kenny nie pokaże się do południa, poproszę, żeby mnie wpuszczono do jego domku.

Gdybym była przezorniejsza, zmieniłabym przed wyjściem skarpetki i zabrała koc. Ale gdybym była sprytna, dałabym recepcjoniście dwadzieścia dolców i poprosiła, żeby do mnie zadzwonił, kiedy pojawi się Kenny.

Za dziesięć siódma przed recepcją zatrzymała się furgonetka.

Wysiadła z niej jakaś kobieta. Popatrzyła na mnie podejrzliwie i weszła do środka. Po dziesięciu minutach recepcjonista wyszedł z budynku i wsiadł

do sfatygowanego chevroleta. Pomachał do mnie z uśmiechem i odjechał.

Nie miałam pewności, czy recepcjonista poinformował zmienniczkę o mojej obecności. Ponieważ nie chciałam, żeby ta zadzwoniła na policję z meldunkiem o podejrzanej kobiecie wyczekującej przy motelu, wyszłam z samochodu i powiedziałam jej to samo, co poprzedniego dnia recepcjoniście.

Otrzymałam te same odpowiedzi. Owszem, rozpoznała mężczyznę ze zdjęcia. W księdze meldunkowej figurował pod nazwiskiem John Sherman.

- Bardzo przystojny mężczyzna - stwierdziła. - Tylko niezbyt miły.

- Czy zauważyła pani może, jakim samochodem jeździ?

- Ależ oczywiście. Jeździ niebieską furgonetką. Ale nie takim eleganckim minivanem. Ten jego samochód bardziej nadaje się do firmy budowlanej. Z tyłu nie ma w ogóle okien.

- A może zanotowała pani numery rejestracyjne?

- No nie, aż tak dokładnie się nie przyglądałam.

Podziękowałam i wróciłam do samochodu, żeby dopić zimną kawę.

Co jakiś czas wysiadałam, by się przeciągnąć i trochę poskakać dla rozgrzewki. Wyskoczyłam na szybki obiad, a kiedy wróciłam, okazało się, że sytuacja nie uległa zmianie.

O trzeciej obok mnie zaparkował Morelli. Wysiadł ze swojego samochodu i zajął miejsce obok mnie.

- Chryste - powiedział. - Przecież tu można skostnieć.

- Czy to przypadkowe spotkanie?

- Kelly jeździ tędy do pracy. Zauważył twojego buicka i zaczął się zastanawiać, z kim masz tu schadzkę.

Zazgrzytałam zębami.

- W takim razie, co tu robisz?

- Dzięki niezwykle błyskotliwemu śledztwu odkryłam, że Kenny mieszka tu pod nazwiskiem John Sherman.

W oczach Morellego błysnęła iskierka zaciekawienia.

- Ktoś go tu zidentyfikował?

- Recepcjoniści rozpoznali Kenny'ego na zdjęciu. Jeździ niebieską furgonetką, a ostatnio widziano go tu wczoraj rano. Przyjechałam wczesnym wieczorem i siedziałam do pierwszej w nocy. Dziś wróciłam o wpół do siódmej.

- I ani śladu Kenny'ego?

- Jakbyś zgadł.

- Zaglądałaś już do jego pokoju?

- Jeszcze nie.

- Pokojówka już tam była?

- Nie.

Morelli otworzył drzwi.

- Rozejrzyjmy się.

Przedstawił się recepcjonistce i otrzymał klucz do domku numer 17.

Dwa razy zastukał do drzwi. Nikt nie otwierał. Morelli otworzył drzwi i oboje weszliśmy do środka.

Łóżko było nie zaścielone. Na podłodze leżał otwarty marynarski worek. W środku widać było skarpetki, spodenki i dwie czarne koszulki z krótkim rękawem. Na oparcie krzesła niedbale rzucono flanelową koszulę i dżinsy. W łazience zauważyliśmy zestaw do golenia.

- Odnoszę wrażenie, że się czegoś wystraszył - powiedział Morelli. -

Być może zauważył ciebie.

- Niemożliwe. Zaparkowałam w najciemniejszym kątku parkingu.

Zresztą skąd mógł wiedzieć, że to ja?

- Małeńka, wszyscy wiedzą, że to ty.

- To przez ten okropny samochód! On mi rujnuje życie. Sabotuje moją karierę.

Morelli uśmiechnął się.

- Strasznie dużo, jak na jeden Bogu ducha winny samochód.

Starałam się przybrać wściekłą minę, ale trudno mi było to zrobić, bo cały czas szczękałam zębami z zimna.

- I co teraz? - zapytałam.

- Teraz porozmawiam z recepcjonistką i poproszę, żeby do mnie zadzwoniła, kiedy Kenny wróci do motelu. - Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. - Wyglądasz, jakbyś spała w tych ciuchach.

- Jak ci wczoraj poszło ze Spirem i Louiem Moonem?

- Louie Moon nie ma z tym chyba nic wspólnego. Brakuje mu jednego...

- Inteligencji? - wtrąciłam.

- Raczej odpowiednich powiązań - wyjaśnił Morelli. - Ten, kto ma tę broń, stara się ją jak najszybciej sprzedać. Popytałem tu i ówdzie i okazuje się, że Moon nie obraca się w odpowiednich kręgach. Mało tego, nie wiedziałyby nawet, jak w ogóle do nich trafić.

- A co ze Spirem?

- Nie był specjalnie rozmowny - uciał Morelli. - Powinnaś wrócić do domu, wziąć prysznic i ubrać się do kolacji.

- Jakiej kolacji?

- Zapomniałaś? Pieczeń u twoich rodziców o szóstej.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Morelli znów się uśmiechnął.

- Przyjadę po ciebie za kwadrans szósta.

- Nie! Sama pojedę.

Morelli miał na sobie kurtkę lotniczą z brązowej skóry i czerwony wełniany szalik. Zdjął szalik i owinął mi go wokół szyi.

- Wyglądasz na przemarzniętą - wyjaśnił. - Idź teraz do domu i ogrzej się. - Powiedziawszy to wyszedł z samochodu i ruszył w stronę recepcji motelu.

Wciąż mżyło. Niebo przybrało kolor stali, będący odbiciem mojego nastroju. Miałam doskonały trop prowadzący do Kenny'ego Mancuso i wszystko schrzaniłam. Stuknęłam się otwartą dłonią w czoło. Ależ ze mnie idiotka. Przesiedziałam wizytę Kenny'ego w tym wielkim głupim pudle. Ale o czym wtedy myślałam?

Motel dzieliło od mej kamienicy ponad piętnaście kilometrów.

Przez całą powrotną drogę łajałam się w myślach. Zatrzymałam się na chwilę w supermarkecie i dotankowałam paliwa. Kiedy zaparkowałam przed domem, miałam już serdecznie dość samej siebie. Miałam trzy okazje, żeby przyskrzyknąć Kenny'ego: przed domem Julii, w centrum handlowym i teraz w motelu, i wszystkie trzy schrzaniłam.

Powinnam raczej zająć się łapaniem płotek: drobnych złodziejasków i pijanych kierowców. Niestety, z takich zleceń nie byłabym się w stanie utrzymać.

Jadąc windą nie przestawałam czynić sobie wymówek. Na drzwiach znalazłam karteczkę od dozorczy Dillona. Przyszła do mnie jakaś paczka.

Wróciłam do windy i zjechałam do piwnicy. Z windy wychodziło się do małego korytarzyka z czterema szarymi drzwiami. Jedne prowadziły do piwnic lokatorów, drugie do kotłowni, w której zawsze coś bulgotało i chrobotowało, trzecie wiodły do długiego korytarza i pomieszczeń technicznych, a za czwartymi mieszkał Dillon.

Zawsze kiedy tu zjeżdżałam, zaczynałam odczuwać klaustrofobię, ale Dillon twierdził, że mieszka mu

się doskonale, a hałasy z kotłowni wręcz koją mu nerwy. Na drzwiach zostawił kartkę, że wróci o piątej.

Wróciłam do mieszkania, dałam Rexowi rodzynki i płatki kukurydziane, po czym wzięłam długi prysznic. Wyszłam spod niego czerwona niczym rak wyjęty z wrzątku i nieco oszołomiona chlorem.

Padłam na łóżko, bezmyślnie wpatrując się w sufit. Ale niedługo patrzyłam. Kiedy się obudziłam, była za kwadrans szósta i ktoś walił do drzwi.

Owinęłam się szlafrokiem i podreptałam do przedpokoju.

Wyrzałam przez judasza. Przed drzwiami stał Morelli. Uchyliłam je i spojrzałam na niego ponad łańcuszkiem.

- Właśnie wyszłam spod prysznic.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś mnie wpuściła, nim pan Wolessky wyjdzie i spierze mnie na kwaśne jabłko.

Odczepiłam łańcuszek i otworzyłam drzwi.

Morelli wszedł do przedpokoju i uśmiechnął się kącikami ust.

- Ale masz fryzurkę.

- Zdrzemnęłam się i włosy trochę mi się potargały.

- Nic dziwnego, że nie prowadzisz życia seksualnego. Z takim wyglądem.

- Idź, usiądź sobie w salonie i nie wstawaj, dopóki ci nie powiem.

Nie objadaj mnie, nie strasz chomika i nie dzwoń za miasto.

Kiedy dziesięć minut później wyszłam z sypialni, Morelli oglądał

telewizję. Do białej koszulki założyłam spódnice, a na to luźny rozpinany sweter. Na nogach miałam sznurowane buty do kostek. Wyglądałam jak Annie Hali i czułam się kobieca bardziej, niż zwykle, ale ów strój działał

na płec przeciwną dokładnie na odwrót. Moja wersja Annie Hali potrafiła ostudzić nawet najbardziej napalonego faceta.

Owinęłam sobie wokół szyi czerwony szalik Morellego i założyłam kurtkę. Wzięłam torebkę i wyłączyłam światło.

- Gorzko pożałujemy, jeśli się spóźnimy.

Morelli ruszył za mną do drzwi.

- Nie martw się. Jak cię matka zobaczy w tym stroju, natychmiast zapomni o naszym spóźnieniu.

- To moja wersja Annie Hali.

- Chyba ci się filmy pomyliły.

Wypadłam na korytarz i zbiegłam ze schodów. Znalazłszy się na parterze przypomniałam sobie o paczce, którą miał dla mnie Dillon.

- Zaczekaj chwilę - krzyknęłam do Morellego. - Zaraz wracam.

Zbiegłam do piwnicy i zastukałam do drzwi Dillona.

Dozorca wystawił głowę.

- Chciałbym odebrać paczkę, strasznie się spieszę - powiedziałam.

Wzięłam od niego przesyłkę kurierską i pobiegłam na górę.

- Trzy minuty spóźnienia i pieczeń może nam przejść koło nosa -

rzuciłam do Morellego, chwyciłam go za rękę i pociągnęłam w stronę jego samochodu. Początkowo nie miałam zamiaru jechać z nim, ale pomyślałam, że gdyby nam się trafił korek, Morelli mógłby użyć policyjnego koguta.

- Masz koguta w tym samochodzie? - upewniłam się wsiadając do środka.

Morelli zapiął pasy.

- Owszem, mam. Ale chyba nie myślisz, że go użyję pędząc na pieczeń do Plumów?

Obróciłam się na siedzeniu i wyjrzałam przez tylną szybę.

- Cóż to, wypatrujesz Kenny'go? - zapytał Morelli spoglądając w lusterko wsteczne.

- Czuję, że się kręci gdzieś w pobliżu.

- Nikogo nie widzę.

- To nie znaczy, że go tu nie ma. On jest mistrzem w skradaniu się.

Włazi sobie do Stivy, odcina nieboszczykom różne części ciała i wychodzi nie zauważony. W centrum handlowym też jakby wyrósł spod ziemi.

Widział mnie pod domem Julii Cenetty i na parkingu przy motelu, a ja go w ogóle nie zauważyłam. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ciągle mnie obserwuje i łązi za mną.

- Dlaczego miałby to robić?

- Choćby dlatego, że Spiro mu zagroził śmiercią z mojej ręki, jeśli się od niego nie odczepi.

- O rany.

- Być może jest to tylko objaw paranoi.

- Czasami paranoja ma swoje uzasadnienie.

Morelli zatrzymał się na światłach skrzyżowania. Cyfrowy zegar na desce rozdzielczej wskazywał 17.58. Zaciśnięłam palce, aż chrupnęło.

Morelli spojrzał na mnie i uniósł brwi.

- No cóż, matka wpędza mnie w nerwicę - powiedziałam.

- Ona już taka jest - uspokajał mnie Morelli. - Nie powinnaś tak bardzo brać sobie tego do serca.

Zjechaliśmy z alei Hamiltona i znaleźliśmy się w Miasteczku. Ulice nagle opustoszały. Z tyłu nie widać było żadnego samochodu, ale nie mogłam pozbyć się uczucia, że Kenny ma mnie na oku.

Kiedy parkowaliśmy, matka i babcia Mazucowa stały już przy drzwiach. Zazwyczaj dostrzegałam jedynie różnice między nimi. Dzisiaj zauważyłam, jak bardzo są do siebie podobne i wydało mi się to oczywiste. Stały wyprostowane, jakby w ten sposób dodawały sobie odwagi. Ja zresztą robiłam dokładnie to samo. Ręce złożyły przed sobą i niewzruszonym wzrokiem wpatrywały się to w Morellego, to we mnie.

Obydwie miały okrągłe twarze i głęboko osadzone oczy. Mongolskie. Moi węgierscy przodkowie pochodzili ze stepów. Tak matka, jak babcia były niewielkiego wzrostu, a z wiekiem wydawały się jeszcze niższe.

Drobnokościstej budowy, miały gęste, mocne włosy. Prawdopodobnie dlatego, że w ich żyłach wciąż płynęła krew wędrujących taborami Cyganek.

Z kolei ja stanowiłam odstępstwo od rodzinnego genotypu i bardziej przypominałam grubokościstą prostą chłopkę chodzącą za pługiem.

Uniosłam spódnicę, aby wysiąść z samochodu, a matka i babcia aż wzdrygnęły się na ten widok.

- Co to za strój? - dopytywała się matka. - Nie stać cię już na jakieś ładne ciuchy? Cóż to, chodzisz w cudzych ubraniach? Frank, trzeba natychmiast dać Stephanie trochę grosza. Musi sobie dziewczyna kupić coś do ubrania.

- Ależ ja wcale nie potrzebuję nowych ciuchów - broniłam się. - Te są nowe. Dopiero co je kupiłam. To teraz taka moda.

- Jak się będziesz tak ubierać, to w życiu nie znajdziesz sobie mężczyzny. - Matka odwróciła się do Morellego. - Mam rację czy nie?

Morelli uśmiechnął się.

- Mnie się nawet podoba. Wygląda jak mała góralka, Ania z hal.

Wciąż trzymałam w ręku pakunek. Odłożyłam go na stół i zdjęłam kurtkę.

- Nie Ania z hal, tylko Annie Hal!! - poprawiłam go.

Babcia wzięła przesyłkę do ręki i pilnie zaczęła ją oglądać.

- Hm, poczta kurierska. To pewnie coś ważnego. Zdaje się, że w środku jest jakieś pudełko. Tu jest napisane, że nadawcą jest niejaki R.

Klein z Piątej Alei w Nowym Jorku. Szkoda, że to nie do mnie.

Chciałabym kiedyś dostać coś pocztą kurierską.

Do tej chwili nie miałam czasu pomyśleć o przesyłce. Nie znałam żadnego R. Kleina i nie zamawiałam niczego w Nowym Jorku. Wzięłam przesyłkę z rąk babci i otworzyłam. W środku znajdowało się małe tekturowe pudełko. Było zaklejone taśmą. Wzięłam je i zważyłam w ręce.

Nie było ciężkie.

- Dziwnie pachnie - zauważyła babcia. - Jakby środkiem owadobójczym. Ale może to jakieś nowe perfumy.

Odkleiłam taśmę, uchyliłam wieczko i wstrzymałam oddech. W

pudełku leżał penis. Równiutko odcięty, zabalsamowany i przyczepiony do styropianowej podkładki dużą szpilką.

Wszyscy patrzyli na zawartość pudełka zbyt przerażeni, by cokolwiek powiedzieć. To samo zapewne czuje się, patrząc na ofiary wypadku płonące żywcem w samochodzie.

Pierwsza odezwała się babcia Mazurowa, a w jej głosie wyczuć można było nieśmiałą nutę pożądania:

- Dawno już czegoś takiego nie widziałam.

Matka wytrzeszczyła oczy, wyrzuciła ręce w górę i zaczęła przeraźliwie krzyczeć:

- Zabierzcie to z mojego domu! Do czego zmierza ten świat? Co sobie ludzie pomyślą?

Ojciec wstał z fotela i przyczłapał do przedpokoju, aby zobaczyć, co się stało.

- O co chodzi? - zapytał próbując dojrzeć, czemu się tak przyglądamy.

- O penisa - wyjaśniła babcia. - Stephanie dostała go pocztą.

Niczego sobie sztuka.

Ojciec aż się zatoczył ze zdumienia:

- Jezusie Przenajświętszy!

- Kto mógł ci zrobić coś takiego?! - krzyczała matka. - Co to jest?

Czy to z gumy?! To pewnie taki gumowy członek z sexshopu?

- Wygląda dość przekonująco - oceniła babcia Mazurowa. - To chyba oryginał, tyle, że trochę zmienił kolor. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widziała taki odcień w naturze.

- To jakieś zupełnie wariactwo! - histeryzowała matka. - Któż wysłałby pocztą swojego penisa?

Babcia zerknęła na opakowanie.

- Nadawca ponoć nazywa się Klein, ale nie jest to chyba członek Żyda.

Wszyscy zwrócili głowy w stronę babci.

- Nie jestem w tych sprawach ekspertem - obruszyła się. -

Widziałam tylko kiedyś program o Żydach w telewizyjnym magazynie

„National Geographic”.

Morelli wziął ode mnie pudełko i nakrył je. Oboje wiedzieliśmy, do kogo należał ten członek. Do Josepha Looseya.

- Chyba podziękuję za kolację - powiedział Morelli. - Tą sprawą musi zająć się policja. - Wziął ze stolika moją torebkę i zarzucił mi ją na ramię. - Stephanie pójdzie ze mną, żeby złożyć zeznanie.

- To wszystko przez tę twoją pracę - wyrzucała mi matka - Wciąż masz do czynienia z nieodpowiedzialnym elementem. Dlaczego nie znajdziesz sobie porządnego zajęcia jak choćby kuzynka Christine? Jej nikt nie przysyła takich niespodzianek.

- Christine pracuje w fabryce witamin i przez cały dzień pilnuje maszyny upychającej do buteleczek kawałeczki waty.

- I nieźle zarabia.

Zapięłam kurtkę.

- Ja też nieźle zarabiam... Od czasu do czasu.

Rozdział 11

Morelli otworzył drzwi do samochodu, wrzucił niefortunny pakunek na tylne siedzenie i popędził mnie niecierpliwym ruchem ręki.

Jego twarz była pozornie spokojna, ale czułam, że wzbiera w nim wściekłość.

- Niech go jasna cholera! - krzyknął wrzucając bieg. - Temu kretynowi się chyba zdaje, że jest diabło dowcipny. On i te jego piekielne gierki. Kiedy był mały, opowiadał mi o przeróżnych sprawkach, które wyczyniał. Nigdy nie wiedziałem, co było prawdą, a co sobie zmyślał.

Chyba nawet sam Kenny tego nie wiedział. Ale teraz podejrzewam, że duża część z nich mogła być prawdziwa.

- Mówiłeś serio, że powinna się tym zająć policja?

- Poczta nie będzie zachwycona, kiedy się okaże, że ktoś dla hecy przesyła komuś za jej pośrednictwem ludzkie szczątki.

- To dlatego tak szybko prysnąłeś z domu moich rodziców?

- Wyszedłem dlatego, że nie wytrzymałbym dwóch godzin przy stole z ludźmi myślącymi tylko o kutasie Joego Looseya leżącym w lodówce obok masła.

- Byłabym ci wielce zobowiązana, gdybyś o tym nie rozpowiadał.

Nie chciałam, żeby ludzie pomyśleli sobie coś złego o mnie i o Bogu ducha winnym Looseyu.

- Nikomu nie powiem, masz moje słowo.

- Jak myślisz, czy powinniśmy powiedzieć o tym Spirowi?

- Uważam, że ty powinnaś go poinformować. Niech myśli, że jesteś po jego stronie. Może uda ci się coś z niego wyciągnąć.

Morelli zajechał pod restaurację Burger Kinga dla kierowców i zamówił dwie porcje jedzenia. Odebrawszy torebki zamknął okno i włączył się do ruchu. W samochodzie natychmiast zapachniało Ameryką.

- To niestety nie pieczeń - stwierdził Morelli.

Tak to prawda, ale dla mnie z wyjątkiem deseru, jedzenie to po prostu jedzenie. Włożyłam słomkę do kubka z koktajlem mlecznym i zaczęłam szukać w torbie frytek.

- Wspominałeś coś o tych opowieściach Kenny'ego. O czym on ci mówił?

- Lepiej nie pytaj. Mogłabyś mieć potem koszmarne sny. To były po prostu zwierzenia świra.

Wziął garść frytek.

- Nie wyjaśniłaś mi jeszcze, w jaki sposób wpadłaś na trop Kenny'ego w motelu.

- Właściwie nie powinnam wyjawiać ci swoich sekretów zawodowych.

- Oj, chyba jednak powinnaś.

No dobrze, niech ci będzie jawność. Czas zarzucić Morellego bezwartościowymi informacjami, i jakoś zatuszować sprawę nielegalnego wtargnięcia do mieszkania Spira.

- Przyznaję się, że weszłam do mieszkania Spira i przeszukałam jego rzeczy. Znalazłam tam kilka numerów telefonicznych, sprawdziłam je i w ten sposób znalazłam motel.

Morelli zatrzymał się pod światłami i spojrzał na mnie. W

ciemności nie widziałam wyrazu jego twarzy.

- Jak to, weszłaś do mieszkania Spira? W jaki sposób? Czyżby przez przypadkowo nie zamknięte drzwi?

- Przez okno, które udało mi się zbić torebką.

- Jasna cholera, Stephanie! Przecież to się kwalifikuje jako włamanie. Ludzie trafiają za to do mamra.

- Byłam ostrożna.

- No tak, teraz rzeczywiście mi ulżyło.

- Spiro prawdopodobnie pomyśli, że to Kenny i nie zgłosi tego policji.

- A więc Spiro wie, gdzie zatrzymał się Kenny. Dziwię się, że Mancuso nie zachował większej ostrożności.

- Spiro ma w gabinecie telefon z możliwością identyfikacji numeru dzwoniącego. Kenny nie zdawał sobie pewnie sprawy, że może w ten sposób wpaść.

Zmieniły się światła i Morelli ruszył. Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.

- Wejdiesz, czy wolisz, żeby cię w to nie wciągać? - zapytał przed posterunkiem.

- Wołałabym nie być w to zamieszana. Zaczekam tutaj.

Zabrał pudełko z penisem i torbę zjedzeniem.

- Postaram się załatwić wszystko możliwie jak najszybciej.

Podalam mu kartkę z numerami broni i informacjami dotyczącymi amunicji z mieszkania Spira.

- Znalazłam w jego sypialni trochę broni - wyjaśniłam. - Sprawdź, czy coś z tego nie pochodzi przypadkiem z Braddock. - Nie bardzo wrywałam się z pomocą Morellemu, bo on też często pewne rzeczy przede mną zatajał, ale z drugiej strony nie byłabym w stanie sama zbadać pochodzenia tej broni. Poza tym, jeśli okaże się, że pistolety są kradzione, Morelli będzie miał wobec mnie dług wdzięczności.

Patrzyłam, jak biegnie w kierunku drzwi. Kiedy się otworzyły, w czarnej fasadzie budynku błysnął na chwilę prostokąt światła. Drzwi się zamknęły, a ja odwinęłam z papieru cheeseburgera i zaczęłam się zastanawiać, czy Morelli będzie musiał sprowadzić kogoś do identyfikacji członka. W grę wchodził Louie Moon lub pani Loosey. Miałam nadzieję, że Morelli okaże dość taktu i usunie szpilkę, nim otworzy pudełko przed panią Loosey.

Zjadłam cheeseburgera i frytki, po czym zabrałam się do koktajlu.

Na parkingu i na ulicy był spokój, a cisza w samochodzie wręcz ogłuszająca. Przez chwilę nasłuchiwałam własnego oddechu. Zajrzałam do schowka w desce rozdzielczej i do bocznych kieszeni wozu. Nie znalazłam tam nic godnego uwagi. Według samochodowego zegara Morellego nie było już od dziesięciu minut. Wypiłam koktajl mleczny i zebrałam wszystkie papierki do torby. I co teraz?

Dochodziła siódma. Czas odwiedzin u Spira. Doskonała pora, by powiedzieć mu o członku Looseya. Pech jednak chciał, że tkwiłam w samochodzie Morellego i przebierałam palcami. Nagle zauważyłam błysk kluczyka w stacyjce. Może powinnam pożyczyć na chwilę samochód i wpaść do Spira? Trzeba przecież kuć żelazo póki gorące. A kto wie, ile czasu Morellemu zajmie wypełnienie wszystkich formularzy? Być może będę tu musiała czekać godzinami! Zresztą Morelli będzie mi tylko wdzięczny za pomoc w śledztwie. Choć z drugiej strony może się wściec, kiedy wyjdzie i nie znajdzie samochodu pod budynkiem.

Sięgnęłam do torebki i znalazłam mazak. Nie miałam żadnej kartki, ale od czego papierowa torba z Burger Kinga? Odjechałam kawalek, zostawiłam torbę z informacją w miejscu, gdzie stał jego samochód i opuściłam parking.

Dom pogrzebowy Stivy z daleka jaśniał światłem, a na werandzie kłębiły się tłumy. W soboty zawsze było tu tłoczno. Na parkingu i przed domem nie było zazwyczaj miejsca. Dopiero dwie przecznice dalej można było zaparkować. Skręciłam w podjazd oznaczony tabliczką „Tylko dla karawanów”. Nie będzie mnie tylko kilka minut, pomyślałam. Zresztą nikt przy zdrowych zmysłach nie odholuje samochodu z policyjną naklejką na tylnej szybie.

Na mój widok Spiro szeroko otworzył oczy. Przede wszystkim poczuł ulgę, ale zaraz potem z niedowierzaniem spojrzął na moją kreację.

- Niezłe wdzianko - powiedział. - Wyglądasz, jakbyś dopiero co wysiadła z wiejskiego autobusu.

- Mam dla ciebie informacje - odezwałam się, puszczając mimo uszu jego żałosny dowcip.

- Ja dla ciebie też. - Wskazał głową na gabinet. - Przejdźmy tam.

Przeszedł szybkim krokiem przez hol, otworzył drzwi do gabinetu i zamknął je z hukiem.

- Nie uwierzysz w to - zaczął. - Ten palant Kenny to po prostu debil.

Wiesz, co znowu zrobił? Włamał mi się do mieszkania.

Zrobiłam oczy jak spodki.

- Niemożliwe!

- Ależ zapewniam cię, że możliwe. Przyszłoby ci coś takiego do głowy? Wybił mi okno.

- Po co miałby się włamywać do twojego mieszkania?

- Bo mu widocznie zupełnie szajba odbiła.

- Jesteś pewien, że to Kenny? Czy coś ci może zginęło?

- Oczywiście, że to Kenny. A któżby inny?! Nic nie zginęło.

Magnetowid stoi, jak stał. Kamera wideo, pieniądze, biżuteria, niczego nie ruszył. Jasne, że to Kenny. Pieprzony palant.

- Zgłosiłeś to policji?

- To jest sprawa prywatna między mną a Kennym. Nie chcę do tego mieszać gliniarzy.

- Być może będziesz musiał zmienić zasady gry.

Spiro zmrużył oczy świdrując mnie wzrokiem.

- A to niby dlaczego?

- Pamiętasz ten wczorajszy wypadek z członkiem pana Looseya?

- Tak, bo co?

- Otóż Kenny przysłał mi go pocztą.

- Ejże, nie nabierasz mnie?

- Dostałam tę osobliwą przesyłkę pocztą kurierską.

- A gdzie ją teraz masz?

- Jest na komendzie policji. Otworzyłam ją w obecności Morellego.

- Kurwa mać! - Spiro kopnął kosz na śmieci. - Kurwa, kurwa, kurwa mać!

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się tym denerwujesz -

mówiłam jak gdyby nigdy nic. - Myślałam, że tylko Kenny ma problem z głową. Ty przecież nie zrobiłeś nic złego. - Trzeba pogłaskać faceta pod włos - pomyślałam - i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Spiro przestał znęcać się nad koszem i popatrzył na mnie.

Przysięgłabym, że usłyszałam zgrzyt trybów w jego głowie.

- Tak, masz rację - powiedział. - Nie zrobiłem nic złego. Jestem tylko ofiarą. Czy Morelli wie, kto ci to przysłał? Czy była w niej jakaś kartka? A może adres zwrotny?

- Ani kartki, ani adresu zwrotnego. A na ile Morelli jest zorientowany, trudno zgadnąć.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś mu, że to robota Kenny'ego?

- Nie mam na to dowodu, ale członek był zabalsamowany, więc policja zacznie pewnie od sprawdzenia domów pogrzebowych.

Przypuszczam, że będą ciekawi, dlaczego nie zgłosiłeś tej, hramm...

kradzieży.

- To może powinienem się wypowiadać? Powiedzieć glinom, jaki z tego Kenny'ego palant? Opowiedzieć im o odciętym palcu i o włamaniu do mieszkania?

- A jak wybrniesz przed Conem? Przed nim też się wypowiadasz?

Czy on wciąż leży jeszcze w szpitalu?

- Dzisiaj wrócił właśnie do domu. Zaordynowano mu tydzień ćwiczeń rehabilitacyjnych, a potem wróci do pracy na pół etatu.

- Na pewno się nie ucieszy, kiedy się dowie, że w jego firmie ktoś odcina klientom poszczególne części ciała.

- Mowa! Setki razy słyszałem z jego ust o tym, że „ciało to świętość”.

No bo prawdę powiedziawszy, to w czym rzecz? Przecież Loosey i tak by już nie używał swego ptaszka.

Spiro opadł na fotel i przygarbił się nagle. Z jego twarzy opadła maska cywilizowanego człowieka, a żółtawa skóra szczelnie przylegająca do jego wystających kości policzkowych i ostrych zębów, czyniła go podobnym do szczura. Spiro przeobraził się w odrażającego, śmierdzącego i złego

gryzonia. Trudno powiedzieć, czy taki się urodził, czy też lata przewisk w szkole i na podwórku do tego stopnia upodobniły jego duszę do twarzy.

Pochylił się do przodu.

- Czy wiesz, ile Con ma lat? Sześćdziesiąt dwa. W tym wieku każdy myśli już o emeryturze, ale nie Constantine Stiva. Zobaczysz, że ja umrę śmiercią naturalną, a Con wciąż jeszcze będzie się gościom w pas kłaniał.

On jest jak wąż - zimnokrwisty, opanowany, puls ma ledwie wyczuwalny i wdycha formaldehyd, jakby to był eliksir życia. I żyje tylko po to, żeby mnie wkurzać. Cholera, czy nie mógłby mieć raka, a nie jakiś tam uraz kręgosłupa?! Co z tego, że go boli kręgosłup? Od tego się nie umiera.

- Zawsze myślałam, że między tobą i Conem dobrze się układa.

- Ależ on mnie doprowadza do szału! O, te jego durne zasady i cholerna dobroduszość! Żałuj, żeś go nie widziała tam na dole.

Pomyślałabyś, że jesteś w świątyni albo Bóg wie gdzie. Constantine Stiva przy ołtarzu śmierci. A wiesz, co ja myślę o trupach? Że śmierdzą.

- To dlaczego tu pracujesz?

- Bo tu można skosić niezły szmal, laleczko. A ja lubię forszę.

Pełna obrzydzenia, musiałam się opanować, żeby nie wybiec z gabinetu. Oto był cały Spiro. Wyrzucał z siebie lawinę brudu i zepsucia, kotłującą się w jego mózgu. Ta obrzydliwa mieszanka spływała po nim jak woda po kaczce. Elegancko ubrany cyniczny matoł, bez żadnego celu w życiu.

- Czy miałeś jakieś wieści od Kenny'ego od czasu, kiedy włamał ci się do mieszkania?

- Nie. - Spiro znów się zasepił. - I pomyśleć, że kiedyś przyjaźniliśmy się. On, Moogey i ja robiliśmy wszystko wspólnie. Potem Kenny poszedł do wojska i całkiem się zmienił. Wydawało mu się, że jest od nas cwańszy. Miał nawet wielkie plany.

- Na przykład?

- Nie mogę ci powiedzieć, ale były naprawdę imponujące.

Oczywiście sam mogłbym to wymyślić, ale nigdy nie miałem czasu na takie fantazje.

- Czy on cię uwzględniał w tych wielkich planach? Miałeś z tego kiedyś jakieś pieniądze?

- Czasami mnie włączał. Z Kennym nigdy nic nie było wiadomo. To wielki cwaniak. Ni z tego, ni z owego potrafi odwrócić kota do góry ogonem. Tak samo zresztą postępuje z kobietami. Wszystkim się wydawało, że z niego wspaniały facet. - Spiro uśmiechnął się. - A tymczasem Kenny pokazywał nam, jak to z jednej strony gra rolę wiernego aż po grób kochanka, a za plecami swojej dziewczyny

przelatuje wszystkie panienki, jakie nawiną mu się pod rękę. A mimo to kobiety do niego Ignęły. Nawet kiedy je poniżał, same do niego wracały, prosząc o jeszcze. Doprawdy można go było podziwiać. Miał w sobie coś.

Widziałem, jak przypalał babom ciało petami i kłuł je szpilkami, a one nijak nie mogły się od niego odkleić.

Poczułam mdłości. Nie wiedziałam już, kto napawał mnie większą odrazą: Kenny maltretujący kobiety czy Spiro, który go podziwiał.

- Muszę już lecieć - powiedziałam. - Mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia. - Powinnam choćby odkazić sobie mózg po rozmowie ze Spirem, pomyślałam.

- Zaczekaj chwilę. Chciałbym z tobą pogadać o ochronie. Jesteś podobno w tych sprawach ekspertem, prawda?

Na niczym się dobrze nie znam, musiałam przyznać w duchu, ale bez zająknięcia przytaknęłam:

- Prawda.

- W takim razie, co twoim zdaniem powinienem zrobić z Kennym?

Myślałam, że nieźle byłoby wynająć sobie ochroniarza. Tylko na wieczór.

Kogoś, kto zamknąłby ze mną zakład i szczęśliwie odwiózł mnie potem do domu. I tak miałem szczęście, że Kenny nie czekał na mnie w mieszkaniu.

- Boisz się go?

- Bo widzisz, on jest jak dym. Nie można go dotknąć. Zawsze się gdzieś czai. Obserwuje. Snuje plany. Ty nie znasz Kenny'ego - powiedział

Spiro patrząc mi w oczy. - Czasami potrafi być naprawdę zabawny, ale chwilami wydaje się, że to diabeł wcielony. Wierz mi, widziałem go w akcji i nie chciałbym mu wpaść w łapy.

- Już ci mówiłam... Nie jestem zainteresowana posadą ochroniarza u ciebie.

Wyjął z szuflady plik dwudziestodolarówek i przeliczył je.

- Po sto dolców za noc. Musisz tylko dowieźć mnie bezpiecznie do domu. W mieszkaniu dam już sobie radę.

Nagle zdałam sobie sprawę, ile mogę zyskać jako ochrona Spira.

Gdyby rzeczywiście pojawił się Kenny, to będę na miejscu. Łatwiej mi też będzie wyciągać od Spira informacje. Nie mówiąc już o tym, że każdego wieczoru będę mogła najzupełniej legalnie przeszukać całe jego mieszkanie. Fakt, trzeba się będzie po prostu zaprzędać temu typowi, ale przecież mogłoby

być gorzej. Mogło się przecież zdarzyć, że to samo trzeba by było robić dla kogoś innego jedynie za pięćdziesiąt dolarów.

- Kiedy mam zacząć?

- Od dziś. Zamykam o dziesiątej. Przyjedź tu z pięć, dziesięć minut wcześniej.

- Ale dlaczego właśnie ja? Dlaczego nie wynajmiesz sobie jakiegoś twardziela?

Spiro odłożył pieniądze do szuflady.

- Wyglądałbym jak ciota. A tak ludzie pomyślą, że za mną szalejesz.

To poprawi mój image. O ile oczywiście przestaniesz się tak ubierać. Bo jak nie, to się jeszcze mogę rozmyślić.

Wspaniale.

Wyszłam z gabinetu Spira i zauważyłam Morellego, który stał

oparty o ścianę przy drzwiach wejściowych. Ręce wsadził w kieszenie i wyglądał na wyraźnie wkurzonego. Dostrzegł mnie. Miną w dalszym ciągu miał nietęgą, ale zaczął trochę szybciej oddychać. Zmusiłam się do nieszczerego uśmiechu i zmierzałam przez hol w jego kierunku. Wyszłam jednak na zewnątrz, zanim Spiro zdążyłby nas spostrzec razem.

- Widzę, że dotarła do ciebie papierowa torebka z wiadomością ode mnie - powiedziałam, kiedy doszliśmy do samochodu. Zbierałam w sobie siły na kolejny nieszczery uśmiech.

- Nie tylko ukradłaś mój samochód, ale jeszcze zaparkowałaś w niedozwolonym miejscu.

- Ty cały czas parkujesz tam, gdzie nie wolno.

- Tylko kiedy oficjalnie występuję jako policjant i nie mam innego wyjścia... Albo kiedy pada.

- Zupełnie nie pojmuję, czemu się denerwujesz. Chciałeś, żebym pogadała ze Spirem, no to pogadałam. Przyjechałam tu specjalnie po to, żeby z nim porozmawiać.

- Musiałem prosić chłopaków z radiowozu, żeby mnie tu podrzucili.

Co gorsza, wkurza mnie, że wymykasz mi się spod kontroli. Chcę cię mieć na oku, dopóki nie przyskrzynimy Mancusa.

- Jestem wzruszona, że tak martwisz się o moje bezpieczeństwo.

- Bezpieczeństwo nie ma tu nic do rzeczy, skarbie. Masz wyjątkowy talent do wpadania na osoby, których poszukujesz, i zupełnie nie masz pojęcia, jak je potem obezwładnić. Nie mogę dopuścić, żebyś schrzaniła kolejne spotkanie z Kennym. Chcę mieć pewność, że będę w pobliżu, kiedy się

znowu na niego napatoczysz.

Wsiadłam do samochodu i westchnęłam. Co racja, to racja. A Morelli niestety miał rację. Co tu dużo mówić. Nie należałam do ścisłej czołówki łowców nagród.

W milczeniu jechaliśmy w kierunku mojego mieszkania. Znałam te ulice jak własną kieszeń. Czasami jechałam półprzytomnie, by się ocknąć nagle na własnym parkingu, i zastanawiałam się potem, jak się tam znalazłam. Ale dziś bacznie się rozglądałam. Nie chciałam przegapić Kenny'ego, gdyby był gdzieś w pobliżu. Spiro mówił, że Kenny jest jak dym, że wciąż gdzieś się snuje z ukrycia. To zbyt romantyczna wizja, mówiłam sobie. Kenny to po prostu psychopata, który kręci się po okolicy i zachowuje, jakby by) kuzynem samego Pana Boga.

Wiatr przybrał na sile i gnał chmury po niebie coraz prędzej, zakrywając od czasu do czasu tarczę księżycą. Morelli zaparkował obok buicka i wyłączył silnik. Sięgnął ręką w moją stronę i zaczął bawić się kołnierzem mojej kurtki.

- Masz może jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

Opowiedziałam mu o pracy zaproponowanej mi przez Spira.

Morelli nie powiedział słowa, tylko patrzył na mnie.

- Jak ty to robisz? - zapytał wreszcie. - Żeby się pakować w takie historie! Gdybyś nawet zdawała sobie sprawę z tego, co robisz, i tak byłabyś prawdziwym zagrożeniem.

- A mnie się wydaje, że wiodę po prostu urocze życie. - Zerknęłam na zegarek. Było już wpół do ósmej, a Morelli wciąż pracował. -

Wyrabiasz nadgodziny - zauważyłam. - Zawsze wydawało mi się, że gliniarze odwalają osiem godzin i do domu.

- W obyczajówce różnie to bywa. Pracuję wtedy, kiedy jest coś do zrobienia.

- To ci rujnuje prywatne życie.

Wzruszył ramionami.

- Lubię swoją pracę. Kiedy chcę odpocząć, biorę wolny weekend i jadę nad morze albo wybieram się na tydzień na Karaiby.

To zaczynało być interesujące. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że Morelli mógłby jeździć na Karaiby.

- A co robisz na tych Karaibach? Co cię tam tak pociąga?

- Morze. Lubię nurkować.

- A powiedz, co można robić na przykład na wybrzeżu New Jersey?

Morelli uśmiechnął się.

- Chowam się pod molo i onanizuję. Trudno jest wykorzenić stare nawyki.

Nie mogłam wyobrazić sobie Morellego, jak nurkuje u wybrzeży Martyniki, za to wyraźnie widziałam oczyma duszy, jak siedzi pod molo w Seaside Heights i się onanizuje. Pod molo siedział jako napalony jedenastolatek, który wystawał przed nadmorskimi kafejkami, wsłuchiwał

się w dobiegającą stamtąd muzykę i wodził oczyma za kobietami w elastycznych stanikach i króciutkich spodenkach. Potem wraz z kuzynem Moochem wchodzili pod molo i trzepali kapucyna, by zaraz pobiec na plażę do wujka Manny'ego i cioci Florence, z którymi wracali potem do bungalowu, wynajmowanego na czas wakacji w Seaside Heights. Dwa lata później kuzyna Moocha zastąpiła kuzynka Sue Ann Beale, ale ogólnie sposób spędzania czasu nie uległ zapewniemu zmianie.

Otworzyłam drzwi i wyszłam na parking. Podmuch wiatru zawirował wokół anteny Morellego i podwinął mi spódnicę. Fryzura rozpadła mi się definitywnie i włosy zakryły mi twarz.

Próbowałam je poskromić w windzie, a Morelli przyglądał się tylko ze stoickim spokojem, jak nerwowo próbuję wepchnąć cały ten bałagan pod elastyczną opaskę, którą znalazłam w kieszeni kurtki. Kiedy drzwi windy się otworzyły, wyszedł na korytarz. Czekał, aż znajdę w torebce klucz od mieszkania.

- Czy Spiro ma wielkiego pietra? - zapytał ni stąd, ni zowąd.

- Wystarczająco widać wielkiego, żeby wynająć mnie na ochroniarza.

- Może to tylko spisek, żeby cię zwabić do mieszkania.

Weszłam do przedpokoju, włączyłam światło i zdjęłam kurtkę.

- To byłby dość kosztowny spisek.

Morelli podszedł prosto do telewizora i włączył kanał sportowy. Na ekranie zaczęły migać niebieskie koszulki Rangersów. Przeciw nim na własnym boisku grała drużyna Capsów. Patrzyłam na wznowienie gry, ale szybko uciekłam do kuchni, żeby sprawdzić automatyczną sekretarkę.

Nagrały się dwie wiadomości. Jedna od matki, która poinformowała mnie, że w banku First National poszukują kasjerów, i przypomniała, że jeśli dotykałam... szczątków pana Looseya, to powinnam umyć ręce. Drugą wiadomość zostawiła Connie. Vinnie wrócił

z Karoliny Północnej i chciał, żebym następnego dnia wpadła do biura.

Nie ma mowy. Vinnie martwi się o kaucję, którą założył za Mancusa. Gdy tylko wpadnę do biura, jak nic zabierze mi tę sprawę i odda komuś bardziej doświadczonemu.

Wyłączyłam sekretarkę, wzięłam z szafki paczkę chipsów, a z lodówki dwa piwa. Opadłam na kanapę obok Morellego i postawiłam między nami chipsy. Wyglądaliśmy jak stare małżeństwo siedzące przed telewizorem w sobotni wieczór.

Mniej więcej w połowie pierwszej części meczu zadzwonił telefon.

- Jak leci? - zapytał głos w słuchawce. - Robicie to z Joem jak pieski? Słyszałem, że on tak lubi. No wiesz, naprawdę niezła jesteś.

Obskakujesz jednocześnie i Spira i Joego.

- Mancuso?

- Dzwonię, żeby zapytać, jak ci się podobała paczuszka z niespodzianką.

- Faktycznie bomba. O co ci chodziło?

- O nic. Po prostu bawię się. Patrzyłem, jak otwieraliście ją w przedpokoju. Fajnie, że była przy tym staruszka. Lubię staruszki. Można by rzec, że to moja specjalność. Powinnaś spytać Joego, co robię staruszkom. Albo nie, lepiej sam ci pokażę, co?

- Jesteś chory, Mancuso. Powinieneś pójść do lekarza.

- To twoja babcia będzie musiała pójść do lekarza. A może ty też. Z

początku byłem wkurzony, bo krzyżowałaś mi plany. Teraz spojrzałem na to z innej strony. Może uda mi się trochę zabawić z tobą i tą twoją postrzeloną babcią. Zawsze dobrze jest mieć widownię.

Oblał mnie zimny pot.

- Kto wie, może nawet opowiesz mi o Spirze i o tym, jak okrada swoich przyjaciół.

- A skąd wiesz, że to nie Moogey okradał przyjaciół?

- Moogey był na to za głupi.

Usłyszałam trzask i rozmowa się skończyła.

- To dzwonił twój kuzyn - oznajmiłam Morellemu - żeby zapytać, czy podobała mi się przesyłka z niespodzianką, a potem groził, że zabawi się ze mną i z babcią Mazurową.

Wydawało mi się, że nieźle odgrywam rolę twardziela, ale tak naprawdę trzęsłam się w środku jak galareta. Nie miałam ochoty pytać Morellego, co Kenny Mancuso miał zazwyczaj robić staruszkom. Nie chciałam tego wiedzieć. Cokolwiek to było, nie mogłam pozwolić, żeby przydarzyło się to babci Mazurowej.

Zadzwoniłam do rodziców, aby upewnić się, czy babcia jest w domu. Dowiedziałam się, że owszem,

właśnie ogląda telewizję. Przy okazji zapewniłam matkę, że dokładnie umyłam ręce i jakoś udało mi się wykręcić od zaproszenia na deser.

Przebrałam się w dżinsy, założyłam adidasy i flanelową koszulę.

Wyjęłam z ukrycia rewolwer i upewniłam się, czy jest naładowany, po czym wrzuciłam go do torebki.

Kiedy wróciłam do pokoju, Morelli karmił Rexa z ręki.

- Wyglądasz, jakbyś się szykowałam na akcję - zauważył. - Czy mi się zdawało, że podnosisz czasem pokrywkę od słoika?

- Mancuso groził mojej babci - oznajmiłam przestraszona.

Morelli wyłączył telewizor.

- Staje się coraz bardziej rozdrażniony i niecierpliwy i zaczyna popełniać błędy. Głupio zrobił idąc za tobą do centrum handlowego.

Głupotą było też wślizgnięcie się do Stivy. A telefon do ciebie też nie był

mądrym posunięciem. Za każdym razem, robiąc coś takiego ryzykuje, że go ktoś nakryje. Kiedy działa w skupieniu, Kenny potrafi być naprawdę sprytny, ale gorzej, kiedy puszcza wszystko na żywioł, kierując się jedynie pychą, zemstą i nagłymi impulsami. Zaczyna się najwyraźniej denerwować, bo sprawa z bronią nie wypaliła. Szuka kozła ofiarnego, kogoś, na kim mógłby wyładować swoją wściekłość. Albo też być może od początku miał kupca, który dał mu zaliczkę, albo sam sprzedał część tej trefnej broni, zanim została skradziona? Moim zdaniem on od początku miał kupca. A teraz panikuje, bo nie może się wywiązać z kontraktu, a zaliczkę zdążył już przepuścić.

- Jego zdaniem to Spiro rąbnął towar.

- Ci dwaj sprzedaliby własnych rodziców, gdyby tylko znaleźli się kupcy.

Trzymałam już kurtkę w ręku, kiedy zadzwonił telefon. W

słuchawce odezwał się Louie Moon.

- On tu był - mówił Moon. - Kenny Mancuso tu był. Wrócił i zranił

Spira.

- Gdzie jest teraz Spiro?

- W szpitalu św. Franciszka. Sam go tam zawiozłem i wróciłem, żeby wszystkiego dopilnować. No wie pani, pozamykać drzwi i tak dalej.

Kwadrans później byliśmy w szpitalu. Przy recepcji zobaczyłam dwóch mundurowych, Vince'a Romana i jeszcze jednego faceta, którego nie znałam. Stali twardo, przygwożdżeni do ziemi ciężarem pasów z bronią.

- Co się dzieje? - zapytał Morelli.

- Spisaliśmy zeznanie młodego Stivy. Twój kuzyn go chlasnął. Spiro jest tam. - Vinnie wskazał wzrokiem drzwi za biurkiem recepcjonisty. -

Zakładają mu szwy.

- Co z nim?

- Mogło być gorzej. Kenny próbował mu prawdopodobnie odciąć rękę, ale trafił na wielką złotą bransoletę szczerowatego. Warto ją zobaczyć. Wielka jak kajdany.

Vince i jego kolega parsknęli śmiechem.

- I co, nikt nie zauważył Kenny'ego?

- On jest jak wiatr.

Spiro siedział na szpitalnym łóżku na oddziale pogotowia. W sali leżało jeszcze dwóch innych pacjentów, ale Spiro był od nich oddzielony parawanem. Prawą rękę miał mocno zabandażowaną od dłoni aż do łokcia. Jego śnieżnobiała koszula była pochlapana krwią i miała rozchylony kołnierzyk. Na podłodze przy łóżku leżały przesiąknięte krwią muszka i ręcznik.

Spiro ujrzawszy mnie, ocknął się z otępienia.

- Miałaś mnie chronić! - krzyknął. - Gdzie u diabła byłaś, kiedy cię potrzebowałem?

- Miałam objąć służbę od dziesiątej, cóż to, nie pamiętasz?

Spiro przeniósł wzrok na Morellego.

- To prawdziwy wariat! Twój kuzyn to pieprzony wariat. Próbował

mi, skurwiel, odrąbać rękę. Powinno się go zamknąć w wariatkowie.

Siedziałem sobie w gabinecie nie wadząc nikomu, przygotowywałem właśnie rachunek dla wdowy Mayerowej, podnoszę głowę i kogo widzę?

Kenny'ego. Wrzeszczy na mnie, że mu coś ukradłem. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło. To wariat pierwszej wody. Potem zaczął się odgrażać, że będzie mnie ciął plasterki po plasterku, dopóki mu nie powiem tego wszystkiego, czego chce się dowiedzieć. Na szczęście miałem na ręce tę bransoletę, bo inaczej musiałbym się uczyć pisać lewą ręką. Zacząłem krzyczeć, do gabinetu wpadł Louie i Kenny dał nogę. Żądam policyjnej ochrony - oświadczył Spiro. - Panna goryłówna jakoś się nie

spisała.

- Każę cię odwieźć radiowozem do domu - powiedział Morelli. - Ale wiedz, że potem jesteś zdany tylko na siebie. - Podał Spirowi swoją wizytówkę. - W razie czego zadzwoń do mnie. Gdybyś potrzebował

szybkiej interwencji, to wykręć 997.

Spiro mruknął coś pod nosem i spojrzął na mnie wściekłym wzrokiem.

Uśmiechnęłam się uprzejmie i zakołysałam na piętach.

- To co, do jutra?

- Ano do jutra - odrzekł.

Kiedy wyszliśmy ze szpitala, wiatr nieco przycichł, ale nadal mżyło.

- Idzie ciepły front - orzekł Morelli. - Po tym deszczu będziemy mieli ładną pogodę.

Wsiedliśmy do samochodu i obserwowaliśmy szpital. Na podjeździe dla karetek stał radiowóz Romana. Mniej więcej po dziesięciu minutach Roman i ten drugi odprowadzili Spira do radiowozu. Jechaliśmy za nimi aż do Demby, a potem odczekaliśmy, aż sprawdzą mieszkanie Spira.

Radiowóz odjechał, a my siedzieliśmy w samochodzie jeszcze przez kilka minut. W mieszkaniu Spira wciąż jeszcze świeciło się światło.

Pewnie będzie się tak świecić całą noc.

- Powinniśmy go obserwować - powiedział Morelli. - Kenny się wnerwia. Będzie łaził za Spirem, aż dostanie to, czego chce.

- Daremny trud. Spiro nie ma tego, czego chce Kenny.

Morelli siedział bez ruchu i patrzył gdzieś w dal przez szybę zalaną deszczem.

- Muszę koniecznie zmienić samochód. Kenny już zna tę furgonetkę.

O tym, że zna mojego buicka nie trzeba było nawet wspominać.

Cały świat znał już mojego buicka.

- A ten brązowy samochód?

- Tamten też sobie pewnie zapamiętał. Zresztą muszę mieć wóz, w którym nie będzie mnie widać. Jakiś minivan albo ford bronco z przyciemnianymi szybami. - Włączył silnik i wrzucił bieg. - Wiesz może, o której Spiro otwiera swój przybytek?

- Zwykle o dziewiątej.

Morelli zapukał do mnie o wpół do siódmej rano, ale ja byłam szybsza. Zdążyłam się umyć i ubrać w to, co zaczynało przypominać mój służbowy uniform: dzinsy, ciepła koszula, zwykłe buty. Wyczyściłam też terrarium Rexa i nastawiłam kawę.

- Oto mój plan - powiedział Morelli. - Ty śledzisz Spira, a ja śledzę ciebie.

Nie wydawało mi się to jakąś rewelacją, ale nie miałam lepszego pomysłu, więc siedziałam cicho. Napełniłam termos kawą, zapakowałam dwie kanapki i jabłko i na koniec włączyłam sekretarkę.

Kiedy podeszłam do buicka, wciąż było ciemno. Niedzielny poranek. Pustka na ulicach. Żadne z nas nie było w nastroju do rozmów.

Na parkingu nie zauważyłam furgonetki Morellego.

- Czym teraz jeździsz? - zapytałam.

- Czarnym fordem explorerem. Stoi na ulicy przed domem.

Otworzyłam buicka i wrzuciłam wszystko na tylne siedzenie.

Znalazł się tam również koc, choć nie zapowiadało się, żeby mi był

potrzebny. Przestało padać, a powietrze stało się znacznie cieplejsze. Na moje rozeznanie około dziesięciu stopni.

Nie byłam pewna, czy w niedzielę Spiro trzymał się takiego samego rozkładu jak w dni powszednie. Dom pogrzebowy otwarty był przez siedem dni w tygodniu, a ilość weekendowego odpoczynku zależała przypuszczalnie od tego, ilu akurat było do pochowania zmarłych. Spiro nie wyglądał na człowieka, który chodzi do kościoła. Przeżegnałam się.

Nie mogłam sobie jakoś przypomnieć, kiedy sama byłam ostatnio na mszy.

- Co robisz? - zaciekawiał się Morelli. - Czemu się przeżegnałaś?

- Jest niedziela, a ja nie poszłam do kościoła... Po raz nie wiadomo który.

Morelli położył mi rękę na głowie. Jego dotyk przynosił pewność, ukojenie i ciepło, które przenikały z jego dłoni na moją głowę.

- Bóg i tak cię kocha - powiedział.

Pogładził mnie ręką po głowie, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło. Uścisnął mnie i nagle już go nie było. Przeszedł przez parking i zniknął gdzieś w cieniu.

Wsiadłam do buicka z tkliwym uczuciem ciepła i lekkim zawrotem głowy. Zaczęłam się zastanawiać,

czy jest coś między mną i Morellim. Co też może oznaczać pocałunek w czoło? Nic, powiedziałam sobie. To nic a nic nie znaczy. Może tylko tyle, że Morelli potrafi być czasami naprawdę miły. No dobrze, w takim razie, dlaczego uśmiecham się jak idiotka? Bo w moim życiu brakuje miłości. Po prostu nie ma jej. Dzielę mieszkanie z chomikiem. No cóż, mogło być gorzej, mogłam być nadal żoną tego palanta Dickiego Orra.

Droga do Century Court przebiegła spokojnie. Niebo zaczęło się rozjaśniać. Widać było ciemne pasma chmur i niebieskie plamy między nimi. W budynku, w którym mieszkał Spiro, panowały ciemności.

Świeciło się tylko u niego. Zaparkowałam i szukałam we wstecznym lusterku świateł wozu Morellego. Ale niczego nie dostrzegłam. Obróciłam się na siedzeniu i przeszukałam wzrokiem parking. Nigdzie nie było widać explorera.

Zresztą nieważne, powiedziałam sobie. Morelli na pewno gdzieś czuwa, miejmy nadzieję.

Nie miałam złudzeń co do swojej roli w tej całej grze. Byłam jedynie przynętą, doskonale widoczną w błękitnym buicku, tak aby Kenny'emu trudniej było zauważyć kogoś drugiego.

Nalałam sobie kawy z termosu i nastawiłam się na długie czekanie.

Na horyzoncie pojawiło się pomarańczowe pasmo. W mieszkaniu sąsiadującym z apartamentem Spira błysnęło światło. Gdzieś dalej zapaliło się następne. Czarne niebo zaczęło powoli przybierać lazurowy odcień. Świtało.

Spiro wciąż miał zasunięte żaluzje. W jego mieszkaniu nadal nie było śladu życia. Zaczęłam się już martwić, ale po chwili otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Spiro. Sprawdził, czy zamknął mieszkanie, i szybko podszedł do samochodu. Jeździł granatowym lincolnem. Wymarzony wóz dla młodego grabarza. Niewątpliwie był wzięty w dzierżawę i wpisany w koszty firmy.

Spiro był ubrany znacznie swobodniej niż zazwyczaj. Miał na sobie marmurkowe dzinsy, sportowe obuwie i luźny zielony sweter. Owinięty bandażem kciuk wystawał mu z rękawa swetra.

Wyjechał z parkingu i wjechał na ulicę Klockner. Spodziewałam się jakiegoś gestu pozdrowienia, ale Spiro przejechał obok mnie nawet się nie obejrzawszy, zapewne pochłonięty tylko tym, żeby nie narobić w gacie.

Jechałam za nim bez pośpiechu. Na drodze było mało samochodów, a ja na dodatek wiedziałam, dokąd Spiro zmierza. Zaparkowałam o pół

przecznicy od domu pogrzebowego pod takim kątem, bym widziała wejście od frontu i boczne, a także mały parking z boku oraz ścieżkę prowadzącą do tylnych drzwi.

Spiro zaparkował na podjeździe i skierował kroki do bocznego wejścia. Drzwi przez chwilę stały otworem - Spiro wstukował kod odbezpieczający system alarmowy. Po chwili drzwi się zamknęły i rozbłysło światło w gabinecie.

Dziesięć minut później pojawił się Louie Moon.

Nalałam sobie jeszcze kawy i zjadłam pół kanapki. Nikt inny nie wchodził do tego przybytku ani zeń nie wychodził. O wpół do dziesiątej Louie Moon odjechał karawanem. Wrócił po godzinie i wwiózł jakiegoś nieboszczyka do zakładu. Chyba właśnie dlatego Louie i Spiro musieli przychodzić do pracy nawet w niedziele.

O jedenastej zadzwoniłam z telefonu komórkowego do domu, by upewnić się, czy z babcią Mazurową wszystko w porządku.

- Nie ma jej - powiedziała matka. - Wystarczy, że wyjdę na dziesięć minut i cóż potem zastaję? Ojciec pozwolił babci wyjść z Betty Greenburg.

Betty Greenburg miała osiemdziesiąt jeden lat i prowadziła samochód jak szatan.

- Od tego wylewu w sierpniu Betty Greenburg niczego nie pamięta -

opowiadała matka. - W zeszłym tygodniu pojechała do Asbury Park.

Tłumaczyła się potem, że jechała do domu towarowego „Kmart”, tylko źle skręciła.

- Jak długo babci już nie ma?

- Blisko dwie godziny. Miały pojechać do piekarni. Może powinnam zadzwonić na policję?

W słuchawce rozległ się trzask zamykanych drzwi i jakiś gwar.

- To babcia wróciła - wyjaśniła matka. - Ma obandażowaną całą rękę.

- Daj mi ją do telefonu.

Babcia Mazurowa wzięła słuchawkę.

- Nie uwierzysz w to, co ci powiem - odezwała się głosem drżącym z gniewu i oburzenia. - Stało się coś strasznego. Wychodziłyśmy właśnie z Betty z piekarni z pudełkami chrupiących włoskich ciasteczek, kiedy pojawił się Kenny Mancuso we własnej osobie. Wyszedł sobie zza samochodu jak gdyby nigdy nic i podszedł do mnie.

„Proszę, proszę - mówi - toż to babcia Mazurowa”.

„Tak - odpowiedziałam - i wiem kim ty jesteś. Tym huncwotem Kennym Mancuso”.

„To prawda - on na to - ale dla ciebie też będę bez litości”.

Na chwilę zapadła cisza. Słyszałam jak po drugiej stronie linii babcia oddycha i dochodzi powoli do siebie.

- Mama mówiła, że masz zabandażowaną rękę - zagadnęłam. Nie chciałam jej naciskać, ale musiałam się dowiedzieć, co się stało.

- Kenny mnie dziabnął. Złapał mnie za rękę, przytrzymał i wbił w nią szpikulec do lodu - relacjonowała babcia nienaturalnie drżącym głosem. Słysząc w nim było jeszcze echo bólu.

Odsunęłam jak najdalej przednie siedzenie buicka i schowałam głowę między kolana.

- Halo - odezwała się babcia. - Jesteś tam jeszcze?

Wzięłam głęboki oddech.

- Powiedz, jak się teraz czujesz? Czy ciągle boli?

- Już trochę mniej. W szpitalu się mną zajęli. Dali mi tylenol z kodeiną. Wystarczy wziąć trochę, a można dać się przejechać ciężarówce i nic a nic nie poczuć. Potem stwierdzili, że jestem pewnie w szoku i dali mi jakieś pigułki uspokajające. Lekarze powiedzieli, że miałam szczęście, bo szpikulec nie uszkodził niczego ważnego. Po prostu prześliznął się między kośćmi. Faktycznie, gładko wszedł.

Znów usłyszałam głęboki oddech babci.

- A co z Kennym?

- Zwiął jak ten kundel. Powiedział, że jeszcze powróci i że to dopiero początek. - Głos jej się załamał. - Wyobrażasz sobie coś takiego?

- Myślę, że przez jakiś czas nie powinnaś nigdzie wychodzić.

- Też tak uważam. Jestem po prostu zmęczona. Napiłabym się teraz gorącej herbaty.

Matka wzięła słuchawkę z rąk babci.

- Do czego zmierza ten świat? - zapytała. - Napada się starszą kobietę w biały dzień na środku ulicy!

- Zostawię włączoną komórkę. Niech babcia siedzi w domu. W razie czego dzwońcie do mnie.

- A cóż jeszcze mogłoby się stać? Czy nie dość już się stało?

Rozłączyłam się i podłączyłam telefon do gniazda zapalniczki. Serce biło mi trzykrotnie szybciej niż zwykle, a rękę miałam mokre od potu.

Powtarzałam sobie, że muszę myśleć jasno, ale wciąż emocje brały we mnie górę. Wsiadłam z buicka i stanęłam na chodniku szukając wzrokiem Morellego. Pomachałam rękoma nad głową, wskazując wyraźnie, gdzie jestem.

W buicku zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się Morelli. Głos miał zniecierpliwiony lub może rozdrażniony, trudno powiedzieć

- Co jest? - zapytał.

Opowiedziałam mu, co przydarzyło się babci Mazurowej. Kiedy skończyłam, w słuchawce zapanowała długa chwila ciszy. Później usłyszałam stłumione przekleństwo i westchnienie pełne obrzydzenia. Na pewno trudno mu było przyjąć to wszystko do wiadomości. W końcu Mancuso należał do jego rodziny.

- Przykro mi - odezwał się w końcu. - Czy mogę coś dla was zrobić?

- Pomóż mi złapać Mancusa.

- Złapiemy go.

Oboje nie byliśmy tylko pewni, czy uda nam się go złapać na tyle wcześnie, by ubiec jego zamiary.

- Czy mogłabyś działać nadal zgodnie z planem? - zapytał Morelli.

- Do szóstej. Potem idę na kolację do rodziców. Chcę się zobaczyć z babcią Mazurową.

Do pierwszej był spokój. O pierwszej rozpoczęło się popołudniowe wystawianie zwłok. Spojrzałam przez lornetkę w okna od frontu i mignął

mi Spiro w garniturze i krawacie. Na pewno miał w firmie komplet ubrań.

Na parking raz po raz wjeżdżał jakiś samochód. Dopiero teraz zrozumiałam, jak łatwo Kenny mógł wmieszać się w tłum. Wystarczyło, żeby przykleił sobie brodę, wąsy, założył kapelusz lub perukę i nikt nawet nie zwróciłby uwagi na jeszcze jednego gościa wchodzącego przez frontowe, boczne lub tylne drzwi.

O drugiej przeszłam przez ulicę.

Spiro omal nie zachłysnął się powietrzem, kiedy mnie ujrzał i instynktownie przyciągnął okaleczoną rękę do ciała. Wykonywał

nienaturalne, gwałtowne ruchy. Miał pochmurną twarz i odniosłam wrażenie, że jest jakiś rozkojarzony. Zachowywał się jak szczur w labiryncie. Pokonywał przeszkody, biegł mrocznymi korytarzami i gorączkowo szukał wyjścia.

Przy stoliku do herbaty stał samotny mężczyzna. Miał około czterdziestki. Średniego wzrostu i wagi, dość dobrze zbudowany, miał na sobie sportową kurtkę i luźne spodnie. Gdzieś go już widziałam. Po dłuższej chwili przypomniałam sobie: był na stacji benzynowej, kiedy wynoszono ciało Moogeya. Wówczas przyjełam, że pracuje w wydziale zabójstw, ale równie dobrze mógł pracować w obyczajówce albo nawet w FBI.

Podeszłam do stolika i przedstawiłam się.

Wyciągnął rękę.

- Andy Roche.

- Pracuje pan z Morellim?

Na ułamek sekundy zamarł, po czym odparował cios:

- Czasami.

Zaryzykowałam bezpośrednie pchnięcie:

- FBI?

- Nie, Departament Skarbu.

- Pan tu zostaje?

- Jak długo będę mógł. Przywieźliśmy dzisiaj fałszywego nieboszczyka. Ja robię za jego zrozpaczonego braciszka.

- Bardzo sprytne.

- Czy ten Spiro zawsze tak się miota?

- Wczoraj miał kiepski dzień, a i w nocy sobie nie pospał.

Rozdział 12

No więc tak, Morelli nie wspomniał mi ani słowem o Andym Roche'u. I nic dziwnego. Nigdy nie dawał sobie zaglądać w karty. Taki już ma styl. Nikomu nie pokazuje, jakie asy trzyma w rękawie. Ani szefowi, ani partnerom, ani tym bardziej mnie. Nie powinnam się obrażać. W

końcu chodzi oto, żeby złapać Kenny'ego. Było mi już wszystko jedno, w jaki sposób to się stanie.

Zostawiłam Roche'a i zamieniłam kilka słów ze Spirem. Owszem, nadal chciał, żebym go eskortowała. Nie miał jednak żadnych wiadomości od Kenny'ego.

Skorzystałam tylko z łazienki i wróciłam do buicka. O piątej złożyłam wszystko i pojechałam do swojego mieszkania. Wciąż miałam przed oczyma obraz babci Mazurowej okaleczonej szpikulcem do lodu.

Wrzuciłam do koszyka kilka rzeczy do prania, zestaw do makijażu, żel do włosów i suszarkę, po czym wyniosłam kosz do samochodu. Wróciłam po terrarium z Rexem, włączyłam sekretarkę i zostawiłam światło w kuchni.

W końcu wyszłam i zamknęłam drzwi na klucz. Babcię Mazurową mogłam skutecznie chronić tylko w jeden sposób: musiałam z powrotem przeprowadzić się do rodziców.

- Co to jest? - zapytała matka ujrzawszy terrarium z chomikiem.
- Wprowadzam się do was na kilka dni.
- Powinnaś rzucić tę pracę. Bogu dzięki! Zawsze mówiłam, że stać cię na jakieś lepsze zajęcie.
- Nie rzuciłam pracy. Potrzebuję tylko odmiany.
- W twoim pokoju stoi maszyna do szycia i deska do prasowania.

Mówiłaś, że już nigdy nie wrócisz do domu.

Obiema rękami obejmowałam terrarium Rexa.

- Myliłam się. Tu jest mój dom.
- Frank! - krzyknęła matka. - Chodź, pomóż Stephanie. Znow się do nas wprowadza.

Przecisnęłam się obok niej i zaczęłam wchodzić po schodach na górę.

- Ale tylko na kilka dni. To tymczasowy układ.
- Córka Stelli Lombardi też tak mówiła i od trzech lat mieszkają razem.

Czułam, że gdzieś w środku wzbiera we mnie krzyk.

- Gdybyś wcześniej dała znać, to bym posprzątała - powiedziała matka. - Położyłabym też nową narzutę.

Otworzyłam drzwi kolanem.

- Nie chcę nowej narzuty. Tej nic nie brakuje. - Manewrowałam między gratami w małym pokoiku. Postawiłam Rexa na chwilę na łóżku i zaczęłam sprzątać blat komody.

- Jak się czuje babcia?

- Właśnie drzemie.

- Już nie, już nie! - krzyknęła babcia ze swego pokoju. - Hałas tu taki, że i umarłego z grobu by poderwało. Co się dzieje?

- Stephanie wraca do domu.

- Po co jej to? Przecież tu jest nudno jak cholera. - Babcia zajrzała do mojego pokoju. - Nie jesteś w ciąży, prawda?

Babcia Mazurowa co tydzień nakręcała sobie włosy na wałki.

Między kolejnymi zabiegami musiała ani chybi spać z głową zwisającą na brzegu łóżka, bo chociaż z każdym dniem loki traciły nieco na świeżości, nigdy jednak nie były całkowicie rozwichrzone. Dziś wyglądały, jakby spryskała je żelem i stanęła w tunelu aerodynamicznym. Sukienka jej się pogmiotła od leżenia na łóżku, na nogach miała kapcie z różowego weluru, a lewa ręka całkiem ginęła w bandażu.

- Jak ręka? - zagadnęłam.

- Zaczyna pobolewać. Muszę chyba zażyć więcej tych pigułek.

Mimo obecności maszyny do szycia i deski do prasowania mój pokój w zasadzie nie zmienił się w ciągu tych dziesięciu lat. Był mały i miał tylko jedno okno. Białe zasłony były od tyłu podgumowane. W pierwszym tygodniu maja zawsze wymieniało się je na normalne zasłony z materiału.

Ściany pomalowane były na brudnoróżowy kolor, a górą biegł biały pasek.

Na podwójnym łóżku leżała pikowana narzuta w różowe kwiatki.

Zarówno kolor, jak i wzorek, nieco już wyblakły, nadgryzione zębem czasu i kolejnymi praniem. W kącie stała mała szafa z ubraniami na daną porę roku, komoda z klonowego drewna i stolik nocny z tego samego materiału, a na nim lampka z kloszem z mlecznego szkła. Na ścianie wciąż wisiało moje maturalne zdjęcie i fotografia w paradnym mundurze szkolnej orkiestry. Nigdy nie opanowałam do perfekcji sztuki podrzucania batuty, za to doskonale szło mi tupanie butami po boisku futbolowym. Kiedyś, podczas występu w przerwie meczu, straciłam panowanie nad batutą i rzuciłam nią w sekcję instrumentów dętych. Aż się wzdrygam na samo wspomnienie.

Wniosłam na górę kosz z praniem i ustawiłam go w kącie. W domu pachniało smacznym jedzeniem i słychać było brzęk stołowej zastawy.

Ojciec jak zwykle przerzucał kanały w telewizorze i zwiększał natężenie dźwięku, konkurując z odgłosami z kuchni.

- Ścisz to! - krzyknęła do niego matka. - Ogłuchniemy tu wszyscy przez ciebie.

Ojciec siedział ze wzrokiem wbitym w ekran udając, że niczego nie słyszy.

Kiedy usiadłam do obiadu, bolały mnie już wszystkie plomby i czułam drganie lewej powieki.

- Czyż to nie cudowne? - cieszyła się matka. - Wszyscy razem siadamy do stołu. Szkoda, że nie ma z nami Valerie.

Moja siostra Valerie wyszła za mąż przed stu laty i miała dwójkę dzieci. Valerie była po prostu normalną córką.

Babcia Mazurowa siedziała naprzeciwko mnie i sprawiała dość niesamowite wrażenie z tymi rozwichrzonymi włosami i jakaś taka odległa myślami. Jak to określał ojciec, „światło się świeciło, ale nikogo nie było w domu”.

- Ile kodeiny babcia zażyła? - zapytałam matkę.

- O ile wiem, tylko jedną pigułkę - odparła.

Poczułam mocne drgnienie powieki i przyłożyłam sobie palec do oka.

- Wygląda... jakby się wyłączyła.

Ojciec przestał smarować chleb i podniósł głowę. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po namyśle powrócił do smarowania.

- Mamo - odezwała się matka. - Ile mama wzięła tabletek?

Babcia odwróciła głowę w jej stronę.

- Jakich tabletek?

- To straszne, że nawet starsza kobieta nie może czuć się bezpiecznie na ulicy - narzekała matka. - Można by pomyśleć, że mieszkamy w Waszyngtonie czy w innym siedlisku zła. Jeszcze trochę i zaczną strzelać do przechodniów z samochodów. Dawniej nie zdarzały się takie rzeczy w Miasteczku.

Nie chciałam jej psuć wspomnień, ale dawniej w Miasteczku rządziła mafia i na co trzecim podjeździe stały mafijne samochody.

Wyciągano z domów mężczyzn w piżamach i wieziono ich do Meadowlands lub na wysypisko śmieci w Camden, gdzie wykonywano bezceremonialnie wyroki. Rodzinom i sąsiadom nic zazwyczaj nie groziło, ale zawsze istniało pewne ryzyko, że jakaś zabłąkana kula trafi nie tego, do kogo została wymierzona.

Miasteczkiem od dawna trzęśli faceci z rodzin Mancusów i Morellich. Kenny był wyjątkowo szalony i zuchwały, ale nie był chyba pierwszym Mancusem, który okaleczył kobietę. Żaden z nich, o ile wiem jednak, nie zaatakował dotąd staruszki szpikulcem do lodu, mimo że słynęli z gwałtownego temperamentu podsycanego alkoholem i ze zdolności do sprowadzania kobiet na złą drogę.

Znałam to wszystko z własnego doświadczenia. Kiedy czternaście lat temu Morelli nakłonił mnie do ściągnięcia majtek, nie użył wobec mnie siły, ale też i nie był specjalnie miły.

O siódmej babcia spała już niczym suseł i pochrapywała przez sen jak pijany drwal.

Włożyłam kurtkę i wzięłam torebkę.

- Dokąd idziesz? - zaciekawiała się matka.

- Do Stivy. Wynajął mnie, żebym mu pomagała zamykać firmę.

- No tak, to już lepsza praca - uznała matka. - Robiłaś już znacznie gorsze rzeczy.

Zamknęłam drzwi za sobą i wzięłam głęboki oczyszczający oddech.

Powietrze chłodziło moją twarz. Pod ciemnym nocnym niebem pulsująca powieka przestała drgać. Po drugiej stronie ulicy na werandzie siedział

zamyślony pies Poochie i czekał, aż zachce mu się siusiu.

Pojechałam do domu pogrzebowego Stivy i ustawiłam buicka na parkingu. Wewnątrz Andy Roche już znów zajął miejsce przy stoliku do herbaty.

- Jak leci? - zapytałam.

- Jakaś starsza pani powiedziała mi właśnie, że wyglądam jak Harrisom Ford.

Poczęstowałam się ciasteczkiem z talerza.

- Czy nie powinieneś czuwać przy swoim bracie?

- Nie byliśmy sobie znowu tak bliscy.

- A gdzie Morelli?

Roche ostrożnie rozejrzał się po holu.

- Na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi.

Wróciłam do samochodu i ledwo zdążyłam usiąść, zadzwonił telefon.

- Jak się czuje babcia Mazurowa? - pytał Morelli.

- Właśnie śpi.

- Mam nadzieję, że ta przeprowadzka do rodziców to tymczasowa sprawa. Miałem pewne plany związane z tymi fioletowymi bucikami.

Zaskoczył mnie. Myślałam, że będzie obserwował Spira, a tymczasem jeździł za mną. A ja go nie zauważyłam. Zacisnęłam usta. Taki ze mnie łowca nagród jak z koziej dupy trąbka.

- Nie miałam innego wyjścia. Niepokoję się o moją babcię.

- Masz cudowną rodzinę, ale zobaczysz, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin doprowadzą cię do takiego rozstroju, że nie będziesz mogła ruszyć się bez relanium.

- Plumowie nie zażywają relanium. W takich sytuacjach mamy zwyczaj obżerać się sernikiem.

- Można i tak - zakończył Morelli i odłożył słuchawkę.

Za dziesięć dziesiąta wjechałam na podjazd prowadzący do zakładu.

Zostawiłam trochę miejsca, by Spiro mógł się precyzyjnie. Zamknęłam buicka i weszłam do budynku bocznymi drzwiami.

Spiro wyglądał na zdenerwowanego. Żegnał się z ostatnimi gośćmi.

Nigdzie nie było widać Louiego Moona. Zniknął też Andy. Weszłam do kuchni i przypięłam do pasa kaburę. Włożyłam piąty nabój do rewolweru i wsunęłam go do kabury. Na pasku zawiesiłam też spray z pieprzem i latarkę. Uważałam, że płacąc sto dolarów za wieczór, Spiro zasługuje na pełną ochronę. Gdybym musiała użyć broni, dostałabym niechybnie palpacji serca, ale to już była wyłącznie moja słodka tajemnica.

Miałam na sobie kurtkę zakrywającą biodra, a przy okazji całe moje łowieckie wyposażenie. Z punktu widzenia prawa oznaczało to, że miałam przy sobie ukrytą broń, a to już podpadało pod któryś tam paragraf.

Mogłam też nosić rewolwer na widoku, ale od razu całe Miasteczko zaczęłoby huczeć od plotek, że dziewczyna od Plumów chodzi uzbrojona po domu pogrzebowym Stivy. Wobec takiej alternatywy groźba aresztowania wydawała się igraszką.

Kiedy z werandy zniknęli ostatni goście, zaczęłam wraz ze Spirem obchodzić cały budynek

sprawdzając, czy pozamykane są wszystkie okna i drzwi. Tylko w dwóch salach leżeli zmarli. Jednym z nich był rzekomy brat Andy'ego.

W zakładzie panowała dziwna cisza. Denerwowała mnie bliskość śmierci, a sytuację pogarszała jeszcze obecność Spira. Spiro Stiva, demoniczny grabarz. Trzymałam rękę na rękojeści broni i zastanawiałam się, czy nie warto by jej było naładować srebrnymi kulami.

Sprawdziliśmy kuchnię i wyszliśmy do ciemnego holu. Spiro otworzył drzwi do piwnicy.

- Zaraz - powiedziałam. - Dokąd się wybierasz?

- Musimy sprawdzić drzwi w piwnicy.

- Jak to musimy? Obydwoje?

- A tak, ja i mój pieprzony goryl.

- Mam inne zdanie na ten temat.

- A chcesz dostać wypłatę?

No, nieźle.

- Czy tam na dole są jakieś trupy?

- Niestety, właśnie nam się skończyły.

- No to co tam jest?

- Krematorium, na litość boską!

Wyjęłam rewolwer z kabury.

- Będę szła tuż za tobą.

Spiro spojrzał na pięciopalcowy Smith & Wessona.

- O Chryste! I ty chcesz mnie obronić taką zabawką!

- Inaczej byś zaśpiewał, gdybym ci strzeliła w stopę z tej zabawki.

Popatrzył mi w oczy.

- Słyszałem, że zabiłaś z niego człowieka.

Nie miałam najmniejszej ochoty rozmawiać o tym ze Spirem.

- No to co, schodzimy na dół czy nie?

Piwnica była w zasadzie jednym wielkim pomieszczeniem i nie wyróżniała się niczym szczególnym. Chyba żeby wziąć pod uwagę stojące w rogu trumny.

Drzwi prowadzące na zewnątrz znajdowały się po prawej, przy schodach. Sprawdziłam, czy są zamknięte na zasuwę.

- Tu nikogo nie ma - powiedziałam do Spira chowając broń do kabury. Sama dobrze nie wiedziałam, do kogo należałoby strzelać. Czy do Kenny'ego? A może do Spira, lub też może do duchów?

Wróciliśmy na parter. Czekałam w holu, aż Spiro wyjdzie z gabinetu. W końcu pojawił się w drzwiach w płaszczu i ze sportową torbą w ręku.

Ruszyłam za nim do tylnych drzwi i otworzyłam je przed nim.

Odczekałam, aż włączy alarm i zgasi światło. Światła wewnątrz przygasły, te na zewnątrz świeciły się nadal.

Spiro zamknął drzwi i wyciągnął z kieszeni kluczyki od samochodu.

- Pojedziemy moim wozem. Będziesz mnie osłaniać.

- A może lepiej, aby każde z nas pojechało swoim samochodem?

- Nie ma mowy. Płacę stówę za wieczór i wymagam, żeby ochroniarz siedział obok mnie. Możesz potem pojechać moim wozem do domu i przyjechać po mnie rano!

- Tego nie było w umowie.

- I tak czekałaś rano na parkingu. Widziałem cię. Czekalaś, aż Kenny wykona jakiś ruch, żebyś mogła go wpakować do pierdla. Skoro i tak będziesz pod moim domem, to możesz mnie przy okazji odwiedzić do pracy.

Spiro zaparkował lincolna tuż przy drzwiach. Wyłączył alarm pilotem. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, zapalił papierosa.

Siedzieliśmy w plamie światła na podjeździe. Kiepskie miejsce na relaks, zwłaszcza jeśli Morelli nie miał go na oku.

- Ruszaj - powiedziałam do Spira. - Tutaj stanowimy dla Kenny'ego łatwy cel.

Uruchomił silnik, ale samochód nie ruszył z miejsca.

- Co byś zrobiła, gdyby nagle pokazał się Kenny i przystawił do szyby pistolet?

- Nie wiem. Nie sposób przewidzieć, jak się człowiek zachowa w takiej sytuacji.

Spiro zamyślił się. Po chwili, zaciągnąwszy się dymem z papierosa, wrzucił bieg.

Na skrzyżowaniu alei Hamiltona i ulicy Grossa zatrzymaliśmy się na światłach. Spiro nie poruszył głową, ale skierował wzrok na stację Delia. Widać było tylko podświetlone dystrybutory i kantorek. Na parkingu przed warsztatem było pusto i ciemno. Tylko przy pierwszym stanowisku stało kilka samochodów i ciężarówka. Prawdopodobnie nie zdążono ich naprawić przed weekendem i teraz czekały na swoją kolej w poniedziałek.

Spiro patrzył na ten widok w milczeniu i bez emocji. Nie potrafiłam rozszyfrować jego myśli.

Zmieniło się światło i przejechaliśmy przez skrzyżowanie. Nie ujechaliśmy nawet stu metrów, kiedy coś mnie nagle oświeciło.

- O mój Boże! - krzyknęłam. - Zawracaj na stację benzynową.

Spiro zahamował i zjechał na bok.

- Chyba nie chcesz mi wmówić, że widziałas Kenny'ego?

- Nie. Ale widziałam ciężarówkę! Dużą białą ciężarówkę z czarnym napisem z boku!

- Wymyśl jakiś lepszy bajer.

- Kobieta, która kieruje magazynem, mówiła mi, że widziała, jak biała ciężarówka z czarnym napisem kilkakrotnie podjeżdżała w pobliże twojego schowka. Wówczas wydawało mi się to niezbyt istotną informacją.

Spiro odczekał na przerwą w strumieniu samochodów i zawrócił.

Zaparkował na skraju zwirowego podjazdu, tuż za czekającymi na naprawę autami. Prawdopodobieństwo, że Sandeman siedzi na stacji, było niewielkie, ale mimo wszystko popatrzyłam w stronę kantorka, aby się upewnić. Nie paliłam się do spotkania z tym łobuzem i wolałabym go uniknąć.

Wysiedliśmy z samochodu i przyjrzelśmy się ciężarówce. Należała do sklepu meblowego „Macko”. Znałam ten sklep. Mała rodzinna firma, którą właściciele uparcie trzymali w śródmieściu, podczas gdy inni przeprowadzali się do wielkich centrów handlowych przy autostradzie.

- Mówi ci coś ta nazwa? - zapytałam.

Spiro pokręcił głową.

- Nie. Nie znam nikogo ze sklepu meblowego „Macko”.

- Trumny by się w niej zmieściły.

- W Trenton jest pewnie z pięćdziesiąt ciężarówek, które pasują do tego opisu.

- Tak, ale tylko ta stoi w warsztacie, w którym pracował Moogey. A Moogey wiedział o trumnach.

Przecież pojechał do Braddock i przywiózł

je stamtąd dla ciebie.

Głupia cizia sprzedaje informacje obrzydliwemu facetowi. No dalej, obrzydliwsze, myślałam, odkryj się trochę. Powiedz mi teraz coś w zamian.

- A więc myślisz, że Moogey był związany z kimś ze sklepu „Macko” i razem postanowili ukraść te trumny? - myślał Spiro na głos.

- Możliwe. Moogey mógł przecież pożyczyć sobie taką ciężarówkę, kiedy oddano ją do naprawy.

- Po co Moogeyowi dwadzieścia cztery trumny?

- Ty mi to raczej wyjaśnij.

- Mimo hydraulicznego podnośnika do przeniesienia tych trumien potrzeba co najmniej dwóch ludzi.

- To akurat żaden problem. Szukasz jakiegoś osiłka, płacisz mu i już masz trumny w ciężarówce.

Spiro wsadził ręce do kieszeni.

- No, nie wiem - powiedział. - Trudno mi po prostu uwierzyć, żeby Moogey mógł coś takiego zrobić. On miał dwie niezmiennie cechy: był

lojalny i tępny. To był naprawdę tępny baran. Pozwalaliśmy mu z Kennym łązić za nami, bo czasami można się było z niego ponabijać. Robił

wszystko, co mu kazaliśmy. Można mu było na przykład powiedzieć:

„Moogey, może wsadziłbyś sobie kutasa w kosiarkę do trawy?” A on zapytałby tylko, czy ma wsadzić miękki czy sztywnego.

- Może nie był aż tak tępny, za jakiego uchodził.

Spiro milczał przez chwilę, po czym odwrócił się na pięcie i wrócił

do lincolna. Przez resztę drogi nie odzywaliśmy się do siebie. Kiedy dotarliśmy na parking przed blokiem mieszkalnym Spira, nie mogłam się oprzeć, żeby nie zadać mu jeszcze jednego pytania dotyczącego trumien.

- Trochę zabawna ta cała historia z tobą, Kennym i Moogeyem.

Kenny myśli, że to właśnie ty masz coś, co należy do niego, a teraz wydaje nam się, że być może Moogey miał to coś, co należy do ciebie.

Spiro wjechał w wolne miejsce, zaciągnął hamulec i obrócił się w moją stronę. Lewą rękę położył

na kierownicy. Rozchyliła mu się nieco kurtka i zauważyłam rękojeść pistoletu w kaburze na szelkach.

- Do czego zmierzasz? - zapytał.

- Do niczego. Po prostu myślę na głos. Myślę, że ty i Kenny macie ze sobą wiele wspólnego.

Patrzyliśmy sobie w oczy, a mnie ciarki przechodziły po plecach i czułam, że aż mi się coś przewraca w żołądku. Morelli miał rację co do Spira. Sprzedałby własną matkę i na pewno nie zawahałby się przed wpakowaniem kulki w mój głupi pusty łeb. Liczyłam tylko na to, że nie posunęłam się za daleko.

- Może powinnaś dać sobie spokój z głośnym myśleniem. A może lepiej w ogóle przestań myśleć - dodał złowieszczo.

- Jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać, zażądam wyższej stawki,.

- Jezu - jęknął Spiro. - Przecież i tak cię już przepłacam. Za te sto dolarów za wieczór powinnaś mi jeszcze obciągnąć.

Podlec. Zobaczymy, kto ci będzie obciążał za kratkami, pomyślałam z odrazą i tylko dzięki tej myśli trzymałam się jakoś. Sprawdziłam mieszkanie Spira: powłączałam światła, zajrzałam do szaf, policzyłam śmieci pod łóżkiem i omal nie zwymiotowałam na widok nie splukanych mydlin w kabynie prysznic.

Uznałam, że wszystko jest w porządku i wróciłam lincolnem do domu pogrzebowego, gdzie zamieniłam go na buicka.

W odległości pół przecznicy od domu rodziców spostrzegłam we wstecznym lusterku Morellego. Czekał pod domem Sullensenów, aż zaparkuję buicka. Kiedy wysiadłam z samochodu, podjechał i zatrzymał

się za mną. No cóż, ostrożności nigdy nie za wiele.

- Co robiliście na stacji Delia? - zapytał. - Domyśliłem się, że pewnie podpytujesz Spira o tę ciężarówkę.

- I dobrze się domyśliłeś.

- No i co, dowiedziałaś się czegoś?

- Powiedział, że nie zna nikogo ze sklepu „Macko”. Odrzucił też możliwość kradzieży trumien przez Moogeja. W tej trójce Moogey najwyraźniej pełnił rolę błazna. Nie mam nawet pewności, czy brał udział

w skoku na bazę w Braddock.

- To właśnie Moogey przywiózł trumny do New Jersey.

Oparłam się z wrażenia o buicka.

- A może Kenny i Spiro nie uwzględnili Moogeya w swym głównym planie, a on się o tym dowiedział i postanowił się wkręcić do spółki?

- I uważasz, że to on wypożyczył ciężarówkę do transportu mebli, aby przewieźć trumny?

- To jedna z teorii. - Odepchnęłam się od buicka i zarzuciłam torbę na ramię. - Jutro o ósmej zabieram Spira do pracy.

- Spotkamy się u niego na parkingu.

Weszłam do ciemnego przedpokoju i zatrzymałam się na chwilę. W

domu najlepiej zawsze było wtedy, kiedy wszyscy już spali. Pod koniec dnia panowała atmosfera satysfakcji. Może dzisiejszy dzień nie był akurat najszczęśliwszy, ale dobrze się zakończył, a dom i rodzina trwały nadal.

Powiesiłam kurtkę w szafie i na palcach weszłam do kuchni. W

mojej własnej kuchni szukanie jedzenia nie zawsze przynosiło rezultaty.

W kuchni matki zawsze coś się znalazło. Usłyszałam skrzypnięcie schodów i po odgłosie kroków poznałam, że to matka.

- Jak ci poszło u Stivy? - zapytała.

- Dobrze. Pomogłam mu zamknąć zakład i odwiozłam go do domu.

- Trudno mu pewnie prowadzić z tym zranionym nadgarstkiem.

Słyszałam, że założyli mu dwadzieścia trzy szwy.

Wyjęłam z lodówki szynkę i ser.

- Daj, zrobię ci kanapkę - powiedziała matka, a wzięwszy ode mnie szynkę i ser sięgnęła po bochenek żytniego chleba.

- Dam sobie radę - powiedziałam.

Matka wyjęła z szuflady swój ulubiony nóż.

- Nigdy nie potrafisz cienko pokroić szynki.

Zrobiła dla nas obu po kanapce, nalała po szklance mleka i usiadłyśmy przy stole.

- Mogłaś go zaprosić na kanapkę - powiedziała matka.

- Kogo, Spira?

- Joego Morellego.

Matka zawsze potrafiła mnie czymś zaskoczyć.

- Dawniej pogoniłabyś go z domu tym nożem.

- Zmienił się.

Wgryzłam się w kanapkę.

- On mi też to mówi.

- Słyszałam, że niezły z niego policjant.

- Dobry policjant to jeszcze niekoniecznie dobry człowiek.

Obudziłam się i zdeorientowana wpatrywałam się w sufit, który codziennie widywałam nad głową wiele lat temu. Do rzeczywistości przywrócił mnie głos babci Mazurowej.

- Jeśli zaraz nie wejdę do łazienki, trzeba będzie sprzątać w korytarzu. Czuję, jak przechodzi przeze mnie wczorajsza kolacja.

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi. Ojciec wymamrotał coś niezrozumiale. Powieka natychmiast zaczęła mi pulsować i musiałam ją zacisnąć. Prawym okiem zerknęłam na budzik przy łóżku. Wpół do ósmej.

Cholera. Chciałam trochę wcześniej podjechać po Spira. Wskoczyłam z łóżka i przerzuciłam koszyk w poszukiwaniu czystych spodni i koszuli.

Przeczesałam szczotką włosy, złapałam torebkę i wypadłam na korytarz.

- Babciu! - krzyknęłam przez drzwi. - Długo tam jeszcze będziesz?

- A czy w lasach rosną drzewa? - odkrzyknęła.

No dobrze, mogłam się jeszcze obyć te pół godziny bez łazienki. W

końcu wstaję zazwyczaj o dziewiątej, mam więc jeszcze półtorej godziny zapasu.

Matka przydybała mnie z kurtką w ręku.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała. - Nie jadłaś przecież śniadania.

- Obiecałam Spirowi, że go podrzucę do pracy.

- Spiro może poczekać. Zmarli nie będą mieli nic przeciwko temu, jeśli spóźni się piętnaście minut. Chodź, zjesz śniadanie.

- Nie mam czasu.

- Zrobiłam smaczną owsiankę. Już stoi na stole. Nalałam ci też soku. - Popatrzyła na moje buty. - A to co znowu za buciory?

- Martensy.

- Twój ojciec chodził w czymś takim w wojsku.

- To wspaniałe buty - powiedziałam. - Uwielbiam je. Wszyscy teraz takie noszą.

- Panny na wydaniu nie powinny chodzić w takich butach. Takie buty noszą tylko te kobiety, które interesują się innymi kobietami. Ale tobie nie chodzą po głowie takie paskudztwa, prawda?

Przyłożyłam rękę do lewego oka.

- Co ci się stało w oko? - dopytywała się matka.

- Pulsuje mi powieka.

- Stałaś się zbyt nerwowa. To przez tę pracę. Popatrz tylko, w jakim pośpiechu wybiegasz z domu. A co tu masz przy pasku?

- Spray z pieprzem.

- Twoja siostra Valerie nie nosi na pasku takich rzeczy.

Spojrzałam na zegarek. Gdybym błyskawicznie pochłonęła śniadanie, może bym zdążyła na ósmą do Spira.

Przy stole siedział już pochłonięty gazetą ojciec i popijał kawę.

- Jak się jeździ buickiem? - zapytał. - Sprawdzasz go w ekstremalnych warunkach?

- Buick jest bez zarzutu. Jeździ jak trzeba.

Wychyliłam sok i spróbowałam owsianki. Czegoś jej brakowało.

Może czekolady. A może lodów. Dodałam trzy łyżeczki cukru i trochę mleka.

Babcia Mazurowa usiadła do stołu.

- Ręka mnie już nie boli - oznajmiła. - Za to głowa mi pęka.

- Powinnaś zostać w domu - przekonywałam ją. - Musisz odpocząć.

- Odpocznę sobie u Clary. Wyglądam jak straszycło. Zupełnie nie wiem, co się stało z moim włosami.

- Jeśli nie wyjdiesz z domu, nikt cię taką nie zobaczy - nie dawałam za wygraną.

- A jeśli ktoś do nas przyjdzie? Na przykład ten miły chłopak od Morellich? Myślisz, że chciałabym, żeby mnie zobaczył w tym stanie? A poza tym mam jeszcze bandaż na ręce i wszyscy o mnie mówią. Nie co dzień napadają kogoś przed piekarnią.

- Muszę najpierw załatwić kilka spraw, ale potem wrócę i zawiozę cię do Clary - obiecałam babci. - Tylko proszę, nie wychodź beze mnie!

Połknęłam resztę owsianki i wychyliłam pół filiżanki kawy.

Złapałam kurtkę i torebkę i wybiegłam do przedpokoju. Miałam już rękę na klamce, kiedy zadzwonił telefon.

- To do ciebie - powiedziała matka. - Dzwoni Vinnie.

- Nie chcę z nim rozmawiać. Powiedz mu, że już wyszłam.

Kiedy wjechałam w aleję Hamiltona, zabrzączał telefon komórkowy.

- Powinnaś była porozmawiać ze mną z domu - powiedział Vinnie. -

Byłoby taniej.

- Słabo cię słyszę... To chyba jakieś zakłócenia.

- Przestań mi wciskać kit o zakłóceniach.

Zaczęłam pikać i trzeszczeć do słuchawki.

- Na to też się nie dam nabrać. Masz mi się tutaj zjawić dziś przed południem.

Przed domem Spira nie zauważyłam Morellego, ale przyjęłam jako pewnik, że czuwa gdzieś w pobliżu. Na parkingu stały dwie furgonetki i ciężarówka. Morelli mógł się schować w którejś z nich.

Zabrałam Spira i ruszyłam w kierunku domu pogrzebowego. Kiedy zatrzymałam się przed światłami na skrzyżowaniu alei Hamiltona z ulicą Grossa, oboje spojrzeliśmy na stację Delia.

- Może powinniśmy tam wpaść i popytać - zasugerował Spiro.

- O co?

- O tę ciężarówkę do przewozu mebli. Tak na wszelki wypadek.

Byłoby nawet zabawnie, gdyby okazało się, że to Moogey ukradł trumny.

Miałam dwie możliwości. Mogłam go podręczyć i powiedzieć, że to nie ma sensu i lepiej zająć się własnymi sprawami, po czym po prostu minąć stację. Mogłam też spełnić życzenie Spira i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Dręczenie Spira miało swój nieodparty urok, ale zawierzyłam instynktowi, który kazał mi posłuchać go i skręcić na stację.

Warsztat był otwarty, co najprawdopodobniej oznaczało, że Sandeman przyszedł już do pracy. No i cóż z tego. W porównaniu z Kennym Sandeman był miłym chłoptasiem. W kantorku dyżurował

Cubby Delio. Weszliśmy tam obydwój.

Cubby wyprostował się na widok Spira. Wprawdzie młody Stiva był

po prostu sukinsynem, ale mimo wszystko reprezentował „Dom Pogrzebowy Stivy”, który przynosił stacji sporo wpływów. Wszystkie karawany Stivy naprawiano i tankowano u Delia.

- Słyszałem o twojej ręce - powiedział Cubby do Spira. - Co za idiotyczna historia. O ile wiem, przyjaźniłeś się z Kennym. Zdaje się, że Kenny'emu po prostu odbiło. Wszyscy tak mówią.

Spiro machnął ręką dając mu do zrozumienia, że cały ten incydent w ogóle go już nie obchodzi. Obrócił się na pięcie i wyjrzał przez okno w stronę ciężarówki stojącej przed warsztatem.

- Chciałem cię zapytać o tę ciężarówkę z firmy „Macko”. Czy firma jest waszym stałym klientem? Ten wóz przyjeżdża tu regularnie do przeglądu?

- Tak. „Macko” to nasz stały klient, tak jak ty. Mają dwie ciężarówki i obydwie obsługujemy.

- Kto je zwykle przywozi? Ten sam człowiek?

- Zazwyczaj robi to Bucky albo Biggy. Jeżdżą u „Macka” od lat. A o co chodzi? Chcesz może przewieźć jakieś meble?

- Zastanawiam się nad tym - odparł Spiro.

- To dobra firma. Rodzinna. Te ciężarówki są doskonale utrzymane.

Spiro wepchnął okaleczoną rękę pod kurtkę. Mały człowieczek wciąż starał się naśladować Napoleona.

- Widzę, że nie znalazłeś nikogo na miejsce Moogeya.

- Miałem już takiego jednego na oku, ale nie wyszło. Moogeya trudno zastąpić. Mogłem go tu zostawić samego i w ogóle się nie pokazywać. Mogłem sobie spokojnie brać co tydzień dzień wolnego.

Nawet kiedy postrzelili go w kolano, wciąż przychodził do pracy i zawsze można było na nim polegać.

Zdawało mi się, że i ja i Spiro pomyśleliśmy o tym samym. W jeden z takich „samodzielnych dni” Moogey mógł sobie pożyczyć ciężarówkę.

Oczywiście ktoś inny musiałby go wtedy zastąpić i pilnować stacji. Albo też ten ktoś mógł pojechać ową ciężarówką.

- Trudno o dobrego pomocnika - stwierdził Spiro. - Wiem coś o tym.

- Mam dobrego mechanika - powiedział Cubby. - Sandeman chodzi wprawdzie własnymi ścieżkami, ale to piekielnie dobry mechanik. Reszta personelu może się zmieniać. W końcu do zmiany koła czy wiania benzyny nie potrzeba mi fizyka jądrowego. Gdybym tylko znalazł kogoś do pracy w biurze, byłbym ustawiony.

Spiro wymienił jeszcze kilka uprzejmości i wyszedł z kantorka.

- Znasz kogoś z tych, co tu pracują? - zapytał mnie.

- Rozmawiałam z Sandemanem. Niezbyt przyjemny typ. Szprycuje się od czasu do czasu narkotykami.

- Dobrze go znasz?

- Nie należę do kręgu jego przyjaciół.

Spiro popatrzył na moje stopy.

- Może to przez te twoje martensy?

Otworzyłam drzwi buicka.

- Masz ochotę coś jeszcze skomentować? Może teraz kilka słów na temat samochodu?

Spiro obrócił się na siedzeniu.

- O cholera. Niezła bryka. Muszę przyznać, że jeśli chodzi o samochody, masz niezły gust.

Podwiozłam Spira pod dom pogrzebowy. Systemy alarmowe były nienaruszone. Pobieżnie obejrzelśmy dwóch klientów, którzy spędzili noc w budynku, i uznaliśmy, że obaj mają wszystko na swoim miejscu.

Umówiłam się ze Spirem, że przyjadę po niego wieczorem. Jeśliby czegoś potrzebował w ciągu dnia, to do mnie zadzwoni.

Żałowałam, że nie mogę go śledzić. Podejrzewałam, że teraz pójdzie tropem, który mu podrzuciłam i kto wie, co jeszcze uda mu się znaleźć.

Co więcej, gdyby Spiro zaczął się ruszać, mógłby za nim podążyć i Kenny.

Na nieszczęście mój błękitny olbrzym uniemożliwił mi jakiekolwiek śledztwo. Jeślibym chciała tropić Spira, musiałabym zmienić samochód.

Zaczęłam odczuwać w pęcherzu kawę, którą wypiałam na śniadanie, więc postanowiłam wrócić do rodziców, gdzie mogłam skorzystać z łazienki. Wezmę prysznic i przemyślę kwestię samochodu. Potem odwiozę babcię do Clary na remont fryzury.

Kiedy wróciłam do domu, łazienkę okupował ojciec, a matka kroїła w kuchni warzywa na zupę minestrone.

- Muszę skorzystać z łazienki - powiedziałam. - Nie wiesz, kiedy tata wyjdzie?

Matka przewróciła oczyma.

- Ja naprawdę nie wiem, co on tam robi. Zabiera gazetę i nie ma go całymi godzinami.

Podkrađłam kawałek marchewki i kawałek selera dla Rexa i wbiegłam na górę.

Zapukałam do łazienki.

- Długo jeszcze? - krzyknęłam.

Cisza.

Zapukałam głośniej.

- Wszystko w porządku, tato?

- Chryste - dobiegł mnie stłumiony głos ojca. - Nawet we własnym domu człowiek nie może się spokojnie załatwić...

Wróciłam do pokoju. Matka posłała łóżko i złożyła moje ubrania.

Wmawiałam sobie, że to miło, gdy ktoś wyręcza mnie w drobnych domowych pracach. Powinnam być wdzięczna i cieszyć się luksusem.

- Wspaniale jest, prawda? - powiedziałam do śpiącego Rexa. - Nie co dzień mamy okazję odwiedzić babcię i dziadka.

Podniosłam pokrywę, by rzucić chomikowi śniadanie, ale powieka zaczęła mi tak bardzo pulsować, że nie wcelowałam i marchewka wylądowała na podłodze.

Dochodziła dziesiąta, a ojciec wciąż siedział w łazience. Zaczęłam już tańczyć w korytarzu.

- Pospiesz się, babciu - powiedziałam. - Jeśli zaraz nie dobrnę do jakiejś łazienki, zleję się w majtki.

- U Clary jest ładna łazienka. Na półce stoi koszyczek z *potpourri*, a na zapasowej rolce papieru -

mała laleczka. Clara na pewno pozwoli ci skorzystać z ubikacji.

- Wiem, wiem. Ale pośpiesz się, babciu, dobrze?

Babcia włożyła swój płaszcz z niebieskiej wełny, a głowę owinęła szarym wełnianym szalikiem.

- Będzie ci gorąco w tym płaszczu - ostrzegłam ją. - Na dworze wcale nie jest tak zimno.

- Nie mam nic innego - odparła. - Wszystko się zeszmaciło. Może po wizycie u Clary wybrałybyśmy się na zakupy? Właśnie dostałam emeryturę.

- A jak ręka, już cię nie boli?

Podniosła rękę i popatrzyła na bandaż.

- Na razie wszystko jest w porządku. Ta dziura wcale nie była znów taka wielka. Prawdę mówiąc nie miałam pojęcia, jak głęboko mnie zranił, dopóki nie znalazłam się w szpitalu. To wszystko stało się tak szybko.

Babcia przerwała na chwilę, po czym ciągnęła głosem pełnym żalu:

- Zawsze wydawało mi się, że potrafię o siebie zadbać, ale teraz już nie jestem tego pewna. Nie poruszam się już tak jak kiedyś. Stałam jak idiotka i pozwoliłam, żeby ten ladaco wbił mi szpikulec w rękę.

- Na pewno zrobiłaś wszystko, co mogłaś, babciu. Kenny jest od ciebie silniejszy, no i on był uzbrojony, a ty nie.

Oczy zaszyły jej łzami.

- Przez niego poczułam się jak głupia niedołączna starucha.

Kiedy wyszłam z zakładu Clary, Morelli stał oparty o buicka.

- Czyj to był pomysł, żeby porozmawiać z Cubbym Delio?

- Spiro to wymyślił. Ale nie sądzę, żeby na tym poprzestał. Musi znaleźć tę broń, by uwolnić się od Kenny'ego.

- Dowiedziałaś się czegoś ciekawego?

Powtórzyłam mu całą rozmowę.

- Znam Bucky'ego i Biggy'ego - powiedział. - Nigdy by się w coś takiego nie wdali.

- Może wyciągnęliśmy niewłaściwe wnioski względem tej ciężarówki.

- Nie sądzę. Z samego rana zatrzymałem się przy stacji i zrobiłem kilka zdjęć. Roberta potwierdziła,

że to ta sama ciężarówka.

- Myślałam, że jeździsz za mną! A gdybym została napadnięta?

Gdyby Kenny rzucił się na mnie ze szpikulcem do lodu?

- Przez pewien czas za tobą jeździłem. Zresztą Kenny lubi sobie dłużej pospać.

- To żadna wymówka! Mogłeś mi przynajmniej powiedzieć, że jestem zdana tylko na siebie!

- Jakie masz plany na teraz? - zapytał Morelli.

- Babcia będzie gotowa za godzinę. Obiecałam zabrać ją na zakupy.

No i muszę znaleźć chwilę czasu, żeby wpaść do Vinniego.

- Chce ci odebrać tę sprawę?

- Nie wiem. Na wszelki wypadek wezmę ze sobą babcię. Już ona go przywoła do porządku.

- Myślałem o tym Sandemanie...

- Aha - odrzekłam. Ja też o nim myślałam. Z początku wydawało mi się, że to może on ukrywa Kenny'ego. Ale może jest całkiem inaczej. Kto wie, czy to nie on wykiwał Kenny'ego?

- Myślisz, że Moogey założył spółkę z Sandemanem?

Wzruszyłam ramionami.

- To by nawet miało sens. Ten, kto ukradł broń, musi mieć kontakty ze światkiem przestępczym.

- Mówiłaś, że u Sandemana nie widać jakichś oznak nagłego przyływu gotówki.

- Moim zdaniem Sandeman ma potąd forsy - poparłam słowa odpowiednim gestem.

Rozdział 13

Z ułożonymi włosami czuję się o wiele lepiej - powiedziała babcia Mazurowa sadowiac się w buicku. - Kazałam sobie nawet nałożyć farbę.

Widać różnicę?

Ze stalowoszarych włosy zrobiły się morelowe.

- To mi wygląda na truskawkowy blond - powiedziałam.

- Tak, to jest to. Truskawkowy blond. Zawsze chciałam mieć takie włosy.

Biuro Vinniego mieściło się tuż-tuż. Zaparkowałam na chodniku i pociągnęłam babcię za sobą.

- Nigdy tu jeszcze nie byłam - powiedziała. - A to dopiero przygoda.

- Vinnie rozmawia przez telefon - oznajmiła Connie. - Zaraz cię przyjmie.

Lula podeszła do nas i przyjrzała się babci.

- A więc to pani jest babcią Stephanie - rzekła. - Wiele o pani słyszałam.

Babci rozblęły oczy.

- Naprawdę? A co takiego słyszałaś?

- Choćby o tym, jak zaatakowano panią szpikulcem do lodu.

Babcia pokazała Luli zabandażowaną dłoń.

- To ta ręka. Przebita prawie na wylot.

Lula i Connie spojrzały na dłoń babci Mazurowej.

- Ale to jeszcze nie wszystko - perorowała babcia. - Przedwczoraj wieczorem Stephanie dostała przesyłkę pocztą kurierską, a w środku było męskie przyrodzenie. Otworzyła ją na moich oczach. Wszystko widziałam. Był przypięty szpilką do styropianu.

- E, buja pani - nie dowierzała Lula.

- Ależ skąd. Stephanie naprawdę przysłało pocztą penisa - upierała się babcia. - Był odcięty równiutko jak szyjka od kurczaka i przyczepiony szpilką. Od razu przypomniał mi się mąż.

Lula pochyliła się do babci i wyszeptwała:

- Ma pani na myśli rozmiar? Pani mąż też miał takiego wielkiego?

- Gdzież tam - zachnęła się babcia. - Tak samo nieruchomego.

Vinnie wyjrzał z gabinetu i na widok babci przełknął ślinę.

- O Chryste - wyrwało mu się.

- Właśnie wiozę babcię z salonu Clary - wyjaśniłam. - A teraz jedziemy na zakupy. Pomyślałam, że po drodze wpadnę i zobaczę, czego ode mnie chcesz.

Mimo metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu Vinnie wydawał

się teraz dużo niższy. Jego rzednące czarne włosy były przylizane do tyłu i miały niemal ten sam połysk co spiczaste czarne lakiery.

- Chciałem się dowiedzieć, co słyhać w sprawie Mancusa.

Twierdziłaś, że to proste zadanie. Wiesz, że włożyłem w tę sprawę mnóstwo pieniędzy.

- Zbliżam się do końca - wyjaśniłam. - Czasami takie łowy muszą trochę potrwać.

- Czas to pieniądz - powiedział Vinnie. - Mój pieniądz.

Connie przewróciła oczami.

A Lula odezwała się:

- Myślałby kto.

Było bowiem wiadomo, że cały interes Vinniego jest dobrze ubezpieczony i właściwie to firma ubezpieczeniowa finansowała wszystkie kaucje.

Vinnie stał z rękami opuszczonymi po bokach i kołysał się na piętach. Mieszczuch. Skąpy i szchwany.

- Ta sprawa cię przerasta. Oddaję ją Mo Barnesowi.

- Do licha! Nie znam żadnego Mo Barnes'a - odezwała się babcia. -

Ale wiem, że nie może się równać z moją wnuczką. To najlepszy łowca nagród pod słońcem i głupio zrobisz zabierając jej sprawę Mancusa.

Zwłaszcza, że teraz ja jej pomagam. Razem wkrótce rozpracujemy tego typka.

- Bez obrazy - odparł Vinnie - ale twoja wnuczka nie potrafiłaby nawet rozłupać orzecha obiema rękami, a co dopiero mówić o złapaniu Kenny'ego Mancuso.

Babcia postąpiła krok naprzód i pochyliła się w stronę Vinniego.

- Oho - odezwała się Lula.

- Jak ktoś nie chce pomóc rodzinie, przytrafiają mu się potem różne złe rzeczy - babcia rzuciła Vinniemu ostrzeżenie.

- A jakież to znowu złe rzeczy? - zapytał. - Co takiego, zaczną rai wypadać włosy? Spróchnieją mi może zęby?

- Wszystko być może - odrzekła babcia. - Kto wie, czy nie rzucę na ciebie uroku - dodała zagadkowo. Porozmawiam też z twoją babcią Bellą.

Opowiem jej, jak się zwracasz do starszej kobiety.

Vinnie przestępował z nogi na nogę niczym drapieznik uwięziony w klatce. Wolał nie zadzierać z babcią Bellą. Babcia Bella była jeszcze gorsza od babci Mazurowej. Potrafiła chwycić dorosłego

faceta za ucho i rzucić na kolana. Vinnie zmrugał oczy i mruknął coś przez zaciśnięte zęby.

Mamrocząc wciąż, wycofał się do gabinetu, trzaskając drzwiami.

- No - powiedziała babcia. - Ten Plum nie będzie ci już bruździł.

Kiedy wróciliśmy z zakupów, było późne popołudnie. Matka otworzyła nam drzwi z ponurą miną.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego - zastrzegłam się. - Babcia sama wybrała kolor i fryzurę.

- Wiem, sama muszę dźwigać ten krzyż - westchnęła matka.

Spojrzała na babcine stopy i omal nie upadła z wrażenia.

Babcia Mazurowa miała na nogach martensy. Ubrana była także w przykrywającą biodra nowiutką kurtkę narciarską, dzinsy, których nogawki sobie podwinęła oraz flanelową koszulę, do złudzenia przypominającą moją. Wyglądałyśmy jak z lekka upiorne bliźniaczki.

- Chyba się zdrzemnę przed obiadem - powiedziała babcia. -

Zmęczyły mnie te zakupy.

- Przydałaby mi się pomoc w kuchni - zwróciła się do mnie matka.

To nie wróżyło nic dobrego. Matka nigdy nie potrzebowała pomocy w kuchni. Prosiła o nią jedynie wtedy, gdy jej coś leżało na wątrobie i chciała się zwierzyć. Albo wówczas, kiedy chciała o coś zapytać. „Weź

sobie budyniu czekoladowego,” mówiła. „A przy okazji, pani Herrel widziała, jak wchodziłaś z Josephem Morellim do garażu jego ojca.

Dlaczego masz majtki założone na lewą stronę?”

Powlokłam się do jej królestwa, gdzie na kuchence bulgotały ziemniaki buchając kłębami pary, która osadzała się na oknie nad zlewem. Matka otworzyła drzwiczki piekarnika, żeby sprawdzić pieczeń.

Dobiegł mnie zapach pieczonej baraniny. Poczułam, że oczy zachodzą mi mgłą, a usta same się otwierają i zastygam w stanie oczekiwania.

Matka podeszła z kolei do lodówki.

- Do baraniny pasowałaby marchewka. Obierz marchewkę - poleciała podając mi torebkę i nożyk do warzyw. - Aha, zdaje się, że ktoś ci przysłał

poczta penisa?

Omam nie uciąłam sobie palca.

- Eeee...
- Adres zwrotny wskazywał wprawdzie na Nowy Jork, ale znaczek naklejono u nas - ciągnęła matka.
- Nie mogę ci na ten temat nic powiedzieć. Toczy się w tej sprawie śledztwo.
- Syn Thelmy Biglo, Richie, powiedział jej, że ten członek należał do Joego Looseya. I że odciął go Kenny Mancuso, kiedy Looseya ubierano u Stivy.
- A skąd Richie Biglo wie takie rzeczy?
- Richie jest barmanem u Pina. On wie wszystko.
- Nie chcę już o tym rozmawiać, proszę cię.

Matka wyjęła mi nożyk z ręki,

- Popatrz tylko, jak wyglądają te marchewki. Nie mogę ich podać w tym stanie. Pozostawiłaś miejscami skórkę.
- Nie powinno się ich w ogóle obierać ze skórki, tylko skrobać. W skórcie są wszystkie witaminy.
- Twój ojciec nie zjadłby marchewki ze skórką. Wiesz przecież, jaki on jest.

Ojciec zjadłby nawet kocie gówno, gdyby było posolone i podsmażone lub zamrożone, ale konia z rzędem temu, kto by wmusił w niego warzywa.

- Zdaje się, że Kenny Mancuso się na ciebie wziął - powiedziała matka. - To nieładnie, przysyłać kobiecie coś takiego. To uwłaczające.

Szukałam w kuchni jeszcze jakiegoś zajęcia dla siebie, ale nie mogłam znaleźć.

- No i zdajesz sobie chyba sprawę, co się dzieje z babcią - ciągnęła. -

Kenny Mancuso próbuje dobrać się do ciebie poprzez babcię. To dlatego napadł na nią przed piekarnią. Myślę, że to jest powód twojej przeprowadzki... Żeby być blisko, w razie gdyby ją znowu zaatakował.

- To przecież wariat.

- Oczywiście, że wariat. Wszyscy wiedzą, że to wariat. Zresztą wszyscy mężczyźni od Mancusów to wariaci. Jego wujek Rocco się powiesił. Gustował w małych dziewczynkach. Pani Ligatti przyłapała go kiedyś, jak dobierał się do jej Tyny. Następnego dnia się powiesił. Może to i dobrze. Bo jakby Al Ligatti dopadł Rocca... - Matka pokręciła głową. -

Wolę o tym nawet nie myśleć. - Wyłączyła gaz pod ziemniakami i odwróciła się do mnie. - Powiedz, jak ci idzie w tym twoim zawodzie?

- Uczę się.

- A czy umiesz już na tyle, żeby złapać Kenny'ego Mancuso?

- Myślę, że tak.

Matka zniżyła głos:

- No to złap tego sukinsyna. Chcę, żeby mi zniknął z miasta.

Niepodobna, żeby taki typ krzywdził starsze panie.

- Zrobię, co tylko będę mogła.

- To dobrze. - Wzięła z półki puszkę z żurawinami. - No to teraz, kiedy już sobie wszystko wyjaśniłyśmy, możesz nakryć do stołu.

Minutę przed szóstą zjawił się Morelli.

Otworzyłam mu drzwi i stanęłam w progu, zagradzając wejście do przedpokoju.

- Co się stało?

Morelli naparł na mnie, zmuszając, bym ustąpiła o krok.

- Przejeżdżałem tędy właśnie - powiedział. - Sprawdzałem, czy wszystko w porządku i poczułem zapach baraniny.

- Kto to? - zawołała matka z głębi mieszkania.

- To Morelli. Przejeżdżał obok i poczuł baraninę. Ale zaraz wychodzi. JUŻ!

- Jej naprawdę brakuje dobrych manier - rzekła matka do Morellego. - Nie wiem, skąd jej się to wzięło. Ja jej tak nie wychowałam.

Stephanie, dołóż jeszcze jedno nakrycie.

Wyszliśmy z domu o wpół do ósmej. Morelli jechał za mną brązową furgonetką i zaparkował przed domem pogrzebowym Stivy, podczas gdy ja wjechałam na podjazd.

Zamknęłam buicka i podeszłam do niego.

- Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Sprawdziłem rachunki ze stacji i z warsztatu. W ciężarówce pod koniec miesiąca wymieniano olej.

Bucky przyprowadził ją około siódmej rano i odebrał następnego dnia.

- Czekaj, niech zgadnę. Cubby Delio miał akurat tego dnia wolne.

Na stacji zostali Moogey i Sandeman.

- No właśnie. Sandeman pokwitował naprawę. Jego nazwisko widnieje na rachunku.

- Rozmawiałeś może z Sandemanem?

- Nie. Wyszedł już do domu, kiedy przyjechałem na stację. Byłem potem u niego w mieszkaniu, w kilku barach, ale nigdzie nie mogłem go znaleźć. Może zrobię później jeszcze jedną rundkę.

- A znalazłeś może coś interesującego u niego w mieszkaniu?

- Drzwi były zamknięte.

- Nie zaglądałeś przez okno?

- Pomyślałem, że tobie zostawię tę przyjemność. Wiem przecież, że to lubisz.

Innymi słowy Morelli nie chciał utknąć na schodkach przeciwpożarowych.

- Mogę na ciebie liczyć, kiedy będę zamykać firmę Spira?

- Nikt by mnie nie zdołał odciągnąć nawet wołami.

Przeszłam przez parking i weszłam do budynku bocznymi drzwiami. Wieść o szalonych postępach Kenny'ego Mancuso musiała się roznieść szeroko, bo Joego Looseya (bez członka) położono w sali dla szczególnie ważnych osobistości, a tłumy, jakie się tam zebrały, były chyba większe niż wówczas, gdy w połowie kadencji zmarł Silvestor Bergen, prezes Związku Weteranów Walk na Obczyźnie.

Spiro stał w kącie holu i podtrzymując zranioną rękę pełnił

obowiązki mistrza ceremonii. Ludzie tłoczyli się wokół niego słuchając z uwagą okolicznościowych komunałów wygłaszanych patetycznym głosem.

Kilka osób spojrzało w moją stronę i zaczęło szeptać zasłaniając sobie usta dłonią.

Spiro skłonił się swojej publiczności i dał mi znak, bym poszła za nim do kuchni. Po drodze, nie zwracając uwagi na Roche'a, który znów zajął strategiczną pozycję przy stoliku do herbaty, zabrał wielką srebrną tacę na ciastka.

- Widziałaś, jakie tłumy darmozjadów? - powiedział Spiro sypiąc na tacę ciastka kupione hurtem w supermarkecie. - Obżerają mnie ze wszystkiego, co mam. Powiniennem przedłużyć godziny otwarcia i sprzedawać bilety tym wszystkim, którzy chcą popatrzeć na kikutą Looseya.

- Są jakieś wieści od Kenny'ego?

- Nic. Zdaje się, że położył uszy po sobie. A propos, w związku z tym już cię nie będę potrzebował.

- Skąd ta nagła zmiana?

- Sprawa się wyciszyła.

- I to wszystko?

- Tak, to by było na tyle. - Z rozmachem otworzył drzwi od kuchni i położył ciastka na stoliku.

- Jak się pan czuje? - zagadnął Roche'a. - Pański brat zyskał

dotatkową widownię przez Looseya. Pewnie część ludzi wchodzi tam i zastanawia się... no wie pan, że tak powiem nad stanem zwłok pańskiego brata. Proszę zauważyć, że kazałem zamknąć połowę wieka, żeby ludziska z ciekawości nie zaczęli go macać.

Roche wyglądał, jakby miał za chwilę zwymiotować.

- Dziękuję - powiedział. - Dobrze, że pan o wszystkim pomyślał.

Wróciłam do Morellego i przekazałam mu wieści.

Stał zamyślony w cieniu furgonetki.

- Hm, dość nagła zmiana.

- Przypuszczam, że Kenny odzyskał broń. Teraz, kiedy daliśmy Spirowi punkt zaczepienia, on to przekazał Kenny'emu, a Kenny odnalazł

zgubę i przestał grozić Spirowi.

- To możliwe.

W rękę trzymałam kluczyki od samochodu.

- Pojadę zobaczyć co z Sandemanem. Może już wrócił do domu.

Zaparkowałam pół przecznicy od kamienicy Sandemana, po przeciwnej stronie ulicy. Morelli zatrzymał furgonetkę tuż za mną.

Staliśmy przez chwilę na chodniku, wpatrując się w ogromny budynek odcinający się na tle nocnego nieba. Z nie zasłoniętych okien na parterze padało ostre światło. Powyżej życie skrywało się za pomarańczowymi zasłonami.

- Jakim samochodem jeździ Sandeman? - zapytałam Morellego.

- Ma motor i forda pikapa.

Ani jednego, ani drugiego pojazdu nie widać było na ulicy.

Weszliśmy w zaułek prowadzący na tyły domu i tam znaleźliśmy harleya.

Od tyłu nie świeciło się w żadnym oknie. U Sandemana również nie.

Weranda była pusta. Tylnych drzwi nie zamknięto na klucz. Korytarz, jaki się za nimi rozciągał, był słabo oświetlony gołą żarówką czterdziestką, zwisającą z sufitu na drucie. Z jednego z górnych mieszkań dobiegały odgłosy z telewizora.

Morelli zatrzymał się na chwilę w holu i nasłuchiwał. Potem wszedł

na piętro i na następne. Na drugim piętrze było ciemno i cicho. Morelli nasłuchiwał pod drzwiami Sandemana. Pokręcił głową. W jego mieszkaniu panowała cisza.

Podszedł do okna, otworzył je i wyjrzał.

- Mnie nie wypada włamywać się do jego mieszkania -

usprawiedliwiał się.

Tak jakbym ja mogła to robić bezkarnie.

Morelli spojrzał na ciężką latarkę, którą trzymałam w ręku.

- Oczywiście łowca nagród mógłby tam wejść prowadząc pościg -

sugerował.

- Tylko wówczas, gdyby był przekonany, że ścigany rzeczywiście jest w środku.

Morelli patrzył na mnie z nadzieją w oczach.

Spojrzałam na schodki przeciwpożarowe.

- To wszystko ledwie się trzyma kupy - powiedziałam.

- Tak - przyznał. - Zauważyłem. Pode mną mogłoby się zarwać. -

Ujął mnie palcem pod brodę i spojrzał mi w oczy. - Ale pod taką kruszynką jak ty, na pewno się nie zawali.

Można o mnie mówić różne rzeczy, ale na pewno nie to, że jestem kruszynką. Cóż mi pozostało? Wzięłam głęboki oddech i wysunęłam się przez okno na schodki przeciwpożarowe. Stalowa konstrukcja jęknęła i spod moich stóp posypały się na ziemię płaty rdzy. Zmówiłam ekspresową modlitwę i krok po kroku zaczęłam zbliżać się do okna Sandemana.

Przysunęłam głowę do szyby i osłoniwszy oczy rękoma zajrzałam do środka. Panowały tam egipskie ciemności. Spróbowałam podnieść okno.

Nie było zamknięte. Szarpnęłam, ale gdzieś w połowie drogi się zacięło.

- Możesz wejść do środka? - szeptem zapytał Morelli.

- Nie. Okno się zacięło. - Przysiadłam i zajrzałam przez powstałą szparę, oświetlając pokój latarką. O ile mnie wzrok nie mylił, nic się tam nie zmieniło. W mieszkaniu panował ten sam bałagan, nędza i odór brudnych ubrań i przepełnionych popielniczek. Nigdzie nie było widać jakichkolwiek śladów walki czy choćby przemocy.

Postanowiłam jeszcze raz spróbować poruszyć oknem. Zaparłam się mocniej nogami i szarpnęłam starą drewnianą ramę. Z kruszejącego muru wysunęły się obluzowane bolce i niepewna platforma schodków przeciwpożarowych przechyliła się nagle o 45 stopni. Wysunęły się schodki i poręcz, a ja poszybowałam stopami w dół. Ręką chwyciłam się za jakiś kawał wystającego z muru metalu i w panice trzymałam się go ze wszystkich sił... przez kilka upiornych sekund. Nagle bowiem cała konstrukcja schodków z drugiego piętra zwała się z hukiem na pierwsze piętro. Nastąpiła chwila przerwy. Miałam czas, by sobie siarczyście zakląć.

Na górze Morelli wychylił się z okna.

- Nie ruszaj się!

BRZDĘK! Drugie piętro schodków oderwało się od reszty i spadło na ziemię unosząc mnie ze sobą. Upadłam prosto na plecy z głośnym łupnięciem, od którego całe powietrze uciekło mi z płuc.

Leżałam oszołomiona, gdy pojawiła się tuż nade mną twarz Morellego.

- O kurwa - szepnął. - Jezu, Stephanie, powiedz coś!

Patrzyłam prosto przed siebie nie mogąc wymówić słowa, z trudnością łapiąc oddech.

Sprawdził mi puls na szyi, potem dotknął stóp i posuwał się w stronę bioder.

- Możesz poruszać palcami u nóg?

Nie wtedy, kiedy facet trzyma mi rękę po wewnętrznej stronie uda.

Czułam, że skóra płonie mi pod jego dotykiem, a palce nóg podwijają się kurczowo. Usłyszałam, jak wsysam powietrze.

- Spróbuj tylko dotknąć mnie wyżej, a oskarżę cię o napastowanie seksualne.

Morelli zakołysał się na piętach i przetarł dłonią oczy.

- Ależ mnie wystraszyłaś.

- Co się tam dzieje? - rozległ się głos z jakiegoś okna na górze. -

Zaraz dzwonię na policję. Nie wytrzymam już tego dłużej. Tutaj też obowiązuje cisza nocna.

Podniosłam się na łokciu.

- Zabierz mnie stąd.

Morelli ostrożnie postawił mnie na nogi.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Chyba sobie niczego nie złamałam. - Zmarszczyłam nos. - Co to znowu za smród? O Boże, mam nadzieję, że nie wpadłam na żadne świństwo, co?

Morelli obrócił mnie.

- O rany! - zawołał. - Ktoś w tym domu ma wielkiego psa. Wielkiego i do tego chorego na biegunkę. Zdaje się, że trafiłaś w dziesiątkę.

Zrzuciłam kurtkę i trzymałam ją na odległość wyciągniętej ręki.

- Teraz już dobrze?

- Masz tego jeszcze trochę na dzinsach.

- Gdzieś jeszcze?

- Na włosach.

Wpadłam w histerię.

- ZBIERZ TO ZE MNIE! ZBIERZ TO ZE MNIE!

Morelli zatkał mi usta dłonią.

- Cicho!

- Zbierz to z moich włosów!

- Nie da się. Musisz to zmyć. - Pociągnął mnie w stronę ulicy. -

Możesz iść?

Niepewnie postąpiłam krok naprzód.

- Dobrze - ucieszył się Morelli. - Oby tak dalej. Ani się obejrzysz, jak będziemy przy furgonetce. Potem wsadzę cię pod prysznic. Godzina albo dwie szorowania i będziesz jak nowa.

- Jak nowa! - W uszach mi dzwoniło, a mój własny głos dochodził

jakby z zaświatów. - Jak nowa - powtarzałam.

Kiedy dotarliśmy do furgonetki, Morelli otworzył tylne drzwi.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby pojechać z tyłu?

Patrzyłam na niego bezmyślnie, całkowicie zrezygnowana.

Morelli zaświecił mi latarką w oczy.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Jak myślisz, co to był za pies?

- Na pewno wielki.

- Ale jakiej rasy?

- Rottweiler. Samiec. Stary i spasiony. Miał zepsute zęby i nażarł się tuńczyka.

Rozpłakałam się.

- O Chryste - jęknął Morelli. - Nie płacz. Nie znoszę, kiedy płaczesz.

- Mam gówno rottweilera we włosach.

Otarł mi kciukiem łzy z policzków.

- Już dobrze, skarbie. Naprawdę nie ma się czym przejmować.

Żartowałem z tym tuńczykiem. - Podsadził mnie do furgonetki. - Trzymaj się. Za chwilę będziemy w domu.

Zawiózł mnie do mojego mieszkania.

- Pomyślałem, że tak będzie lepiej - wyjaśnił. - Nie chciałem, żeby twoja matka oglądała cię w tym stanie. - Znalazł klucz w torebce i otworzył drzwi.

W mieszkaniu było chłodno i nieprzytulnie. Za cicho. Nie było Rexa, który turkotał zwykle w swoim kółeczku. Nie świeciło się światło, które zawsze zostawiałam, by wieczorem przyjemniej wchodziło się do domu.

Po lewej miałam kuchnię.

- Chcę piwa - powiedziałam do Morellego. Nie spieszyło mi się pod prysznic. I tak straciłam już powonienie. Pogodziłam się też z tym, co miałam we włosach.

Weszłam do kuchni i ujęłam drzwi lodówki. Drzwi otworzyły się szeroko, włączył się agregat i zapaliło światło, a ja w niemym osłupieniu zobaczyłam stopę... wielką, brudną, okrwawioną stopę, odciętą tuż powyżej kostki. Stała sobie między pudełkiem margaryny i butelką koktajlu żurawinowego.

- W mojej lodówce... jest stopa... - wyjąkałam do Morellego. Nagle świat zawirował mi przed oczyma, rozdzwoniły się jakieś dzwonki, coś błysnęło, poczułam suchość w gardle i upadłam jak długa na podłogę.

Starałam się otrząsnąć z otępienia po utracie przytomności i otworzyłam oczy.

- Mama?

- No niezupełnie - odparł Morelli.

- Co mi się stało? - zapytałam.

- Zemdlałaś.

- Tego już było widoczne za wiele - usprawiedliwiałam się przed Morellem. - Psie gówno i ta stopa...

- Rozumiem - uspokoił mnie.

Spróbowałam stanąć na chwiejnych nogach.

- Może pójdziesz pod prysznic, a ja się wszystkim zajmę, co? -

zapropozował Morelli i podał mi piwo. - Możesz wziąć piwo ze sobą.

Spojrzałam na puszkę.

- Czy to stało w mojej lodówce?

- Nie - odparł Morelli. - Zupełnie gdzie indziej.

- To dobrze. Nie wypiłabym, gdyby stało w lodówce.

- Wiem - powiedział Morelli i skierował mnie do łazienki. - Weź

prysznic i napij się piwa.

Kiedy wyszłam spod prysznica, w kuchni była już cała ekipa dochodzeniowa: dwaj mundurowi policjanci, technik z laboratorium kryminalistycznego i dwóch facetów w garniturach.

- Chyba wiem, czyja to stopa - powiedziałam do Morellego.

Pisał coś na plastikowej podkładce.

- Myślmy chyba o tym samym. - Podał mi podkładkę z kartką. -

Podpisz się tu na tej wykropkowanej linii.

- Co to jest?

- Wstępny raport.

- Jak Kenny zdołał wsadzić tę stopę do mojej lodówki?

- Włamał się przez okno w sypialni. Musisz sobie założyć system alarmowy.

Jeden z mundurowych wyszedł niosąc w rękach duże styropianowe pudło z suchym lodem.

Z trudem powstrzymałam wzbierającą we mnie falę wymiotów.

- Czy to było to? - zapytałam.

Morelli skinął głową.

- Z grubsza wyczyściłem lodówkę, ale pewnie sama zrobisz to dokładniej, kiedy znajdziesz chwilę czasu.

- Dziękuję, jestem ci wdzięczna za pomoc.

- Przeszukaliśmy resztę mieszkania - poinformował mnie - ale niczego więcej nie znaleźliśmy.

Mieszkanie opuścił drugi mundurowy, a za nim mężczyźni w garniturach i technik.

- I co teraz? - zapytałam Morellego. - Chyba nie ma sensu obserwować mieszkania Sandemana.

- Teraz będziemy śledzić Spira.

- A Roche?

- Roche zostanie w domu pogrzebowym. A my połączymy za Spirem.

Zalepiliśmy okno wielkim foliowym workiem, wyłączyliśmy światła i zamknęliśmy mieszkanie. W korytarzu zgromadził się już spory tłumek.

- No i co? - dopytywał się pan Wolesky. - Co się dzieje? Nikt nam nie chce nic powiedzieć.

- To tylko wybite okno - wyjaśniłam mu. - Myślałam, że to coś poważniejszego i dlatego wezwałam policję.

- Okradziono cię?

Pokręciłam przecząco głową.

- Nic nie zginęło. - To była akurat szczerza prawda.

Pani Boyd miała sceptyczną minę.

- A co było w tym styropianowym pudle? Widziałam, jak policjant wynosił stąd do samochodu styropianowe pudło z suchym lodem.

- Było w nim piwo - pospieszył z odpowiedzią Morelli. - To moi kumple. Wybieramy się później na przyjęcie.

Zbiegliśmy po schodach śpiesząc do furgonetki. Morelli otworzył

drzwi i odór psiego kału buchnął nam w nozdrza z taką siłą, że musieliśmy się cofnąć.

- Powinieneś był zostawić otwarte okna - powiedziałam.

- Poczekamy chwileczkę, zaraz wywietrzeje - odparł Joe.

Po kilku minutach podeszliśmy bliżej.

- Ciągle śmierdzi - stwierdziłam.

Morelli podparł się pod boki.

- Nie ma czasu, żeby to wszystko czyścić. Spróbujemy jechać z otwartymi oknami. Może wiatr wywieje ten smród.

Po pięciu minutach jazdy w furgonetce wciąż trudno było się wytrzymać.

- Mam już dość - stwierdził Morelli. - Nie zniosę dłużej tego odoru.

Trzeba koniecznie zmienić samochód.

- Pojedziesz po swój?

Skręcił w lewo w ulicę Skinner.

- Nie mogę. Oddałem go facetowi, od którego pożyczyłem furgonetkę.

- A tamten nie oznakowany policyjny samochód?

- W naprawie. - Skręcił w stronę Greenwood. - Weźmiemy buicka.

Nagle zaczęłam patrzeć zupełnie inaczej na mojego błękitnego olbrzyma.

Morelli stanął za buickiem. Wskoczyłam z furgonetki, nim jeszcze zdążyła się na dobre zatrzymać. Stałam na chodniku wdychając głęboko orzeźwiające powietrze. Machałam rękoma i potrząsałam głową, by pozbyć się resztek tego obrzydliwego odoru.

Wsiedliśmy do buicka i przez chwilę napawali się czystym powietrzem.

Uruchomiłam silnik.

- Jest jedenasta. Więc jak, jedziemy prosto do mieszkania Spira, czy najpierw zajrzemy do domu pogrzebowego?

- Do firmy. Rozmawiałem z Roche'em, zanim wyszłaś spod prysznic. Spiro był jeszcze wtedy w firmie.

Parking przed domem pogrzebowym opustoszał. Kilka samochodów stało na ulicy. Wszystkie wyglądały na puste.

- Gdzie Roche?

- W mieszkaniu po drugiej stronie ulicy. Nad kafejką.

- Stamtąd nie widać tylnego wejścia.

- Racja, ale światło na zewnątrz uruchamiane jest przez czujnik.

Jeśli ktoś zbliży się do tylnych drzwi, automatycznie uruchomi oświetlenie.

- Spiro może to wyłączyć.

Morelli opadł na siedzeniu.

- Nie ma dobrego punktu do obserwacji tylnych drzwi. Nawet gdyby Roche siedział w samochodzie na parkingu i tak by ich nie widział.

Lincoln stał na podjeździe. W gabinecie wciąż świeciło się światło.

Zatrzymałam buicka przy chodniku i wyłączyłam silnik.

- Spiro długo dziś siedzi. Zwykle o tej porze już go nie ma.

- Masz przy sobie komórkę?

Podaliśmy Morellemu telefon, a on wystukał numer.

Po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. Morelli zapytał, czy jest ktoś w firmie. Nie usłyszałam odpowiedzi. Po chwili zakończył rozmowę i oddał mi telefon.

- Spiro ciągle siedzi w biurze. Od kiedy o dziesiątej zamknięto drzwi, Roche nie widział, by ktoś wchodził do budynku.

Parkowaliśmy w bocznej uliczce, poza zasięgiem latarni. Stały przy niej skromne parterowe domki, w większości z nich było już ciemno. W

Miasteczku chodzono spać z kurami i wstawano, kiedy zapiał pierwszy kogut.

Siedzieliśmy tak z Morellim przez pół godziny, napawając się kojącą ciszą, i obserwowaliśmy dom pogrzebowy. Wyglądaliśmy jak dwójka starych gliniarzy, wykonujących wspólnie nie wiadomo które zadanie.

Wybiła dwunasta. Jak dotąd nic się nie zmieniło i zaczynałam się już denerwować.

- Coś mi tu nie gra - powiedziałam. - Spiro nigdy nie zostawał aż tak długo. Lubi pieniądze, ale łatwe. Nie jest typem pracusia.

- Może czeka na kogoś.

Położyłam rękę na klamce.

- Rozejrzę się.

- NIE!

- Sprawdzę, czy działa ten czujnik światła przy tylnych drzwiach.

- Schrzanisz wszystko. Wystraszysz Kenny'ego, jeśli tam jest.

- Może Spiro wyłączył czujnik i Kenny już siedzi w budynku?

- Nie ma go.

- Skąd wiesz?

Morelli wzruszył ramionami.

- Przeczucie.

Zaczęłam nerwowo przebierać palcami.

- Brakuje ci pewnych podstawowych cech dobrego łowcy nagród -
zauważył Morelli.

- To znaczy?

- Cierpliwości. Spójrz tylko na siebie. Cała jesteś w nerwach.

Dotknął kciukiem mego karku i przesunął go w górę. Powieki same mi opadły i zaczęłam wolniej oddychać.

- Lepiej? - zapytał Morelli.

- Mmmmm... - Obiema dłońmi zaczął mi masować łopatki.

- Musisz się odprężyć.

- Jeśli jeszcze trochę się odprężę, to się rozpuszczę i spłynę z siedzenia.

Przestał masować.

- Nie miałbym nic przeciwko takiemu rozpuszczeniu.

Odwróciłam się w jego stronę i popatrzyłam mu w oczy.

- O, nie - powiedziałam.

- Dlaczego nie?

- Bo już widziałam ten film i nie podoba mi się jego zakończenie.

- Może tym razem będzie inne.

- A może nie.

Wodził kciukiem po mojej tętnicy na szyi i mówił niskim chropawym głosem:

- A co powiesz na środek tego filmu? Co? Podobał ci się?

W środku filmu pełno było dymu - zupełnie jakby się wszyscy do siebie palili.

- Widywałam już lepsze.

Morelli uśmiechnął się szeroko.

- Kłamczucha.

- Poza tym mieliśmy wypatrywać Spira i Kenny'ego.

- Nie przejmuj się tym. Roche czuwa. Jeśli coś zauważy, da mi znać na pager.

Czego ja właściwie chciałam? Seksu w buicku z Joem Morellim?

Nie! A może jednak?

- Obawiam się, że zmarznę - powiedziałam. - To chyba nie jest najlepsza pora.

Morelli zachichotał.

Przewróciłam oczyma.

- To takie szczeniackie. Ale tego się po tobie można było spodziewać.

- O nie - zaprotestował Morelli. - Po mnie można się spodziewać tylko działania. - Pochylił się i pocałował mnie. - Jak ci się to podoba? Tak lepiej?

- Mmmm...

Pocałował mnie jeszcze raz. Pomyślałam: a co tam, raz kozie śmierć... Skoro chce sobie odmrozić tyłek, to jego sprawa. Zresztą może wcale się nie przeziębię. Raczej się na to nie zapowiada...

Morelli rozchylił mi koszulę i zsunął ramiączka biustonosza.

Poczułam, jak przeszywa mnie dreszcz i wmawiałam sobie, że to z zimna, a nie z powodu nadciągającej katastrofy.

- A więc mówisz, że Roche da ci znać na pager, kiedy zobaczy Kenny'ego? - dopytywałam się.

- Tak - odparł Morelli zbliżając usta do moich piersi. - Nie przejmuj się.

Nie przejmuj się! Trzymał łapy w moich majtkach i mówił, że mam się nie przejmować!

Znów przewróciłam oczyma. Właściwie, w czym problem? Jestem dorosła. Mam swoje potrzeby. Co złego w tym, że chcę je od czasu do czasu zaspokoić? Miałam teraz szansę na orgazm ze znakiem jakości Q.

No i nie żywiłam już złudzeń jak dawniej. Nie byłam już głupiutką szesnastolatką, która oczekuje zaraz oświadczyn. Liczyłam tylko na ten jeden cholerny orgazm. Zasłużyłam sobie nań. Nie zaznałam orgazmu od czasu prezydentury Reagana.

Szybko rzuciłam okiem na okna. Całkowicie zaszły mgłą. To dobrze.

Okey, powiedziałam sobie. W takim razie do dzieła. Kopnięciem zrzuciłam buty i zdjęłam wszystko oprócz czarnego skąpego bikini.

- A teraz ty - powiedziałam do Morellego. - Chcę cię zobaczyć.

Rozebrał się w niecałe dziesięć sekund, z czego pięć zajęło mu zdejmowanie kajdanków i broni.

Zamknęłam usta i ukradkiem sprawdziłam, czy nie cieknie mi ślinka. Morelli przedstawiał sobą widok jeszcze cudowniejszy niż ten, który pozostał mi w pamięci. A pamiętałam go jako wyjątkowego mężczyznę.

Wsadził zakrzywiony palec pod moje bikini i jednym płynnym ruchem zsunął mi majtki. Próbował na mnie wejść, ale uderzył głową w kierownicę.

- Już dawno nie robiłem tego w samochodzie - powiedział.

Przeszliśmy na tylną kanapę i opadliśmy na nią jednocześnie.

Morelli miał na sobie rozpiętą dzinsową koszulę i białe skarpetki, a ja nic poza nową falą niepewności.

- Spiro mógł wyłączyć światło i Kenny wśliznie się od tyłu -
upierałam się.

Morelli pocałował mnie w ramię.

- Roche będzie wiedział, czy Kenny jest w budynku.

- A niby jak?

Morelli westchnął.

- Dlatego, że założył tam podsłuch.

Odepchnęłam go.

- Nie powiedziałaś mi! Od kiedy dom jest na podsłuchu?

- Chyba się tym nie zajmujesz, prawda?

- Przyznaj się, czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

- To wszystko. Przysięgam.

Nie wierzyłam w ani jedno jego słowo. Zrobił typową minę gliniarza. Przypomniał mi się obiad i to, jak nagle zjawił się u nas Morelli.

- Skąd wiedziałaś, że matka piecze baraninę?

- Poczułem, kiedy otworzyłaś drzwi.

- Gówno prawda! - Chwyciłam torebkę z przedniego siedzenia i wysypałam zawartość na kanapę między nas. Szczotka i lakier do włosów, spray z pieprzem, chusteczki higieniczne, pistolet elektryczny, guma do żucia, okulary przeciwsłoneczne... Czarne plastikowe pudełko z nadajnikiem. Cholera jasna!

Chwyciłam urządzenie.

- Ty sukinsynu! Podrzuciłeś mi podsłuch do torebki!

- To dla twojego własnego dobra. Martwiłem się o ciebie.

- To odrażające! To naruszenie prywatności! Jak śmiałeś to zrobić, nie pytając mnie wcześniej o

zdanie! - Teraz zresztą też kłamał. Bał się po prostu, że pierwsza zgarnę mu Kenny'ego sprzed nosa. Otworzyłam okno i wyrzuciłam nadajnik na ulicę.

- Cholera jasna! - krzyknął Morelli. - To pudełeczko jest warte czterysta dolców. - Otworzył drzwi i wyszedł na ulicę, aby je odszukać.

Zamknęłam i zablokowałam drzwi. Niech go szlag. Powinnam się była dwa razy zastanowić, zanim zaczęłam współpracę z Morellem.

Przeszłam na przednie siedzenie i usiadłam za kierownicą.

Morelli próbował otworzyć drzwi od strony pasażera, ale były zablokowane. Wszystkie drzwi były zablokowane i tak miało być. Niech sobie odmrozi kutasa, nic mnie to nie obchodziło. Dobrze mu to robi.

Uruchomiłam silnik i ruszyłam, zostawiając Morellego na środku ulicy w koszuli i skarpetkach, z gołym oklapłym ptaszkiem.

Ujechałam już pół przecznicy, gdy przyszło mi nagle do głowy, że to może nie najlepszy pomysł zostawiać gliniarza nagiego na środku ulicy. A jeśli trafi się jakiś rzezimieszek? W tym stanie Morelli nie mógłby nawet uciekać. No dobrze, pomyślałam. Trzeba mu jednak pomóc. Zawróciłam i podjechałam do bocznej uliczki. Morelli stał, tak jak go zostawiłam.

Podparł się rękami pod boki i patrzył na mnie wyraźnie zdegustowany.

Powoli otworzyłam okno i rzuciłam mu pistolet.

- Na wszelki wypadek - wyjaśniłam. I z rykiem silnika odjechałam w siną dal.

Rozdział 14

Po cichu weszłam po schodach i odetchnęłam z ulgą, kiedy zamknęłam za sobą drzwi do pokoju. Nie chciałam tłumaczyć się przed matką, skąd to siano na mojej głowie. Nie chciałam też, żeby prześwietlała mnie wzrokiem niczym promieniami rentgena i odkryła, że majtki mam nie na sobie tylko w kieszeni kurtki. Rozebrałam się po ciemku, wskoczyłam do łóżka i naciągnęłam kołdrę po samą brodę.

Obudziłam się załując od razu dwóch rzeczy. Po pierwsze, że odjechałam z punktu obserwacyjnego i nie dowiedziałam się, czy Kenny został złapany. Po drugie, że zasnęłam i znów przegapiłam szansę na skorzystanie z łazienki. Teraz musiałam odczekać swoje w kolejce.

Leżałam w łóżku nasłuchując, jak domownicy wchodzili i wychodzili z łazienki. Najpierw matka, potem ojciec, wreszcie babcia.

Kiedy babcia Mazurowa zeszła na dół, zarzuciłam różowy szlafrok i podreptałam do łazienki. Było zimno, więc okienko nad wanną było zamknięte. W powietrzu unosił się zapach kremu do golenia zmieszany z wonią listeryny.

Wzięłam szybki prysznic, wytarłam ręcznikiem włosy, po czym włożyłam dżinsy i koszulkę. Nie miałam jakichś szczególnych planów na ten dzień poza tym, by pilnować babci Mazurowej i obserwować Spira.

Oczywiście zakładałam, że Kenny nie dał się złapać wczoraj w nocy.

Idąc za zapachem kawy trafiłam do kuchni, gdzie przy stole zastałam Morellego jedzącego śniadanie. Wygląd talerza wskazywał na to, że Morelli pochłonął już jajecznicę na boczku i tosta. Na mój widok rozsiadł się swobodnie na krześle z filiżanką kawy w ręku. Z jego miny trudno było jednak cokolwiek wywnioskować.

- Dzień dobry - powiedział bezbarwnym głosem, nie zdradzając swego stanu nawet wyrazem oczu.

Nalałam sobie kawy.

- Dzień dobry. - To jeszcze do niczego nie zobowiązywało. - Co słyhać?

- Nic. Twoja nagroda nadal zażywa wolności.

- Wpadłeś tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

- Wpadłem po to, żeby odzyskać portfel. Zdaje się, że wczoraj zostawiłem go w twoim samochodzie.

- Zgadza się. - Podobnie jak kilka innych części garderoby.

Wypiłam łyk kawy i odstawiłam filiżankę na blat.

- Przyniosę ci portfel.

Morelli wstał.

- Dziękuję za śniadanie - zwrócił się do mojej matki. - Było wyśmienite.

Matka promieniała.

- Zapraszam, kiedy tylko będziesz miał ochotę. Przyjaciele Stephanie są u nas zawsze mile widziani.

Morelli wyszedł za mną i czekał, aż otworzę samochód i pozbieram jego ciuchy.

- Czy to, co mówiłeś o Kennym, to prawda? - zapytałam. - Nie pokazał się wczoraj?

- Spiro siedział tam aż do drugiej. Zdaje się, że grał w jakąś grę na komputerze. Tyle Roche zdołał usłyszeć. Nie odbierał też żadnych telefonów. Po Kennym ani śladu.

- Spiro czekał na coś, co nie nastąpiło.

- Na to wygląda.

Za buickiem stał pokiereszowany brązowy wóz Morellego.

- Widzę, że już odzyskałeś samochód - zagadnęłam. Wszystkie wgniecenia i zadrapania były na swoich miejscach, a zderzak nadal tkwił

na tylnym siedzeniu. - Zdaje się, że mówiłeś coś o naprawie?

- Bo tak było - odparł Morelli. - Naprawili światła. - Zerknął na dom, a potem na mnie. - Twoja matka stoi w drzwiach i nas obserwuje

- Aha.

- Gdyby jej tam nie było, to bym cię złapał i tak potrząsnął, że wypadłyby ci wszystkie plomby.

- Ach ta policyjna brutalność.

- To nie ma nic wspólnego z moim zawodem. To raczej kwestia włoskiego temperamentu.

Podalam mu buty.

- Bardzo bym chciała być przy ujęciu Kenny'ego.

- Zrobię, co będę mógł, żeby tak się stało.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Czy mu wierzyłam? Nie.

Morelli sięgnął do kieszeni po kluczyki.

- Lepiej wymyśl jakąś przekonującą historyjkę dla matki. Na pewno będzie się dopytywać, skąd moje ubrania wzięły się w twoim samochodzie.

- Niczego zdrożnego sobie nie pomyśli. Ciągle wożę w samochodzie męskie ubrania.

Morelli uśmiechnął się.

- Co to były za ubrania? - zapytała matka, kiedy tylko wróciłam do domu. - Spodnie i buty?

- Nawet nie pytaj.

- Ale ja chcę wiedzieć - powiedziała babcia Mazurowa. - Założę się, że to niezła historia.

- Jak twoja ręka, babciu? - zapytałam. - Boli jeszcze?

- Tylko wtedy, kiedy zaciskam w pięść, ale z tym bandażem i tak nie mogę tego robić. Byłoby kiepsko, gdyby to była prawa dłoń.

- Masz jakieś plany na dzisiaj?

- Do wieczora raczej nie. Dzisiaj wystawiają jeszcze Joego Looseya.

Skoro widziałam jego penisa, to pomyślałam sobie, że mogłabym zobaczyć i resztę. Chciałabym się tam wybrać na siódmą.

Ojciec siedział w salonie zaczytany w gazecie.

- Kiedy umrę, chcę żeby mnie od razu skremowano - oznajmił

nagle. - Żadnego wystawiania zwłok.

Matka odwróciła się od kuchenki.

- A od kiedy to zmieniłeś zdanie?

- Od czasu kiedy Loosey stracił ptaszka. Nie chcę ryzykować. Jak tylko wyzionę ducha, od razu do pieca.

Matka postawiła przede mną talerz jajecznicy. Do tego dołożyła boczek, tosta i sok.

Jadłam jajecznicę i zastanawiałam się, co robić. Mogłam zostać w domu i tu chronić babcię. Mogłam zabrać ją ze sobą i mieć ją cały czas na oku. Mogłam też zająć się własnymi sprawami licząc na to, że Kenny skreślił już babcię ze swojej listy.

- Jeszcze jajecznicy? - zapytała matka. - Może tosta?

- Dziękuję.

- Jak ty wyglądasz, skóra i kości. Powinnaś więcej jeść.

- Nie jestem chuda. Jestem gruba. Nie mogę dopiąć dzinsów.

- Masz trzydzieści lat. Po trzydziestce kobiety zaczynają tyć. A właściwie, dlaczego ty chodzisz w dzinsach? W twoim wieku nie powinnaś się ubierać jak dzieciak. - Pochyliła się i spojrzała na moją twarz. - Co ci się dzieje z tą powieką? Chyba ci znowu pulsuje.

No dobrze, pierwsza opcja z mojego planu odpada.

- Muszę pośledzić kilka osób - powiedziałam do babci. - Pojedzie babcia ze mną?

- Chyba tak. Myślisz, że będzie gorąco?

- Nie, raczej nudno.

- No, jeśli miałabym się nudzić, to wołałabym zostać w domu. A w ogóle kogo będziemy szukać? Może tej kreatury Kenny'ego Mancuso?

Właściwie chciałam pojechać trochę za Moreli im. Ale w sumie sprowadzało się to mniej więcej do

tego samego.

- Tak, poszukamy Kenny'ego Mancuso.

- W takim razie jadę. Mam z nim do wyrównania porachunki.

Pół godziny później babcia, ubrana w dzinsy, kurtkę narciarską i martensy była gotowa do drogi.

W alei Hamiltona, o przecznicy od domu pogrzebowego Stivy, zauważyłam samochód Morellego.

Właściciela nie było w środku. Pewnie opowiadali sobie z Roche'em wojenne historie.

Zaparkowałam za wozem Morellego, starając się zachować odpowiedni odstęp, by mu znów nie zbić przypadkiem świateł. Widziałam stąd boczne i frontowe drzwi do budynku firmy oraz frontowe drzwi domu, w którym czatował Roche.

- Wiem już wszystko o czatowaniu - powiedziała babcia. -

Przedwczoraj w telewizji dawali taki film o prywatnych detektywach.

Niczego nie zapomniałam. - Wetknęła głowę w płócienną torbę, którą taszczyła ze sobą. - Mam tutaj wszystko: czasopisma dla zabicia czasu, kanapki, napoje. Wzięłam nawet butelkę.

- Jaką znów butelkę?

- Po oliwkach. - Pokazała mi ową butelkę. - Możemy sobie do niej siusiać w czasie pracy. Wszyscy detektywi mówili, że tak robią.

- Ja nie umiem siusiać do butelki. Tylko mężczyźni to potrafią.

- A niech to lichy - zakląła babcia. - Dlaczego o tym nie pomyślałam? I szkoda tych wyrzuconych oliwek.

Przeczytałyśmy czasopisma i wydarłyśmy kilka przepisów.

Zjadłyśmy kanapki i wypiliśmy napoje.

Wkrótce poczuliśmy wołanie natury, więc pojechaliśmy do domu rodziców, by szybko skorzystać z łazienki. Wróciliśmy w aleję Hamiltona i stanęliśmy na czatach dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio.

- Masz rację - powiedziała babcia po godzinie. - To nudne.

Grałyśmy w szubienicę, liczyłyśmy samochody i obrzucałyśmy inwektywami Joyce Barnhardt.

Zacząłyśmy właśnie grać w dwadzieścia pytań, kiedy wyjrzawszy przez okno, w jednym z nadjeżdżających samochodów zauważyłam Kenny'ego Mancuso. Prowadził dwutonowego chevroleta suburban, wielkiego jak autobus. Przez długą chwilę wymienialiśmy zaskoczone spojrzenia.

- Jasna cholera! - krzyknęłam i zaczęłam wpychać kluczyk do stacyjki, obracając się jednocześnie na

siedzeniu, żeby nie stracić Kenny'ego z oczu.

- Ruszaj! - wrzeszczała babcia. - Nie pozwól uciec temu skunksowi!

Wrzuciłam bieg i już miałam wyjechać na ulicę, kiedy zauważyłam, że na skrzyżowaniu Kenny nagle zawrócił i zbliżał się teraz do nas. Za buickiem nie było żadnego samochodu. Zauważyłam, że Chevrolet wjeżdża na chodnik i kazałam babci przygotować się na wstrząs.

Chevrolet uderzył w buicka, ten uderzył w samochód Morellego, a ten z kolei w wóz, który stał przed nim. Kenny cofnął, wcisnął gaz i znów w nas uderzył.

- No, dość tego - powiedziała babcia. - Za stara już jestem na takie stukanie. W moim wieku kości stają się coraz delikatniejsze. - Wyjęła z torby długi rewolwer kalibru 11 mm, otworzyła drzwi i wygramoliła się na chodnik.

- Zaraz dostaniesz nauczkę - powiedziała mierząc w chevroleta i pociągnęła za spust. Z lufy buchnął płomień, a siła odrzutu była tak wielka, że babcia klapnęła pupą na chodnik.

Kenny wrzucił wsteczny i jechał tyłem aż do skrzyżowania, po czym zawrócił i pognał.

- Jak myślisz, trafiłam go? - dopytywała się babcia.

- Chyba nie - odparłam pomagając jej wstać.

- Ale było blisko?

- Trudno mi powiedzieć.

Babcia przyłożyła sobie rękę do czoła.

- Ten cholerny pistolet uderzył mnie w głowę. Nie wiedziałam, że ma aż taki odrzut.

Podeszliśmy do wszystkich samochodów po kolei szacując straty.

Buick był nietknięty. Na wielkim chromowanym zderzaku pojawiła się jedynie mała rysa. Poza tym żadnych widocznych uszkodzeń.

Samochód Morellego wyglądał jak miech akordeonu. Bagażnik i maska pogięły się zupełnie, wszystkie światła były potłuczone. Pierwszy samochód w szeregu przesunął się o jakiś metr, ale chyba nic mu się nie stało. Małe wgniecenie w tylnym zderzaku, które równie dobrze mogło tam być już wcześniej. Rozejrzałam się po ulicy spodziewając się, że zaraz nadbiegnie Morelli, ale nigdzie nie było go widać.

- Babciu, nic ci nie jest? - zapytałam.

- Wszystko w porządku - odparła babcia. - Dorwałabym tego drania, gdyby nie moja kontuzja. Musiałam strzelać tylko z jednej ręki.

- Skąd babcia ma takie kopyto?

- Pożyczyłam od mojej przyjaciółki Elsie - wyjaśniła babcia. - Kupiła go podobno na wyprzedaży, kiedy mieszkała w Waszyngtonie. - Podniosła wzrok. - Czy leci mi krew?

- Nie, ale nabiła sobie babcia guza. Może powinniśmy wrócić do domu, żeby babcia mogła odpocząć.

- To dobry pomysł - przyznała. - Kolana mam jak z waty. Chyba jednak nie jestem takim twardzielem jak ci faceci z telewizji. Ich strzelanie w ogóle nie męczy.

Wsadziłam babcie do samochodu i zapięłam jej pas. Spojrzałam po raz ostatni na pozostałe samochody, które ucierpiały przez Kenny'ego.

Zastanawiałam się, kto powinien odpowiadać za uszkodzenie pierwszego.

Właściwie nic mu się nie stało, ale na wszelki wypadek zostawiłam za wycieraczką wizytówkę, gdyby właściciel odkrył to wgniecenie i chciał

uzyskać bliższe wyjaśnienia.

Uznałam, że w przypadku Morellego nie muszę zostawiać wizytówki, gdyż i tak będę pierwszą osobą, która w tej sytuacji przyjdzie mu na myśl.

- Najlepiej chyba będzie, jeśli w domu nie wspomnimy o tym rewolwerze - powiedziałam do babci. - Wiesz przecież, jak mama reaguje na broń.

- Nie ma sprawy - odparła babcia. - Wolę zapomnieć o tym całym zajściu. Nie mogę wprost uwierzyć, że nie trafiłam w ten samochód.

Nawet nie przestrzeliłam mu opony - dodała z żalem.

Kiedy matka zobaczyła nas w drzwiach, uniosła brwi ze zdziwienia.

- Co się tym razem stało? - zapytała. Zmrużyła oczy i przyjrzała się babci. - A ty co masz na czole?

- Uderzyłam się puszką - wytłumaczyła babcia. - Głupi wypadek.

Pół godziny później do drzwi zastukał Morelli.

- Chcę z tobą porozmawiać... - powiedział obejmując mnie ramieniem. Na zewnątrz - dodał, wyciągając mnie z domu.

- To nie była moja wina - broniłam się. - Siedziałyśmy sobie z babcią w buicku nikomu nie wadząc, kiedy zjawił się Kenny i zaczął walić od tyłu w nasz samochód.

- Możesz to powtórzyć?

- Siedział za kierownicą dwutonowego chevroleta. Zauważył mnie i babcię w buicku przy alei Hamiltona. Zawrócił i uderzył w nas od tyłu.

Dwa razy. Wtedy babcia wyskoczyła z samochodu i strzeliła do niego, a on się spłoszył i odjechał.

- To najgłupsza wymówka, jaką w życiu słyszałem.

- To szczerza prawda!

Babcia wychyliła głowę.

- Co się dzieje?

- Morelli uważa, że wymyśliłam sobie całą tę historię z Kennym, który uderzył w nas chevroletem.

Babcia sięgnęła po swoją torbę leżącą w przedpokoju na stole.

Pogrzebała w niej chwilę, po czym wyciągnęła rewolwer i wymierzyła w Morellego.

- Jezus! - krzyknął Morelli. Uchylił się i zabrał babci gnata.

- Skąd pani ma to działo?

- Pożyczyłam - wyjaśniła babcia. - Strzelałam do tego łajdaka, twojego kuzyna, ale udało mu się uciec.

Morelli przez chwilę wpatrywał się w czubki własnych butów, po czym odezwał się:

- Ta broń zapewne nie jest zarejestrowana?

- O co ci chodzi? - zdziwiła się babcia. - Gdzie niby miałyby być zarejestrowana?

- Pozbądź się tego - zwrócił się do mnie Morelli. - Zabierz to z moich oczu.

Wepchnęłam babcię i jej rewolwer do domu i starannie zamknęłam drzwi.

- Zajmę się tym - obiecałam Morellemu. - Dopilnuję, żeby czym prędzej zwróciła go właścicielowi.

- A więc ta idiotyczna historyjka jest jednak prawdziwa?

- Gdzie ty byłeś? Czy naprawdę niczego nie widziałeś?

- Zmieniłem Roche'a. Obserwowałem dom pogrzebowy. Nie patrzyłem na samochód. - Spojrzał na buicka. - A co z tym? Żadnych szkód?

- Mała rysa na tylnym zderzaku.

- Czy Pentagon wie o tym samochodzie?

Pomyślałam, że czas przypomnieć Morellemu, iż mogą się do czegoś przydać.

- Sprawdziłeś tę broń u Spira?

- Czysta jak łza. Wszystko legalnie zarejestrowane.

No i to by było na tyle, jeśli chodzi o moją użyteczność.

- Stephanie - odezwała się matka z domu. - Stoisz na dworze bez kurtki! Przeziębisz się na śmierć.

- A propos śmierci - rzeki Morelli. - Znalezione ciało do twojej stopy. Dziś rano zatrzymało się na jednym z filarów mostu.

- Sandeman?

- Aha.

- Nie uważasz, że Kenny popada w autodestrukcję i chce, żeby go złapano?

- To o wiele łatwiejsze. Tchórz z niego. Najpierw był świetny pomysł

na zrobienie dużych pieniędzy. Coś im się pochrzało i cały plan wziął w łeb, a Kenny nie mógł sobie dać z tym rady. Teraz zabrnął już tak daleko, że szuka kozłów ofiarnych... Moogeya, Spira, ciebie.

- Wszystko mu się dokumentnie pokręciło, prawda?

- Jeszcze jak.

- Myślisz, że Spiro to taki sam świr?

- O nie. Spiro to nie świr. Spiro to gnida.

To prawda. Spiro był jak wrzód na dupie Miasteczka. Spojrzałam na samochód Morellego. Nie wyglądał na taki, który mógłby ruszyć z miejsca.

- Podrzucić cię gdzieś?

- Dam sobie radę.

O siódmej wieczorem było już u Stivy pełno ludzi, a rząd samochodów stojących przy alei Hamiltona ciągnął się aż dwie przecznice dalej. Zaparkowałam na drugiego tuż przy służbowym podjeździe i powiedziałam babci, żeby weszła do budynku nie czekając na mnie.

Babcia zdążyła przebrać się w sukienkę i wyglądała niezwykle kolorowo, parując po schodach w swoim niebieskim płaszczu i morelowej fryzurze. Pod pachą miała wetkniętą torebkę z czarnej skóry, a zabandażowana ręka wystawała jak sztandar, głoszący, że oto idzie jedna z rannych w wojnie z

Kennym Mancuso.

Zrobiłam jeszcze jedno okrążenie, nim znalazłam miejsce do parkowania. Podbiegłam do budynku, weszłam przez boczne drzwi i zatonąłam w klaustrofobicznych rozgrzanych wnętrzach i przyciszonym szumie rozmów. Kiedy to się skończy, nigdy w życiu nie zajrzę już do domu pogrzebowego. Choćby nie wiem, kto umarł. Wołami mnie nikt tam nie zaciągnie. Czy to będzie matka, czy babcia. Same będą musiały dać sobie radę.

Przysiadłam się do Roche'a przy stoliku.

- Widzę, że braciszek ma jutro pogrzeb.

- A tak. Boże, jak ja będę tęsknił za tym miejscem. Za tym sknerą, za ciastkami jak trociny. No i za herbatą. Mniemam. Choć przyznam, że herbata jest naprawdę dobra. - Rozejrzał się. - O rany, sam nie wiem, na co ja narzekam. Miałem już gorsze zadania. W zeszłym roku czatowałem w przebraniu żebraczki i napadnięto mnie. Miałem wówczas dwa złamane żebra.

- Widziałeś moją babcię?

- Tak. Widziałem, jak wchodziła, ale potem zniknęła mi gdzieś w tłumie. Pewnie próbuje przepchnąć się do tego faceta, któremu obcięli to i owo.

Spuściłam głowę i zaczęłam przepychać się do sali, w której leżał

Joe Loosey. Pracowałam mocno łokciami, aż znalazłam się przy trumnie i wdowie po Loosey. Liczyłam na to, że znajdę babcię w miejscu zarezerwowanym dla najbliższej rodziny. Wychodziła bowiem z założenia, że skoro widziała penisa Joego, była z nim teraz w bardzo zażyłych stosunkach.

- Tak mi przykro - powiedziałam do wdowy. - Czy nie widziała pani babci Mazurowej?

W oczach pani Loosey dostrzegłam przerażenie.

- To Edna tu jest?

- Przywiozłam ją jakieś dziesięć minut temu. Sądziłam, że chce złożyć pani kondolencje.

Pani Loosey położyła rękę na trumnie w obronnym geście.

- Nie widziałam jej.

Zaczęłam ponownie przepychać się przez tłum i dotarłam do sali, gdzie leżał fałszywy brat Roche'a. Z tyłu sali stała grupka ludzi. Sądząc po stopniu zaangażowania, rozmawiali o skandalu z penisem Looseya.

Zapytałam, czy ktokolwiek z nich widział babcię Mazurową, ale otrzymałam same negatywne odpowiedzi. Wróciłam do holu.

Sprawdziłam w kuchni, w damskiej łazience, na werandzie przy bocznym wejściu. Pytałam wszystkich po drodze.

Nikt nie widział staruszki w wielkim niebieskim płaszczu.

Poczułam dreszcz niepokoju. To niepodobne do babci. Zawsze lubiła być w centrum uwagi. Widziałam, jak wchodziła do budynku, mogłam więc mieć pewność, że znajdowała się w środku... Przynajmniej przez jakiś czas. Nie podejrzewałam, by wyszła na zewnątrz. Nie widziałam jej na dworze, kiedy szukałam miejsca do parkowania. Poza tym nie mogłam sobie wyobrazić, że mogłaby wyjść nie rzuciwszy okiem na pana Looseya.

Weszłam na piętro i zaczęłam myszkować po pomieszczeniach, w których trzymano trumny i akta. Uchyliłam drzwi do biura i zapaliłam światło. Pokój stał pusty. Nikogo nie było również w łazience na górze.

Pusty był magazynek z materiałami biurowymi.

Wróciłam do holu i zauważyłam, że Roche gdzieś zniknął. Przy frontowym wejściu stał samotnie Spiro z kwaśną miną.

- Nie mogę nigdzie znaleźć babci Mazurowej - oznajmiłam mu.

- Moje gratulacje.

- Nie bądź taki dowcipny. Martwię się o nią.

- I powinnaś. To wariatka.

- Widziałeś ją?

- Nie. I jest to jedyna miła rzecz, jaka mnie spotkała w ciągu dwóch ostatnich dni.

- Może powinnam sprawdzić na zapleczu.

- Tam jej nie ma. Wszystkie pomieszczenia są zamknięte w godzinach odwiedzin.

- Babcia potrafi być bardzo pomysłowa, kiedy się na coś uprze.

- Nawet jeśli udało jej się tam wejść, nie posiedzi długo. Na stole numer jeden leży Fred Dagusto, który nie przedstawia sobą najpiękniejszego widoku. Sto czterdzieści kilo obrzydliwego cielska.

Wszędzie tłuszcz, jak okiem sięgnąć. Będę go musiał odchudzić, żeby się zmieścił do trumny.

- Chcę zajrzeć na zaplecze.

Spiro zerknął na zegarek.

- Musisz poczekać, aż skończą się odwiedziny. Nie mogę zostawić tych wandalów bez dozoru. Jak się zejdzie taki wielki tłum, to ludzie zaraz zaczynają sobie wyciągać coś na pamiątkę. Trzeba pilnować drzwi, bo ograbią człowieka do cna.

- Nie potrzebuję przewodnika. Daj mi tylko klucz.

- Zapomnij o tym. Nie wpuszczę tam nikogo, kiedy mam na stole nieboszczyka. Po tym, co spotkało Looseya, nie mam zamiaru ryzykować.

- A gdzie Louie?

- Wziął sobie wolne.

Wyszłam na werandę od frontu i popatrzyłam na drugą stronę ulicy. Okna w mieszkaniu, z którego obserwowano zakład Stivy, były ciemne. Roche siedział tam pewnie nasłuchując i obserwując. Może i Morelli tam z nim był. Martwiłam się o babcię Mazurową, ale nie chciałam jeszcze wciągać w to Morellego. Na razie niech lepiej obserwuje budynek.

Wyszłam z werandy i przeszłam do bocznego wyjścia. Zlustrowałam wzrokiem parking i podeszłam do garażu w głębi podwórka. Osłaniając oczy rękoma próbowałam zajrzeć do środka przez przyciemnione szyby.

Dostrzegłam tylko lawetę i omal się nie zabiłam potykając się o bagażnik lincolna Spira.

Drzwi do piwnicy były zamknięte, ale otwarto służbowe przejście do kuchni. Wszłam do środka i jeszcze raz zrobiłam obchód domu.

Posprawdzałam wszystkie pomieszczenia na zapleczu, ale zgodnie ze słowami Spira były zamknięte na głucho.

Wśliznęłam się do gabinetu Spira i zadzwoniłam z jego telefonu do domu.

- Czy babcia jest może w domu? - zapytałam matkę.

- O Boże! - przeraziła się. - Zgubiłaś babcię. Gdzie jesteś?

- W domu pogrzebowym. Babcia na pewno gdzieś tu jest, ale zwały się takie tłumy, że trudno mi ją znaleźć.

- Tu jej w każdym razie nie ma.

- Jeśli się pojawi, zadzwońcie do mnie.

Następnie wykręciłam numer „Leśnika”, wyłuszczyłam problem i poprosiłam o pomoc.

Wróciłam do Spira i ostrzegłam go, że jeśli nie zaprowadzi mnie natychmiast do sali, w której balsamuje nieboszczyków, to wpakuję w niego taką dawkę prądu, że sam tam wyląduje, by poczekać

na swoją kolejkę. Widocznie poskutkowało, bo obrócił się na pięcie i szybko minął sale, w których wystawiano zmarłych. Z hukiem otworzył drzwi i kazał mi się pospieszyć.

Zupełnie tak, jak bym miała przemożne pragnienie wpatrywania się we Freda Dagusto.

- Nie ma jej tu - powiedziałam wracając do Spira, który niecierpliwiał

się przy drzwiach i sokolim wzrokiem wypatrywał podejrzanych wypukłości pod płaszcami wychodzących żałobników. A nuż któryś z nich wyniósłby rolkę papieru toaletowego? Albo dwie.

- No pewnie, że nie ma. Też mi nowina.

- Nie szukałam jeszcze tylko w piwnicy.

- Nie ma jej w piwnicy. Tam też drzwi są zamknięte na klucz. Tak jak i tutaj.

- Mimo wszystko chcę tam zajrzeć.

- Posłuchaj - rzekł Spiro. - Pewnie wyszła z jakąś inną staruchą.

Jedzą sobie teraz gdzieś kolację i doprowadzają jakąś biedną kelnerkę do szafu.

- Wpuść mnie jeszcze tylko do piwnicy i przysięgam, że więcej nie będę ci zawracać głowy.

- To dopiero miła wiadomość.

Jakiś staruszek klepnął Spira w ramię.

- Jak się miewa Con? Wyszedł już ze szpitala?

- Tak - odparł Spiro odsuwając się od rozmówcy. - Wyszedł. Wraca do pracy w przyszłym tygodniu. Od poniedziałku.

- Pewnie się cieszysz, że wraca.

- Tak, na samą myśl chce mi się skakać z radości.

Spiro przeszedł przez hol mijając grupki ludzi, jednych ignorując, innym kłaniając się w pas. Poszłam za nim w stronę drzwi do piwnicy i czekałam, aż je otworzy. Serce waliło mi jak młotem w obawie przed tym, co mogę tam znaleźć.

Chciałam, żeby Spiro miał rację. Bardzo chciałam, żeby babcia siedziała właśnie gdzieś na kolacji zjedna ze swych przyjaciółek, ale wydawało mi się to mało prawdopodobne.

Gdyby wyprowadzono ją siłą z budynku, zareagowałiby z pewnością Morelli albo Roche. Chyba że wyprowadzono ją tylnym wyjściem. To był

słaby punkt ich pola obserwacyjnego. Ale przecież nie polegali tylko na wzroku. Założyli również podśluch. I jeśli ów podśluch działa, Morelli i Roche słyszeli, że szukam babci i zaczną robić to, co do nich należy.

Włączyłam światło na schodach i krzyknęłam:

- Babciu?

Gdzieś daleko huczał piec, a z pomieszczeń za moimi plecami dobiegał przyciszony gwar głosów. Na podłodze piwnicy u podnóża schodów pojawiła się mała plamka światła. Zmrużyłam oczy starając się przebić wzrokiem ciemności poza kręgiem światła i nasłuchiwałam, czy nie dobiegną stamtąd jakieś szmery.

Cisza jak makiem zasiał. Ścisnęło mnie w dołku. Ale na dole jednak ktoś był. Czulałam to tak wyraźnie, jak oddech Spira na karku.

Kłopot w tym, że ze mnie żaden bohater. Boję się pajaków i istot pozaziemskich i czasami nie mogę oprzeć się pokusie, by sprawdzić, czy pod łóżkiem nie czatuje na mnie śliniący się potwór ze szczypcami.

Gdybym kiedykolwiek coś takiego zobaczyła, wybiegłabym z krzykiem z mieszkania i nigdy już doń nie powróciła.

- Czas ucieka - niecierpliwił się Spiro. - Schodzisz czy nie?

Przetrzęsnałam torebkę w poszukiwaniu rewolweru i zaczęłam schodzić z wyciągniętą bronią. Stephanie Plum, tchórzliwy łowca nagród, zaczęła schodzić powolutku, schodek po schodku, praktycznie po omacku, serce biło jej tak mocno, że czuła jego łomot i pulsowanie w skroniach.

Stanąwszy na ostatnim stopniu sięgnęłam w lewo i pstryknęłam wyłącznikiem. Nie było reakcji.

- Hej, Spiro! - krzyknęłam. - Światło się nie świeci.

Stojąc na górze pochylił się.

- To pewnie bezpiecznik.

- Gdzie jest skrzynka?

- Po prawej, za piecem.

Cholera. Po prawej panowały nieprzeniknione ciemności.

Sięgnęłam po latarkę, ale nim zdążyłam wyjąć rękę z torebki, z cienia wynurzył się Kenny. Zadał mi cios z boku i oboje upadliśmy na podłogę.

Od uderzenia zabrakło mi tchu, a rewolwer poszybował gdzieś w ciemność poza zasięgiem moich

ręk. Próbowałam wstać, ale dostałam cios prosto w klatkę piersiową. Między łopatkami poczułam nacisk kolana, a na szyi dotyk czegoś bardzo ostrego.

- Nie próbuj się, kurwa, ruszać - ostrzegł mnie Kenny. - Jeśli ruszysz się choćby o milimetr, poderżnę ci gardło.

Usłyszałam, jak na górze zamykają się drzwi i Spiro zbiega na dół.

- Kenny? Co ty tu u diabła robisz? Jak się tu dostałeś?

- Przez boczne drzwi. Skorzystałem z klucza, który mi sam dałeś. A jak inaczej bym się tu dostał?

- Nie wiedziałem, że dzisiaj przyjdiesz. Myślałem, że wczoraj schowałeś już cały towar.

- Wróciłem, żeby jeszcze sprawdzić parę rzeczy. Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko tu jest.

- Co to ma do cholery znaczyć?

- To, że zaczynasz mnie coraz bardziej denerwować - powiedział

Kenny.

- Ja cię denerwuję? A to dobre sobie. To przecież tobie zaczyna odbijać i ja cię niby denerwuję?

- Lepiej uważaj, co mówisz.

- Pozwól, że ci wygarnę, jaka jest różnica między nami - rzekł Spiro.

- Dla mnie ta cała sprawa to interes. Zachowuję się jak zawodowiec. Ktoś ukradł trumny, więc wynająłem eksperta, żeby je odnalazł. Nie strzeliłem kumplowi w kolano tylko dlatego, że byłem wkurzony, i nie byłem na tyle głupi, żeby go postrzelić z kradzionej broni i dać się złapać gliniarzowi wracającemu ze służby. Nie jestem też takim świrem, żeby podejrzewać, iż kumple spiskują przeciwko mnie.

Spiro przerwał na chwilę swoją tyradę.

- Nie odbija mi też szajba na widok tej cizi. Wiesz, w czym leży twój problem, Kenny? Ty jak się czegoś czepisz, to nie możesz przestać.

Popadasz w obsesję i nie widzisz już potem nic innego. No i zawsze lubisz efekty wizualne. Mogłeś spokojnie pozbyć się Sandemana, ale nie, ty musiałeś mu, kurwa, odciąć stopę.

Kenny zachichotał.

- A wiesz, na czym polega twój problem, Spiro? Że nie potrafisz się zabawić. Ty ciągle grasz rolę śmiertelnie poważnego grabarza.

Powinieneś choćby od czasu do czasu przelecieć jakąś cizię, bo inaczej uświerkniesz wśród tych nieboszczyków.

- Zupełnie ci szajba odbiła.

- Ty też nie jesteś najzdrowszy. Sporo czasu przyglądałeś się, jak robię te swoje praktyki, jakoś ci to nie przeszkadzało.

Słyszałam, jak Spiro przesuwają się za moim plecami.

- Stanowczo za dużo gadasz.

- Nie szkodzi. Ta cizia i tak już nikomu nic nie powie. Zniknie razem ze swoją babcią.

- Nie ma sprawy. Tylko nie rób tego tutaj. Nie chcę być w to zamieszany. - Spiro przeszedł przez piwnicę, włączył bezpiecznik i pomieszczenie wypełniło się światłem.

Pod jedną ścianą stało pięć trumien. Pośrodku znajdował się piec i kocioł centralnego ogrzewania. Przy drzwiach widać było stertę skrzynek i pudeł. Nietrudno było się domyślić, co zawierały.

- Nie rozumiem - powiedziałam - po co przywieźliście tutaj ten towar? Con wraca przecież do pracy w poniedziałek. Jak to przed nim ukryjecie?

- Do poniedziałku nie będzie po tym śladu - wyjaśnił Spiro. -

Przywieźliśmy wszystko wczoraj, żeby zrobić spis. Sandeman obwoził to w swoim pikapie i sprzedawał broń z paki jak jakieś jabłka czy kapustę.

Na szczęście dla nas wypatrzyłaś tę ciężarówkę u Delia. Jeszcze kilka tygodni i Sandeman wszystko by rozproszął.

- Nie wiem, jak udało wam się to tu wnieść, ale na pewno nie uda wam się tego wywieźć - powiedziałam do Kenny'ego. - Morelli obserwuje budynek.

Kenny prychnął.

- Wywieziemy tak, jak przywieźliśmy. Bryką rzeźnika.

- Na litość boską - odezwał się Spiro. - To nie jest żadna bryka rzeźnika tylko karawan.

- Ach, przepraszam, zapomniałem. - Kenny wstał i szarpnął mnie. -

Gliniarze obserwują Spira i ten dom, ale nie zwracają uwagi na karawan i na Louiego Moona. A raczej tego, kogo biorą za Louiego Moona. Można by ubrać małpę w kapelusz, posadzić za przyciemnioną szybą, a gliny i tak by ją wzięły za Louiego Moona. A stary Louie to skarb. Byle dać mu węża i kazać sprzątać, a będzie to robił godzinami. Nawet nie ma pojęcia, co jeździ jego karawanem.

Nieźle. Przebrali Kenny'ego za Louiego Moona, przywieźli karawanem broń i amunicję do domu pogrzebowego, wstawili potem karawan do garażu i teraz wystarczyło tylko przenieść skrzynie z samochodu do piwnicy. A Morelli i Roche niestety nie widzieli drzwi do piwnicy, bo znajdowały się od tyłu. Pewnie też niczego nie słyszeli, bo wątpię, żeby Roche założył tu podsłuch.

- A co z tą starą? - zapytał Spiro.

- Szukała w kuchni herbaty i zobaczyła mnie, jak szedłem przez trawnik.

Twarz Spira stężała.

- Powiedziała komuś o tym?

- Nie. Wybiegła z domu i zaczęła krzyczeć, że dźgnąłem ją w rękę.

Mówiła, że powinienem nauczyć się szacunku dla starszych.

O ile mnie wzrok nie mylił, w piwnicy babci nie było. Miałam nadzieję, że oznaczało to, iż Kenny zamknął ją w garażu. Jeśli znajduje się w garażu, to pewnie żyje i nic jej nie jest. Jeśli natomiast wepchnięto ją w jakiś kąt w piwnicy, to zachowywała się stanowczo za cicho.

Nie chciałam nawet dociekać, dlaczego jej nie słyszałam. Próbowałam zdusić rosnącą we mnie panikę i zastąpić ją jakimiś bardziej konstruktywnymi reakcjami. Chłodna analiza sytuacji nie wchodziła w rachubę. Nie było czasu. Może spróbować ich przechytrzyć? Niestety, to też nie wydawało mi się realne. A może by tak gniew? Czy miałam w sobie dość gniewu? Jak cholera! Wezbrało go we mnie tyle, że ledwie mogłam powstrzymać jego wybuch. Gniew z powodu babci, wszystkich kobiet, którym Mancuso wyrządził kiedyś krzywdę, z powodu policjantów, którzy zginęli od skradzionej amunicji, z powodu tych wszystkich zbezczeszczonych nieboszczyków. Pomna tego wszystkiego roznieciłam w sobie gniew, aż rozgorzał niczym wielka żagiew.

- I co teraz? - zwróciłam się do Kenny'ego. - Co masz zamiar zrobić?

- Musimy cię trochę ochłodzić, dopóki wszyscy nie wyjdą. Potem zobaczymy, w jakim będę nastroju. Mamy do wyboru kilka możliwości, w końcu jesteśmy w zakładzie pogrzebowym. Hej, a może przywiążemy cię do stołu i zabalsamujemy na żywca? To by był ubaw! - Przycisnął mi czubek noża do karku. - Idź.

- Dokąd?

Wskazał głową.

- Do tamtego kąta.

W kącie stały trumny.

- Do trumien?

Uśmiechnął się i popchnął mnie.

- Na trumny przyjdzie jeszcze czas.

Zmrużyłam oczy i dostrzegłam, że trumny nie były dosunięte do ściany. Za nimi znajdowała się chłodziarka z dwiema szufladami na ciała.

Obie szuflady były wsunięte i zamknięte ciężkimi metalowymi drzwiami.

- Będzie ci tam miło i ciemno - powiedział Kenny. - Będziesz miała czas wszystko sobie przemyśleć.

Ciarki mnie przeszły i poczułam ściskanie w dołku.

- Babcia Mazurowa...

- Zamienia się właśnie w mrozonkę.

- NIE! Wypuść ją! Wysuń tę szufladę, zrobię, co tylko zechcesz!

- I tak zrobisz, co tylko zechcę - stwierdził Kenny. - Po godzinie w tej szufladce będziesz się ruszać jak mucha w smole.

Poczułam łzy na policzkach i pot pod pachami.

- Ona jest już stara. Nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia.

Wypuść ją.

- Nie stanowi zagrożenia? Żartujesz chyba. Ta starucha ma nie po kolei w głowie. Wiesz, ile się musiałem namordować, żeby ją tam włożyć?

- Zresztą i tak już pewnie nie żyje - stwierdził Spiro.

Kenny popatrzył na niego.

- Tak myślisz?

- A ile czasu tam już leży?

Kenny spojrzał na zegarek.

- Jakieś dziesięć minut.

Spiro wsunął rękę do kieszeni.

- Obniżyłeś temperaturę?

- Nie - odparł Kenny. - Po prostu ją tam wsunąłem.

- Kiedy szuflady są puste, wyłączam chłodzenie - wyjaśnił Spiro. -

W ten sposób oszczędzamy prąd. W takim razie w środku jest pewnie temperatura pokojowa.

- No tak, ale mogła wykorkować ze strachu. Jak myślisz? - zapytał

mnie Kenny. - Żyje czy nie?

Szloch utknął mi w gardle.

- Cizia zaniemówiła - powiedział Kenny. - Może powinniśmy wysunąć szufladę i zobaczyć, czy starucha jeszcze zipie?

Spiro zwolnił klamkę i otworzył drzwiczki. Chwycił koniec stalowej szuflady i powoli ją wyciągnął. Najpierw zobaczyłam buty, potem kościste nogi babci i jej wielki niebieski płaszcz. Ręce miała sztywno ułożone wzdłuż ciała, a dłonie schowane w fałdach płaszcza.

Targnęła mną rozpacz. Nabrałam powietrza w płuca i zamrugałam, aby lepiej widzieć.

Szuflada wysunęła się do końca ze stukiem. Babcia z otwartymi oczyma, zaciśniętymi ustami i stężoną twarzą wpatrywała się w sufit.

Patrzyliśmy na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę.

Pierwszy odezwał się Kenny.

- Wygląda jak nieżywa - stwierdził. - Wsuń ją z powrotem.

W kącie piwnicy rozległ się jakiś dziwny dźwięk. Coś jakby świst.

Nastawiliśmy uszu i nasłuchiwalismy. Ujrzałam, że oko babci nieznacznie drgnęło. Znow świst, tym razem głośniejszy. To babcia zasysała powietrze przez sztuczną szczękę!

- Hmm - powiedział Kenny. - Wcale nie jest aż tak martwa, na jaką wygląda.

- Powinieneś obniżyć temperaturę - zaproponował Spiro. - Ta lodóweczka mrozi do zera. Przy zerze nie przeżyłaby nawet dziesięciu minut.

Babcia zaczęła się ruszać w szufladzie.

- Co ona robi? - zdziwił się Spiro.

- Próbuje wstać - orzekł Kenny. - Ale jest za stara. No i co, babuniu, stare kości odmawiają posłuszeństwa?

- Stare? - szepnęła babcia. - Zaraz ci pokażę, jakie stare.

- Wsuń szufladę - polecił Kenny. - I nastaw na chłodzenie.

Spiro zaczął wsuwać szufladę, ale babcia wyrzuciła nogę do góry i zablokowała mechanizm. Zgięła nogę w kolanie i stuknęła stopą o stalowe dno szuflady.

Spiro mruknął coś i popchnął mocniej szufladę, ale brakowało jej do właściwego położenia kilku centymetrów, przez co drzwi nie chciały się zamknąć.

- Coś mi zawadza - powiedział Spiro. - Szuflada nie chce się do końca wsunąć.

- Otwórz i zobacz, co się dzieje - polecił Kenny.

Spiro wysunął szufladę.

Ujrzeliśmy brodę, nos i oczy babci. Ręce miała wyciągnięte nad głowę.

- Nie słuchamy się, co, babuniu? - odezwał się Kenny. - Blokujemy szufladę?

Babcia nic nie powiedziała, ale widziałam, że aż zgrzyta zębami.

- Opuść ręce wzdłuż ciała! - rozkazał jej Kenny. - I nie wkurzaj mnie, bo stracę cierpliwość.

Babcia zdołała wreszcie wyjąć ręce. Wysunęła najpierw tę zabandażowaną, a potem drugą, w której błysnął rewolwer z długą lufą kalibru 11 mm. Wyprostowała rękę i pociągnęła za spust.

Padliśmy wszyscy na ziemię, a babcia strzeliła po raz drugi.

Po drugim strzale zapanowała cisza. Oprócz babci nikt nie miał

odwagi się poruszyć. Babcia za to usiadła i zaczęła się uspokajać.

- Wiem, co sobie teraz myślicie - odezwała się w tej ciszy. - Czy ona ma jeszcze kule w magazynku? Cóż, w trakcie całego tego zamieszania po prostu zapomniałam, ile ich miałam na początku. Ale jako że jest to magnum 11 mm, najpotężniejszy rewolwer, jaki kiedykolwiek skonstruowano, pozostaje tylko jedno pytanie. Czy dziś jest twój szczęśliwy dzień? No co, śmieciu, masz dzisiaj szczęśliwy dzień?

- Chryste - szepnął Spiro. - Jej się wydaje, że jest pieprzonym Clintem Eastwoodem.

BUM! Babcia strzeliła i zgasło światło.

- Cholerka - powiedziała. - Coś chyba nie tak z tym celownikiem.

Kenny rzucił się do skrzynek z bronią, żeby sobie coś wybrać, Spiro pobiegł w stronę schodów, a ja czołgałam się na brzuchu w stronę babci.

BUM! Rozległ się kolejny strzał. Babcia nie trafiła w Kenny'ego, ale w jedną ze skrzynek. W jednej chwili nastąpił wybuch i w górę uniosła się kula ognia.

Skoczyłam na równe nogi i wyciągnęłam babcię z szuflady.

Wybuchła kolejna skrzynia z amunicją. Ogień rozpełzł się po podłodze, tam gdzie napotkał na swej drodze drewniane drzazgi ze skrzynek. Nie wiedziałam, co wybucha, ale mieliśmy pewnie szczęście, że nie dostaliśmy odłamkami. Z płonących skrzynek unosił się dym, który gryzł w oczy i coraz bardziej przesłaniał widoczność.

Ciągnęłam babcię po schodach do drzwi, aż wyprowadziłam ją na podwórko.

- Dobrze się czujesz? - krzyknęłam.

- On chciał mnie zabić - powiedziała. - I ciebie też.

- Tak, babciu.

- To straszne, co się teraz dzieje z ludźmi. Tracą wszelki szacunek dla życia.

- Chyba tak, babciu.

Babcia spojrzała w stronę domu.

- Dobrze, że nie wszyscy są tacy jak Kenny. Dobrze, że jest jeszcze trochę porządnych ludzi.

- Jak na przykład my - odpowiedziałam.

- No pewnie tak, ale myślałam raczej o Brudnym Harrym.

- Ależ wygłosiłaś mowę.

- Zawsze chciałam to powiedzieć. No i udało się.

- Dasz radę przejść do frontowych drzwi? Odszukasz Morellego i powiesz mu, żeby tu zaraz przyszedł?

Babcia skinęła głową i ruszyła wzdłuż podjazdu.

- Znajdę go, jeśli tam tylko jest.

Kiedy szliśmy do wyjścia, Kenny był po przeciwnej stronie piwnicy.

Albo wbiegł na schody, albo wciąż siedział jeszcze na dole i próbował

trafić do drzwi prowadzących na podwórko. Gotowa byłam się założyć, że chce wyjść na dwór. Na górze było za dużo ludzi.

Stałam mniej więcej w odległości sześciu metrów od drzwi do piwnicy i nie bardzo wiedziałam, co zrobić, gdyby pojawił się Kenny. Nie miałam ani broni, ani nawet sprayu z pieprzem. Ba, nie miałam nawet latarki. Powinnam się stąd czym prędzej wynieść i dać sobie spokój z Kennym. Nie warto,

powtarzałam sobie.

Lecz kogo chciałam oszukać? Przecież tu nie chodziło o pieniądze, tylko o babcię.

Rozległ się odgłos kolejnego wybuchu i w kuchennym oknie błysnęły płomienie. Ludzie krzyčeli na ulicy, a gdzieś w oddali słycać już było syreny. Przez drzwi od piwnicy sączył się dym, który nagle przybrał postać ludzkiej sylwetki. Postać z piekła rodem. Kenny.

Pochylił się, odkaslnął i zaczerpnął świeżego powietrza. Ręce miał swobodnie opuszczone po bokach. Nie znalazł chyba tej broni. To już coś.

Dostrzegłam, że rozgląda się na boki i idzie prosto w moją stronę. Stałam w cieniu, dokładnie na drodze jego ucieczki. Miał pewnie zamiar przeskoczyć przez garaż i zniknąć gdzieś w zaułkach Miasteczka.

Poruszał się ostrożnie i bezgłośnie, a w tle huczały płomienie.

Zauważył mnie dopiero, kiedy dzieliła nas od siebie odległość nie większa niż jakieś półtora metra. Stanął jak wryty i spojrzął mi w oczy. W

pierwszej chwili myślałam, że się przestraszy i ucieknie, ale ten szaleniec rzucił się na mnie z przekleństwem na ustach i po chwili oboje tarzaliśmy się po ziemi gryząc się i drapiąc. Kopnęłam go celnie kolanem i wsadziłam mu kciuk w oko.

Kenny zawył, odepchnął mnie i skulony próbował wstać. Złapałam go za stopę i znów powaliłam na kolana. Zaczęliśmy się tarzać po ziemi orząc się paznokciami i sypiąc przekleństwa.

Kenny był ode mnie większy, silniejszy i pewnie bardziej zdeterminowany. Choć akurat co do tego ostatniego, można by się spierać. Ja zaś miałam po swojej stronie wielki gniew. Kenny był

zdesperowany, za to ja byłam po prostu wściekła jak diabli.

Już nie wystarczało mi samo powstrzymanie go. Chciałam go skrzywdzić. Wstyd mi to teraz przyznać. Nigdy nie sądziłam, że jestem zdolna do tak mściwych czynów, a jednak.

Zacisnęłam dłoń w pięść i walnęłam go z całych sił, aż rozbolała mnie ręka. Usłyszałam trzask i świst powietrza, i zobaczyłam, że Kenny leci w ciemność z szeroko rozłożonymi rękoma.

Chwyciłam go za koszulę i zaczęłam wzywać pomocy.

Dłonie Kenny'ego zacisnęły się na mojej szyi, a na twarzy poczułam jego gorący oddech.

- Giń - powiedział szorstkim głosem.

Może i zginę, ale on razem ze mną. Trzymałam się kurczowo jego koszuli. Żeby się mnie pozbyć, musiałby ją zdjąć. Jeśli mnie nawet udusi, wciąż jeszcze będę miała palce wczepione w tę jego

koszulę.

Tak się skoncentrowałam, że nie zauważyłam, kiedy do naszej ruchliwej dwójki dobiła trzecia osoba.

- Jezu! - krzyczał mi w ucho Morelli. - Puśćże tę koszulę!

- Ucieknie!

- Nie ucieknie! - wrzasnął. - Trzymam go!

Popatrzyłam ponad głowę Joego i zobaczyłam, że zza rogu wychodzi „Leśnik”, Roche i dwóch mundurowych.

- Zabierzcie ją ode mnie! - darł się Kenny. - Jezu! Ta dziwka to jakaś cholerna gadzina!

W ciemności rozległ się jeszcze jeden trzask. Domyśliłam się, że to Morelli przypadkiem złamał coś Kenny’emu. Być może był to jego nos.

Rozdział 15

Owinęłam terrarium w wielki niebieski koc, aby Rex nie zmarzł

podczas przeprowadzki. Postawiłam go na przednim siedzeniu buicka i zamknęłam drzwi biodrem. Jakże miło było przeprowadzać się znów do własnego mieszkania. Jak miło było poczuć się znów bezpiecznie. Kenny siedział w więzieniu, bez możliwości wyjścia za kaucją. Prawdopodobnie nieprędko je opuści. Miałam nadzieję, że nigdy.

Wsiedliśmy z Rexem do windy. Na piętrze drzwi rozsunęły się i wyszłam na korytarz pełna jak najprzyjemniejszych uczuć. Uwielbiałam ten korytarz, pana Wolesky’ego i panią Bestler. Dochodziła dziewiąta rano, a ja za chwilę wezmę prysznic we własnej łazience. Uwielbiałam swoją łazienkę.

Oparłam terrarium na biodrze i otworzyłam drzwi. Wpadnę później do firmy Vinniego i odbiorę czek. Potem pójde na zakupy. Może nawet kupię sobie nową lodówkę.

Postawiłam terrarium na stoliku przy kanapie i odsunęłam zasłony.

Uwielbiałam swoje zasłony. Stałam tak przez dłuższą chwilę, podziwiając widok na parking. Oczywiście parking też uwielbiałam. Moją duszę zalewała fala nieustannego zachwytu

- Mój dom - powiedziałam na głos. - Miło i cicho. Przytulnie.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. To pewnie Morelli.

- Pomyślałem, że może zechcesz dowiedzieć się paru szczegółów -

zagaił.

Otworzyłam drzwi i przepuściłam go.

Morelli wszedł do przedpokoju. Stał rozluźniony, ale oczyma uważnie taksował pomieszczenie. Gliniarz w każdym calu.

- Wiemy już dość, żeby złożyć to wszystko do kupy - powiedział. -

Okazuje się, że było trzech konspiratorów, tak jak myśleliśmy: Kenny, Moogey i Spiro. Każdy z nich miał klucz do boksu.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Mniej więcej, tyle że tutaj jeden drugiemu nie ufał. Kenny był

mózgiem całej operacji. Zaplanował kradzież i naraił zagranicznych kupców na tę broń.

- To stąd te telefony do Meksyku i Salwadoru.

- Tak. Dostał też sporą zaliczkę...

- Którą oczywiście od razu wydał.

- Zgadza się. Potem udał się do boksu, żeby przygotować towar do wysyłki i co się okazało?

- Że towar zniknął.

- I znów masz rację - potwierdził Morelli. - Dlaczego masz na sobie kurtkę?

- Dopiero co weszłam. - Spojrzałam tęsknie w stronę łazienki. -

Właśnie miałam wziąć prysznic.

- Hmm - mruknął Morelli.

- Żadne „hmmmm”. Opowiedz mi raczej o Sandemanie. Skąd on się w tym wszystkim wziął?

- Sandeman podsłuchiwał kilka rozmów między Moogeyem i Spiorem i zaciekał się. Wykorzystał więc jeden ze swych kryminalnych talentów, buchnął Moogeyowi klucz i zrobił jego kopię, a potem drogą eliminacji znalazł właściwy boks.

- A kto zabił Moogeya?

- Sandeman. Stał się nerwowy. Obawiał się, że Moogey mógłby w końcu skojarzyć kradzież trumien z pożyczoną ciężarówką.

- I Sandeman wyśpiewał to wszystko Kenny'emu?

- Oj, wierz mi, Kenny potrafi być bardzo przekonujący.

Ani przez chwilę w to nie wątpiłam.

Morelli bawił się zamkiem mojej kurtki.

- A co do tego prysznic...

Wyprostowałam rękę i palcem wskazałam na drzwi.

- Wynocha.

- Nie chcesz usłyszeć o Spirze?

- A cóż takiego mogę o nim usłyszeć?

- Jeszcze go nie znaleziono.

- Pewnie zapadł się pod ziemię.

Morelli skrzywił się.

- To taki żart w stylu grabarza - wyjaśniłam.

- Jeszcze jedno. Kenny przedstawił nam interesującą teorię na temat zaproszenia ognia w piwnicy.

- Kłamstwo, wszystko to kłamstwa.

- Mogłaś sobie tego wszystkiego zaoszczędzić, gdybyś zostawiła nadajnik w torebce.

Zmrużyłam oczy i skrzyżowałam ręce na piersi.

- Lepiej mi o tym nie wspominaj.

- Zostawiłaś mnie gołego na środku ulicy!

- Przecież oddałam ci pistolet, prawda?

Morelli uśmiechnął się.

- Oj, oddasz mi coś jeszcze, złotko.

- Zapomnij.

- Niestety - upierał się Morelli. - Jesteś mi to winna.

- Nic ci nie jestem winna! To ty jesteś moim dłużnikiem! Ja złapałam za ciebie twojego rąbniętego kuzynka!

- A przy okazji spaliłaś dom pogrzebowy Stivy i zniszczyłaś rządową własność wartą tysiące

dolarów.

- No, skoro chcesz być taki drobiazgowy...

- Drobiazgowy? Słoneczko, jesteś najgorszym łowcą nagród, jakiego nosiła ziemia.

- Dość tego! Nie będę tu stać i wysłuchiwać twoich obelg.

Wypchnęłam go z przedpokoju na korytarz, zamknęłam drzwi i zasunęłam zasuwę. Przycisnęłam nos do drzwi i wyjrzałam przez judasza.

Morelli uśmiechał się do mnie.

- To jest wojna! - krzyknęłam zza drzwi.

- Całe szczęście - odparł Morelli. - Lubię trochę powalczyć.

